

LIZZIE SHANE



BYŁ SOBIE



psiak



Czy jeden nad wyraz niesforny pies
może połączyć dwoje ludzi, którzy
całkowicie się od siebie różnią?



LIZZIE SHANE

BYŁ SOBIE

psiak

PRZEŁOŻYŁA
MAGDALENA HERMANOWSKA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Dla Kali, która przetrwała ze mną wędrówkę z plecakiem po Europie, gdy obie byłyśmy nieznośnymi nastolatkami. I dla Leigh, z którą przeżyłam swoje najlepsze przygody w Azji. I dla pewnego dżentelmena, którego spotkałyśmy w Wietnamie i który podzielił się z nami bezcenną radą na temat korzystania z chwili i cieszenia się życiem.

Ponieważ nie da się odłożyć w banku więcej życia.



ROZDZIAŁ 1



Kiedy Connor Wyeth wyszedł ze swojego domowego biura i zobaczył ruinę kanapy za sześć tysięcy dolarów, musiał przyznać, że jego nie do końca rasowy wilczarz irlandzki nie był najlepszym nabytkiem dokonany pod wpływem impulsu.

Nie żeby miał skłonność do takich nabytków. Albo w ogóle jakichkolwiek, dokładnie rzecz ujmując.

Connor był planistą. Nawet Maximus – psi winowajca odpowiedzialny za przeciągnięcie ogromnej kanapy przez połowę salonu i porwanie na strzępy poduszek tak, że cały pokój pokrył się białym puchem – był częścią planu.

Chociaż nieszczególnie dobrze przemyślanego.

Teraz wielki nicpoń przetaczał się radośnie przez miejsce zbrodni między drzwiami frontowymi a salonem, a jego gromkie szczekanie odbijało się echem od wysokiego sufitu. Gdy zauważył Connora, przyhamował w poślizgu na wypolerowanej podłodze z twardego drewna i popędził do wejścia. Znowu zaczął ujadać przez szybę oskrzydającą ciemne drewniane drzwi na Bogu ducha winną osobę, która stała po drugiej stronie. Wcześniej jednak spojrzał przez swoje kudłate ramię na Connora. Rozdziawił pysk i zwiesił język w oczywistym psim uśmiechu mówiącym „no dalej, przegapisz całą zabawę”.

Connor znowu sobie uświadomił, że jako właściciel psa całkowicie traci grunt pod nogami.

Ponieważ rzekomo wziął Maximusa w charakterze psa obronnego i systemu wczesnego ostrzegania, by odstraszał przyjaciół przed wpadaniem do jego domu, gdy tylko mają na to ochotę, trener powiedział mu, że powinien go nagradzać, gdy szczeka na intruzów. Connor miał również karcieć Maxa, gdyby robił takie rzeczy, jak rozbiórka mebli. Ale karcenie go w tej chwili na nic by się nie zdało – jakby kiedykolwiek okazywało się skuteczne – więc Connor pogodził się ze stratą kanapy i poszedł otworzyć drzwi.

Zgiętym palcem chwycił obroźę Maxa, by przypomnieć mu zasadę „nie kładziemy łap na ramionach gości i nie liżemy ich po twarzy”, a potem pociągnął za klamkę.

– Żadnych akwizytorów – warknął do jednego ze swoich trzech starych przyjaciół, który stał w progu, obejmując ramionami pękatą torbę i kilka tabliczek. Tabliczki były obrócone bokiem, ale z łatwością można było przeczytać nadruk: „Benjamin West – nasz kandydat na burmistrza. Najlepszy wybór dla Pine Hollow”.

Była to z pewnością świetna reklama, ale obaj wiedzieli, że Ben nie przyszedł tu w sprawie nadchodzących wyborów. Nie dzisiaj.

Connor spojrzał spode łba, ale niezrażony Ben wpakował się do środka.

– Przyniosłem lunch.

– I tabliczki.

Connor zamknął drzwi i puścił psa. Max natychmiast rzucił się na Bena, z zapalem obwąchując torbę, która zaczęła się ześlizgiwać w stronę jego spragnionej paszczy. Connor błyskawicznie przejął jedzenie, żeby Ben mógł zrzucić buty i oprzeć tabliczki o parapet.

– Nie ustawię ich na swoim trawniku – ostrzegł Connor. – Jeszcze nie zdecydowałem, na kogo będę głosować.

Ben zignorował to jawne kłamstwo, odzyskał torbę z jedzeniem i pomaszerował z nią do kuchni.

– Tandy Watts postawiła na ganku wielki baner. Można go zobaczyć z kosmosu – powiedział.

Normalnie Connor trochę by go podręczył – w końcu od czego są przyjaciele? – ale tym razem w głosie Bena zabrzmiała nuta niepokoju, więc postanowił go pocieszyć.

– Nikt nie będzie głosował na Tandy Watts. Ona startuje tylko dlatego, żeby unieważnić decyzję o warunkach zabudowy, którą w zeszłym roku zablokowaliście. Całe Pine Hollow o tym wie. A ty masz

doświadczenie, pracujesz w radzie miasta, no i Delia cię wybrała. Wyluzuj.

– Nie mam pojęcia, dlaczego kandyduję na burmistrza – burknął Ben. W drodze do kuchni przystanął na chwilę jak zamurowany, bo za wyspą kuchenną dostrzegł pobojowisko w salonie. – Robisz przemeblowanie?

Connor zasłonił Benowi krajobraz po bitwie, pragnąc – nie po raz pierwszy zresztą – żeby jego przestronny dom z otwartymi przestrzeniami był odrobinę mniej przestronny i przestrzenny.

– Max bawił się na kanapie, gdy pracowałem. Nie zdążyłem jeszcze posprzątać.

Pies wybrał sobie akurat ten moment na przebieżkę. Przemknął przez cały dom, rzucił się z impetem na kanapę i posłał ją ruchem ślizgowym po wypolerowanej podłodze w stronę szklanego i kruchego stolika do kawy. Ten – zamiast się przechylić i rozbić na drobne kawałki – na szczęście również wpadł w poślizg, a Max triumfalnie wyrzucił poduszkę w powietrze.

– Max! – Connor próbował naśladować ton głosu trenera, ten, który sprawiał, że wszystkie psy w grupie siedziały jakby trochę bardziej wyprostowane. Maximus się ożywił na dźwięk głosu swojego pana i skoczył na równe nogi: stał na kanapie ze sterczącymi do przodu uszami i pyskiem rozdziawionym w głupawym psim uśmiechu.

– Złaź! – rozkazał Connor.

Max spojrział na niego i przekrzywił głowę, wyraźnie zakłopotany i zdziwiony.

– Złaź! – powtórzył Connor i ruszył, by ściągnąć psa z kanapy. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, gdy ów pies waży prawie tyle co dorosły człowiek i z zapałem oblizuje każdy centymetr twojej twarzy.

Skończyło się na tym, że Connor wziął Maxa w ramiona i postawił na podłodze z ostatnim stanowczym „złaź”.

Tymczasem pies lizał go cały uszczęśliwiony.

– Zastanawiałeś się nad szkoleniem? – Ben zaniósł lunch do kuchni, a teraz wrócił i przyglądał się widowisku.

– Już załatwiłem dla niego szkolenie – warknął Connor. Jego głos był na tyle ostry, że pies przerwał lizanie i nadstawił uszu.

– Ach tak. – Ben skrzyżował ręce na piersiach. – Może będziesz musiał jednak też na nie chodzić, żeby doczekać się jakichś efektów. Poza tym przecież za nie zapłaciłeś. Chociaż jestem pewien, że Ally tak czy siak cieszy się z twoich pieniędzy.

Ally, dziewczyna Bena, prowadziła w mieście schronisko „Kosmaci Przyjaciele”, które oferowało szkolenie ze specjalną zniżką każdemu, kto zaadoptował psa. Connor miał jak najlepsze intencje i zamierzał chodzić z Maxem na te zajęcia w każdy poniedziałek. Ale to było, zanim jeszcze praca zwała mu się na głowę, jak zawsze zresztą.

– Zapomniałem wpisać je do terminarza.

Ben parsknął śmiechem.

– Ty nigdy o niczym nie zapominasz.

– W porządku. – To bardzo wkurzające, gdy przyjaciele tak dobrze cię znają. – Powiedzmy, że byłem zajęty.

– Ty zawsze jesteś zajęty. A ja ostatnio odkryłem, że nadmiar roboty wcale nie musi przeszkadzać w życiu. To prawdziwa rewelacja. Powinieneś się nad tym zastanowić.

– Nad posiadaniem rewelacji? – zapytał z ironią Connor.

– Nad posiadaniem życia.

– Mam świetne życie – warknął w odpowiedzi Connor. Spojrział na Maximusa zamiast na Bena, bo żaden z nich nie byłby w stanie zaakceptować tego kłamstwa, gdyby ich oczy się spotkały.

Jego życie wcale nie było świetne. Szczególnie dzisiaj. Ale nie chciał o tym rozmawiać.

Nie z Levim, który wpadł rano i oznajmił, że będzie „w terenie”. I nie z matką, która zdążyła już trzy razy zadzwonić z jakimiś wydumanymi problemami, które bezwarunkowo wymagały jego udziału. Ani z Makiem, który z pewnością pojawi się od razu, gdy tylko w Cup skończy się najazd miłośników kawy walczących z popołudniowym spadkiem energii.

I z pewnością nie z Benem.

Ben znajdował się akurat w nieznośnie i odpychająco rozczulającym stadium zakochania, miał

obsesję na punkcie wszystkich cudownych aspektów bycia z drugą osobą i wykształcił coś w rodzaju amnezji; nie pamiętał tego całego gówna, kiedy grunt usuwa ci się spod nóg i wszystko się rozpada.

Na przykład wtedy, gdy przychodzisz do domu, oczekując, że zastaniesz w nim narzeczoną, a zamiast niej znajdujesz kartkę samoprzylepną.

Maximus warknął na kawałek puchu unoszącego się w powietrzu. Connor skupił się na psie, wdzięczny, że może się oderwać od złych myśli.

– To twoja wina – mruknął do Bena i poszedł do kuchni skuszony obietnicą lunchu. – To ty uważałeś, że potrzebuję psa.

– Ale naprawdę potrzebowałeś psa.

To było cholernie wkurzające, bo Ben miał rację. Connor za bardzo się izolował; już od roku pogrążał się w swoich myślach i całkowicie poświęcał pracy, co zakrawało na lekko niezdrową obsesję.

Maximus miał być antidotum.

Connor nie mógł zatracać się w pracy, skoro każdego ranka musiał karmić psa i wyprowadzać go na spacer, chociaż spacerowanie z Maxem wiązało się z wystawieniem na publiczny lincz. Ten nibywilczarz nie był wszak szkolony w szczenięcych latach, więc teraz funkcjonował jako dorosły i siejący spustoszenie kłęb miłości.

Connor nie zamieniłby go na nic innego.

Ben rozpakowywał pudełka z lunchem – Connor próbował nie myśleć o tym, że zapewne był głównym tematem rozmów, gdy Mac pakował zamówienie w Cup – najbardziej rozplatkowanej restauracji w Pine Hollow. Chyba nie było nadziei, aby całe miasto mogło zapomnieć, jaki jest dzisiaj dzień. Pierwszy lutego.

Byłoby również miło, gdyby Connorowi oszczędzono komentarzy na temat rocznicy jego publicznego upokorzenia, ale w tak małym mieście nie było o tym mowy. Tutaj to tak nie działało.

Wiedział, że wszyscy go wspierają, ale ich współczucie było boleśnie piekące niczym kwas na skórze.

– Powinieneś jednak pójść na to szkolenie – powiedział Ben, podając Connorowi jego zwykłą porcję lunchu. Obaj zabrali się do jedzenia. – Nawet Bażant robi postępy, chociaż nie jest zbyt lotny.

Ben i jego siostrzenica, którą wychowywał, zaadoptowali śliniącego się buldoga w tym samym czasie, kiedy Connor adoptował Maximusa.

– Bażant ma Astrid. – Connor od razu wytknął Benowi to niesprawiedliwe porównanie. – Kto poświęciłby każdą wolną chwilę na jego szkolenie, jeśli nie ona.

– To prawda. Całkowicie wspieram jej obsesję. Przynajmniej nie ma czasu, żeby suszyć mi głowę o zaręczyny z Ally.

– A to już? – Connor był nieco wstrząśnięty tym wyznaniem.

Ben i Ally spotykali się dopiero od dwóch miesięcy. Rozmowa o małżeństwie była więc szaleństwem. Connor umawiał się z Monicą przez trzy lata, byli zaręczeni przez kolejne dwa, a wtedy ona stwierdziła – trzynaście dni przed ślubem – że nie chce spędzić z nim życia.

Ale może takie szybkie działanie jest lepsze. Zaangażuj się, zanim zaczniesz mieć wątpliwości.

Ben spojrzał na Connora i przeklął cicho pod nosem.

– Przepraszam. Nie powinienem dzisiaj o tym mówić. Nie pomyślałem.

No właśnie. Dzisiaj. Rocznica. Ben nie był zazwyczaj tak bezpośredni. Przez ostatni rok nie mówili o Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać.

Connor szybko zmienił temat.

– Porozstawiasz te tabliczki w mieście czy oczekujesz, że zatknę wszystkie trzy w moim ogrodzie?

Ben przyglądał się przez moment przyjacielowi, zanim dotarło do niego, że nastąpiła zmiana tematu.

– Przecież masz duży ogród.

– No mam, racja, ale trzy tabliczki to chyba trochę za dużo. Jak myślisz? Nie jestem pewien, czy zasługujesz na takie wsparcie. Istnieją jakieś granice trzydziestoletniej przyjaźni.

– Jedna tabliczka na dekadę. To chyba sprawiedliwe. – Ben wyciszył dzwonek komórki, która

nagle się ożywiła, i zszedł z kuchennego stołka. – Muszę wracać do pracy. Widzimy się dzisiaj u „Kosmatych Przyjaciół”?

– Jasne. Przecież nie unikam tych zajęć celowo. – Hm, nie do końca. – Po prostu mam dużo roboty.

Ben ruszył do drzwi, Connor dotrzymywał mu kroku, a w salonie pochrapywał Maximus.

– Jak się wam układa? – zapytał Ben i schylił się po buty.

– Trudno powiedzieć, jeszcze za wcześnie.

– To powodzenia. – Ben włożył buty i jakby się zawahał, a Connor ledwie się powstrzymał, bo miał ochotę wypchnąć przyjaciela za drzwi, zanim ten zacznie gadać o Rocznicę.

Na szczęście Ben wyszedł, nie rzucając mu już więcej zatroskanych spojrzeń. Connor zamknął za nim drzwi i zaczął się zastanawiać, jak mogłby uniknąć nieuniknionej wizyty Maca. Mac prawdopodobnie przyjdzie za chwilę i zacznie go wypytywać o samopoczucie.

Przyjaciele i krewni solidarnie go monitorowali, ale przecież miał się świetnie. A przynajmniej dążył do tego, żeby tak się poczuć.

A poza tym miał Plan.

Plan zakładał posiadanie Maxa. Zakładał też posiadanie dziewczyny. Zakładał, że Connor wróci do gry i będzie żył tak, jak powinien. Doskonała praca. Doskonały dom. Doskonała rodzina.

Dom już miał. Pracę też miał zagwarantowaną, ponieważ przez ostatnie dwanaście miesięcy pracował dłużej i intensywniej niż pozostali współpracownicy w jego firmie prawniczej. Z rodziną też nie było najgorzej, zwłaszcza że poświęcał teraz trochę więcej czasu, by znaleźć tę Jedyną. Kobietę, która doceni wszystko, co miał do zaoferowania – stabilność, lojalność, niezawodność. Kobietę, która nie powie, że pragnie tego wszystkiego, a potem – dwa tygodnie przed ślubem – zwieje do Indii. Kobietę, która z nim zostanie.

Connor nie zamierzał w nieskończoność unikać kontaktów z ludźmi. Od kiedy zaczął się umawiać na randki, towarzyszył mu stały przypływ chętnych dziewczyn. Ze swoją sympatią ze szkoły średniej zerwał po przyjacielsku, bo wybierał się do Yale. Z dziewczyną ze studiów również zerwał po przyjacielsku, gdy oboje rozjechali się do innych uczelni prawniczych. Jego dziewczyna z uczelni prawniczej zerwała z nim po przyjacielsku, gdy wyjechała do Waszyngtonu, żeby ubiegać się o stanowisko w sądzie apelacyjnym. Connor zamierzał wtedy wrócić do Vermontu, skupić się na prawie korporacyjnym i założyć rodzinę.

I wtedy nadeszła kolej na Monicę.

Trudno to opisać, ale narzeczona porzuciła go za pomocą samoprzylepnej karteczki na dwa tygodnie przed ślubem – nie było w tym jednak nic przyjacielskiego.

Owszem, zgadza się, może teraz był odrobinę zbyt zgorzkniały i trochę zły. Może zanadto poświęcił się pracy i przeklinał wszystkie kobiety z odrobinę większym zapałem, niż prawdopodobnie na to zasługiwały. Może unikał ich z wyjątkiem okazjonalnych spotkań z Tindera, kiedy pomieszkiwał w Nowym Jorku – zawsze niezobowiązująco i bez żadnych oczekiwań. Ale to wszystko minęło. W tym roku rozpoczął nowe życie. I to dzięki Planowi.

Był zniecierpliwiony, bo chciał wrócić do pracy, ale wiedział, że bałagan skutecznie go rozproszy. Zaczął więc sprzątać pole minowe kłaczek zalegających w salonie. Pchnął kanapę na swoje miejsce, budząc Maximusa. Pies przytruchtał „z pomocą”, położył przednie łapy na kanapie i rozdziawił pysk w szczęśliwym uśmiechu.

– Jesteś z siebie zadowolony? – Connor ujął w dłonie wielki łeb Maximusa i poczochnął mu uszy.

Pies sapnął, wtulił głowę w rękę Connora i wlepił w niego głębokie i pełne emocji spojrzenie czarnych oczu. Patrzył z uwielbieniem na swojego pana, gdy ten mówił to samo zdanie, które powtarzał od pięciu tygodni, kiedy został jego dumnym właścicielem.

– Nie wolno wchodzić na meble.

Ani na ladę. Ani na dach mojego samochodu.

Ale jak miał uczyć Maximusa, skoro nie mógł nad nim fizycznie zapanować?

– Dzisiaj wieczorem wracamy na szkolenie – poinformował go. – Mam gdzieś te wszystkie współczujące spojrzenia.

Connor zepchnął wielkie cielsko psa z kanapy, a potem zaczął sprzątać pierze. Po dokładniejszych oględzinach stwierdził, że nie jest tak źle i że większość z kanapowego placu zabaw Maximusa ocalała. Tylko jedna z trzech poduszek eksplodowała, zaścielając swoją zawartością drewnianą podłogę.

A zważywszy na to, że była to jedna z ulubionych ozdób Moniki, Connor musiał przyznać, że Max wyświadczył mu przysługę.

– Dobry piesek – powiedział i pogłaskał go po głowie. – Ale nigdy więcej tego nie rób.

Rozdzwoniła się komórka, więc Connor chwycił Maximusa za obrozę, zaciągnął go do biura i zatrzasnął drzwi. Dzięki temu miał oko na psa, gdy pracował. Rozpoczął w ten sposób każdy dzień, ale niestety tak bardzo koncentrował się na pracy, że gdy Max drapał w drzwi, żeby go wypuścić, otwierał je automatycznie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Do chwili, aż w kuchni rozległ się huk. Czasem rozlegał się w salonie. Albo w łazience.

Connor zobaczył na wyświetlaczu nazwisko swojego mentora, więc szybko odebrał połączenie przez Bluetooth, zanim telefon przełączył je na pocztę głosową.

– Davis, co u ciebie?

Jeden ze wspólników w kancelarii Sterling, Tavish & Karlson, który wziął Connora pod swoje skrzydła, głośno odchrząknął – takie zachowanie zapowiadało wyłącznie złe wiadomości. Connor zacisnął dłoń na biurku, a Max spojrzał na niego ze swojego posłania; w jego błyszczących czarnych oczach czaiła się troska.

– Connor, właśnie przypadkiem spojrzałem na kontrakt Johnsona i chcę ci powiedzieć, że jesteście bardzo zadowoleni z twojej pracy.

Connor zmarszczył brwi. Davis Aquino nigdy nie dzwonił z pochwałami. Nikt nie miał czasu na takie rzeczy.

– Chyba nie dzwonisz, żeby mi powiedzieć, że dobrze się spisałem.

Kolejne chrząknięcie, a potem ciężkie westchnienie.

– Słuchaj, Connor. Jesteś naszym najlepszym pracownikiem, można powiedzieć, że wołem roboczym. Wszyscy wiedzą, jak bardzo się starasz i ile robisz dla firmy. Wiem też, że w tym roku masz nadzieję zostać wspólnikiem w naszej kancelarii...

Cholera. Kurde.

– Ale?

– Nie chcemy cię stracić. Jesteś niesamowicie cennym pracownikiem, ale w tej chwili wspólnicy skłaniają się ku innym rozwiązaniom.

– To jakiś żart? – Connor zareagował spontanicznie, bez zastanowienia, bo w końcu to był Davis, a nie inny ze wspólników. – A kto według nich robi więcej niż ja dla tej kancelarii?

– Nikt nie pracuje tak ciężko jak ty. No i to właśnie ich niepokoi. Martwią się, że się wypalisz, że brakuje ci równowagi między pracą a życiem osobistym, że nie masz wentyla bezpieczeństwa i że zanim skończysz trzydzieści pięć lat, będziesz jechał na oparach.

– Nie potrzebuję żadnego wentyla bezpieczeństwa – powiedział Connor, starając się, by jego głos nie zabrzmiał zbyt zgryźliwie. – Nic mi nie jest.

– Świetnie – odparł Davis. – Naprawdę doskonale, ale pojawiły się też inne problemy.

Connor zmusił się do oddychania. Bardzo starannie wybrał tę firmę. Wiedział, że to miejsce, w którym będzie mógł się rozwijać. Przez lata był idealnym pracownikiem, a teraz pojawiły się problemy?

– Na przykład jakie?

– Rola wspólnika nie polega wyłącznie na tym, żeby być wołem roboczym. Chodzi też o reprezentowanie kancelarii. Bycie liderem w firmie i w społeczności. To aspekt towarzyski, a ty pracujesz głównie w domu...

– Zgodziliśmy się, że tak będzie najlepiej. Kiedy pracuję zdalnie, nie muszę niepotrzebnie tracić czasu na dojazdy.

Firma miała siedzibę w Burlington, ale wielu klientów pochodziło również z Nowego Jorku, więc Connor posiadał uprawnienia na oba stany. Rzadko spotykał się z klientami w biurze, ponieważ sam

Davis *przekonał go*, żeby pracował w domu.

– To prawda, ale potrzeba czegoś więcej, żeby nas zauważano.

– No to przeniosę się do biura. – Connor pomyślał, że będzie musiał znaleźć kogoś do opieki nad Maxem. Może Ally znajdzie jakieś rozwiązanie.

– Nie tylko chodzi o obecność w biurze, lecz również o imprezy, które organizujemy. Wiesz, że dumą naszej kancelarii jest zaangażowanie w życie społeczności i praca charytatywna. A ty od pewnego czasu zacząłeś ignorować większość firmowych imprez.

Od czasu, gdy przestał być złotym chłopakiem. Gdy przestało mu się powodzić, bo nie miał już w ramionach doskonałej kobiety i stał się nieudacznikiem, na którego wszyscy spoglądali z politowaniem i pytali, jak się trzyma. Wszystko zmieniło się na gorsze. Już nie był duszą towarzystwa, tylko wrzodem na tyłku.

– Zdaję sobie sprawę, że ostatnio zbyt mało się nie udzielałem, ale teraz rozpoczynam nowe życie.

– Słuchaj, Connor, kocham cię. Dla mnie jesteś najlepszy i stawiam na ciebie codziennie, ale to nie moja decyzja. Brent i Lila szukają już kogoś innego. Ale według mnie zasługujesz na ostrzeżenie. Nie chcę, żebyś poczuł się niemile zaskoczony. Nadal jesteś bardzo cenny dla STK.

Connor poczuł w gardle kwaśny smak żółci.

– Co jest grane? Czy to już postanowione?

– Jeszcze nie – zapewnił go Davis. – Nadal nie podjęli ostatecznej decyzji, ale przed tobą trudne zadanie. Może wybór innej drogi nie będzie najgorszą rzeczą na świecie. Chcemy, żebyś był szczęśliwy. Może usatysfakcjonuje cię rola współpracownika, nie każdy musi być wspólnikiem.

Ale taki przecież był Plan.

Nad tym pracował przez ostatni rok. A właściwie przez całe życie. Od kiedy Monica go opuściła, stało się to wręcz jego niepohamowaną obsesją, ale najwyraźniej wykorzystał wszystkie siły na to, żeby być partnerem wraz z nią.

Gdyby z nim została, chodziłby na imprezy charytatywne z żoną u boku. A ona prawdopodobnie byłaby już w ciąży z ich pierwszym dzieckiem – konkretnym dowodem równowagi między pracą a życiem osobistym. Connor ubolewałby wraz ze swoimi współpracownikami nad życiem małżeńskim i nieuchronnie zbliżającym się ojcostwem. Poznałby ich lepiej i zademonstrował swoje umiejętności przywódcze. Jego życie nadal byłoby takie, jak powinno być, zamiast...

Rozejrzał się po swoim biurze. *Tylko praca, żadnych przyjemności, żadnej zabawy.* Max wstał ze swojego posłania, cicho podszedł do biurka Connora i położył wielką głowę obok jego ręki. Pogłaskał z roztargnieniem kudłaty pysk, gładząc psa kciukiem między uszami.

– Connor? – zatrzeszczał głos Davisa.

– Jestem. Dziękuję za ostrzeżenie. Pomyślę o tym.

– Naprawdę bardzo cię cenimy – powiedział Davis.

A Connor niemal usłyszał w tej deklaracji słowa prawdy serwowane na kursach zarządzania.

Zrób wszystko, aby twoi pracownicy poczuli, że ich zdolności i zasługi są bezcenne i doceniane.

I naprawdę tak się czuł. Ale chciał czegoś więcej. Pragnął udziałów, partnerstwa, poczucia bezpieczeństwa i świadomości, że nie jest tylko pracownikiem. Że jest częścią tej firmy. Marzył o tym, od kiedy skończył cholerne dziewięć lat.

I nie miał zamiaru się poddać.

Po kilku minutach rozmowy o pracy na rzecz kolejnego klienta pożegnał się z Davisem – ten wątek nie zapadł mu w pamięć, ponieważ całkowicie pochłonęła go rewelacja na temat partnerstwa.

Wiedział, że to nie koniec. Pracowników rywalizujących o funkcję wspólnika zawsze było więcej niż miejsc, ale on włożył w to o wiele więcej pracy niż inni. Zasłużył sobie na to. I nie miał zamiaru pozwolić, by awans mu się wymknął tylko dlatego, że reszta jego życia w ostatnim roku zbiegła z wyznaczonego toru.

Awans na wspólnika był częścią Planu. Oprócz tego pies i partnerka. Znalezienie Tej Jedynej. Małżeństwo. I dzieci. Pięć prostych kroków. Ale może nadszedł czas, by zaburzyć ten porządek. Może musi zacząć umawiać się na randki i znaleźć miłą dziewczynę, która będzie z nim chodziła na firmowe imprezy dobroczynne. Dzięki temu pokaże starszym wspólnikom, że odnalazł równowagę, że jest

członkiem drużyny.

Kiedy układał Plan, zamierzał randkować, ale potem zajął się sprawami zawodowymi i jego najlepsze intencje spaliły na panewce. A teraz... Teraz randkowanie zmieniło się w obowiązek, a Connor Wyeth nigdy nie uchylał się od obowiązków.

Max usiadł, opierając się wielkim ciałem o krzesło, więc Connor musiał zaprzeć się stopami, żeby nie rozjechały się na boki.

Zajrzał do sklepu z aplikacjami w swoim smartfonie, przejrzał je, a potem ściągnął kilka portali randkowych. Teraz musiał nad tym popracować.

Później zabierze Maxa na szkolenie i dowie się, jak powstrzymać psa przed niszczeniem domu.

Dobrze było mieć Plan.

ROZDZIAŁ 2



Deenie Mitchell czuła się najlepiej, gdy improwizowała. Dlatego odnosiła wielkie sukcesy, organizując dziecięce przyjęcia dla księżniczek – nigdy nie trzymała się planu i zawsze była gotowa, aby w locie przystosować się do nowych warunków.

Kiedy więc dotarła na farmę „Kosmatych Przyjaciół” czterdzieści pięć minut przed rozpoczęciem szkolenia i zastała Ally we łzach i w panice, ponieważ trener z Burlington oświadczył, że nie przyjedzie, gdyż cierpi na zatrucie pokarmowe, wiedziała, co zrobić. Zawsze radziła sobie z trudnościami.

– Muszę to odwołać – jęknęła Ally, wpatrując się w złowieszczy SMS o zatruciu pokarmowym.

– Nie, wcale nie musisz. – Deenie przechwyciła telefon i otworzyła pudełko z wypiekami z piekarni Magdy, które przyniosła do domu po wizycie u swojej cioci. Resztą ciasta francuskiego z malinami i serem postanowiła obdarować Ally. – Zjedz to. Ciasto Magdy rozwiązuje wszystkie problemy.

– Ale nie widzę żadnego rozwiązania – stwierdziła Ally. – Mam sześciu klientów, którzy zapłacili za co najmniej godzinę szkolenia i ani jednego trenera. Obiecałyśmy im profesjonalny trening raz w tygodniu.

Ugryzła kawałek ciasta i jęknęła – nie do końca było jasne, czy z powodu rozkoszy związanej z grzesznym wypiekiem Magdy, czy ze strachu, że trzeba będzie odwołać zajęcia będące częścią pilotażowego programu rewitalizacji schroniska dla psów i uczynienia go rajem dla zwierząt oferującym pełen zakres usług.

Deenie posadziła Ally na taborecie tyłem do okien wychodzących na żwirowy podjazd, który prowadził do stodoły, siedziby „Kosmatych Przyjaciół”. Przez kilkadziesiąt lat schronisko prowadzili dziadkowie Ally, ale niedawno przeszli na emeryturę i przekazali je wnuczce. Działalność schroniska latami wisiała na włosku, bo była zależna od dotacji z budżetu miasta, lecz Ally obmyśliła plan, dzięki któremu „Kosmaci Przyjaciele” mogli zyskać niezależność, więc Deenie wprowadziła się do niej niecały tydzień temu, żeby jej w tym pomóc.

Ciągle próbowały wyrobić sobie renomę miejscowego ośrodka pomocy w różnych psych sprawach, więc strata instruktora akurat w tym momencie nie była im na rękę. Ale nie można też mówić o katastrofie.

– Skup się na pozytywach. Jednym z tych płacących klientów jest Ben, tak beznadziejnie w tobie zakochany, że prawdopodobnie nie zauważy braku trenera – powiedziała Deenie. – Kolejny to Elinor, która z radością wypije z nami kilka dietetycznych margarit. A trzecim klientem jest Connor, który nie będzie sobie zawracał głowy szkoleniem Maximusa.

Nie żeby Deenie przejmowała się nieobecnością Connora Wyetha na ostatnich zajęciach. Ten facet po prostu doprowadzał ją do szału od chwili, gdy się poznali.

Był taki sztywny. Wysyłał negatywne wibracje charakteryzujące tych wszystkich ludzi, którzy z pogardą oceniali jej różowe włosy i niekonwencjonalny styl życia. I uruchamiał jej system obronny. W trybie „walki albo ucieczki” w przypadku Connora zdecydowanie miała ochotę walczyć. Nie powinna była go skłaniać do adopcji Maximusa, wywodząc, że nie poradzi sobie z wielkim wilczarzem, ale nie mogła przecież pozwolić, żeby wygrał z nią wojnę na słowa.

Od tamtej pory dogryzała mu za każdym razem, kiedy tylko byli zmuszeni przebywać w swoim towarzystwie – co niestety zdarzało się dość często, odkąd Ben i Ally zaczęli się spotykać.

– To znak.

Deenie ponownie skupiła się na Ally, wypędzając z myśli Connora Wyetha.

– Żaden znak. Załatwimy to inaczej. Ogłosimy w tym tygodniu promocję na szkolenia. Mogę je poprowadzić.

– Naprawdę? – W oczach Ally zapłonęła nadzieja.

– Jasne. Chyba po to tu jestem, no nie? Żeby pomagać w schronisku. Cóż w tym skomplikowanego?

Deenie i tak już zajmowała się szkoleniem, pracując z małą spanielką o imieniu Dolce, aby przygotować ją do adopcji, gdy tylko wykarmi swoje szczeniaczki i zostanie wysterylizowana. Chociaż babcia Ally ostatnio tak rozpieszczała Dolce, że musiałyby się zdarzyć nie wiadomo co, żeby Rita Gilmore sama nie wzięła słodkiej, małej psinki.

– Nie mam uprawnień ani nic – ciągnęła – ale jeśli zrobimy wykład na temat zatruc pokarmowych i obiecamy ludziom, że odrobimy te zajęcia, na pewno nikt nie będzie narzekać.

– Będę zachwyceni. Wszyscy wiemy, że jesteś zaklinaczką psów. To nawet lepsze niż sprowadzanie innego trenera.

Deenie podniosła rękę w ostrzegawczym geście.

– Nie podniecaj się za bardzo. Jestem tylko zapchajdziurą ratującą sytuację prelekcją o zatruciach pokarmowych.

– Obie wiemy, że to nieprawda. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła.

Wdzięczność Ally zaniepokoiła Deenie, która na ogół uwielbiała pomagać – jak tu się nie zaangażować i nie rozwiązać problemu, gdy rozwiązanie ma się tuż przed nosem – ale jeśli rzeczywiście była aż tak potrzebna, zaczynała odczuwać presję, a nie była pewna, czy tego chce i czy jest na to gotowa.

Czy to nie porąbane? Kto inny na tym świecie najpierw chciał zostać doceniony, a jak już do tego doszło, marzył tylko o tym, żeby uciec?

Deenie jak zwykle pokryła zdenerwowanie promiennym uśmiechem.

– Oczywiście poniosłabyś kompletną porażkę. Jestem niezastąpiona.

To rzecz jasna było kłamstwo, lecz Ally spojrzała w taki sposób, jakby uznawała to za świętą prawdę, i podała jej ciasto.

– Wiem. Bez ciebie nigdy nie dostałabym tej pożyczki.

– Nie bądź śmieszna. Jasne, że byś dostała.

Ally potrząsnęła głową.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że wiedziałas, jak napisać biznesplan i załatwić te wszystkie formalności.

– Cicho. Psujesz mój wizerunek. – Niedowierzenie Ally było dla Deenie najwspanialszym komplementem. Bardzo dbała o swój image niezaradnej królowny wiecznie obsypanej brokatem. Nie chciała, by ludzie uświadomili sobie, że potrafi zrobić rachunek zysków i strat nawet przez sen.

Odgarnęła z twarzy pukiel włosów – musiała je przyciąć i nałożyć farbę. Miała blond odrosty, a różowe pasemka straciły swój zwykły neonowy blask i były ledwie blad różowe, a to jej nie satysfakcjonowało, bo zmniejszyło siłę rażenia i szok.

– Po prostu naprawdę bardzo się cieszę, że tu jesteś – powiedziała Ally z tą swoją wytrącającą z równowagi szczerością.

– Muszę tu zostać. Jestem splukana.

Słowa były pełne lekceważenia. Tak sformułowane, by wszyscy myśleli, że żartuje.

Ale przy okazji były prawdziwe.

Deenie musiała uzupełnić swoje zasoby finansowe po ostatniej podróży. Wędrując z plecakiem po Nowej Zelandii zeszłej jesieni, przepuściła na swoje przygody więcej pieniędzy, niż pozwalał jej na to budżet. Ale jak często masz okazję skakać na bungee albo chodzić śladami hobbitów? Czasami trzeba wykorzystywać możliwości, które życie podsuwa ci pod nos – nawet jeśli to oznacza, że wrócisz do domu z bardziej wyczyszczonym kontem, niżbyś chciała.

Nie pomogło również i to, że na Boże Narodzenie odrobinę przesadziła z prezentami dla bratanków, jak zawsze próbując udowodnić swojej rodzinie to, czego nie da się dowieść.

Potrzebowała więc mieszkania z niskim czynszem i dodatkowym zyskiem w postaci godzin pracowanych w schronisku.

To był świetny pomysł – spędzi kilka miesięcy w Pine Hollow, będzie odwiedzać ciocię, pomagać Ally, bawić się z psami, szyć tradycyjne kostiumy księżniczek dla sklepu Etsy – po

poświętecznym okresie względnego spokoju popyt na nie znowu wzrósł – i odgrywać królewny na przyjęciach, kiedy tylko uda się je zorganizować. A wszystko po to, by podreperować uszczuplone finanse.

Bardzo jej się spodobał ten plan. Sama go wymyśliła.

Dlaczego więc od kiedy tu zamieszkała, czuła się, jakby zaraz miała wyjść ze skóry? Dlaczego wszystko było nie tak?

Pewnie chodziło o to, że nie miała pojęcia, kiedy będzie mogła wyjechać. Zawsze miała w głowie jakiś bliżej nieokreślony cel podróży oraz termin, na który niecierpliwie czekała, wiedząc, że właśnie tego dnia rozpocznie nową przygodę.

Taki osobisty licznik odpowiedzialności.

A teraz przyszłość rozciągała się przed nią niczym kontinuum czasowe. Wszystko było niejasne, nieokreślone. Deenie odkryła, że nawet osoba, która buntuje się przeciwko zasadom i harmonogramom tak bardzo jak ona, potrzebuje podpory w postaci konkretnego terminu. Wyjścia bezpieczeństwa.

To jeszcze bardziej rozbudzało jej zamięłowanie do wędrówek – ciągle podskórne świerzbienie stawało się coraz bardziej uciążliwe, bo nie wiedziała, kiedy będzie mogła zaspokoić swoje pragnienie podróżowania.

Siostra uważała ją za wariatkę. Ale siostra nigdy nie rozumiała tej potrzeby wędrowania i poznawania świata. Nikt z rodziny tego nie rozumiał.

Cóż. Nikt z wyjątkiem Bitty.

– Udała się wizyta u Jo-Jo?

– Och, no tak...

Nie zamierzała okłamywać Ally w sprawie swoich regularnych wizyt w Summerland. Po prostu tak wyszło. Nie żeby to było całkowite kłamstwo. Naprawdę jeździła na osiedle emerytów, żeby zobaczyć Jo-Jo, zakochała się w tej małej, słodkiej suczce rasy papillon, zanim psinka została adoptowana przez pana Burke'a.

Ale odwiedzała też Bitty.

Jeszcze nie powiedziała Ally o swojej ciotecznej babci, nie była gotowa, żeby kolejna osoba wypytywała, jak się miewa Bitty. Kolejna osoba, którą musiałyby okłamywać, że wszystko jest w porządku.

A więc udawała, że w ogóle nic się nie dzieje.

Nie ma na co się gapić, ludziska. To tylko Deenie Mitchell, mistrzyni iluzji.

Poczucie winy z powodu oszustwa złapało ją za gardło, więc umknęła spojrzeniem. Nie potrafiła popatrzeć Ally w oczy i zamarkowała, że całkowicie pochłania ją podjadanie ciasta.

– Było świetnie. Jo-Jo to prawdziwy słodziak.

– Szkoda, że jej nie adoptowałaś – powiedziała Ally. – Jest dla ciebie idealna.

– Nie mogę podróżować z psem, a pan Burke doskonale do niej pasuje. Uwielbia ją. – Deenie wstała od stołu. – Powinam się przebrać przed zajęciami.

To była kiepska wymówka, żeby nie ciągnąć tej rozmowy, ale wydawało się, że Ally nie zauważyła jej wykrętu.

Dziewczyna skierowała się w stronę schodów, a po drodze zahaczyła o salon, by pogłaskać szczeniaki.

Dom nie był zbyt fantazyjny – ot, wielki kloc z gankiem dookoła – ale braki we wzornictwie nadrabiał przestrzenią. Teraz salon wydawał się jeszcze większy, bo połowa mebli pojechała z dziadkami Ally na osiedle emerytów.

Przed kominkiem stał kojec, w którym rezydowała Dolce ze szczeniakami. Większość maluchów spała, ale jeden żądny przygód psiak przydreptał do Deenie i domagał się jej uwagi.

Colby, bernardyn Ally, wyciągnął się na swoim ogromnym posłaniu i obserwował wszystko spod przymrużonych powiek. Nie wkładając w to niepotrzebnego wysiłku, chciał mieć pewność, że nic go nie ominie. Deenie po raz ostatni pogłaskała szczeniaczka, a potem zaczęła czochrać jedwabisty łeb Colby'ego.

– Cześć, wasza leniwość – powitała go.

Kontakt z psami był doskonałą terapią po dniu spędzonym na osiedlu – proste, nieskomplikowane wzruszenia po nieuniknionych komplikacjach związanych z opieką nad Bitty. Lekarz zapragnął dzisiaj porozmawiać z Deenie – była to ponura rozmowa o postępach i oczekiwaniach, a teraz słowa lekarza natrętnie pchały się jej do głowy.

Zostawiła Colby’ego i zaczęła się wspinać po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Miała nadzieję, że ruch pomoże jej otrząsnąć się z ponurych myśli i wyciągnie ją z dołka.

Wąskie schody prowadziły do głównego korytarza. Po obu stronach mieściły się kwadratowe pokoje, Ally zaanektowała ten z najlepszym oświetleniem na studio fotograficzne. Nie zdecydowała się na starą pracownię artystyczną babci na parterze, bo tam nie było drzwi, które mogłyby powstrzymać jej psich modeli przed ucieczką.

No i dlatego, że ciągle był do połowy zagracony rupieciami Rity.

Hal i Rita Gilmore’owie przez cały miesiąc krążyli między domem a przytulnym apartamentem z tarasem na osiedlu emerytów i przewozili rzeczy, które chcieli zatrzymać. A Rita wpadała niemal każdego dnia, bo przyszło jej do głowy coś, o czym wcześniej zapomnieli.

Nie żeby Deenie miała coś przeciwko jej regularnym wizytom. Rita była trochę szalona i dziewczyna ją za to uwielbiała. Dlatego Rita i Bitty były takimi dobrymi przyjaciółkami. I przede wszystkim dlatego Deenie zgłosiła się na ochotnika do pracy w schronisku.

Otworzyła drzwi swojego pokoju.

W przeciwieństwie do Gilmore’ów potrzebowała około trzydziestu minut i jednej podróży zabytkowym bladoniebieskim garbusem – który nie był specjalnie znany z pojemności – by przetransportować swoje dobra doczesne do jednej z pustych sypialni.

Brzuchaty plecak, z którym zjeżdżała cały świat, stał oparty o łóżko. Wylewało się z niego chaotyczne, kolorowe kłębowisko ubrań, których nawet nie chciało się jej rozpakować. W dalszym kącie pokoju, pod jednym z okien, ustawiła obsypaną cekinami maszynę do szycia. Na podłodze przy krześle leżał worek marynarski pełen jedwabistych tkanin i połyskliwych dodatków. Szyła z nich kostiumy królowy, które przynosiły jej największy dochód. Inny pękaty worek częściowo blokował dojście do szafy – był fioletowy i wypakowany gadżetami niezbędnymi na przyjęciach dla dzieci. Perukami, diademami i brokatem. Ogromną ilością brokatu.

Wszystko, co posiadała, mieściło się w tym jednym kącie pokoju.

Nigdy nie była zbieraczką i nie gromadziła rzeczy. Prędzej czy później stawały się obciążeniem, przytłaczały, przywiązywały człowieka do miejsca, ograniczały, nie pozwalały zacząć od nowa i odejść bez oglądania się za siebie.

Gdy się wprowadziła, w pokoju było już łóżko i małe biurko, które zamieniła w stół krawiecki. Zawsze wynajmowała umeblowane lokale – co zazwyczaj oznaczało mieszkanie w jednym z domków w ośrodku narciarskim, w jej przypadku to się dobrze sprawdzało. Jej życie było szybkie i pełne zmian.

Ale nie teraz.

Znajome uczucie wpełzało jej pod skórę jak pajak. Powinna się chyba rozpakować, lecz jakaś jej część walczyła z komfortem tego miejsca. Nie chciała czuć się zbyt wygodnie. Nie chciała utknąć.

Potrzebowała daty końcowej, która uchroni ją przed stagnacją i pomoże docenić bieżącą chwilę. Łatwiej żyć pełnią życia, gdy nie bierze się wszystkiego za pewnik – Deenie nigdy nie brała niczego za pewnik, jeśli wiedziała, że ma mało czasu.

Ale teraz musiała zostać. Dla Bitty. I dla Ally.

Odsunęła więc na bok to niepokojące uczucie. Skryła je pod brokatowym uśmiechem, który dawno temu doprowadziła do perfekcji.

Sztuczka polegała na tym, żeby zawsze być w ruchu. Żeby cały czas działać, nawet jeśli gdzieś się utknęło. A Deenie była w tym prawdziwą ekspertką. Nie zwalniam. Nie popadaj w rutynę. Nie miej wątpliwości.

Wyjrzała przez okno, omiotła wzrokiem zwirowy podjazd, małego niebieskiego garbusa i starego zielonego pick-upa z namalowanym na boku logo „Kosmatych Przyjaciół” i skupiła się na wielkiej stodole, w której mieściło się schronisko dla psów.

Dzisiaj wieczorem miała poprowadzić szkolenie.

Jeśli dopisze jej szczęście, irytujący Connor Wyeth będzie się trzymać z daleka, a ona po prostu pobawi się z psami i swoimi przyjaciółmi.

To mogło się udać.

ROZDZIAŁ 3



Prawdziwy trener nie pojawił się na szkoleniu.

Za to w samym środku pomieszczenia stała Deenie Mitchell w kręgu krzesel rozstawionych w dużych odległościach, żeby psy nie nawiązywały ze sobą kontaktów towarzyskich, kiedy powinny się uczyć. Była ubrana w swoim zwykłym fantazyjnym stylu, takim w rodzaju właśnie-wybuchła-na-mnie-tęcza. Różowe włosy pasowały do jasnoróżowych legginsów i farbowanej techniką tie-dye minisukienki, która dopełniała całości. Ale w spojrzeniu, które rzuciła Connorowi, gdy tylko wkroczył do pomieszczenia, było więcej burzowych chmur niż tęczy. To spojrzenie mówiło, iż Connor jako mężczyzna jest tak wielkim rozczarowaniem, że Deenie nie ma pojęcia, jak może wytrzymać sam ze sobą.

Chociaż może mu się tylko tak zdawało.

Nienawidził porażek i nie cierpiał się spóźniać, a dzisiaj spóźnił się dziesięć minut, bo toczył z Maximusem nierówną walkę, próbując zapakować go do samochodu. Ładowanie Maxa do auta zawsze było bitwą, dzisiaj zaś stało się istnym Waterloo, a Connorowi przypadła rola Napoleona.

Kiedy w końcu dotarli do „Kosmatych Przyjaciół”, Max wciągnął go do budynku i jak szalony pomknął do magazynu, w którym odbywały się zajęcia, skutecznie zakłócając ich przebieg.

Kiedy pies wpadł do środka, Deenie przerwała w pół zdania i wydała ostro brzmiący dźwięk. „Ej!” – ta jedna sylaba zdawała się mówić: „Natychmiast się zatrzymaj, kolego” i „Co ty wyprawiasz?” oraz „Wiem, że stać cię na więcej”.

Max od razu przestał się rzucać i nadstawił uszu, a Connor ledwie się powstrzymał, bo widząc, z jaką łatwością sobie poradziła, miał ochotę warczeć.

Deenie uniosła palec.

– Maximus, siad.

Psi zadek natychmiast opadł na podłogę w najpiękniejszym siadzie, jaki Connor kiedykolwiek widział w wykonaniu Maxa. Deenie pochwaliła go i nagrodziła smakołykiem, a Connor poczuł okropne ukłucie zazdrości.

Dziewczyna oderwała wzrok od wilczarza i spojrzała prosto na niego, w błękitnej toni jej oczu czaiła się krytyka.

– Connor. Cóż za niespodzianka.

W porządku, może faktycznie opuścił jakieś zajęcia, ale czy od razu trzeba robić z tego aferę? Zmrużył ostrzegawczo oczy, ale Deenie to nie zniechęciło.

– Może zajmiecie swoje miejsce? – Wskazała im puste krzesło między Elinor Rodriguez i jej owczarkiem australijskim a Kaitlyn Murray i jej małym buldogiem francuskim, który zachowywał się wprost idealnie, więc Connor nie miał pojęcia, co robi na szkoleniu.

– Chodź, Max. – Connor skrócił smycz, ale i tak musiał użyć całej siły, by zaciągnąć wilczarza na wolne miejsce. Przez cały czas czuł na sobie chmurne spojrzenie Deenie.

Gdyby wiedział, że ten różowowłosy jeżozwierz będzie prowadzić szkolenie, pewnie zastanowiłby się dwa razy, czy przyjść. Uczciwość kazała mu jednak natychmiast pozbyć się tej myśli. Max bardzo potrzebował szkolenia. A Deenie Mitchell, mimo wszystkich swoich wad, zadziwiająco dobrze sobie z nim radziła. Wyglądało na to, że pogardza wyłącznie Connorem.

Poznali się w Boże Narodzenie, kiedy adoptował Maxa. Nie mógł przypomnieć sobie ani jednej rozmowy, która nie zaczęłaby się i nie skończyła słownymi przepychankami. Ale dla wszystkich innych – w tym również dla psów – Deenie była słońcem i brokatem.

Connor skłonił Maxa, by wykonał coś w rodzaju siadu; ostentacyjnie nie patrzył na pozostałe psy, które siedziały nieruchomo niczym posągi u boku swoich właścicieli i wyglądały jak żywa reklama

dobrych manier.

Ben pochwycił spojrzenie Connora i posłał mu współczujący uśmiech. Siedział obok swojej siostrzenicy, Astrid, która uważnie kontrolowała zachowanie swojego zaślinionego buldoga.

Deenie uniosła ręce, by przyciągnąć uwagę zgromadzonych.

– Tak jak mówiłam, najważniejsza jest *konsekwencja*. A to większe wyzwanie dla nas niż dla nich. W dziewięciu przypadkach na dziesięć złe zachowanie psa jest reakcją na to, co zrobiliśmy lub czego nie zrobiliśmy. – Omiotła spojrzeniem Connora, nie zatrzymując się na nim dłużej, ale i tak miał wrażenie, że jej słowa były zatrutymi strzałami skierowanymi wprost do niego. – Przecwiczymy techniki, których już się nauczyliśmy, ale najpierw porozmawiajmy o tym, co się sprawdza, a co nie, i przekonajmy się, czy możemy znaleźć jakieś inne rozwiązania. Jakie przeszkody napotkaliście, gdy testowaliście metody, których nauczyliście się podczas ostatnich zajęć?

Ben zachęcił Astrid, żeby podniosła rękę, a Deenie uśmiechem dodała dziewczynce odwagi, potem zaś wysłuchała o obsesji Bażanta na punkcie obśliniania butów Bena. Później przyszła kolej na Elinor i jej frustrację z powodu umiejętności jej psa, który potrafił otwierać drzwi. Owczarek niemiecki ciągle czekał. Czarny labrador ciągnął na spacerach. A mały Romeo Kaitlyn nie chciał podawać prawej łapy i to bez względu na to, ile razy Kaitlyn próbowała go skłonić, żeby posługiwał się obiema łapami.

Deenie ze zrozumieniem kiwała głową, spokojnie wyjaśniała, że te wszystkie problemy są całkowicie naturalne, i podawała wskazówki, które mogły pomóc w skorygowaniu psich zachowań.

A potem spojrzała na niego.

– Connor? Miałeś jakieś problemy podczas pracy z Maxem?

Miał zamiar opowiedzieć wszystko trenerowi i błagać o pomoc, ale to było, zanim się dowiedział, że trenera zastąpi Deenie. Connor zachował pogodny wyraz twarzy, ale przeszył ją stalowym spojrzeniem.

– Nie. Wszystko świetnie.

Efekt zepsuł nieco Max, który akurat w tym momencie postanowił zrobić wypad, by przywitać się z Romeem.

– Świetnie – powtórzyła Deenie, ale w jej głosie brzmiało z wątpienie. – Nie miałeś absolutnie żadnych problemów?

Max znowu zaczął się wyrywać, niemal zrzucając Connora z krzesła. Mimo to Connor nie spuścił wzroku z Deenie.

– Ani jednego.

Zanim gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała w drugą stronę, na jej twarzy pojawił się cień irytacji.

– Doskonale. Może przecwiczymy to, czego się już nauczyliśmy? Przynieśliście treningowe smakołyki?

Nie miał pojęcia, dlaczego ją do siebie zraża. Chociaż najbardziej niedojrzała część jego osobowości złośliwie podpowiadała, że *to ona zaczęła*.

Dwa miesiące temu nie miał pojęcia o istnieniu Deenie Mitchell. Nie było żadnego powodu, żeby ich drogi się skrzyżowały. Nawet w tak małym miasteczku jak Pine Hollow absolutnie nie był w stanie poznać wszystkich, a Deenie pojawiała się tu regularnie dopiero od kilku lat. Ben wynajął ją jakiś czas temu, by urządziła przyjęcie z królowną dla Astrid, ale Connor jej wtedy nie znał. Wpadł na nią dopiero w schronisku, gdy postanowił zaadoptować Maxa. Już od pierwszego słowa miała coś przeciwko niemu, sugerując, że nie poradzi sobie z tak wielkim psem.

Jakby postanowiła, że go znienawidzi od pierwszego spojrzenia.

Nie mógł tego zrozumieć. Elinor kiedyś zażartowała, że Connor jest jednorożcem – atrakcyjny, wypłacalny, lojalny, bez byłych żon, dzieci, chętny, by się ustatkować i doczekać potomstwa. Próbowała go pocieszyć, gdy Monica odeszła, więc zapewniała, że jest mnóstwo kobiet, które wydrapią sobie pazurami drogę do jego serca, przekopią się przez zgliszczka, które pozostawiła po sobie jego była narzeczona, i zrobią wszystko, żeby go zdobyć. I miał wrażenie, że Elinor mówi to wszystko szczerze. Był cholernie dobrą partią.

A więc dlaczego Deenie się uparła, żeby go nie znosić?

Gdy posłała mu kolejne wrogie spojrzenie, uświadomił sobie, że nie słucha jej instrukcji. Pozostali kursanci stali, obok nich siedziały skupione psy, wszyscy w gotowości, by wykonywać polecenia dziewczyny.

Connor przeklął pod nosem i wstał, próbując skłonić Maxa, by usiadł tak samo jak inne psy. Deenie nie musiała go lubić. Najważniejsze, żeby Max się nauczył dobrych manier.

– Deenie?

Dziewczyna uświadomiła sobie, że po raz piąty w ciągu ostatnich trzydziestu minut gapi się na Connora, więc szybko odwróciła spojrzenie i skupiła się na uroczej maszynie do produkcji śliny, która przed nią siedziała. Smycz trzymała równie urocza dziewczynka. Astrid była taka przejęta i pełna entuzjazmu. Postanowiła, że wyszkoli Bażanta i udowodni, że jest odpowiedzialną właścicielką psa.

Gdyby tylko Connor dysponował połową jej poświęcenia. Albo jedną setną. Szczerze mówiąc, zadowoliliby się jakakolwiek wskazówką, że Connor traktuje to poważnie.

Naprawdę szkoda, że taki atrakcyjny facet cierpi na tak ogromny ból dupy. Wysoki, z mięśniami rysującymi się wyraźnie pod garniturem – „ubieram się elegancko, chociaż pracuję w domu” – z najbardziej wyrzeźbionymi kośćmi policzkowymi, zachwycająco bursztynowymi oczami, złotobrazową skórą, którą w środku zimy jakimś dziwnym trafem zdołało musnąć słońce. Ale nie patrzyła na niego dlatego, że był przystojny. Absolutnie nie. To było raczej jak zderzenie dwóch pociągów. Nie mogła się nie gapić.

Miała pewność, że Connor nie ćwiczył z Maximusem. To było irytujące, świadczyło o lekceważeniu i braku szacunku. Było *nieodpowiedzialne*. Rodzice cały czas powtarzali Deenie, że jej styl życia dowodzi braku odpowiedzialności, ale ona nigdy, przenigdy nie przyjmowała na siebie odpowiedzialności, której nie była w stanie sprostać. Nigdy nie zostawiała nikogo na lodzie.

Czasem równało się to z odrzuceniem możliwości, które mogłyby sprawić jej radość. Bardzo chciała adoptować małą Jo-Jo, gdy przed Bożym Narodzeniem szukali domów dla psiaków ze schroniska. Słodka suczka rasy papillon znalazła drogę do jej serca, ale Deenie znała siebie. Wiedziała, że kiedy odbuduje fundusz przeznaczony na podróże, a sprawy z ciocią Bitty dobrną do pewnego punktu, zapragnie wyjechać.

Może tym razem na Islandię. Albo na Fidżi. Nigdy nie straciła apetytu na podróżowanie. Dowiedziała się o tym tuż po studiach, gdy postanowiła zrobić sobie rok wolnego i przed rozpoczęciem dorosłego życia wyłamać się z systemu i poświęcić swojej pasji. A potem już nie mogła przestać.

Ale potrzebowała pieniędzy. Szukała więc pracy zgodnej ze swoim wykształceniem, a że teatr dziecięcy nie był prężnie rozwijającą się dziedziną, zaczęła organizować przyjęcia z królewną. Pokochała to zajęcie – dzięki niemu zaczęła też szyć sukienki dla dziewczynek – ale nadal musiała pracować jako baristka lub tymczasowa pomoc biurowa, żeby związać koniec z końcem. Kiedy ślęczała długimi godzinami w jakiejś pracy, która powoli tłamsiła jej duszę, zaczynała marzyć o podróżach. Odkładała więc pieniądze. Zaoszczędziła jakieś dwa tysiące dolarów i wymyśliła, jak rozciągnąć ten skąpy budżet, by wystarczyć na siedmiodniową wędrowkę z plecakiem po Azji.

Po powrocie do Stanów podjęła kolejną bezsensowną pracę, by podreperować swój fundusz podróży. Jak w instrukcji użycia szamponu – nałóż, spłucz, powtórz. I tak w kółko.

A więc nie, nie mogła adoptować Jo-Jo. Bez względu na to, jak bardzo chciała, by piesek stał się częścią jej życia. Wiedziała też, że nie będzie mogła w nieskończoność pomagać Ally w schronisku – tylko dopóki nie rozkręcą biznesu, wystartują z nowymi ofertami i usługami.

Potem Deenie wyjedzie na Islandię, Fidżi albo do Norwegii – gdziekolwiek powiodą ją zniżki, rabaty i promocje. I zapomni o istnieniu Connora Wyetha.

Jednak w tej chwili plan ignorowania go nie był wykonalny.

Ally zaferowała się, że dzisiaj wieczorem potrenuje z Dolce, więc Deenie mogła się skupić na pracy z innymi, chociaż trudno było pomagać komukolwiek, gdy Maximus rozstawiał Connora po kątach, zachęcając pozostałe psy do zabawy.

Connor w końcu zdołał umieścić końcówkę smyczy pod nogą krzesła, a potem ułożył na nim swoje sześć stóp i trzy cale, by je skutecznie unieruchomić. Max zwałił się na podłogę.

A potem zaczął się czołgać, ciągnąc za sobą krzesło i siedzącego na nim Connora. Jego celem był owczarek niemiecki, który nie przestawał szczekać, bo Maximus napierał na niego ciałem. Szczekanie odbijało się echem od ścian pomieszczenia, wywołując jeszcze większy chaos.

Deenie usadziła Maximusa twardym spojrzeniem i ostrą komendą.

– Max, zostań.

Wilczarz zastygł w bezruchu i nadstawił uszu. Wtedy rozdzwonił się stoper w jej komórce.

Poczuła przemożną ulgę, że zajęcia oficjalnie dobiegły końca.

Szybko podziękowała wszystkim za przybycie i obiecała, że zawodowy trener poprowadzi szkolenie, gdy tylko wyzdrowieje.

Wtedy ten cały burdel to już nie będzie moja sprawa.

– Pamiętajcie o ćwiczeniach – zawołała, przekrzykując uprzejmy aplauz właścicieli psów, wszystkich z wyjątkiem Connora, co nie umknęło jej uwagi. – Najważniejsza jest konsekwencja i kształtowanie dobrych nawyków!

Ludzie i psy zaczęli wychodzić, gdy rozszczekany owczarek niemiecki imieniem Elvis opuścił budynek, spadło też natężenie decybeli. Ally i Ben z Astrid, Bażantem i Dolce również skierowali się do wyjścia i opuścili wielkie pomieszczenie magazynowe, które zamienili w salę treningową.

Elinor i Dory pozostały nieco w tyle. Dory, suczka owczarka australijskiego, trafiła do schroniska z imieniem Harry – została tak nazwana na cześć Houdiniego, bo była specjalistką od ucieczek. Później Elinor nazwała ją Dora (tym razem na cześć bohaterki serialu *Dora poznaje świat*), bo było to zdecydowanie bardziej kobiece imię, ale szybko się okazało, że jest nietrafione. Elinor poprosiła więc uczniów, by pomogli jej wybrać nowe, i tak powstała hybryda Dory – wszyscy uznali, że doskonale pasuje do mądrej suni, która większość czasu spędzała na ucieczkach, szwendaniu się po mieście i poznawaniu nowych przyjaciół.

– Naprawdę jesteś w tym dobra – powiedziała Elinor do Deenie. Dory obwąchiwała w tym czasie jakąś plamę na podłodze, a dziewczyna starała się ze wszystkich sił nie patrzeć na Connora, który zaplątał się w smycz Maximusa. – Myślę, że od ciebie dowiedziałam się dzisiaj więcej niż przez ostatnie trzy tygodnie od tego gościa z Burlington.

– Ale ja nie mam uprawnień – przypomniała Deenie. – Przywykłam po prostu do radzenia sobie z dużą liczbą dzieci. Może cię to zaskoczy, ale w przypadku dzieci i psów przydają się podobne umiejętności.

Elinor wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Wiesz, to bardzo trafne i przydatne spostrzeżenie. – Jako szkolna bibliotekarka z pewnością wiedziała lepiej niż inni, jak zapewnić rozrywkę młodym i ciekawskim stworzeniom wszelkich gatunków.

Connor zaklął, bo uderzył ramieniem w ścianę, płacząc się pod łapami Maximusa.

– Powinam mu chyba pomóc – powiedziała Deenie z grymasem na twarzy.

Elinor uniosła wysoko brwi.

– Baw się dobrze – odrzekła ze śmiechem.

Zgarnęła Dory i poprowadziła ją w stronę wyjścia, zostawiając Deenie sam na sam z Maxem i jego irytującym właścicielem.

Dziewczyna obserwowała przez chwilę, jak Connor siłuje się z wilczarzem – mięśnie jego ramion i barków poruszały się w nieznośnie seksowny sposób. Był najgorszym rodzajem faceta. Materialistyczny. Krytyczny. Arogancki. Próżny. Wszystko wypolerowane i doskonałe. Był wszystkim, czego unikała. Tylko dlaczego musiał tak zniewalająco wyglądać?

Podeszła bliżej i spojrzała na niego wilkiem. Była wściekła na siebie, że mimo wszystko tak dobrze się bawi. I wściekła na niego, że w ogóle się zjawił.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, obserwując jego zmagania. W końcu Maximus ją zauważył i usiadł, nadstawiając uszu, gotowy spełnić jej życzenia. Spojrzała w górę prosto w zniewalające bursztynowe oczy Connora i pozwoliła, by uszła z niej cała frustracja.

– Connor... co tu właściwie robisz?

ROZDZIAŁ 4



Connor poczuł, że jego ciało szykuje się do obrony.

– Słucham? – zapytał i wbił spojrzenie w Deenie.

– Co tutaj robisz? – powtórzyła. – Przecież nie traktujesz tego poważnie. Próbujesz zakłócać zajęcia?

– Traktuję to bardzo poważnie – burknął, skracając smycz Maxa, chociaż przy Deenie pies był teraz grzeczny jak aniołek.

– Naprawdę? – Dziewczyna uniosła wysoko brwi, ale sterczące różowe kucyki pozbawiły ją nieco majestatu królowej.

– Tak się składa, że Maximus należy do rasy, którą bardzo trudno wyszkolić. Zrobiłem mu test DNA.

Deenie przewróciła oczami.

– No jasne.

– W przeważającej części jest wilczarzem irlandzkim, ale z domieszką doga niemieckiego i charta rosyjskiego. Okazuje się, że te rasy najtrudniej ułożyć.

– Czyli obwiniasz genetykę? A ile razy w ciągu tych trzech tygodni z nim ćwiczyłeś?

– Jestem zajęty – warknął. – Mam odpowiedzialną pracę.

– Pies to też odpowiedzialność. Adoptowałeś go. Obiecałeś, że będziesz odpowiedzialnym opiekunem.

– Jestem – mruknął. – Karmię go. Chodzimy na spacer. Ma zabawki. – I kanapę do gryzienia.

– Jest szczęśliwy. A jeśli zachowuje się trochę niesfornie, to wyłącznie moja sprawa.

– Zatem jeszcze raz cię zapytam: co tutaj robisz? Jeśli chcesz mieć niewyszkolonego psa, nie ma powodu, żebyś się pojawiał. A jeżeli zamierzasz go wytrenować, musisz się wysilić i z nim ćwiczyć. Nie możesz przychodzić na zajęcia raz w miesiącu i oczekiwać, że stanie się cud. Maximus potrzebuje konsekwencji.

– Wiem. Słyszałem to dzisiaj ze dwadzieścia razy.

– No cóż, przynajmniej jeden z was skorzystał na tym szkoleniu. Powtarzanie jest niezbędne.

– Ale to nie działa! – burknął, nie patrząc jej w oczy, bo zarumienił się ze wstydu.

– Co takiego? – Deenie odrobinę odpuściła, rezygnując z agresywnej postawy.

– Przez pierwszy tydzień próbowałem ćwiczyć z nim w domu, ale nie mogłem go do niczego skłonić. Nie mam pojęcia, co robię źle, ale za każdym razem, gdy próbujemy, potem jest jeszcze gorzej.

Deenie uniosła jasne brwi, które przyjęły kształt litery V.

– A więc się poddałeś?

– Nie poddałem się. Po prostu... zmieniły mi się priorytety.

Deenie westchnęła i tym razem w jej głosie nie było jadu.

– Cóż, to dobry początek.

– Co masz na myśli?

– Tylko to, że nie zdołasz niczego naprawić, jeśli będziesz udawać, że jesteś doskonały.

Widzimy, że Max to buldożer, a ty się dzisiaj upierałeś, że nie masz żadnych problemów z jego szkoleniem.

– Może nie chciałem mówić o swojej klęsce.

– Connor, każdy się z czymś zмага. Zawsze jest coś nie tak.

– No pewnie – powiedział z przekąsem. – Weźmy na przykład dramatyczną walkę z Romeem, który nie podaje prawej łapy. Przynajmniej Romeo nie rozpieprza mojego salonu w ciągu pięciu minut, gdy nie mam go na oku.

Deenie po raz kolejny zmarszczyła brwi, ale tym razem w jej oczach pojawił się dziwny blask, a Connor miał nieodparte wrażenie, że dziewczyna robi wszystko, żeby się nie roześmiać.

– Max urządza balangi w twoim salonie?

– W jednym momencie był ze mną w biurze, a już po chwili przeciągał kanapę przez salon i posyłał poduszki w powietrze. A ja tego nie słyszałam.

Deenie pokiwała głową z nieoczekiwanym współczuciem.

– W przypadku psów i dzieci cisza zawsze jest złym znakiem.

– Opowiedz mi o tym.

– Już ci mówiłam, ale się upierałeś, że wiesz wszystko o opiece nad psami. – Poklepała Maxa po głowie, a potem poczochnęła po czole, tak jak najbardziej lubił. Max poddał się jej pieszczotom, popiskując z rozkoszy. – I co zrobiłeś, gdy przyłapałeś go na tym przestępstwie?

Connor wzruszył ramionami.

– Nic, bo już było po wszystkim. Zniknął z miejsca zbrodni, więc tylko odstawiłem kanapę na miejsce. Trener powiedział, że psy mają krótką pamięć. Nie było sensu na niego krzyczeć.

– Nie krzyczeć. Korygować. Każde twoje zachowanie to dla niego nauka. Jeśli nie poprawiasz Maxa, to uczysz go, że wszystko jest w porządku.

– Po prostu nie chciałem... – Connor nagle zamilkł, bo nie był pewien, jak dokończyć zdanie. Max wpatrywał się w niego jak w bóstwo i on nie zamierzał tego zmieniać.

W oczach Deenie pojawił się błysk zrozumienia.

– On cię przecież nie znienawidzi, jeśli ustanowisz jakieś zasady. Psy lubią, gdy wszystko jest uporządkowane. I wprost uwielbiają nas zadawać. Pozwól mu się dowiedzieć, co cię uszczęśliwia, a on spróbuje to zrobić. I bądź *konsekwentny*.

– Pewnie, już to gdzieś słyszałem. Nie mam na to czasu. Gdybym kogoś wynajął... – Connor zawiesił głos, bo pomysł, który wpadł mu do głowy, był doskonały w swojej prostocie. – Mógłbym zatrudnić *ciebie*.

Deenie westchnęła i pokręciła głową.

– Connor, słuchaj...

– To świetna myśl. Bardzo dobrze sobie z nim radzisz. Mogłabyś z nim ćwiczyć. Chodzić na dodatkowe spacerki, żeby nie świrował, kiedy pracuję. Zapłacę ci.

Connor wymienił sumę, a gdy dziewczyna znowu zaczęła kręcić głową, podwoił ją.

Opadła jej szczeka, bo to naprawdę było za dużo. Ale jeśli było za dużo, to mniejsze ryzyko, że dopuści do siebie myśl, iż nie przyjęła jego propozycji, bo znienawidziła go od pierwszego wejrzenia. Był gotowy przepłacić, gdyby to oznaczało, że ubędzie mu jedno zmartwienie, bo przecież musiał się starać o posadę współnika i szukać miłości życia.

– Connor... Nie jestem trenerką psów. Za tyle kasy musisz poszukać zawodowca.

– Nie dbam o to. Elinor powiedziała, że jesteś lepsza od tego gościa z Burlington. A Max cię zna i lubi. A ja ci ufam.

Oczy Deenie zapłonęły, a Connor się zarumienił. Ale może najbardziej zadziwiające w tych słowach było to, że okazały się prawdą. Może nie byli w stanie przebywać w tym samym pomieszczeniu bez kłótni, ale jeśli Connor zamierzał wpuścić kogoś do domu, by trenował jego psa, wolał raczej, żeby to była Deenie, a nie ktoś obcy.

– Zastanów się nad tym – powiedział, a potem wyciągnął asa z rękawa. – Wiesz, że to będzie najlepsze dla Maximusa.

Deenie przyglądała się Connorowi, gdy tak beczelnie manipulował jej emocjami.

Nie mylił się jednak. A kwota, którą mogła zarobić, była zdecydowanie kusząca.

Suma, którą wymienił, była absurdalna. Ale pokryłaby koszty wyjazdu na Islandię. Lodowce... wulkany... gorące źródła...

– Ja...

– Sama powiedziałaś, że to nie jest wielkie poświęcenie. Dwie sesje dziennie...

– Przestań mnie przekonywać. Zgadzam się.

– Naprawdę? – Twarz Connora rozjaśnił absolutnie oszłamiający uśmiech.

Kości policzkowe, wyraźnie zarysowana linia podbródka... *Dlaczego* musiał tak zniewalająco wyglądać?

– Ale pod pewnymi warunkami – burknęła.

– Oczywiście. – Connor uniósł dłoń w geście wskazującym, że zgadza się na wszystko.

Deenie zmrużyła oczy.

– To nie jest amnestia, która zwalnia cię z odpowiedzialności. Nie zamierzam poświęcać wielu godzin na szkolenie Maxa tylko po to, żebyś to wszystko zniszczył. Będę go trenować i z nim ćwiczyć, ale musisz się zgodzić na trzy sesje tygodniowo. Oczywiście pod moim nadzorem, żebym widziała twoje postępy. Jak uczysz się komend i jak je egzekwujesz, z Maxem przy boku.

– Jedna sesja. Płacę ci, żebym mógł się skupić na pracy.

– Dwie – warknęła Deenie. – Plus zajęcia w schronisku, żadnego opuszczania. I raz w tygodniu będziesz przyprowadzać Maxa na zajęcia grupowe, żebym mogła sprawdzić, jak sobie radzisz z nim wśród ludzi i innych psów.

– Dwie sesje, zajęcia w schronisku i co tydzień zajęcia grupowe. – Uniósł dłoń, widząc, że Deenie otwiera usta, by znowu się z nim sprzeczać. – Naprawdę mam dużo obowiązków. Tylko tyle czasu mogę poświęcić.

Deenie znowu spojrzała na niego wilkiem, ale przytaknęła.

– W porządku. Jeszcze jeden warunek. Musisz przyznać, że chociaż to ja będę szkolić Maxa, nadal będziesz za niego odpowiedzialny i nie zrobisz niczego, co mogłoby podkopać mój autorytet.

– Chyba mi pochlebiasz.

– To tylko słowa.

Connor przymknął swoją kwadratową szczękę porośniętą świeżym zarostem. Jego bursztynowe oczy skryły się pod gęstymi rzęsami – efekt pogłębiał dodatkowo fakt, że przymknął powieki. Wiedziała od jego pierwszego uśmiechu, że ma dołeczki w policzkach, ale teraz nie było po nich śladu.

Pomyślała, że będzie z nią walczył, ale tego nie zrobił.

– Przyznaję, że to ty będziesz szkolić Maxa, ale ja nadal będę za niego odpowiedzialny – wycedził przez zęby. – I nie zrobię niczego, co mogłoby podkopać twój autorytet. Wystarczy?

– Jak najbardziej

Skinął głową.

– No to świetnie. Kiedy zaczynamy?

Connor jest planistą, zauważyła z irytacją Deenie, gdy nieznacznie elegancki SUV sunął podjazdem „Kosmatych Przyjaciół”.

Nie odpuścił, dopóki oboje nie wyciągnęli kalendarzy, nie „zaklepalili terminów” i nie uzgodnili, kiedy Deenie będzie mogła przyjść na „sesję orientacyjną”.

Kiedy powiedziała mu, że nigdy nie korzysta z kalendarza w smartfonie, zrobił minę, którą uznała za bezcenną.

Nic go jednak nie powstrzymało przed ustaleniem terminów. Musiała praktycznie podpisać umowę własną krwią i tym samym obiecać, że następnego wieczoru zjawi się u Connora punktualnie o siódmej, tuż przed jego wyjściem.

Wędrowała zatem wzburzona żwirowym podjazdem w stronę domu Ally, mając w pamięci cudowną stertę banknotów, którą weźmie w posiadanie, gdy przez kilka tygodni będzie grać zgodnie z zasadami Connora.

W salonie paliło się światło. Deenie znalazła Ally siedzącą na podłodze przy kojcu Dolce i szczeniaków. Mała spanielka pojawiła się w schronisku w grudniu, ale nie nadawała się do adopcji, bo była w ciąży. A babcia Ally natychmiast się w niej zakochała.

Rita Gilmore w Boże Narodzenie przeniosła Dolce i jej maluchy do domu, twierdząc, że jest im smutno w pustym schronisku, bo niemal wszystkie psy zostały już wówczas adoptowane. Ally i Deenie postanowiły więc, że zatrzymają to słodkie towarzystwo. W schronisku nie było stałych mieszkańców, a gdy dziadkowie Ally przenosili się na osiedle emerytów, nie przyjmowały nowych podopiecznych.

Obniżyły dzięki temu rachunki za ogrzewanie, utrzymując ciepło w stodole jedynie podczas szkoleń.

A poza tym, jakże mogłyby się oprzeć tym słodkim maluchom.

Dolce spała cicho w rogu kojca, a cztery szczeniaczki przepychały się niezdarnie pomiędzy sobą. Nie miały jeszcze ośmiu tygodni, ale były już prawie wykarmione i w najbliższym czasie gotowe do adopcji. Dwa maluchy zostały już zarezerwowane przez koleżanki z klasy Astrid, a pozostałe nadal czekały na dom – Deenie ciągle musiała sobie przypominać, że nie może mieć psa.

– Astrid i Ben już pojechali? – zapytała, opadając na podłogę przy kojcu. Wyciągnęła palce, by jeden z małych wilgotnych nosków mógł je obwąchać.

– Jutro szkoła – wyjaśniła Ally.

Obok drzemał Colby, jego obwisłe policzki unosiły się przy każdym wydechu, a ciche pochrapywanie było osobliwie hipnotyzujące.

– Myślałam, że pojedziesz z nimi.

– Miałam zostawić cię tu samą? – Ally udawała obrażoną, ale spłonęła rumieńcem.

– Nie musisz ze mną zostawać, bo myślisz, że powinnaś. – Deenie wyciągnęła z kojca szczeniaczka i przytuliła go do piersi. – Słowo *powinnaś* należy wyjąć spod prawa. Rób tylko to, co cię uszczęśliwia.

– Jestem szczęśliwa tutaj z tobą – przekonywała Ally, a Deenie postanowiła nie naciskać.

Ally i Ben spotykali się oficjalnie od pięciu tygodni, ale czasem wydawali się nieśmiali jak nowo narodzone źrebaki, zakłopotani i niepewni. Próbowali zwolnić – Ally powtarzała te słowa tak często, że stały się jej mantrą, a ponieważ Astrid była częścią tej układanki, miało to sens – ale nie stanowiło dla nikogo tajemnicy, iż oboje się do siebie kleją, więc to spowolnienie było dla nich sporym wyzwaniem. Czasem wydawało się niemal, że Ally prosi o pozwolenie, aby być szczęśliwą – jakby nie mogła do końca uwierzyć, że nikt jej tego nie odbierze.

A teraz się zarumieniała i nie miała odwagi spojrzeć w oczy Deenie.

– Właściwie to chciałabym o czymś z tobą porozmawiać... – wymamrotała.

– O wizytach Bena i Astrid, gdy jutro szkoła? No więc oficjalnie daję ci swoje pozwolenie. Ale tylko pod warunkiem że odrobiłaś zadanie domowe.

– Bardzo śmieszne.

Deenie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Przynajmniej Ally znowu na nią spojrzała.

– O czym chciałaś porozmawiać?

– Chodzi o dom Bena. Wiesz, że Ben chce go wyremontować i sprzedać, a potem znaleźć coś większego z ogrodem dla Bażanta?

Wiem, że chce go wyremontować i sprzedać, żeby móc zamieszkać z tobą.

– Yhm – potwierdziła z uśmiechem Deenie.

– No więc znalazł wykonawcę, który pod koniec miesiąca zacznie remontować kuchnię, ale to potrwa wiele tygodni. Kuchnia będzie rozbebeszona, wszędzie kurz i pył. Ben mówi, że mogą przenieść mikrofalówkę na piętro i kupować jedzenie na wynos – co i tak przeważnie robią, bo Ben jest najgorszym kucharzem na świecie – ale pomyślałam, że to bez sensu, skoro mamy dobrze wyposażoną kuchnię i tyle wolnych pokoi...

I wtedy Ally i Ben mogliby zamieszkać razem, tak jak rozpaczliwie pragnęli, a ludzie w mieście by nie gadali, że za bardzo się spieszyli.

W niefachowej opinii Deenie Ben i Ally za bardzo przejmowali się tym, co ludzie powiedzą. Ale nie dziwiło jej to, ponieważ Ally starała się wszystkim przypodobać, a Ben ubiegał się o fotel burmistrza.

Deenie zareagowała na zdenerwowanie Ally promiennym uśmiechem.

– Myślę, że to wspaniały pomysł – powiedziała. – Ten dom i tak jest za duży dla nas dwóch.

A poza tym będziemy mogły rzucić rozpieszczanie szczeniaków na Astrid. Mała będzie w siódmym niebie.

Ally odetchnęła z ulgą.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– A dlaczego miałabym mieć? Kocham Bena i Astrid.

– Ale dopiero się wprowadziłaś. I miałyśmy plan, że będziemy mieszkać we dwie, że

zmodernizujemy schronisko i będziemy oglądać powtórki *Przyjaciół*.

– Nadal możemy oglądać *Przyjaciół*. Jestem pewna, że Astrid będzie zachwycona. No i dobrze, że tu będzie i pomoże, bo ja prawdopodobnie nie będę z tobą tak długo, jak myślałam.

Ally zrzędała mina.

– O nie. Nie chodziło o to, żebyś poczuła się tutaj nie na swoim miejscu. To przede wszystkim twój dom. Ben i Astrid mogą zamieszkać u Connora. On ma wielki dom.

– Cóż, może to dziwnie zabrzmieć, ale to ja będę przez cały czas u Connora.

– Jak to? – Ally kompletnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Connor zatrudnił mnie do opieki nad Maxem.

– Co zrobił?

Deenie nie zawracała sobie głowy powtarzaniem, bo wiedziała, że Ally ją doskonale rozumiała. Zagrychała więc do pieska, którego trzymała w ramionach, zapewniając go, że jest najśłodszym ze słodkich maluchów.

– Przecież się nienawidzicie. Kiedy zaczynacie sobie docinać, zawsze mam wrażenie, że powinniśmy natychmiast wyjść, żeby nie zostać przypadkowymi ofiarami.

– Nie nienawidzimy się – stwierdziła Deenie. – To coś w rodzaju silnej, naturalnej antypatii. Connor reprezentuje wszystko, do czego czuję wstręt. I odwrotnie. Poza tym jest wspaniałym człowiekiem.

Ally przewróciła oczami.

– Jak nic wzajemnie się pozabijacie.

– Prawie nie będę go widywać. – Deenie próbowała przekonać siebie i Ally. – No i zapłaci mi za to małą fortunę. Za pieniądze niby nie można kupić szczęścia, ale na pewno można kupić kilka tygodni wśród gorących źródeł na Islandii. A to praktycznie to samo. – Wzruszyła ramionami. – I kocham Maxa.

– Jasne... – powiedziała wolno Ally. – A więc zamierzasz wytrenować jego psa, a potem zwiąć na Islandię?

– Nie zostawię cię na lodzie. Ale kiedy wypromujemy „Kosmatych Przyjaciół” i uruchomimy wszystkie programy, nie będziesz już mnie potrzebowała. I na pewno przyda ci się miejsce dla Bena i Astrid...

– My nie... oni nie zostaną. Nie chcemy się spieszyć.

– Chyba już obraliście żółwie tempo. – Deenie położyła się na podłodze i posadziła pieska na piersiach, żeby mógł po niej popęłzać. – Ale wiesz, że nie musicie? Całe miasto kocha ciebie i Bena. Nikt nie będzie was unikać, jeśli zaangażujecie się w ten związek całym sercem.

– Już wpadliśmy jak śliwki w kompot – przyznała Ally. – Ale chcemy zachować rozsądek.

– Rozsądek w miłości? Chyba nie o to w tym chodzi?

Ally przewróciła oczami.

– A co z tobą? Opowiesz mi kiedyś o randkowych przygodach Deenie Mitchell?

– Opiszę je w swoich pamiętnikach – zażartowała dziewczyna, jak zwykle gładko unikając odpowiedzi. Rozmowa o porażkach w życiu miłosnym za bardzo ją przygnębiała. – Poza tym wcale nie szukam takiej miłości jak wasza. Stałość nie jest moją najsilniejszą stroną, niemniej życzę wam powodzenia.

– Teraz tak mówisz, ale kiedy znajdziesz właściwego faceta...

– Boże, mówisz jak moja matka – jęknęła Deenie. – „Nie martw się, Nadine. Dorośniesz. Ustatkujesz się i zmienisz”.

Ally położyła się na podłodze obok Deenie. Potem wyciągnęła z kojca trzy pozostałe szczeniaczki, które zaczęły drapać je swoimi małymi łapkami. Dziewczyny chwyciły się za ręce i delikatnie ścisnęły.

– Nigdy się nie zmieniaj. – Ally obróciła głowę, więc mogły spojrzeć sobie w oczy. – Ale jeśli się kiedyś zakochasz, to już teraz mogę cię zapewnić, że to nie jest najgorsza rzecz na świecie. W sumie to... – Ally zarumieniła się, w jej oczach pojawiła się tkliwość. – To nawet dość niezwykle.

Oczy Deenie zaszyły mgłą, ale skrzywiła się, udając obrzydzenie.

– Ohyda. Dlaczego ludzie w fazie miesiąca miodowego za wszelką cenę usiłują zrobić ze

wszystkich wyznawców kultu miłości? Niektórzy z nas są szczęśliwi bez popijania tego słodkiego nektaru.

Ally wzruszyła ramionami.

– Tylko mówię. To naprawdę pyszny nektar.

– Wierzę ci na słowo – powiedziała Deenie, bo i tak nie zamierzała w najbliższym czasie raczyć się tym napojem. Kiedy ostatnio go próbowała, jej słodki nektar miłości był zatruty. Lepiej całkowicie go unikać. Gonić za tym, co ją uszczęśliwia, co sprawia, że czuje się sobą, a nie za tym, co może ją złamać i przyprawić o depresję.

Islandia. Musiała się teraz skupić na Islandii.

Może i lubi te chwile spędzane z Ally. Może nawet brakuje jej kogoś bliskiego. Ale to nigdy długo nie trwa. Ludzie przywiązani do jednego miejsca zawsze w końcu wpadali we frustrację z powodu jej zamiłowania do podróży. Minęło wiele lat od ostatniego spotkania z najlepszymi przyjaciółkami z college'u, obie już od dawna popijały słodki nektar miłości i zapuściły korzenie. Deenie była inna. To właśnie słyszała od ludzi przez całe życie, aż w końcu stało się to odznaką honoru i odwagi. Pozostała inna. Pozostała dziwna. Bądź dzika. Taka właśnie była. Nie zamierzała z tego rezygnować dla żadnego mężczyzny.

Do jej myśli wdarł się niechciany obraz Connora siłującego się ze smyczą Maxa, ale szybko go od siebie odepchnęła.

Zwłaszcza nie dla takiego faceta jak on.

ROZDZIAŁ 5



We wtorkowe popołudnie Connor zatrzymał się na podjeździe domu w stylu American Craftsman i zmarszczył brwi na widok jakiejś kluchowatej, brązowej rzeczy, która wisiała na drzwiach. Gdy zmrużył oczy i zerknął na to coś nieco z boku, niemal przypominało świstaka – musiał założyć, że właśnie o to chodziło matce, ponieważ był drugi lutego.

Zgarnął z siedzenia pasażera płóciennie torby z zakupami i wydostał się z samochodu, omijając sedana Mitcha. Uniósł rękę, by pomachać Elinor, która kawałek dalej spacerowała z psem.

Okoliczne domy nie były całkowicie identyczne, ale z pewnością do siebie pasowały – wszystkie zbudowano w stylu American Craftsman, wszystkie miały od frontu schludne małe trawniki, a z tyłu duże ogrodzone dziedzińce. Dorastali z Elinor w sąsiednich domach, a kilka lat temu ona kupiła bungalow przy tej samej ulicy. Kiedy byli dziećmi, bawili się całą paczką – Levi, Ben, Mac, Connor, Katie i Elinor. Śmigali na rowerach w tę i z powrotem, budowali twierdze ze śniegu i bronili swoich obozów.

Kiedy Connor, Levi i Ben zaręczyli się w tym samym czasie, wydawało się, że ich dzieci będą się bawiły tak samo jak kiedyś oni. Ale nic nie poszło zgodnie z planem.

Chociaż Ben był teraz z Ally. A więc gdyby on, Connor, zdołał uporządkować swoje sprawy, może część tej wizji jeszcze by się ziściła.

Pokonał dwa stopnie jednym zamaszystym krokiem, zmrużył oczy, żeby lepiej się przyjrzeć bulwiastemu świstakowi, i wtedy uświadomił sobie, że potwór z kolorowego papieru jest podpisany jego imieniem, mało wprawnym charakterem pisma ucznia podstawówki.

Stał i gapił się na niego, gdy matka nagle otworzyła drzwi.

– Szczęśliwego Dnia Świstaka!

Connor kiwnął głową w stronę papierowej potworności.

– Teraz dekorujemy dom z okazji Dnia Świstaka?

– A dlaczego nie? – Matka uniosła bojowo brodę, chcąc sprowokować syna, by zakwestionował jej entuzjizm, chociaż doskonale wiedziała, że Connor odpuści. – Ten świstak jest taki uroczy. Znalazłam całe pudło twoich starych szkolnych projektów. Byłeś taki utalentowany.

Connor zmierzył wzrokiem świstkowego gluta.

– Nikt, kto mnie nie urodził, prawdopodobnie się z tobą nie zgodzi.

Matka prychnęła lekceważąco, gdy przekraczał próg.

– Ominął cię dzisiaj wspaniały festyn.

– Jest wtorek. Nie mogę tak po prostu rzucić pracy, bo wielki gryzoń przewiduje pogodę.

Matka poklepała go po ramieniu i pociągnęła w dół, by go uściskać. Connor zawdzięczał wzrost ojcowskiej puli genów i miał nadzieję, że niczego więcej po nim nie odziedziczył. Miał oczy matki – w kształcie migdałów z gęstymi rzęsami. Jego mocna szczeka i złocisty odcień skóry prowadziły prosto do jej tongijskich przodków. Był *jej*. A ona jego.

Delikatnie ścisnął ramiona matki, uważając, żeby nie sprawić jej bólu. Nie było w niej nic kruchego – gdyby spróbował insynuować, że jest słaba, posłałaby mu spojrzenie, które stopiłoby stal – ale się starzała. Już tak długo była słońcem i księżycem jego życia, że miał ochotę zawinać ją w folię bąbelkową i chronić. Nawet jeśli pokpiwała sobie z jego opiekuńczości. Śmiała się z niego, gdy chciał jej kupić większy dom.

– Proszę. – Odsunął się i podał jej torbę z zakupami. – To czekoladowe pianki w kształcie serca. Znalazłem je w spożywczym.

Matka zajrzała do środka.

– Rozpieszczasz mnie.

– Staram się. Nie mogę pozwolić, żeby Mitch był jedynym facetem, który zasypuje cię prezentami.

Nie chodziło o to, że był zazdrosny o ojczyma albo że miał coś przeciwko niemu. Ten facet był jak pluszak. A całkiem możliwe, że nawet święty. I sprawiał, że Mele Wyeth – obecnie Mele Cooper – chichotała jak nigdy wcześniej.

Connor był szczęśliwy, że jego matka jest tak promienna i szczęśliwa. Zasłużyła sobie na tę zwariowaną euforię.

Irytowało go jednak, że matka ma życie, o którym on nic nie wie. Że ma swoje prywatne żarciki, których nigdy nie słyszał. Od kiedy skończył pięć lat, byli tylko we dwójkę i trwało to aż do chwili, gdy zaczęła umawiać się z Mitchem. Connor miał już wtedy dwadzieścia cztery lata i był przyzwyczajony, że jest dla matki kimś więcej niż tylko synem. Była jego najlepszą przyjaciółką, pierwszą osobą, której się zwierzył, gdy zakochał się w dziewczynie i gdy dostał się do szkoły prawniczej. Nadal się przyjaźnili, ale teraz było inaczej. A Mitch był tak cholernie wyrozumiały w kwestii jego zaborczości, że Connor nie miał nawet szansy, by go znienawidzić.

Matka zignorowała jego komentarz.

– A gdzie Max? – zapytała, rozglądając się dookoła, jakby mogła nie zauważyć psa wielkości kuca.

– Zostawiłem go w wiatrołapie. Tam nie da rady niczego zniszczyć.

Zaciśnięte usta matki świadczyły o tym, że jest nieco zirytowana.

– Przecież wiesz, że zawsze możesz go przyprowadzić. Jest tu mile widziany.

– Wiem.

Connor zanurkował pod żyrandolem, który zawsze wisiał trochę za nisko, a potem zdjął płaszcz.

Wiedział, dlaczego mama zaprasza do siebie Maxa. Connor zaczął wykorzystywać psa jako pretekst, by wcześniej wyrwać się do domu z cotygodniowej kolacji. Zazwyczaj był wówczas przynajmniej odrobinę zaniepokojony, że Maximus podczas jego nieobecności spustoszy cały dom. Jednak była to o wiele lepsza wymówka niż konieczność powrotu do pracy lub ucieczka przed rozmową, która zaczynała się stawać krępująca.

Nie było mowy, żeby przyprowadził tego siejącego zniszczenie kundla do domu mamy. Co innego, gdy Max wpadał w szal u niego, gdzie przynajmniej miał dużo miejsca na swoje harce. W przytulnym domu mamy odbijałby się rykoszetem od rupieci i bibelotów, pozostawiając pas zniszczeń i po drodze rozstawiając mamę po kątach.

Nie. Max nie będzie tutaj przychodzić, dopóki nie zostanie wzorem posłuszeństwa.

A na szczęście tak się stanie, gdy tylko Deenie z nim skończy.

Connor spojrział na zegarek, który podarowała mu mama, kiedy zdał egzamin adwokacki. Miał jeszcze mnóstwo czasu do spotkania z dziewczyną, ale znając matkę i jej skłonności do dysponowania jego czasem, musiał ją ostrzec.

– Nie mogę zostać zbyt długo. Mam później spotkanie.

Spodziewał się, że na twarzy rodzicielki zobaczy rozczarowanie, a nie błysk triumfu.

– To randka?

Jęknął. Pierwszy sygnał zwiastujący krępującą rozmowę.

– Nie, spotkanie z trenerem psów.

Świadomie nie wspomniał, że trener jest trenerką. Deenie była ostatnią dziewczyną, z którą umówiłby się na randkę, ale gdyby matka usłyszała, że spotyka się z kobietą, w jej oczach eksplodowałyby miliony serc.

Mama okazała niesamowite zrozumienie, gdy Monica odeszła, dała mu czas, żeby doszedł do siebie, ale jakieś sześć miesięcy temu zdecydowała, że jest już dostatecznie uzdrowiony, i zaczęła powtarzać jak zdarta płyta swój ulubiony refren „kiedy w końcu doczekam się wnuków”.

Na szczęście nie zaczęła go od razu swatać z trenerem psów.

– A zatem musimy się pospieszyć – powiedziała na tyle dramatycznie, by wywołać w nim poczucie winy, że zaplanował coś innego w jej wieczór. – Chodź. Mitch przygotowuje tacos.

– Wtorek z tacos! – ryknął z kuchni jej mąż.

Dom był tak mały, że nie dało się porozmawiać na osobności. Connor ciągle myślał o nim jak o swoim, więc gdy szedł za mamą do kuchni, musiał stłumić znajome ukłucie irytacji.

Stał przy tej kuchence więcej godzin, niż kiedykolwiek uda się to Mitchowi, uczył się gotować z książek kucharskich i programów kulinarnych, a później z Internetu. Mama pracowała na pełen etat, najpierw jako recepcjonistka w kancelarii prawnej, a później, gdy jej szef się zorientował, że marnuje się, odbierając telefony i kserując dokumenty, została asystentką prawną. Connor był odpowiedzialny za posiłki już wtedy, gdy musiał stawać na stołku, by dosięgnąć do kuchenki. I uwielbiał to.

Nadal gotował niemal każdego wieczoru. Ale przygotowywanie potraw dla jednej osoby nie było zabawne. Mama była jego pierwszą fanką i pierwszym krytykiem. Zawsze starał się jej zaimponować nowymi smakami i nowymi technikami kulinarnymi. Kiedyś rozplywała się nad jego tacos.

Chociaż musiał przyznać, że Mitchowi również nieźle wychodziły. Gdy zanurkował pod łukiem do kuchni, poczuł w nozdrzach smakowity zapach i od razu zaczęła mu cieknąć ślinka.

– Cześć, Mitch.

– Connor. – Ojczym zasalutował szczypcami, które dzierżył w dłoni. – Odpocznijcie sobie. Kolacja będzie za minutkę.

Mitch był krępy i tęgi, niemal całkowicie łysy, jedynie po bokach głowy sterczały krótkie siwe włosy, miał niemal przezroczystą skórę, która w kuchennym żarze robiła się wiśniowa – tak jak w tej chwili – i okrągłą, łagodną twarz. To wszystko sprawiało, że w każde Święta Bożego Narodzenia był oczywistym kandydatem Pine Hollow na Świętego Mikołaja. W zeszłym roku doszło w związku z tym do małego skandalu, bo mama i Mitch zaczęli dbać o zdrowie, biegali przez całe lato i schudli, więc kostium Mikołaja nieco wisiał na Mitchu. Na szczęście znalazły się jakieś wypełniacze i kryzys został zażegnany.

Ojczym miał na sobie czerwony fartuch z zamaszystym napisem POCAŁUJ KUCHARZA, a pod spodem swój standardowy uniform: spodnie khaki i koszulkę polo, jakby w każdej chwili był gotowy wyrwać się na golfa.

– A więc? – Matka usadziła Connora przy kuchennym stole, jednym z niewielu mebli, które nie pamiętały jego dzieciństwa. – Jak ci minął tydzień? Opowiadaj.

Mitch ani drgnął i nie odwrócił wzroku od pieca. Zawsze dbał o to, by dać im nieco przestrzeni, nawet gdy przebywał w tym samym pomieszczeniu. Ale to nie z powodu Mitcha Connor ugryzł się w język.

Mama była kiedyś asystentką prawną, posiadała niezbędną inteligencję i wiedzę, ale zarabiała ułamek tego, co prawnik. Connor w wieku dziewięciu lat postanowił, że zostanie prawnikiem, ale nie takim zwykłym, tylko współnikiem we własnej kancelarii. Mama знаła jego marzenia – ożenić się, mieć dzieci, zostać współnikiem. Mógł żartować z przyjaciółmi, rozprawiać o tym, że nie chce dzieci i że uwielbia swoje samotne życie, ale mama nigdy by nie pozwoliła, żeby kłamał jej w żywe oczy. Zbyt dobrze go znała.

Mógł jej powiedzieć wszystko. Oprócz tego, że być może nie zostanie współnikiem.

Podarował jej więc coś, co z pewnością przyprawi ją o szybsze bicie serca.

– Ściągnąłem aplikacje randkowe.

Twarz mamy pojaśniała.

– Naprawdę? Które? Ella z gimnastyki mówi, że jej syn najbardziej lubi tę, która nazywa się jak ta pszczoła...

– Bumble. Wydaje mi się, że ją też mam.

Zarejestrował się w czterech aplikacjach. Stworzenie profili zajęło mu wczoraj wiele godzin, ale w końcu była to inwestycja w przyszłość, która wymagała skrupulatności.

– Jesteś pewien, że nie masz dzisiaj randki? – zapytała mama, a jej oczy błyszczały radością.

– To zajmie trochę więcej czasu – wyjaśnił. Chociaż przez cały dzień dostawał dopasowania.

Musiał nawet wyciszyć powiadomienia, żeby skupić się na pracy.

Prawdę mówiąc, trochę się denerwował, sprawdzając je. Poznał Monicę na portalu randkowym sześć lat temu. To był jeden z tych portali, które reklamowały, że kojarzą małżeństwa. Trzeba było odpowiedzieć na dziesiątki szczegółowych pytań, dzięki którym można było znaleźć idealnego partnera.

– Tylko wstaw dobre zdjęcie – poleciła mama. – Ella mówi, że zdjęcie jest najważniejsze.

– Mam nadzieję na nieco głębszy związek niż oparty na wyglądzie – zakpił Connor. – Na tyle głęboki, by mieć pewność, że dziewczyna jest ze mną również dla pieniędzy.

– Ty sobie żartujesz, ale miłość nie jest ślepa – odgryzła się mama. – Nie obchodzi mnie, w ilu programach na Netflixie twierdzą coś innego. Ludzie najpierw zakochują się oczami, a dopiero *później* sercem. Masz przewagę, bo jesteś nie tylko błyskotliwy, miły i przebojowy, ale też *przystojny*. Urodziłam najpiękniejszego chłopca w Vermontie i teraz nadszedł czas, by zrobić z tego użytek. Tylko nie wygadaj się od razu, że jesteś pracoholikiem.

– Zastanowię się nad tym – obiecał Connor.

– A jakich cech szukasz u dziewczyny? – zapytała, pochylając się na krześle. – Musi być oczywiście bystra. I zabawna. Jesteś zdecydowanie zbyt wielkim mądrałą, żeby umawiać się z kimś, kto nie ma poczucia humoru.

– Wielkie dzięki.

– I ładna, żebym miała śliczne wnuki.

– Mamo.

– I powinna lubić się bawić. – Matka pogroziła mu palcem. – Potrzebujesz w życiu więcej rozrywki. Ciężko pracujesz, ostro balujesz. Zapomniałeś o tej drugiej części. Potrzebujesz kogoś, kto cię porwie do zabawy.

Connor miał ochotę dyskutować z tym poglądem, ale ją stłumił. *Zabawa* była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Jego ojciec opuścił rodzinę, gdy zrobiło się zbyt trudno. Monica uciekła, gdy sytuacja zaczęła nabierać konkretnych kształtów. A on potrzebował stabilizacji. Niezawodności. Zaufania. Kogoś, kto pozostanie z nim bez względu na wszystko.

Kogoś takiego jak kobieta siedząca po przeciwnej stronie stołu, która nakryła dłonią jego dłoń.

Matka musiała wyczuć jego zdenerwowanie, bo uśmiechnęła się i ścisnęła jego rękę.

– Te wszystkie kobiety na pewno cię pokochają. Nie może być inaczej.

Nie przypomniał jej, że jest stronnica. Na pewno nie wygrałby sporu tym argumentem.

Mitch, który jak zwykle wykazał się świetnym wyczuciem czasu, zaprosił ich na kolację, więc na szczęście nie musieli dłużej drażnić tematu jego życia miłosnego i nie wskrzesili go aż do chwili, gdy godzinę później mama westchnęła radośnie.

– Tak się cieszę, że wracasz do gry.

– No i właśnie w związku z tym...

Connor wstał, żeby odnieść swój talerz, ale Mitch wyjął mu go z rąk.

– Idź już – ponaglił go. – Widziałem, że patrzysz na zegarek. Posprzątam.

Connor pomyślał, że Mitch jest bardzo uprzejmy, więc mu podziękował bez zbędnych dyskusji. Będzie miał szczęście, jeśli zdoła dotrzeć do domu, zanim przyjdzie Deenie.

Mitch zerknął znacząco na matkę Connora, a ona wsunęła dłoń pod ramię syna i odprowadziła go do drzwi. Potem go puściła, żeby mógł otulić się luksusowym ciepłym ciemnego dwurzędowego płaszczem z kaszmiru. Kiedy dostał pracę w kancelarii, zaszalał i wydał na niego kupę pieniędzy, ale uwielbiał go nosić i za każdym razem, gdy go wkładał, czuł się cudownie.

Mama pogładziła klapy płaszcz, a Connor nie potrafił stwierdzić, czy podziwiał tkaninę, czy może upewnia się, że jeszcze jest przy niej.

– Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy – mruknęła, nie patrząc mu w oczy. Nie spuszczała wzroku ze swojej dłoni gładzącej miękkiego materiału.

Położył rękę na jej dłoni i unieruchomił ją.

– Jestem.

Mama spojrzała na niego, a jej wygięte w łuk brwi mówiły, jak bardzo mu nie wierzy.

– Będę – obiecał, a potem mrugnął. – Mam pewien plan.

– Cóż, a więc nie mam powodu do zmartwienia. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Nie pozwól, żeby Monica...

– Mamo. – Connor nigdy o tym nie rozmawiał. Nawet z nią.

– W porządku – westchnęła. – Idź na spotkanie z tym swoim trenerem psów. A kiedy skończycie,

zabierz się do aplikacji randkowych. Nie możesz pozwolić, żeby dama czekała.

– To tak nie działa. Nikt na mnie nie czeka. Jeszcze się nie skontaktowałem z żadną dziewczyną.

– A kto mówi o dziewczynach? Mam na myśli siebie. Chcę mieć wnuki, dopóki jeszcze jestem młodą babcią na fleku. Chcę je zabierać na narty wodne, nie martwiąc się, że złamię biodro, więc bierz się do roboty, młody człowieku.

– Tak jest.

Matka przytuliła go po raz ostatni, a potem schylił głowę i wyszedł, mijając ohydny świstaka. Nie zwracał sobie głowy pytaniem, czy obrzydliwiec zobaczył swój cień. Uruchomił samochód i z zadowoleniem oblizał usta, wspominając kolację u mamy, a potem spojrzął na zegar na wyświetlaczu i zaklął.

Na pewno się spóźni. Miał nieodparte przeczucie, że Deenie Mitchell nigdy mu tego nie daruje.

Pine Hollow było niewielkim miasteczkiem, które szczyciło się różnymi udogodnieniami dla pieszych, co oznaczało ograniczenia prędkości i *miliony* znaków stopu między domem matki a jego własnym. Gdy dotarł do wiejskiej drogi, z której roztaczały się przepiękne widoki na góry, a która prowadziła do ośrodka narciarskiego i jego domu, wcisnął gaz do dechy, pokonując SUV-em znajome zakręty.

Na podjeździe nie było jeszcze bladoniebieskiego garbusa, więc w myślach podziękował Deenie, że spóźniła się jeszcze bardziej niż on. Wjechał do garażu i wtedy dopadło go rozdrażnienie. Spóźniła się, prawdopodobnie celowo, ponieważ tak bardzo mu zależało, żeby była punktualna.

Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi garażu i wszedł szybko do domu – zamierzał sprawić wrażenie, że obaj z Maxem czekają w drzwiach, odliczając mijające minuty.

Ale gdy tylko wszedł do wiatrołapu, który łączył garaż z resztą domu, wiedział, że coś jest bardzo nie w porządku.

Drzwi były otwarte.

Max zniknął.

Drzwi prowadzące do wnętrza domu nie wyglądały na zniszczone, ale rama była lekko wypaczona, jakby ktoś na nią napierał, dopóki zasuwka nie ustąpiła.

A po drugiej stronie drzwi... cisza.

W przypadku psów i dzieci cisza zawsze jest złym znakiem.

Connor ruszył w kierunku tej złowieszczej ciszy, przygotowując się na kolejną eksplozję kanapy, ale salon był nienaruszony i nieskazitelnie czysty. Kuchnia – jego najukochańsze pomieszczenie w całym domu – również była nietknięta.

Z wyjątkiem drzwi do spiżarni, które stały otworem.

Connor podszedł ostrożnie, spodziewając się znaleźć Maximusa w stercie psiej karmy, ale gdy wszedł do środka, zobaczył, że pojemniki, w których przechowywał jedzenie dla psa, stoją, jak stały.

Wszystko było w porządku, tylko Maximus leżał na podłodze i powarkując nad czymś z upodobaniem, kiwał głową. Jakiś płyn tryskał we wszystkich kierunkach. Connor poczuł zapach drożdży, zanim zobaczył sześciopak zaklinowany w paszczy wilczarza.

Piwo.

Connor wolał wino, ale pił piwo w trakcie pokerowych wieczorków z kumplami i zawsze miał pod ręką kilka sześciopaków. Parę dni temu uzupełnił zapasy, magazynując sześciopaki na podłodze w spiżarni.

Gdzie znalazł je Max.

Patrzył na swojego psa, całkowicie zagubiony, nie wiedząc, co począć z pijanym wilczarzem. I wtedy odezwał się dzwonek u drzwi.

ROZDZIAŁ 6



Dom Connora był okropny.

Deenie przystanęła w progu liczącej kilka tysięcy stóp kwadratowych rezydencji i spojrzała na pretensjonalnie olśniewające drzwi. Nie miały normalnych rozmiarów. Oczywiście, że nie. Connor musiał mieć ponadwymiarowe drewniane wrota, z materiału pochodzącego prawdopodobnie z wiekowych drzew, przydymione, pasujące do domu ze szkła i wypolerowane na błysk.

Wsunęła ręce do kieszeni – była rozdrażniona i trochę zaskoczona, że Connor nie otworzył, nim zdążyła zapukać. Była spóźniona, więc spodziewała się, że będzie czekał w progu, ostentacyjnie spoglądając na swój wielki zegarek.

Powinna wiedzieć, że Connor jest małostkowy. Prawdopodobnie chciał, żeby odczekała każdą minutę, którą musiał na nią stracić.

Naprawdę chciała być punktualna. Nastawiła sobie alarm w telefonie – to był odpowiedni moment, by zademonstrować swoją dojrzałość i pokazać Connorowi język.

Chciała zdążyć, ale tego popołudnia pojechała na osiedle emerytów, by odwiedzić Bitty w ośrodku dla osób z demencją... i to nie był dobry dzień.

Jedna z pielęgniarek wyjaśniła jej to kojącym i łagodnym tonem. „Skarbie, strasznie mi przykro. To nie jest jej najlepszy dzień”.

Deenie i tak chciała zobaczyć się z Bitty i poczytać jej ulubione wiersze. Z jednej strony wierzyła, że Bitty ją rozpozna, że w jakiś magiczny sposób się ożywi i że będą mogły porozmawiać tak jak kiedyś. Śmiać się, aż rozboleją je brzuchy. Nawet teraz, kiedy wydawało się, że złe dni zaczynają przeważać nad dobrymi.

Ale cud się nie zdarzył. Nie dzisiaj. To nie był dobry dzień.

Deenie próbowała poczytać Bitty, ale ciocię wyraźnie to denerwowało. Próbowwała z nią porozmawiać o Dniu Świstaka, ale Bitty wyglądała na zagubioną. A więc siedziały w milczeniu, oglądały zachód słońca, aż ciocia powiedziała: „Nie znam cię. I chyba cię nie lubię”.

Deenie wiedziała, że to nie Bitty, że przemawia przez nią choroba. Babcia cioteczna była jedyną osobą z rodziny, której zawsze mogła być pewna bez względu na wszystko i która kochała ją taką, jaka była.

Ale chociaż rozumiała, że to wyłącznie podszepty alzheimera, była zdruzgotana. Nadal jednak się uśmiechała i nie dała się zbić z tropu.

– W porządku, ciociu. Ja bardzo cię lubię.

Bitty marszczyła brwi, usiłując odgadnąć, skąd zna Deenie, a dziewczyna zachowywała kompletny spokój, by nie zakłócać magicznej pracy synaps, które mogłyby uruchomić mózg cioci. Nie zareagowała nawet wtedy, gdy odezwała się przypominajka w jej smartfonie. Trwała w bezruchu, aż obrażona Bitty w końcu odwróciła wzrok – dopiero wtedy się z nią pożegnała.

No więc tak, była spóźniona – osiedle emerytów znajdowało się po przeciwnej stronie miasteczka, daleko od bazy narciarskiej i groteskowo okazałego górskiego domu Connora. Ale czy jej spóźnienie naprawdę usprawiedliwiałoby to, że przetrzymywał ją na ganku?

– Connor, daj spokój! Dopiąłeś swego! – zawołała i ponownie nacisnęła dzwonek.

Zanim gong zdążył wybrzmieć, drzwi się otworzyły i w progu stanął Connor – przyodziany w markowy płaszcz, designerskie buty i wyraz twarzy, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała.

I ani śladu Maxa.

– Wybierasz się dokądś? – zapytała, taksując wzrokiem płaszcz, który wyglądał na wyjątkowo miękki. Z całej siły powstrzymywała się, żeby nie sprawdzić, jak bardzo.

– Wejdz. – Connor otworzył szeroko drzwi i spojrzał za siebie. – Coś się stało.

Deenie ostrożnie przekroczyła próg, spodziewając się, że Maximus wyskoczy na nią jak diabełek z pudełka, ale w domu panowała upiorna cisza. Connor pomógł Deenie zdjąć płaszcz i dopiero gdy spojrziała na niego znacząco, zorientował się, że sam ma jeszcze na sobie wierzchnie okrycie. Skrzywił się, szybko pozbył się płaszcza i powiesił go na wieszaku, zanim zdążyła się przekonać, czy faktycznie jest taki miękki, jak myślała.

- Nie chcę, żebyś pomyślała, że to zawsze tak wygląda.
- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

Posłał jej gniewne spojrzenie. Cóż, może ten żart nie należał do najlepszych, ale z niewiadomych powodów była zdenerwowana wizytą w jego domu. Bogactwo kipiące z każdego kąta wywoływało wrażenie, że patrzą na nią tysiące surowych, taksujących spojrzeń. Bywała już w takich luksusowych rezydencjach. Nawet dorastała w podobnym miejscu.

I nigdy nie czuła się onieśmielona, gdy w takich okazałych domach urzędzała przyjęcia z królewną lub przymiarki sukienek – rodzicom małych dziewczynek zależało, żeby dla ich córek były to niezapomniane przeżycia – ale tutaj czuła się niekomfortowo, być może dlatego, że dom należał do Connora.

Sklepiony sufit wysoko ponad głową zdobiły belki i ciemne, błyszczące panele. Od strzelistych okien w holu, przez pomieszczenia, które jej matka zwykła nazywać gościnnymi – zaliczały się do nich jadalnia, pokój dla gości i barek – ciągnęła się drewniana podłoga. Była nią wyłożona cała otwarta przestrzeń dzienna wraz z kuchnią i mniej oficjalną częścią wypoczynkową.

Dom był przestronny i przewiewny.

Schody prowadzące na piętro zdobiły balustrady z czarnego kutego żelaza. Z tyłu domu było więcej drzwi prowadzących do nieopisanego wręcz luksusu, ale Deenie przede wszystkim zwróciła uwagę na okna: wielkie, zapierające dech panoramiczne od podłogi po sufit, z oszałamiającym widokiem na góry, dominowały w salonie.

Dom był wyposażony we wszystkie atrybuty luksusu – liczne kominki, w tym taki z kominem z kamienia sięgającym sufitu, i kuchnię będącą prawdziwym dziełem sztuki, z wyposażeniem, które prawdopodobnie kosztowało więcej, niż Deenie zarabiała w ciągu roku.

Lecz Connor zdawał się nie zwracać na to wszystko uwagi i poszedł prosto tam.

– Byłem na kolacji u mamy – powiedział, wchodząc przez uchylone drzwi. – Zostawiłem Maxa w wiatrołapie. Zawsze tak robię, gdy muszę wyjść. Nigdy nie było żadnych problemów. Ma tam posłanie i zabawki do gryzienia.

– Zakładam, że tym razem to nie wystarczyło.

– Nie wystarczyło – przyznał Connor. – Max sforsował drzwi, dostał się do spiżarni i...

Connor machnął ręką w stronę pobjowiska, a widok zdemolowanej spiżarni sprawił, że Deenie nie była w stanie opanować nerwowego chichotu.

Max leżał w nonszalanckiej pozie w kałuży piwa, otoczony pokiereszowanymi aluminiowymi puszkami, które zmasakrował swymi potężnymi szczękami. Alkohol zmierzwił mu sierść i ściekał z pyska spienioną strużką. Maximus zwrócił ku nim kudłaty, mokry łeb i rozdziawił paszczę w szczęśliwym psim uśmiechu.

– Wygląda na to, że urządził tu dziką imprezę – powiedziała z podziwem Deenie i roześmiała się.

– To wcale nie jest śmieszne.

– A właśnie że jest.

Pełne usta Connora nawet nie drgnęły.

– Czy to mu nie zaszkodzi? Jeszcze nie zdążyłem mu tego zabrać.

Ostrożnie wszedł do spiżarni, a Deenie musiała oprzeć się impulsowi, żeby nie powstrzymać go siłą i obronić przed piwnym rozpryskiem, z którym drogie, eleganckie buty i designerskie ciuchy nie miały większych szans. Jedna puszka leżała samotnie w kącie, niczym spryskiwacz wyrzucając w powietrze wąski strumyczek piwa.

– Chyba będą nam potrzebne ręczniki. No i musimy wykapać Maximusa, jeśli nie chcesz, żeby przez kolejny tydzień zalatywał browarem. Przygotuj wszystko do kąpieli, a ja pozbieram puszki, sprawdzę, czy są całe i czy przypadkiem nie połknął kawałka aluminium.

Connor zbladł jak ściana.

– To mogłoby mu podziurawić wnętrzności.

– Myślę, że niczego nie połknął. A gdyby się okazało, że jednak tak, natychmiast zawieziemy go do weterynarza. W Burlington jest oddział ratunkowy czynny całą dobę.

– Ale to niemal godzina drogi.

– Spokojnie – powiedziała łagodnie Deenie. – Nie ma sensu wpadać w panikę, dopóki się nie dowiemy, czy brakuje jakiegoś kawałka puszek. A jeśli się okaże, że brakuje, to i tak nie ma strachu. Byłbyś zdziwiony, gdybyś wiedział, co pożerają psy. Większość tych rzeczy na szczęście bez problemu z nich wychodzi. Weź głęboki oddech. Jeśli mam do wyboru wizytę z Maxem u weterynarza, żeby zbadał mu bebechy, albo jazdę z tobą do szpitala, bo zaraz dostaniesz ataku paniki, zemdlejesz i rozbijesz sobie głowę, to chyba oboje wiemy, że wybiorę Maxa.

Krwawa wizja Deenie chyba w końcu wyrwała Connora ze szponów lęku, bo spojrzął na nią przytomnie i powiedział:

– W takim razie przyniosę ręczniki.

Wyszedł, a Deenie zrzuciła buty i dopiero wtedy zapuściła się w głąb spiżarni. Fioletowe legginsy i tęczowe skarpetki bez problemu wypierze, ale jej ulubione buty raczej nie wyszłyby z tego bez szwanku. Podwinęła rękawy ukochanego białego swetra – tego przetykanego błyszczącą srebrną nitką, który włożyła specjalnie dla Bitty, żeby poczuć się jak w brokatowym kostiumie. Nałożyła nawet brokat na policzki, ponieważ ciocia uwielbiała takie błyskotki, ale to nie pomogło. Nie dzisiaj.

Odsunęła od siebie przykre myśli i skupiła się na tu i teraz. Ukłękła obok Maxa i poczochnęła mu mokre uszy.

Z bliska drożdżowy zapach piwa zmieszany z ostrą wonią mokrego psa sprawił, że zaczęły jej łzawić oczy.

– W porządku, koleżko. Sprawdźmy, co tu nawyprawiałeś.

Była trochę bardziej zaniepokojona, niż okazała to Connorowi – aluminium mogło być bardzo niebezpieczne – ale gdy szybko obejrzała pysk i dźbka Maxa, nie znalazła żadnych skaleczeń ani śladów krwi. Jej wysiłki zostały nagrodzone, bo pies dokładnie oblizał jej dłonie i twarz. Potem zajęła się puszkami. Musiała odsunąć na bok wielką głowę Maxa, który próbował odzyskać jedną z nich, żeby do końca wychłęptać piwo.

Deenie znalazła osiem częściowo pogryzionych puszek i cztery, które w jakiś cudowny sposób pozostały nietknięte, chociaż Maximus zdołał je wyłuskać z opakowania, więc turlały się teraz swobodnie po spiżarni.

Pozbierała nadgryzione puszki i dokładnie je obejrzała, szukając oznak, które mogłyby świadczyć o tym, że jakieś niebezpieczne kawałki znalazły się w przewodzie pokarmowym Maximusa. Ale odkryła tylko dziury po zębach i wgniecenia. Nawet plastikowe obręcze łączące sześciopaki zdołały się oprzeć apetytowi psa.

– Jedziemy do Burlington?

Deenie spojrziała na Connora, który pojawił się w progu z naręczem ręczników, blady jak ściana ze zdenerwowania.

On naprawdę kochał tego psa.

Kiedy po raz pierwszy wykazał zainteresowanie adopcją Maximusa, próbowała mu to wyperswadować. Connor był taki drętwy, zamknięty w sobie i nie okazywał emocji. Nie mogła sobie wyobrazić, że zdobędzie się na cierpliwość w stosunku do ponadstufuntowego olbrzyma, któremu się wydawało, że jest pieskiem pokojowym. Była pewna, że Connor po tygodniu odstawi go z powrotem do schroniska.

A tymczasem on naprawdę był szczerze zmartwiony i zaniepokojony.

Deenie szybko go uspokoila:

– Myślę, że nie połknął niczego poza piwem. Możesz zadzwonić do weterynarza i zapytać, czy według niego badanie w tej sytuacji jest konieczne, ale moim zdaniem Max potrzebuje tylko kąpieli. No i musi odespać tę balangę.

Connor poczuł ogromną ulgę: nawet podwójną, bo po pierwsze z Maximusem było wszystko

w porządku, a po drugie pies nie doznał uszczerbku na zdrowiu z powodu jego niekompetencji. Zawiódł jako właściciel, ale nigdy nie brał pod uwagę, że Max będzie w stanie wydostać się z wiatrołapu. A tym bardziej że od razu dobierze się do alkoholu.

Connor skarcił wzrokiem wilczarza, który umościł się w kałuży piwa.

– Czy pies może się upić?

– Tak? – odpowiedziała Deenie, chociaż zabrzmiało to raczej jak pytanie. – Przypuszczam, że alkohol działa na psy, ale biorąc pod uwagę, ile piwa wylądowało na podłodze i w futrze, myślę, że nie wypił więcej niż jedną lub dwie puszkę. Poza tym jest przecież wielki, więc stężenie alkoholu w jego krwi powinno być względnie niskie.

– Mam kumpla, któremu wystarczą dwa piwa, żeby zalać się w trupa.

Ale Mac nie wpisywał się w żadne normy. Maximus powinien wyjść z tego bez szwanku. A może trzeba zadzwonić do Leviego i poprosić, żeby przywiózł alkomat dla jego psa. Niezupełnie w ten sposób planował spędzić wtorkowy wieczór.

Deenie wstała – legginsy na kolanach miała kompletnie przemoczone. Connor nie mógł oderwać wzroku od jej mlecznobiałej twarzy obsypanej brokatem.

– Musimy go ogarnąć. Zadzwoń do weterynarza i zapytaj, czy mamy go przywieźć.

Connor podał jej ręczniki.

– Na gorze mam więcej. Wanna w głównej łazience jest największa. Zacząłem nalewać wodę, ale miną wieki, zanim się napełni.

– Napuść nie więcej niż kilka cali, bo Max i tak wszystko rozchlapie.

– Racja. – Connor kiwnął głową, zostawił Deenie ze stertą ręczników i pomknął z powrotem na piętro. Zakręcił kran, a potem wyjął z kieszeni telefon i wpisał w wyszukiwarkę: „co zrobić, gdy pies wypije alkohol?”.

Rady z Internetu nie były szczególnie pomocne. Powinno być wszystko dobrze, ale wypatruj sygnałów ostrzegawczych. Miał przecucie, że dzisiejszej nocy nie zmruży oka, obserwując, czy Max nie jest przygnębiony, ospały, czy nie wymiotuje albo nie wpada w hipotermię. Ale jak rozpoznać hipotermię u psa? Będzie musiał zapewnić mu ciepło. Gdzieś chyba miał koc elektryczny, bo Monica ciągle marzła.

– Connor? – zawołała z dołu Deenie.

Zszedł po schodach i zobaczył, że dziewczyna przytrzymuje Maxa za obrozę na kuchennych kafelkach.

– Chyba nie zdołamy całkowicie wysuszyć mu łap. Twoja podłoga...

– Nie martw się o podłogę. Wytrę ją, jeśli się zamoczy. Powinniśmy jak najszybciej go wykapać. Poczytałem trochę w necie i dowiedziałem się, że alkohol na skórze może mu zaszkodzić.

– Nic mu nie będzie. Nawet się nie zatacza – powiedziała uspokajająco Deenie i pociągnęła psa w kierunku schodów.

Max pognał susami na górę – rzeczywiście sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego – a Connor i Deenie zagonili go do łazienki.

Ostatnim razem, gdy Connor kąpał Maxa, siłował się z nim niemal godzinę, zanim zdołał wsadzić go do wanny. A Deenie ściągnęła tylko przemoczone skarpetki, podwinęła nogawki legginsów i weszła do wanny, a Max radośnie wskoczył za nią.

– Naprawdę imponująca wanna – powiedziała, nie kryjąc podziwu. Nalała na rękę odrobinę psiego szamponu, który Connor zostawił na brzegu jacuzzi. Odsunął się, bo poczuł się bezużyteczny, ale wtedy Deenie szturchnęła łokciem butelkę i powiedziała: – Zabieraj się do roboty.

Była bardzo rzeczowa, opanowana, z nią wszystko wydawało się proste. Connor wcześniej nie zdawał sobie sprawy, ilu lekcji pokory będzie od niego wymagało posiadanie psa.

Zdjął zegarek, podwinął rękawy i namydlił ręce. Pochylił się nad wanną i zaczął szorować bok Maxa. Mógł wejść do środka, bo miejsca było wystarczająco dużo dla całej trójki, ale nadal miał na sobie buty – co z perspektywy czasu okazało się błędem. Powinien był od razu przebrać się w strój do pracy w ogrodzie, ale myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej wykapać Maxa, zanim alkohol wsiąknie mu w skórę.

– Oglądałaś *Turnera i Hoocha*? – zapytała zniecierpliwiona Deenie. – Ten film z Tomem Hanksem i psem?

– Chyba nie. To coś nowego?

– Nie, nie. Ma już ponad trzydzieści lat. Uwielbiam ten film od dzieciństwa. Tom Hanks i jego pies rozwiązują zagadki kryminalne, ale psisko jest prawdziwą złączywą. Wyłamuje drzwi i żłapie piwo...

– Myślisz, że ktoś pokazał go Maxowi? Że podrzucił mu ten pomysł?

Deenie uśmiechnęła się, wcierając szampon w ogon Maximusa.

– To całkiem możliwe. Niewiele wiemy o pierwszym roku jego życia.

– Myślę, że to raczej przypadkowa zbrodnia. Max pewnie obijał się o drzwi, jak to on, otworzył je przez przypadek, a potem natrafił na puszkę z piwem. Jestem niemal pewien, że nie zamknąłem drzwi do spiżarni.

Connorowi nie przyszło do głowy, że Max zdoła się wydostać. Myślał, że w najgorszym wypadku zdemoluje wiatrołap.

– To brzmi prawdopodobnie – przyznała Deenie. – Masz jakiś kubek? Coś, czym moglibyśmy go splukać?

– Splukać. Właśnie.

Connor wyprostował się, żeby znaleźć coś do polewania Maxa wodą, ale wilczarz potraktował to jako znak, że kąpiel dobiegła końca, i skoczył na krawędź wanny.

– Hola, Max! Zostań! – wrzasnęła Deenie i chwyciła psa, ale był zbyt śliski i już zdążył postawić jedną łapę na brzegu jacuzzi.

Prosto na przycisku uruchamiającym bicz wodny.

– Nie! – krzyknął Connor.

Ale było za późno.

Widział wszystko jak w zwolnionym tempie, ale nie zdążył nic zrobić. Max pacnął łapą przycisk, uruchomił mechanizm, a strumień wody wystrzelił całą mocą.

To zabawne: kiedy jacuzzi jest pełne, bicz przyjemnie i delikatnie masuje ciało. Ale kiedy w wannie jest kilka cali wody – zaledwie tyle, by przykryć pompę, ale nie same dysze, które znajdują się ponad linią wody – strumień wypływa jak z węża strażackiego. Woda rozpryskuje się pod dużym ciśnieniem, zalewając wszystko na swojej drodze.

Max przekreślił się na bok, jednym susem wyskoczył z wanny i umknął przed wodnym biczem.

Deenie nie miała tyle szczęścia.

Strumień z głównej dyszy uderzył ją prosto w klatkę piersiową.

Zapiszczała, gdy woda oblewała ją od stóp do głów. Szczekanie Maxa odbijało się echem od wyłożonych kafelkami ścian. Connor niemal potknął się o psa, rzucając się w stronę wanny. Uderzył dłonią w przycisk i przerwał dopływ wody, ale szkoda już się dokonała.

Deenie była kompletnie przemoczona, a różowe pasma włosów oblepiały jej policzki.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Spojrzała mu prosto w oczy, z jej brody cały czas ściekała woda.

– A więc kąpiesz psa w jacuzzi. Jakżeby inaczej.

Connor drgnął, starając się nie patrzeć na krągłości zaznaczające się pod przylegającym do ciała swetrem.

– Chyba powinienem o tym wspomnieć.

– Chyba tak – zgodziła się.

Connor podniósł ręce na znak pokoju.

– Podać ci ręcznik?

ROZDZIAŁ 7



Po dwudziestu minutach wszystko wróciło do normy: Connor wytarł piwne jezioro w spiżarni, posprzątał łazienkę i zadzwonił do weterynarza, który odebrał, chociaż było już po godzinach.

Ubrania Deenie kłębiły się w pralce razem z przesiąkniętymi piwem ręcznikami, a Maximus był na tyle czysty, na ile udało im się go umyć. Odór piwa i mokrego psa ustąpił przyjemniejszemu nieco zapachowi mokrego psa i psiego szamponu. Max był już prawie suchy i odpoczywał na kanapie. Connor wypatrywał u niego oznak apatii i nawet okrył go kocem, ale wilczarz szybko go zrzucił i zaczął go kotłować, bawiąc się w najlepsze. Wydawał się kompletnie nieprzejęty całym incydentem.

Czego nie można było powiedzieć o Deenie.

W jednej z łazienek dla gości zmywała z siebie piwo i psi szampon.

Connor dał jej ubrania na zmianę – najlepsze, jakie mógł znaleźć, biorąc pod uwagę, że była co najmniej sześć cali niższa od niego i tak szczupła, że nawet jego spodnie od dresu prawdopodobnie spadną jej z bioder. Nie żeby jakoś specjalnie myślał o tych biodrach. Ani o gibkim ciele, które się objawiło, gdy była mokra. Jak na kobietę, która robiła wszystko, żeby ubierać się jak dziecko bawiące się w przebieranki, miała całkiem dorosłe kształty.

Connor już wcześniej zwrócił uwagę na jej zjawiskowe nogi. Cały czas biegła przecież w obcisłych, neonowych legginsach, a ich przyciągający wzrok kolor zmuszał wręcz ludzi, żeby gapili się na nogi właścicielki. Ale góra była zakryta wielkimi swetrami, zwojami chust i warstwami niesamowitych tkanin.

Aż do dzisiaj.

Nie zamierzał pożerać jej wzrokiem. Ich relacja była czysto służbowa i chciał, żeby tak pozostało.

Connor starannie uporządkował dokumenty, które wydrukował po południu i zostawił dla Deenie na kuchennej wyspie. Nic nie przebiegło tak, jak zaplanował, ale gdy tylko dziewczyna zejdzie na dół, będą mogli wrócić na właściwy tor.

A potem spojrzął w górę i zobaczył jakieś jedenaście mil gołych nóg, które schodziły po schodach, wystając beczelnie spod jego bluzy z nadrukiem Uniwersytetu Yale.

Zatkało go i nie mógł przestać się gapić.

Deenie tarosiła nerwowo bluzę – nie była pewna, czy powinna ją naciągnąć bardziej na nogi, czy wręcz przeciwnie. Miała na sobie treningowe szorty Connora, ale bluza była tak długa, że całkowicie je zakrywała. Powinna była wybrać spodnie od piżamy, chociaż biorąc pod uwagę, że spadały jej z bioder, nie mogła mieć pewności, że uda jej się zejść po schodach, nie świecąc gołymi nogami.

Connor gapił się dalej.

Deenie puściła rąbek bluzy i przeszła do ofensywy, tak jak robiła zawsze, gdy czuła się niekomfortowo. Odeprzeć atak. Odwrócić uwagę.

– Zaplanowałaś to wszystko, żeby zmusić mnie do włożenia twojej bluzy z Yale, prawda?

Uniósł brwi i przynajmniej przestał się gapić na jej nogi.

– Masz jakiś problem z moją Alma Mater?

– Mam problem ze snobami.

Kuchnia Connora była nieskazitelnie czysta, ale prawdopodobnie i tak wszystko było tu tylko na pokaz. Dyndające miedziane garnki chyba nigdy nie były używane. Jedyнным znakiem, że kuchnia jest użytkowana, była sterta ulotek głoszących: „Benjamin West – nasz kandydat na burmistrza. Najlepszy wybór dla Pine Hollow”.

– Jestem snobem, bo studiowałam na dobrej uczelni? – W głosie Connora pojawił się pierwszy wyraźny dowód irytacji. – Chociaż musiałem walczyć o stypendium i pomoc finansową?

Może to głupota, ale Deenie się nie podobało, że w jego obecności zawsze czuje się gorsza, zdeklasowana, przyjmuje postawę obronną. Za bardzo przypominał ludzi, którzy jej nie akceptowali, bo nie miała pracy z planem emerytalnym i prawem do zakupu akcji. Najlepszą obroną jest atak, więc kiedy znajdowała się w towarzystwie takich osób, zazwyczaj od razu na nie naskakiwała – rzucała im w twarz to, co według niej uznawali za jej wady.

Ale chyba lepiej nie sprzeciwiać się facetowi z książeczką czekową.

Deenie kiwnęła głową w stronę schludnie ułożonego stosiku papierów, które Connor nerwowo poprawiał długimi palcami.

– Co to jest? – zapytała.

Spojrzał na dokumenty, jakby zaskoczony, że trzyma je w ręku. Otrząsnął się z zadumy, lekko wyprostował, ale dziewczyna nie zauważyła, żeby się odprężył; był sztywny jak zawsze.

– Przygotowałem umowę wstępną.

Deenie zamrugnęła i zapytała:

– I co z nią?

Słyszała go dobrze, ale chyba nie mówił poważnie?

– To tylko kilka najważniejszych kwestii – wyjaśnił, jakby posługiwanie się żargonem prawniczym było najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Podzielił papiery na dwie kupki i przesunął jedną w stronę Deenie, a drugą zachował dla siebie. – Terminy, płatności, organizacja, gwarancje.

– Wygląda na to, że nie wierzysz w improwizację, prawda?

Connor ostentacyjnie zignorował pytanie.

– Na ostatniej stronie znajdziesz instrukcje: kod do drzwi i PIN do alarmu. Najlepiej jeśli jak najszybciej je zapamiętasz. Ben zna oba kody, jest upoważniony w biurze ochrony, więc jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, a mnie nie będzie, możesz do niego dzwonić.

– Nie zamierzasz tu być? Myślałam, że pracujesz z domu?

– Przeważnie tak, ale teraz będę musiał częściej bywać w biurze i dużo wyjeżdżać służbowo. A nie wiem, jak długo potrwa szkolenie Maxa. – Connor przekartkował umowę. – Nie wpisałem daty zakończenia umowy, kiedy ustalałem grafik, ale jeśli będziesz już wiedziała, że Max jest prawie wyszkolony, dasz mi znać, to ją uzupełnię.

– Potrwa tak długo, jak będzie trzeba. Niektóre psy uczą się szybciej niż inne.

Connor nieco spochmurniał.

– Powinniśmy raczej założyć, że to nie pójdzie zbyt szybko, bo Max może się okazać... sporym wyzwaniem. – Przez cały czas wpatrywał się w kartki, które trzymał w rękach. – Ustaliłem harmonogram płatności: część przy podpisaniu umowy, a reszta po zakończeniu szkolenia, przy czym kwota będzie zależała od terminu sfinalizowania umowy. Jeśli wolisz płatności w ratach tygodniowych, możemy renegocjować. Wszystkie dodatkowe zajęcia z Maxem, spacerzy czy obowiązki związane z opieką nad nim, a wykraczające poza szkolenie, zostały wyszczególnione w części C. Nie wiedziałem, jaka jest twoja stawka, więc sprawdziłem w Internecie, jak to wygląda w naszym regionie, ale jeśli uważasz, że te kwoty są nie do przyjęcia, albo sądzisz, że mogą się pojawić jakieś dodatkowe sprawy związane ze szkoleniem Maxa, możemy zrewidować tę część umowy.

Deenie przekartkowała dokument, ale widziała wszystko jak przez mgłę.

– Żartujesz? To ma być jakiś kawał?

Connor oderwał wzrok od umowy i spojrzał na nią, groźnie marszcząc brwi. Jeśli miałyby być całkowicie szczerą, to ta prawnicza aura, która go otaczała – ten wyraz totalnego skupienia i absolutnej kompetencji – była poniekąd seksowna, ale jednocześnie miała ochotę jak najszybciej stamtąd uciec.

Connor wskazał na część C.

– Najlepiej będzie, jeśli od razu to wyjaśnimy. Nie lubię nieporozumień, zwłaszcza gdy można ich uniknąć dzięki konkretnym ustaleniom i zrozumieniu obopólnych oczekiwań.

Deenie stała boso w kuchni Connora, w jego bluzie z Yale i z mokrymi po prysznicu włosami, a on nadal uważał, że w życiu wszystko należy zaplanować za pomocą precyzyjnej umowy prawnej.

– Nie mogę szkolić Maximusa, musząc się martwić, żeby nie złamać żadnego paragrafu twojej umowy. Czasem życie posyła podkręcone piłki. I wtedy musisz odpowiednio zareagować.

Connor ponownie przeniósł wzrok na umowę.

– Opracowałem również część dotyczącą nieprzewidzianych okoliczności.

– No właśnie. Rzecz w tym, że nieprzewidzianych okoliczności nie da się przewidzieć, co wynika z samego sformułowania.

– Ale przecież możemy się do tego przygotować. Zapisałem okoliczności łagodzące dotyczące treningów, które nie mogły się odbyć z powodu jakiejś katastrofy, choroby, żałoby...

– Connor. – Deenie wypowiedziała jego imię i na chwilę zamilkła, a potem przesunęła w jego stronę rozsypane kartki. – Ja tego nie podpiszę.

– Możemy negocjować ten harmonogram. Powiedziałaś, że nie lubisz konfliktów, ale jeśli odpowiadają ci inne daty i ustalenia...

– Powiedziałam też, że nie uznaję *kalendarza*. A nie że nie mam własnego życia i że możesz je układać według swojego widzimisię.

– Nie upieram się przy tych terminach.

– Nie chcę żadnych terminów! – powiedziała to odrobinę zbyt głośno, więc słowa odbiły się echem od absurdalnie wysokiego sufitu. – W tej chwili nie jestem pewna, czy w ogóle chcę się tym zająć.

Na twarzy Connora pojawił się grymas paniki.

– Ale przecież się zgodziłaś...

– Trenować Maxa. A nie podpisywać umowy własną krwią i drzeć przed karą z powodu zawałonego terminu.

Connor odetchnął z ulgą, której towarzyszyła tak protekcjonalna pobłażliwość, iż Deenie była zaskoczona, że nie pogłaskał jej po głowie.

– Zapewniam cię, że obędzie się bez krwi.

Gdyby znalazła cokolwiek na tym wymuskany blacie, rzuciłaby mu to prosto w twarz. Na przykład zgniłego pomidora.

Kilka lat temu na Jarmarku Renesansowym zrobiła takie pomidorowe show, za bardzo wczuwając się w rolę w sztuce Szekspira ku uciesze publiczności i unikając płodów rolnych, którymi widzowie z radością się jej odwzajemniali. Nadal pamiętała tamten zapach. I wilgotne plaśnięcia wydawane przez rozkwaszone pomidory. Jakżeby się cieszyła, gdyby mogła cisnąć jednym w Connora...

– Deenie?

– Chwila. Właśnie obrzucałam cię w myślach pomidorami.

Jego twarz znowu przybrała pobłażliwy wyraz, który z pewnością miał być dla niej zachętą.

– Deenie. – Rany, jaki cierpliwy. – Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

– Ale ty mnie nie słuchasz. Nie zrobię tego. – Dziewczyna machnęła ręką, wskazując kartki, które Connor znowu poukładał w dwa schludne stosiki. – Harmonogramy, umowy i zobowiązania. – Takie właśnie było jej cholerne dzieciństwo. Umowy określające zakres prac domowych. Umowy co do ocen w szkole. Jej rodzice mieli obsesję na punkcie dotrzymywania słowa. Z pewnością pokochaliby Connora.

Ale nie musiała już dłużej żyć według tych zasad. Była dorosła – nieważne, że rodzeństwo z niej drwiło, gdy tak o sobie mówiła.

Zbliżała się do trzydziestki, i całe szczęście, a jedyną osobą na świecie, której cokolwiek zawdzięczała, była ciocia Bitty. Babcia cioteczna, którą rodzice Deenie zawsze uznawali za szaloną. Jedyna kobieta, która zawsze ją zachęcała, by podążała za głosem serca, i która postanowiła, że ufunduje dla Deenie „stypendium”, kiedy jej rodzice orzekli, że studiowanie teatru dziecięcego jest kompletnie bezsensowne i niepraktyczne.

Dziewczyna wysunęła dolną szczękę na znak zdecydowania.

– Nie będę się trzymała twojego harmonogramu. Mam ciocię w domu opieki, która wymaga stałej pomocy, a ja jestem jej jedynym kontaktem w razie nagłego wypadku. Muszę z nią być, kiedy mnie potrzebuje. I szczerze mówiąc, Connor, to wszystko naprawdę jest niepotrzebne. Będę przychodzić, trenować Maxa i postaram się nie wchodzić ci w drogę, ale nie chcę, żebyś mnie obarczał tym całym gównem, bo się spóźniłam albo przyszedłam za wcześnie.

– A ja nie mogę pozwolić, żebyś zrezygnowała, kiedy będzie ci to pasowało. Mam spotkania,

zobowiązania towarzyskie... No i nie chcę zostać z tym wszystkim sam.

– Jasne. Rozumiem.

Deenie splonęła rumieńcem, bo uświadomiła sobie, że nawet taki nadęty snob jak Connor może mieć życie towarzyskie. Prawdopodobnie kobiety ustawiały się w kolejce, żeby zaliczyć z nim randkę. Te kości policzkowe, oszałamiające dołeczki i piekielnie długie rzęsy. Nie wspominając o silnie zarysowanej szczęce i niedorzecznie muskularnych i twardych ramionach. Ten facet był *zachwycający*. Mimo osobowości twardej jak gład. To nie było do końca sprawiedliwe. Mógłby czasem być choć trochę zabawny. A nie wiecznie... taki drętwy i nieugięty.

– To może najpierw wyślę ci SMS-a – zaproponowała, szukając rozsądnego rozwiązania.

– Potwierdzą, czy mogę wpaść.

– A więc kiedy znajdziesz czas, żeby się u mnie pojawić, będę musiał wszystko rzucić? Potwierdzisz, że akurat ci pasuje, zamiast przychodzić zgodnie z planem, kiedy ja będę na to przygotowany.

– Te dwie sekundy, które poświęcisz na wstawienie „kciuka w górę” albo „kciuka w dół”, na pewno cię nie zabiją. To się nazywa kompromis.

– Świetnie. – Connor zacisnął swoje idealne, kwadratowe szczęki. – Ale żadnego wpadania w środku nocy.

– Myślę, że mogę z tym żyć. Umówmy się, że nie będę przychodzić przed ósmą rano ani po dziewiątej wieczorem. Co ty na to?

– Brzmi rozsądnie.

Connor spojrział tęsknie na umowę – wyraźnie miał ochotę znowu w niej pogrzebać.

Deenie chciała już wyjść, by nacieszyć się zwycięstwem, ale tylko westchnęła, ustępując Connorowi.

– Pokaż mi tę część C.

Zanim jej ubrania zdążyły wyschnąć, znaleźli rozsądny kompromis. Dziewczyna przez cały czas przewracała oczami, rzucając uwagi o marnowaniu czasu, ale Connor był tym bardziej skoncentrowany, im więcej notatek udało mu się sporządzić na marginesie dokumentu.

Dzięki temu mógł się skupić na czymś innym niż jej nogi.

– Skoryguję wszystko i zostawię dwa poprawione egzemplarze, żebyś mogła je następnym razem podpisać – powiedział i nawet nie podniósł wzroku, gdy usłyszał, że Deenie wraca do kuchni przebrana w swoje wysuszone ubrania. – Jeśli mnie nie będzie, nie zapomnij podpisać obu kopii. Potem je kontrasygnuj i będziesz mogła wziąć jeden egzemplarz.

– Szczęściara ze mnie. – Głos Deenie ociekał sarkazmem.

Formalnie rzecz biorąc, oboje powinni od razu podpisać umowę, lecz Connor wiedział, że w tej chwili lepiej nie igrać z losem. Spojrzął na Deenie i na poziomie komórkowym odetchnął z ulgą, że dziewczyna nie ma już na sobie jego ubrań.

To było dla niego zbyt intymne przeżycie – patrzył, jak idzie ku niemu w jego znoszonej bluzie ze studiów, jak stoi przy wyspie kuchennej, eksponując długie nogi, choć tak naprawdę wcale ich nie widział, bo skryły się za blatem. Zajął więc strategiczną pozycję w miejscu, z którego nie mógł rzucać ukradkowych spojrzeń.

Niestety nie był w stanie zapomnieć, jak owe nogi wyglądają. To było przekleństwo jego umysłu. Miał pamięć fotograficzną, co na studiach dawało mu wielką przewagę, bo potrafił zapamiętywać sterty tekstów prawniczych i akt procesowych, ale kiedy zależało mu, by o czymś zapomnieć, miał wrażenie, że wspomnienie wryło mu się w mózg.

Tak było z wyrazem twarzy matki, gdy mówiła mu, że ojciec już nigdy nie wróci. I ze słowami, które zapisała Monica na kartce samoprzylepnej, odwołując ślub. Zamaszyste zakrętasz jej odręcznego pisma.

Doskonała pamięć czasem naprawdę jest do bani, bo niesie dręczące wspomnienia, przed którymi nie da się uciec. Connor niemal zazdrościł Maximusowi jego oczywistej amnezji: pies był mistrzem w zapominaniu komend i na drugi dzień już niczego nie pamiętał, za to zawsze wydawało się, że

znakomicie się bawi. Może na tym polegał sekret Maxa, który potrafił żyć chwilą i cieszyć się życiem. Nie pamiętał swoich błędów, więc nie miał czego żałować.

Deenie była taka sama. Zawsze żyła chwilą.

Tymczasem Connor nie potrafił *przestać* pamiętać. Dlatego trochę jej zazdrościł.

– Dziękuję, że przyszaś – powiedział kurtuazyjnie, gdy odprowadzał ją do drzwi. Obserwował, jak wkłada buty i wyciąga z kieszeni płaszcz wściekle różowe nauszniki.

Ciągle miała na twarzy brokat. Connor nie miał pojęcia, jakim cudem przetrwał bicze jacuzzi i prysznic. Chyba że trzymał się dzięki trzem warstwom supermocnego kleju.

– Nie ma problemu – wymamrotała, chociaż nadal miała ochotę zrzucić go z najbliższego mostu. A w okolicy było mnóstwo mostów.

Deenie nie miała już na sobie jego ciuchów, ale to dziwacznie intymne uczucie nadal mu towarzyszyło. Chyba nikt wcześniej nie nosił jego ubrań, może poza Monicą. Teraz jednak, gdy o tym myślał, nie był pewien, czy faktycznie kiedyś to robiła. Ich relacja nie należała do tego typu.

To nie tak, że chciał, by kobieta podbierała mu ciuchy. Podobał mu się ten rodzaj związku, który łączył go z Monicą – ona miała swoje rzeczy, on swoje, i wszystko było starannie posegregowane i rozdzielone. Chciał po prostu znaleźć kobietę, której również odpowiadałaby taka relacja.

Właśnie dlatego zainstalował te wszystkie aplikacje randkowe. Deenie się do tego nie nadaje, przypomniał sobie, gdy uniosła rękę na pożegnanie, maszerując podjazdem w stronę swojego niepraktycznego autka. Ale przynajmniej uzgodnili szczegóły umowy, więc nie będzie musiał jej widywać za każdym razem, gdy przyjdzie do jego domu.

Max zostanie wyszkolony, Connor odzyska dawne życie, a Deenie pójdzie swoją drogą. Właśnie tego chciał. Bez względu na to, jak świetnie prezentowały się jej nogi.

ROZDZIAŁ 8



W chłodne sobotnie popołudnie Deenie zanurkowała do ciepłego wnętrza Cup, niemal wpadając na Margaret Winter, która radośnie dzierżyła swoje zamówienie na wynos.

– Deenie! – rozpromieniła się żona pani burmistrz. – Nie miałam pojęcia, że jeszcze jesteś w mieście. Jak długo zostaniesz tym razem?

– No wiesz, dopóki nie zmieni się wiatr. Nie bardzo mi wychodzi dłuższe przebywanie w jednym miejscu.

Margaret była uosobieniem słodczy i starą przyjaciółką jej babci ciotecznej, więc dziewczyna przywołała najweselszą wersję swojej osobowości, maskując prawdziwe uczucia zawadiackim uśmiechem.

– Bitty zawsze mówiła, że jedyny sposób, aby cię zatrzymać, to przykleić ci stopy do podłogi. Dlatego nie uwierzyłam, gdy usłyszałam, że zostałam na dobre i robisz interesy z Ally Gilmore.

– Nie, nie – zaprzeczyła Deenie. – Schronisko należy wyłącznie do Ally. Ja tylko będę jej pomagać, dopóki nie uruchomimy w „Kosmatych Przyjaciółkach” wszystkich usług.

Margaret otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Deenie dojrzała w jej oczach błysk współczucia i natychmiast się domyśliła, jakie będą następne pytania... Jak się miewa Bitty? Jak się trzymasz?

Odczuła niewysłowioną ulgę, gdy w restauracji rozległ się irytujący męski głos, zmuszając Margaret do milczenia.

– Lepiej, żeby nie było to pudełko z piekarni Magdy.

Deenie pospiesznie schowała paczkę za plecami, ale Mac już groźnie spoglądał na nią zza lady. Właściciel Cup słynął z łagodnego usposobienia – chyba że chodziło o Magdę i jej piekarnię.

Deenie nie była pewna, co stało się zarzewiem wojny między właścicielami dwóch najpopularniejszych lokali w Pine Hollow, wiedziała tylko, że linia frontu została nakreślona, a mieszkańcy miasta podzielili się na dwa obozy.

Bitty w tym niekończącym się sporze była zagorzałą zwolenniczką drużyny Magdy, beznadziejnie uzależniona od jej serowych rogalików z malinowo-kremowym nadzieniem. Deenie po raz pierwszy odwiedziła restaurację Maca zaledwie kilka tygodni wcześniej, by odebrać zamówienie dla Ally. I wtedy odkryła, że Mac naprawdę serwuje najlepszą w mieście chai latte.

Ale to nie oznaczało, że przestanie przynosić cioci jej ulubione ciasto z piekarni Magdy.

– To dla Bitty – wyjaśniła, cały czas ukrywając kartonik za plecami. – Wezmę tylko duży kubek chai latte i znikam. Pięknie proszę. – Deenie zatrzepotała zalotnie rzęsami.

Mac pokręcił głową.

– Masz szczęście, że cię lubię.

Odwrócił się, mrużąc coś o profanowaniu lokalu, a kilku jego stałych klientów popatrzyło na nią z dezaprobatą, bo ośmieliła się wprawić w zły nastrój ich ulubionego kucharza.

Deenie postanowiła zignorować ich wrogość i obdarowała wszystkich promiennym uśmiechem.

Niewielki lokal był jak zwykle zatłoczony, a wszystkie stoliki zajęte. Cup rozpoczął działalność jako bar kawowy, ale z czasem Mac rozszerzył repertuar, rozbudował kuchnię i dodał do menu półgotowe „specjały”. Przyjdź na kawę, zostań na obiedzie.

No i do tego jeszcze plotki.

W żadnym innym miejscu w Pine Hollow nie rozchodziły się z taką prędkością i swobodą jak w Cup – Deenie to uwielbiała, zwłaszcza w tej chwili, bo zobaczyła, że oczy Margaret zapłonęły ciekawością. Żona pani burmistrz ciągle stała obok niej ze swoim jedzeniem na wynos i uśmiechała się znacząco.

– A więc... ty i Mac?

Deenie ledwo się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Kochała to zwariowane, cholerne miasto. Jedno zalotne spojrzenie w Cup i już wszyscy będą gadać. Całkowicie ignorując fakt, że Deenie jest mistrzynią nic nieznaczących zalotnych spojrzeń.

– Jesteśmy w sobie szaleńczo zakochani – zwierzyła się Margaret ze śmiertelną powagą. – Mac zamierza wszystko zostawić i uciec ze mną do Paryża, by zgłębiać tajniki kuchni francuskiej.

W oczach Margaret pojawiły się iskierki niepokoju, że Mac mógłby porzucić Pine Hollow dla Francji, ale szybko uświadomiła sobie, że Deenie żartuje. Zarumieniła się ze wstydu, że okazała się tak łatwowierna.

– Jesteś okropna. Prawie ci uwierzyłam.

– Ale dopiero pierwszy raz dałaś się nabrać. Nie słyszałaś, że jestem kompletnie niewiarygodna?

Margaret uśmiechnęła się i pokręciła przyjaźnie głową. A potem gawędziły przez chwilę o Fistachu, małym chihuahua, którego kobieta niedawno adoptowała, i o ulepszeniach wprowadzonych przez Deenie i Ally w schronisku. Deenie nie omieszkła wspomnieć o nowym zakładzie fotograficznym przyjaciółki i aby mieć pewność, że wszyscy klienci ją usłyszeli, wykorzystała swój głos sceniczny. Wreszcie lata nauki w szkole teatralnej na coś się przydały.

Zanim Mac podał jej chai latte, wszyscy już się uśmiechali, w tym sam właściciel, który, niech mu Bóg błogosławi, nigdy nie chował urazy do nikogo – z wyjątkiem Magdy.

– Jeśli zostaniesz tu trochę dłużej, koniecznie musisz porozmawiać z Gayle – poradziła Margaret, przytrzymując Deenie drzwi. – Jestem pewna, że z radością ci pomoże przy przedstawieniach wiosennych.

Dziewczyna zgasiła iskierkę zainteresowania. Od lat nie zajmowała się sztuką teatralną – miesiące prób i tygodnie występów wymagały ogromnego zaangażowania i wielkich poświęceń.

– Nie zostanę tutaj tak długo – pospieszyła z zapewnieniem. – Tylko do czasu, aż ruszymy z nowymi pomysłami i wypromujemy „Kosmatych Przyjaciół”.

No i dopóki nie wyszkoli Maximusa. I dopóki sprawy z Bitty nie osiągną *tego punktu*. O którym nie chciała nawet myśleć.

– Żadna przygód Deenie – powiedziała z uśmiechem Margaret. – Jestem ciekawa, gdzie wylądujesz następnym razem.

– Ja też. – Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu, pożegnała się i ruszyła pod górę w stronę osiedla emerytów, szybko przemierzając znajome uliczki.

Normalnie pojechałaby samochodem, bo osiedle znajdowało się po drugiej stronie miasteczka, ale dzisiaj jej wiekowy garbus tylko ciężko zakaszłał, gdy próbowała go odpalić na mrozie, więc postanowiła, że da mu odpocząć.

Jasnozielona torba, którą kiedyś kupiła w Tajlandii, przy każdym kroku objęła się jej o biodro. Włożyła do niej brokatowy lakier do paznokci, który zawsze miała pod ręką, gdy organizowała przyjęcia z królową. Może dzisiaj, jeśli będzie dobry dzień, pomaluje paznokcie Bitty. Tak, jak robiła to dla niej ciocia, gdy Deenie była małą dziewczynką i przyjeżdżała do niej na wakacje.

Wizyty u Bitty zawsze były magiczne. Lody na śniadanie i tańce w deszczu. Taka była Bitty.

Deenie spędzała u niej tylko jeden wakacyjny tydzień każdego lata, ale miała wrażenie, jakby każda wizyta trwała w nieskończoność. Bo wtedy była wolna, nic jej nie ograniczało.

Po obu stronach wjazdu na osiedle emerytów ciągnęły się szerokie chodniki, równiutkie, bez żadnych wybojów, by mieszkańcy posługujący się laskami i wózkami mogli się bezpiecznie poruszać. Ale dzisiaj chłód zagnał wszystkich do domów z wyjątkiem jednego wysokiego i kościstego mężczyzny, który powoli wędrował drogą w towarzystwie pełnej energii kulki futra przyczepionej do końca smyczy. Znajoma futrzana kulka zajazgotała radośnie na widok Deenie i szybko ku niej popędziła.

– Cześć, księżniczko! – Deenie przykucnęła, żeby przywitać się z Jo-Jo, słodką, małą suczką rasy papillon, w której zakochała się ponad życie podczas Świąt Bożego Narodzenia. Kosmate uszka miniaturowego aniołka zdobiły purpurowe kokardki, a ich właścicielka podskakiwała uszczęśliwiona, opierając mokre łapki na kolanach Deenie i wijąc się z radości. – Tęskniłam za tobą – zagruchała czule dziewczyna, pochylając twarz do pyszczka Jo-Jo, a potem uśmiechnęła się do starszego pana, który

adoptował suczkę. – Dzień dobry, panie Burke.

– Witaj, Nadine. Nie mów, że przy takiej paskudnej pogodzie wybrałaś się tutaj pieszo.

– Nie jest tak źle – odrzekła, wstając.

Pan Burke się odwrócił i ruszyli razem w stronę głównego budynku.

Gdy ubezpieczenie społeczne przestało pokrywać koszty pobytu w domu opieki, do dyspozycji pozostało jedynie ekskluzywne osiedle emerytów Summerland – odzwierciedleniem tego luksusu były ceny, zwłaszcza jeśli w grę wchodziła stała opieka nad starszymi ludźmi z demencją – ale na szczęście Bitty mogła sobie na to pozwolić.

– Przyszłaś odwiedzić Elizabeth? – łagodnie zapytał pan Burke, gdy przebyli kilkanaście metrów.

– I pana – odpowiedziała, biorąc go przyjacielsko pod rękę, by ukryć fakt, że stara się zapewnić mu bezpieczeństwo na oblodzonym chodniku.

Ciocia Bitty i pan Burke znali się długo przed tym, zanim oboje zamieszkali na osiedlu emerytów. On trafił do apartamentu dla osób samodzielnych, a Bitty do ośrodka opieki dla chorych na demencję. Przyjaźnili się od bardzo dawna. I teraz Deenie drżała na myśl o pytaniu, które zawisło w powietrzu.

Na twarzy pana Burke’a pojawił się znajomy wyraz współczucia.

– Jak ona się miewa?

– Całkiem dobrze. Często jest w dobrej kondycji – skłamała Deenie z promiennym uśmiechem, nie pozwalając, by drgnęła jej powieka, co mogłoby zdradzić jej myśli.

Bo Bitty za nic w świecie nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że gaśnie. Z tego powodu ograniczyła liczbę gości, którzy mogli ją odwiedzać. Chciała, żeby ją zapamiętali taką, jaka była.

A więc Deenie solidarnie zaprzeczała, że Bitty jest chora. I była jedynym świadkiem jej odchodzenia.

Pan Burke delikatnie ścisnął jej ramię, dając do zrozumienia, że go nie oszukała, ale nie wywierał na nią presji.

– Zakładam, że nie zdradzę sekretu, mówiąc ci, iż zawsze byłaś jej droga – powiedział delikatnie, ważąc słowa.

– Bardzo mi miło – odrzekła, dostosowując się do jego tonu. – Ona też jest mi bardzo droga.

– Bitty nie chciałaby, żebyś poświęcała dla niej życie – szepnął pan Burke.

Deenie wciągnęła powietrze, ale nie pozwoliła, by uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Wcale się nie poświęcam. Po prostu oszczędzam na następną podróż.

Mężczyzna spojrzął na Deenie z ukosa, ale nie skomentował jej słów.

Weszli do portyku głównego budynku, a pan Burke skrócił smycz Jo-Jo swoimi guzowatymi, długimi palcami.

– Wejdiesz na herbatę po wizycie u Elizabeth?

– Nie mogłabym sobie darować, gdybym tego nie zrobiła – obiecała Deenie.

Gdy podeszli, drzwi otworzyły się automatycznie i Deenie puściła ramię pana Burke’a.

– Pozdrów ode mnie ciocię – poprosił, a Deenie zauważyła smutek w oczach przyjaciela Bitty.

Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

– Pozdrowię ją.

– Nadine. – Pan Burke skinął głową na pożegnanie.

– Panie Burke. – Deenie skłoniła się lekko, a on zachichotał.

Potem skierował się do lobby, a ona ruszyła do recepcji. Od dawna знаła pielęgniarkę, która tam urzędowała, więc pogawędziła z nią przez kilka minut, wpytując, czy jej mieszkająca w Teksasie ciężarna córka urodziła już synka. Potem skierowała się do skrzydła mieszczącego się naprzeciw miejsca zamieszkania pana Burke’a.

Reszta osiedla prezentowała się jak country club – domy z tarasami, przylegające do nich pola golfowe i płytkie baseny, w których rezydenci mogli ćwiczyć aerobik i poddawać się terapii wodnej. Ale kiedy Deenie skręciła w lewo ku windom, sterylny zapach szpitala zdominował przyjemniejszą woń country klubu. Przed nią rozciągały się pomieszczenia domu opieki wraz z windami, którymi wjeżdżało się na poziom dla pacjentów z demencją.

Zatrzymała się przy tamtejszej recepcji pielęgniarek, komplementując koralowy hidżab Negin

i pytając Carmen, czy jej siostra wreszcie otrzymała zezwolenie na pracę w Stanach. Starła się zapamiętać wszystko, co opowiadali jej pracownicy osiedla – chciała zatrzymać to w pamięci, bo Bitty już nie była w stanie tego zrobić.

W końcu dotarła do apartamentu cioci – z przyklejonym uśmiechem, zasłoną dobrego nastroju okrywającą przygnębienie, i ciastem od Magdy. Ale Bitty szybko zapadła w sen. Jej głowa na wysoko ułożonych poduszkach była przechylona na jedną stronę, a klatka piersiowa unosiła się i opadała przy każdym oddechu.

Deenie poczuła zalewające ją emocje. Postawiła pudełko z ciastem na stole i usiadła na krześle przy łóżku Bitty. Sześć miesięcy temu ciocia powiedziała, że Deenie jest psycholką, skoro obserwuje ją podczas snu. Ale teraz...

W sierpniu, gdy dziewczyna wyjechała na trzy miesiące do Nowej Zelandii, Bitty była w o wiele lepszej kondycji. Jasne, że Deenie czasem niepokoiła się o nią, ale gdy wróciła, okazało się, że jest gorzej, niż się spodziewała. Jej babcia cioteczna była już cieniem siebie. Jej energia, błyskotliwość i dowcip zanikały w coraz szybszym tempie.

Deenie wiedziała, że Bitty by nie chciała, by wnuczka poświęciła życie opiece nad nią. Ale gdyby Deenie teraz wyjechała, ominęłaby ją reszta tych dobrych dni, które jeszcze im pozostały. A tego nie mogła sobie wyobrazić.

Zatem zamierzała zostać, bez żadnych wątpliwości. Ally nazwałaby to znakiem od wszechświata – sygnałem, że powinna pozostać w Pine Hollow – ale Deenie nigdy nie wierzyła w znaki. Zdecydowanie obruszyła się na myśl, że wszechświat miałby rządzić jej życiem. Sama chciała je kontrolować. Tylko ona, nie jakaś amorficzna siła.

Ale straciła kontrolę nad własnym życiem. I na razie nie mogła nic zrobić, by temu zapobiec. Nie wiedziała, ile czasu będzie musiała spędzić, przyglądając się, jak odchodzi osoba, która zna ją najlepiej na świecie.

Ale póki co była przy niej. I donikąd się nie wybierała.

ROZDZIAŁ 9



Nie za dużo brokatu? – Elinor Rodriguez uniosła dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami oprószonymi różowym brokatem w taki sposób, by połyskiwały w świetle.

Deenie, spoglądając z przeciwnego końca kuchennego stołu Ally, udała, że jest zszokowana.

– Po pierwsze, czuję się obrażona słowami „za dużo brokatu”, bo coś takiego w ogóle się nie zdarza. A po drugie, twoje paznokcie wyglądają doskonale.

– Dzięki – powiedziała z uśmiechem Elinor i wyciągnęła drugą rękę, by Deenie dokończyła malowanie.

Dziewczyna ujęła drugą dłoń Elinor w nadgarstku, by nałożyć lakier.

To była trzecia środa, którą Deenie spędzała u Ally, i ich pierwsza zaimprovizowana dziewczynska noc.

W każdą środę Ben i Connor grali w pokera ze swoimi kumplami. Zgodnie z tym, co mówiła Ally, oddawali się hazardowi w piwnicy Bena, żeby nie musiał szukać opiekunki dla Astrid. A później Astrid zaczęła spędzać ich pokerowe wieczory z ciocią Elinor – która była najlepszą przyjaciółką jej niezującej mamy – więc Connor mógł ich gościć w swoim luksusie.

Tego wieczoru Ally i Deenie zaprosiły Astrid i Elinor na farmę, by zużyć zapasy brokatowych lakierów do paznokci Deenie.

Ally z wielu powodów uważała, że to przeświety pomysł – Astrid mogła się przyzwyczajać do nocowania w jej domu. Dzięki temu nie będzie się czuła w nim obco, gdy wraz z Benem przeprowadzą się do niej na kilka tygodni na czas remontu. Poza tym spędzą trochę czasu z Elinor poza szkoleniem dla psów i dzięki temu poczują, że farma należy już bardziej do Ally niż do jej dziadków...

Ally potrafiła wszystko logicznie wytłumaczyć. I miała przekonujące argumenty.

Natomiast Deenie traktowała życie jak zabawę.

Deenie i Ally polubiły Elinor, gdy tylko zjawiała się w schronisku, by adoptować Dory. Kobieta była szkolną bibliotekarką, nosiła wielkie okulary, a gęste, ciemne włosy zawsze upinała w praktyczny kucyk. Deenie uważała, że przypomina gwiazdę z lat czterdziestych, ale na siłę stara się nie wyglądać jak seksbomba, maskując urodę wielkimi okularami. Ale gdy tylko ją poznała, od razu sobie uświadomiła, że Elinor naprawdę nie zdaje sobie sprawy ze swojej atrakcyjności. W ogóle nie przykładła wagi do wyglądu. Była niezwykle inteligentna i emanowała silną energią – jej laserowa przenikliwość wzbudzała w ludziach niemałą trwogę i zmuszała ich do przyjmowania postawy obronnej, więc nikt nie zauważał, że jest olśniewającą kobietą.

Astrid przyprowadziła swojego zaślinionego buldoga, Bażanta, a Elinor przysłała z australijką imieniem Dory, która niestrudzenie krążyła wokół innych psiaków, aż w końcu opadła z wyczerpania. Colby obserwował wygłupy innych psów, nie podnosząc nawet łapy z podłogi, a maluchy Dolce poszcze kiwały radośnie, szwendając się między łapami Dory.

Potem dziewczyny przystąpiły do swoich ważnych zabiegów manikiuru i pedikiuru. Astrid wybrała dla każdej inny kolor, więc teraz się zmieniały, wzajemnie lakierując sobie paznokcie. Trochę spowalniała je wesołość, bo trudno precyzyjnie nakładać lakier, kiedy trzęsiesz się ze śmiechu, ale było warto.

Po chwili Astrid poszła do łóżka – w końcu jutro miała szkołę – a Ally do kuchni, by naprędce przygotować drinki dla dorosłych.

– Czy to nie wydaje się wam trochę seksistowskie? – zapytała Elinor, przygryzając dolną wargę lekko, lecz cudownie krzywymi zębami, i obserwując, jak Deenie nakłada lakier płynnymi i równymi pociągnięciami pędzelka. – Że faceci grają w pokera, a my plotkujemy i robimy sobie paznokcie?

– To znaczy, że nie chcesz owocowego dziewczynskiego drinka? – zapytała Ally, wyłaniając się

z kuchni i przesuwał Elinor przed nosem daiquiri z brzoskwinia i mango.

– Jasne, że chcę. Dawaj. – Elinor odchyliła się lekko i wyrwała Ally napój wolną ręką. – Dzięki. Chyba się nie martwisz, że przez tę dziewczynskość umacniamy w Astrid patriarchalne, antifeministyczne banały?

Ally postawiła drinka Deenie w bezpiecznej odległości od jej łokcia i wróciła do kuchni po swój napój i pełen dzbanek daiquiri do uzupełniania pustych kieliszków.

– Astrid nie spędza z Benem zbyt wielu babskich wieczorów. Chyba możemy jej to wynagrodzić, i to na zapas.

Deenie obróciła dłoń Elinor, by dokończyć malowanie paznokcia kciuka.

– Nie mogę sobie wyobrazić nic *mniej* feministycznego od wpędzania kobiet w poczucie winy z powodu tego, że lubią typowo kobiece rzeczy. Na przykład sukienki dla królowy czy księżniczki. Albo różowy kolor.

Elinor rzuciła okiem na różowe włosy Deenie.

– Nie to miałam na myśli... – dorzuciła.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu z serii „nie przejmuj się, nie biorę tego do siebie”.

– Wiem, wiem – powiedziała. – Jesteśmy super. No i gotowe – dodała, uwalniając dłoń Elinor.

Już dawno nauczyła się puszczać takie komentarze mimo uszu. Ludzie uważali, że jest dziecinna i niedojrzała, bo zawodowo bawi się z dziećmi; nieodpowiedzialna, bo nie ma „prawdziwej” pracy ze świadectwami, i że jest antifeministką, ponieważ zachęca dziewczynki do przebierania się za królowy. I nieważne, że każdy, kto chociaż raz uczestniczył w jednym z przyjęć Deenie, widział bez żadnych wątpliwości, że jej królowy – i królewice – były przeszczęśliwe i nie wyglądały na ubezwłasnowolnione. Nawet wirując w tiulowych, rozkloszowanych księżniczkowych sukienkach.

– Deenie... – Oczywiście Elinor były pełne troski. – Naprawdę nie chciałam...

– W porządku. Nie przejmuj się. Może następnym razem zagramy w pokera. Albo w blackjacka. Przy okazji podciągniemy Astrid z matmy. Ale chyba powinnam cię ostrzec, że potrafię liczyć karty.

Elinor uśmiechnęła się szeroko i sięgnęła po drinka.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Mam pomysł na następne spotkanie – powiedziała Ally, usadawiając się przy kuchennym stole. – A może na jeszcze kolejne? Co powiecie na ostatnią środę lutego? Ben zamierza sam zająć się remontem domu, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy. Pomyślałam, że mogłybyśmy mu pomóc i urządzić przy okazji imprezę. Zdemolujemy kuchnię. Darmowe piwo i pizza dla wszystkich, którzy zaoferują pomoc.

– Doskonały pomysł. Wchodzę w to – obiecała Deenie. – Przynajmniej będę mogła odreagować na szafkach kuchennych frustracje po czasie spędzonym z Connorem.

Ally posłała jej spojrzenie znad kieliszka.

– Wnoszę z tego, że szkolenie nie przebiega tak, jak oczekiwałaś.

– Jakie szkolenie? – zapytała Elinor.

– Connor wynajął mnie, żebym trenowała Maximusa, i już pierwszego dnia przygotował umowę. Wygląda na to, że on ma patologiczną potrzebę załatwiania wszystkiego za pomocą zasad.

Brwi Elinor powędrowały nad oprawki okularów.

– Nie uznajesz zasad?

– Tylko głupich i niepotrzebnych. Znak stopu jest cudowny i spełnia swoją funkcję, bo dzięki niemu możemy bezpiecznie poruszać się po drogach. Ale pomysł, że musisz mieć plan emerytalny, by zasłużyć na miano szanowanego dorosłego, to zwykły stek bzdur.

Ally zmarszczyła czoło.

– Connor zaoferował ci plan emerytalny za szkolenie Maxa?

– Nie, on jest jednym z *tych*, którzy twierdzą, że „to jedyny, właściwy sposób na życie, a ty postępujesz wbrew wszelkim zasadom”. Samo szkolenie przebiega bez zarzutu. Max to straszny urwis, ale damy radę. Potrzebuje tylko cierpliwości i powtórek. Nie potrafi się dłużej na niczym skupić, więc przychodzę do niego kilka razy dziennie na krótkie treningi. I szczerze mówiąc, prawie nie widuję Connora. Zamyka się w swoim biurze, a kiedy naprawdę muszę z nim porozmawiać, widzę w jego

oczach niemy wyrzut. Zdecydowanie ktoś mu wetknął kij w niefortunne miejsce. To smutne, że ktoś tak obłądnie seksowny jest tak niewiarygodnie spięty.

Elinor i Ally jednocześnie uniosły brwi.

Ally cicho odchrząknęła.

– A więc uważasz, że on jest *seksowny*...

– Nie *uwazam*, że jest seksowny – warknęła Deenie. – On jest seksowny empirycznie. To prawda obiektywna. – Te bursztynowe oczy. Oszałamiające dołeczki. I cholerne *ramiona*. – I prawdą obiektywną jest również to, że jego twarz zastygła w krzywym grymasie, a to praktycznie nie pozwala rozszyfrować, że takie z niego ciacho.

– Ale tobie się udało – mruknęła Elinor.

– Nie o to chodzi – mruknęła Deenie. – Nie rób z tego wielkiego halo. Nie gustuję w roślach, ciemnowłosych snobach.

Brwi Ally powędrowały jeszcze wyżej, jeśli to w ogóle możliwe. *Rosły, ciemnowłosy snob?*

– Co? Z czego się śmiejesz?

– Z niczego. Po prostu... kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Bena, nazwałam go w myślach Rosłym, Ciemnowłosym i Zmierzwionym.

– Nie. – Deenie uniosła świeżo wymanikiurowany palec, podziwiając, jak błyszczący turkusowy lakier dodaje znaczenia jej słowom. – To zupełnie coś innego.

Choćby dlatego, że Connor był wyższy, bardziej ciemnowłosy i o wiele przystojniejszy, ale nie mogła podeprzeć się tym argumentem, bo był on również ostatnim facetem wartym jej zaangażowania.

Brązowe oczy Ally błyszczały wesoło, gdy nalewała daiquiri z dzbanka.

– Nie miałam pojęcia, że wasz związek znalazł się już na etapie intymnych ksywek.

– Fuj. Nie ma żadnej intymności – powiedziała stanowczo Deenie, starając się ignorować kwestię ciuchów Connora, o której *celowo* nie wspomniała ani słowem. – Nigdy wcześniej tak go nie nazwałam ani nawet o nim nie pomyślałam, dopiero teraz. I zrobiłam to tylko po to, żeby ci uzmysłwić, jaki jest okropny. Widziałś jego dom? Co za facet potrzebuje tak dopieszczać swoje ego, że mieszka sam w pałacu o powierzchni zyliona stóp kwadratowych?

– Na jego obronę mogę tylko powiedzieć, że nie chciał mieszkać sam – wtrąciła Elinor, unosząc kieliszek w stronę Ally.

Ally nadstawiła uszu.

– Och, chodzi o Monicę? Ben coś o niej wspomniał, potem zamilkł i kazał mi przysiąc, że nic nie powiem Connorowi, chociaż w sumie niczego się nie dowiedziałam.

Elinor upiła łyk daiquiri.

– Connor nadal jest na tym tle nieco przewrażliwiony. Nie można go za to winić.

– No to teraz musisz nam o wszystkim opowiedzieć. – Deenie chwyciła szkło w obie dłonie, rozkoszując się przyjemnym chłodem. – Kim jest Monica?

– Connor znenawidziłby mnie, gdyby się dowiedział... – Elinor próbowała się wykręcić od odpowiedzi. – Ale jeśli będziesz dla niego bardziej wyrozumiała, może kiedyś mi za to podziękuje... albo przynajmniej mnie nie zabije...

– Nie wiedziałam, że jesteście ze sobą tak blisko – zauważyła Ally, a Deenie prawie kopnęła ją pod stołem, żeby zmieniła temat.

Elinor wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Dorastaliśmy na tej samej ulicy. A kiedy zaczęłam umawiać się z Levim, jeszcze bardziej wciągnęło mnie do ich paczki. Są jednymi z moich najbliższych przyjaciół.

– I nie zapraszają cię na te swoje pokerowe wieczorki? Nic dziwnego, że wkurza cię antifeminizm – powiedziała gniewnie Deenie, oburzona w imieniu Elinor.

– Zerwaliśmy z Levim. I tyle. – Kobieta ponownie wzruszyła ramionami. – To takie dziwne.

– A co Monicą? – przypomniała Deenie bez cienia zakłopotania.

Elinor przygryzła wargę, prezentując w całej okazałości uroczą wadę zgryzu.

– Dobra, ale nie zdradźcie się, że wam o tym powiedziałam – szepnęła, a wszystkie się pochylały, żeby lepiej słyszeć. – Byli zaręczeni, a ona rzuciła go tuż przed ślubem. Właściwie związała sprzed ołtarza.

– I to wszystko? – zapytała Deenie i spojrzała na Ally. – Domyślałaś się tego? Podejrzywałam, że co najmniej go zdradziła. A może nawet, że urodziła dziecko i próbowała mu wcisnąć, że jest jego. Albo że wyczyściła mu konto i oddała kasę swojemu chłopakowi z kartelu narkotykowego.

– Wierz mi, że porzucenie faceta dwa tygodnie przed ślubem, i to bez żadnego ostrzeżenia, jest wystarczająco okrutne. Nawet nie zrobiła tego osobiście. – Elinor znowu ściszyła głos: – Zostawiła tylko samoprzylepną karteczkę.

Wszystkie dziewczyny ciężko westchnęły.

– Dobra, to faktycznie było okrutne – przyznała Deenie.

– Jesteś pewna, że nie została porwana? A ta karteczka to był tylko kamuflaż? – zapytała Ally.

Deenie i Elinor spojrzały na nią ze zdumieniem.

– No co? Może gdzieś ją przetrzymywali, a ona rozpaczliwie próbowała do niego wrócić...

– Jasne. Jesteś za bardzo zakochana, zostajesz oficjalnie wykluczona z tej rozmowy – oświadczyła Deenie.

– Nie jestem za bardzo zakochana. Po prostu myślę, że istnieje możliwość, że...

– Nikt jej nie porwał. – W głosie Elinor zadźwięczała pewność. – Nie odznaczyła nikogo na Facebooku, więc ze względu na Connora na bieżąco śledziliśmy jej przygody w Indiach. Wyjechała tam z własnej woli, żeby „odnaleźć siebie”. Ale jeśli porywacz nie sfabrykował zdjęć z kilku miesięcy jej podróży – w tym również z wielkiego przyjęcia, które wydali jej rodzice, gdy wróciła z poszukiwań „wizji życia” – to znaczy, że zdecydowanie nikt jej nie porwał.

Deenie skrzywiła się lekko i zapytała:

– Czy Connor o tym wie?

– Nie mam pojęcia. – Elinor pokręciła głową. – Mam nadzieję, że nie. Nie chce o tym rozmawiać. Nigdy. Kiedy to się wydarzyło, wszyscy w miasteczku chcieli mu powiedzieć, że są po jego stronie. Ale on nie chciał słuchać i wychodził za każdym razem, gdy ktoś wymówił jej imię.

– Mój Boże, całe miasto – jęknęła Ally. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to tak wyglądało.

– Connor był kompletnie zaskoczony i zdruzgotany – wyjaśniła Elinor, nie siląc się już na szept.

– Monica to żeński odpowiednik Connora: planowanie, organizowanie, wyznaczanie celów. Byli „złotą parą”, nadawali na tych samych falach, po prostu idealna harmonia. I pewnego dnia ona po prostu zniknęła. Connor miał już ten dom. Kupił go dla nich obojga, żeby mogli założyć rodzinę, a potem został sam.

Deenie siedziała w milczeniu wpatrzona w kieliszek daiquiri z mango i brzoskwiń, rozważając możliwość, że być może naprawdę jest koszmarną osobą.

Gdy poznała Connora, od razu zaczęła mu wbijać mentalne szpile. Stał się dla niej wszystkim, co uosabiali jej rodzice i starszy brat – brakiem aprobaty i wyrazem pogardy. Osądziła go po ubraniu i stylu życia, a przecież sama nienawidziła, gdy oceniano ją w ten sposób.

Tak, prawdopodobnie była koszmarną osobą.

– Ale nie to jest najgorsze.

Deenie poczuła się zażenowana, niepewna, czy chce usłyszeć najstraszniejszą część tej opowieści, ale nie miała już wyjścia, bo Elinor wyjawiała kolejne tajemnice.

– To się wydarzyło rok temu mniej więcej o tej porze. Mieli się pobrać w walentynki.

– Biedny Connor – mruknęła Ally.

Każdy związek to dwoje ludzi, a sztywny Connor na pewno nie był najłatwiejszy we współżyciu – prawdopodobnie sporządził umowę, jak często będą się przytulać – ale nawet jeśli Deenie próbowałyby go obwiniać i opowiedzieć się za „wolnym duchem”, który wybrał się w podróż do Indii, nie mogła poprzeć kobiety, która nie miała odwagi i nie była na tyle kulturalna, by porzucić Connora osobiście. Wiadomość na samoprzylepnej karteczce była czystym okrucieństwem.

– A jeśli już mówimy o walentynkach – zagaiła Elinor, niezręcznie zmieniając temat. – Macie z Benem plany na ten weekend?

Ally spłonęła rumieńcem.

– Dopiero zaczęliśmy umawiać się na randki. Nie chcemy wywierać na siebie żadnej presji. Zamierzamy zająć się kampanią wyborczą i przygotować dom dla Bena i Astrid, żeby mogli tu

zamieszkać, gdy zacznie się u nich remont.

– Jesteś pewna? – zapytała niewinnie Deenie. – Mam wrażenie, że Astrid strasznie zależy na tym, by zobaczyć was na wspólnej fotografii.

Widząc puste spojrzenie Ally, dziewczyna zamachała jej przed nosem serdecznym palcem lewej ręki.

Ally była nieco zszokowana.

– Jestem pewna, że Astrid nie myśli w ten sposób... Nawet jeszcze o tym nie rozmawialiśmy... To znaczy rozmawialiśmy, ale dotyczyło to dalekiej przyszłości. Kiedyś tam. W przyszłym roku, może później. Widujemy się dopiero od niecałych dwóch miesięcy. Chyba nie myślisz, że już rozmawiał o tym z Astrid?

– Ale ona prawdopodobnie ma nadzieję – potwierdziła Elinor. – Najstarsza siostra Kimberly Kwan zaręczyła się w Święta Bożego Narodzenia i jestem pewna, że Kimberly pokazała Astrid zdjęcia, więc podejrzewam, że dziewczynki zaplanowały już twoje zaręczyny. Chociaż wątpię, żeby Ben zdążył kupić pierścionek. Jest zbyt zajęty kampanią i remontem domu. A więc na razie jesteś bezpieczna.

– Nie chodzi o bezpieczeństwo – zaprotestowała Ally. – I nie o to, że nie chcę, by się oświadczył. Bo chcę. Ale nie tak szybko...

– Walentynki to straszny banał – dodała uspokajająco Deenie. – Jestem pewna, że Ben ma lepszy gust.

Elinor utkwiała wzrok w swoim drinku, a Deenie się zastanowiła, czy przyjaciółka nie marzy przypadkiem o zaręczynach w walentynki. Zanim zdążyła powiedzieć coś nieodpowiedniego, odezwała się Ally:

– A co z wami? Macie na oku jakieś walentynkowe rytuały?

Elinor nadal była spięta, więc Deenie wzięła na siebie ciężar rozmowy i wzruszyła ramionami.

– Nie uznaję walentynek i tym samym tych durnych rytuałów. Właśnie dlatego unikam poważnych związków, żadnych kluczowych etapów podczas wszelkiego rodzaju świąt.

– No tak – mruknęła Elinor, spoglądając na nią. – Żadnych planów.

– Powinniśmy urządzić sobie wtedy „dziewczyński dzień” – rzuciła z entuzjazmem Ally. – Tylko babki.

Elinor i Deenie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Były zgodne co do tego, że ich przyjaciele będący w związkach wyświadczały im niedźwiedzią przysługę, usiłując je pocieszyć z powodu braku romantycznych relacji.

– No nie wiem – powiedziała Deenie z udawaną troską. – Ben prawdopodobnie będzie rozczarowany, jeśli wpadnie z wizytą, żeby się oświadczyć, a ty będziesz z nami.

Ally przewróciła oczami.

– Daj spokój. Ben nie ma zamiaru prosić mnie o rękę. – Ale rumieniec na jej policzkach mówił, że nie odmówiłaby, gdyby to zrobił.

Deenie poczuła przelotne ukłucie zazdrości.

Nie chodziło o to, że nie chciała mieć partnera, z którym żyłaby długo i szczęśliwie, ale ponieważ bardzo się starała omijać pułapki „normalnego” życia i jego kluczowych etapów, pozostawała samotna.

Ally i Ben stanowili niesłychanie dopasowaną parę. Akceptowali się, rozumieli. Deenie nie miała pewności, czy kiedykolwiek przeżyje coś podobnego.

Nie wiedziała, czy istnieje taki mężczyzna, ten jedyny, który nie będzie próbował jej zmienić, nigdy nie da jej odczuć, że jest gorsza lub niewystarczająco dobra, bo jej życie nie wpisuje się w ogólnie przyjęte standardy. Nigdy nie spotkała nikogo, kto by do niej pasował. Nawet buntownicy, z którymi się umawiała, mieli jakieś zasady swojej rebelii.

Każdy chciał ją w jakiś sposób do siebie dopasować, więc kiedy docierała do nieuchronnego punktu, w którym czuła, że została zhańbiona przymusem zmiany, po prostu uciekała. Tak było od czasu studiów. Kiedyś prawie się zmieniła dla pewnego faceta. Ale tylko po to, by uświadomić sobie, że przez tę zmianę nie jest już sobą.

Żartowała z Ally, że relacje damsko-męskie nie są jej mocną stroną. Żartowała, że unika poważnych związków jak diabeł święconej wody. Bo było łatwiej, gdy to sobie wmawiała – mniej

bolesne, niż gdyby padało z ust innych ludzi. Mogła udawać, że robi to celowo. Że wcale nie chce, by ktoś ją kochał taką, jaka jest.

Uśmiechała się i udawała, że jej życie jest doskonałe. Że jest *dokładnie* takie, jakiego pragnęła. Że wybrała sobie cygański los i że to nie zawsze jest tak, że gdy życie daje ci „romantyczne” kwaśne cytryny, to zrobisz z nich słodką lemoniadę.

To był jej wybór, przeważnie. I przeważnie naprawdę myślała, że jej życie jest wyjątkowo i cholernie doskonałe.

Ale co z walentynkami? Takie dni były najgorsze na świecie. Wtedy posiadanie kogoś do pary było normą. Ale Deenie nigdy nie zależało, żeby zachowywać się normalnie.

ROZDZIAŁ 10



Walentynki były najgorszym dniem roku.

Connor przycisnął „stop” na bieżni, ignorując powtarzające się brzęki powiadomień, którymi bombardowała go komórka, i położył się na ławce treningowej. Maximus zwałił się na podłogę i pochrapywał, wydymając obwisłe policzki. Connor zabrał go rano na długi spacer i pies odsypiał teraz zmęczenie, a niewyczerpana energia jego pana nadal nie dawała mu spokoju.

Nienawidził pieprzonych walentynek.

Bardzo, bardzo dawno temu, w innym świecie, to było jego ulubione święto. Był facetem, który zawsze zjawiał się z różami i czekoladkami, a inni mężczyźni wypadali przy nim co najmniej blado.

I wtedy Monica wymyśliła, że pobiorą się w walentynki. Nie miała nic przeciwko temu, że wypadają w piątek. Connor trochę się martwił, że piątkowy wieczór będzie stanowić pewną niedogodność dla przyjaciół i rodziny, ale dostali zniżkę w pięknej sali balowej luksusowego kurortu, więc wytłumaczył sobie, że to bardziej romantyczne niż niedogodne.

Dopóki Monica nie odwołała ślubu, kiedy było już za późno, by odzyskać kaucję. Wtedy była to już tylko niedogodność.

Tamtego dnia, który miał być dniem jego ślubu, po raz pierwszy w życiu upił się do nieprzytomności. W tym roku postanowił, że podejdzie do tego bardziej odpowiedzialnie i zdrowo. Na śniadanie przygotował sobie omlet z białek, a nawet spróbował wypić koktajl z jarmużu, który okazał się totalnie obrzydliwy. Potem zabrał Maximusa na dwugodzinny spacer i wrócił ze stanowczym postanowieniem, że zabierze się do sprzątania.

Ale telefon nie przestawał dzwonić, więc nie mógł się skoncentrować.

Przyjaciele sprawdzali, „jak się miewa”.

Mama chciała „tylko pogadać”.

W każdym słowie pobrzmiwał nieprzyjemny zgrzyt współczucia.

I do tego te wszystkie wiadomości z aplikacji randkowych.

Naprawdę powinien być mądrzejszy i nie rejestrować się tam przed walentynkami. Czternastego lutego ludzie mieli szczególne oczekiwania.

Na pierwszą randkę umówił się w miniony czwartek. W tym roku walentynki przypadały w niedzielę, więc cały weekend nie nadawał się na pierwsze niezobowiązująco-zapoznawcze spotkanie. Wydawało mu się jednak, że czwartek będzie bezpieczny, bo do święta zakochanych pozostało jeszcze kilka dni.

Nie mógł się bardziej pomylić.

Kiedy spotkał się z dziewczyną z aplikacji w restauracji w Burlington, którą razem wybrali, od razu się zorientował, że popełnił błąd. Światła były przyciemnione, na każdym stoliku stała świeca i wąski wazonik z czerwoną różą, która zasłaniała mu pole widzenia, gdy spoglądał na swoją towarzyszkę. W oknach wisiały ozdoby w kształcie wiśniowych serduszek. A jedynym daniem w menu był „przysmak dla zakochanych”.

Pytanie kelnera o długość ich związku mogło być nawet zabawne – towarzyszką Connora próbowała rozładować krępującą atmosferę – ale jemu wcale nie było do śmiechu.

Odkrył natomiast, że zaczyna porównywać nową znajomą z Monicą.

Była uczulona na krewetki, ale czy naprawdę? Monica zawsze utrzymywała, że jest uczulona na składniki, których nie lubiła, więc kelnerzy bardzo poważnie traktowali jej prośby o zamienniki. Jeśli ta kobieta przypominała ją pod tym względem, to może również uciekłyby dwa tygodnie przed ślubem.

Ta data... nic nie poszło dobrze.

Zamierzał przez cały weekend unikać dopasowań z aplikacji randkowych.

Co miałyby powiedzieć? „Przepraszam. To dla mnie trochę dziwny dzień. Miałem się ożenić w ubiegłe walentynki”.

Wyciszył telefon, ale potem zaczął się martwić, że matka może go potrzebować, więc wytrzymał zaledwie pięć minut i ponownie włączył dźwięk. Przekonał sam siebie, że w nagłej sytuacji matka z pewnością zadzwoni, więc stoicko ignorował wielokrotne sygnały powiadomień. A ponieważ z pracą mu nie wychodziło, poszedł do siłowni w piwnicy.

Ćwiczenia oczyszczały umysł. Uspokajały i dawały poczucie kontroli, jakby jego ciało po odejściu Moniki wpadło w lekką obsesję na punkcie sprawności fizycznej. Z drugiej strony endorfiny to terapia, która nic nie kosztuje.

Podczas piętnastej serii ćwiczeń na bicepsy rozległ się dzwonek do drzwi.

Connor odłożył hantle, a potem otarł ręcznikiem twarz i szyję.

To pewnie matka. Albo Levi. Byli bardzo zdeterminowani, jeśli chodziło o niego i monitorowanie jego samopoczucia.

Connor popędził na górę – Maximus spał tak głęboko, że nawet nie uniósł głowy.

Miał już przygotowaną mowę – „czuję się *świetnie*, wszystko jest *super*” – ale gdy jednym szarpnięciem otworzył drzwi, po drugiej stronie nie stała matka. I z pewnością nie był to również Levi.

Connor zamrugał ze zdziwieniem.

– Deenie.

Tym razem jej legginsy były żółte – dzięki Bogu, żadnego różu i żadnych serduszek – a różowe włosy sterczały na czubku głowy zebrane w kucyk jak u Pebbles Flinstone z *Między nami jaskiniowcami*.

Jej spojrzenie powędrowało ku przepoconej koszulce i spodenkom treningowym.

– Hej, przepraszam. Wysłałam SMS-a, ale nie odpisałeś, więc pomyślałam, że bardziej mi się poszczęści z dzwonkiem do drzwi. Przyszłam nie w porę?

Tak, bo to cholerne walentynki, najgorszy dzień roku.

Ledwie się powstrzymał, żeby nie powiedzieć tego na głos.

– Nie, w porządku. Po prostu nie zwracałem uwagi na telefon. Max śpi. Wcześniej zabrałem go na długi spacer i jest kompletnie wykończony.

– Aha. Super. – Deenie znowu zawiesiła oko na klatce piersiowej Connora. – Przepraszam. Nie powinnam tak wpadać bez zapowiedzi. Ale musiałam znaleźć jakąś wymówkę, żeby wyrwać się z domu. Przez to słodkie gruchanie Bena i Ally. A już i tak spędziłam cały ranek na osiedlu...

– Wchodź.

Dziewczyna zamrugała, wyraźnie zaskoczona zaproszeniem, ale kiedy się cofnął i szerzej otworzył drzwi, przekroczyła próg niemal bez wahania.

Nie chciał rozmawiać o Monice, walentynkach ani uczuciach, ale przecież Deenie nie miała o niczym pojęcia. Nie stanowiła dla niego zagrożenia.

Była wyłącznie osobą, która odwróci jego uwagę od kłopotów.

Niemal przez dwa tygodnie próbował jej unikać, bo nie chciał, żeby zakłócała mu spokój. Słyszał jednak jej głos, gdy czule przemawiała do Maxa, kiedy zasłużył na nagrodę. Wszędzie w domu znajdował niewielkie ślady brokatu. Gdzieś tam migały mu jej neonowe legginsy. Ukrywał się w biurze, ale gdy przebywała pod jego dachem, i tak nie był w stanie pracować. Ale przynajmniej Max zachowywał się coraz lepiej. Reagował na komendy „siad” i „leżeć” i robił zdecydowane postępy.

Connor będzie musiał tolerować brokat w najbardziej nieoczekiwanych zakątkach domu, dopóki jego pies będzie pobierał lekcje dobrych manier.

Wziął płaszcz Deenie, powiesił go, a potem wskazał jej drogę do kuchni.

– Napijesz się czegoś? A może obudzę Maxa, żebyście mogli trochę popracować?

– Jest półprzytomny, więc nie da rady się skupić. A woda w zupełności wystarczy.

Connor sięgnął po dwie szklanki, napełnił je wodą z filtra i podał jedną Deenie.

– A więc Ben wygnał cię z domu?

– To nie tak. Lubię, gdy przychodzą do nas z Astrid, ale czuję się jak piąte koło u wozu. A może i szóste, od kiedy Ben zabiera z sobą Astrid. Zwłaszcza dzisiaj. Jestem pewna, że nie byłoby tak dziwnie, gdyby nie walentynki.

Wypowiedziała słowo „walentynki” takim tonem, jak inni mówią „leczenie kanałowe”, więc Connor musiał ukryć uśmiech za szklanką z wodą. W jego kieszeni znowu zabrzączał telefon. Wyciągnął go z grymasem na twarzy i położył na blacie wyświetlaczem do dołu.

Deenie obserwowowała go z zaciekawieniem.

– Connorze Wyeth, dlaczego masz w nosie swój telefon?

– Z powodu walentynek – wyjaśnił. Nie miał zamiaru kontynuować tej rozmowy, ale nagle wypalił, zaskakując samego siebie: – Jestem na kilku aplikacjach randkowych.

Była równie zaskoczona tym wyznaniem jak on sam. Nikomu prócz matki nie wspomniał, że zamierza wrócić do gry. Wszyscy zakładali, że jego zachowanie ma coś wspólnego z Monicą i ich niedoszłą rocznicą ślubu. Miał już dosyć insynuacji, że wszystko, co robi, jest reakcją na zerwanie – nawet jeśli po jej odejściu sam nieumyślnie przyzwyczaił całe miasteczko do swoich przesadnych reakcji.

Ale Deenie o tym nie wiedziała. I nie ukrywała swojej antypatii do niego, więc nie musiał się przejmować, że będzie mu współczuła.

– Wszystkim kobietom, z którymi zostałem skojarzony, wydaje się, że dzisiaj jest najlepszy dzień do nawiązania rozmowy.

Telefon znowu zabrzączał, a jasne brwi Deenie wygięły się w łuk.

– A dużo masz tych dopasowań?

– Jestem na wielu aplikacjach – odparł defensywnie. – Nie wiedziałem, które są najpopularniejsze w naszym regionie. Nie robiłem tego od wielu lat, więc chciałem się zabezpieczyć.

Deenie uśmiechnęła się szeroko, w jej oczach pojawiły się ogniki szczerego zainteresowania.

– O ilu dokładnie dziewczynach mówimy?

– To nie są dziewczyny, tylko *dopasowania*. Przyszłe potencjalne partnerki.

– Aha. A ile ich jest?

– Nie wiem. – Connor szybko policzył w myślach zestawienia z różnych aplikacji. – Siedemdziesiąt?

Deenie zakrztusiła się wodą.

– Wow! Chyba zaczynam rozumieć. – Uniosła szklankę w kierunku jego muskularnego ciała; ten gest sprawił, że jego policzki zapłonęły. – I dlatego tyle ćwiczysz? Robisz rzeźbę dla swojego haremu?

Connor odepchnął od siebie ten niemile widziany komplement, bo nie chciał, by pochlebiali mu jej rzeczowe wyrazy uznania.

– Ćwiczenia rozjaśniają mi umysł.

– I jestem w stu procentach przekonana, że to nie ma nic wspólnego z twoją próżnością.

Connor zmrużył oczy.

– Nie jestem próżny.

Owszem, lubił dobrze wyglądać. Lubiał, kiedy kobiety się za nim oglądały lub rumieniły, napotykając jego spojrzenie. Odczuwał zadowolenie, wiedząc, że robi wrażenie. Ale z pewnością nie był *próżny*.

– Och, daj spokój. Uwielbiasz być takim męskim okazem. Przyznaj się.

Connor uniósł brwi.

– A więc jestem męskim okazem?

Deenie przewróciła oczami z taką energią, że cała jej buzia zatoczyła koło.

– Jesteś niezaprzeczalnie seksowny. Ale nie zadzieraj nosa, bo to nie zmienia faktu, że nadal pozostajesz fiutem.

– Dzięki Bogu. Przez chwilę myślałem, że porwali cię kosmici i zastąpili klonem.

– Bardzo śmieszne.

Powiedziała to tak beznamiętnym i suchym jak pieprz tonem, że musiał stłumić śmiech. Lubiał te ich wzajemne docinki. Dzięki nim czuł się bystry, inteligentny i żywy. I przede wszystkim czuł się facetem miliony lat świetlnych odległym od tego beznadziejnego gościa, którego opuściła Monica.

– Chcesz się u mnie trochę poukrywać? – zapytał pod wpływem impulsu. – Może zamówimy pizzę i obejrzymy jakiś superkrwawy horror?

– Nie planujesz spędzić walentynek z którąś z pań ze swojego haremu?

– Boże, nie – jęknął. – Walentynki są zbyt romantyczne na pierwszą randkę. Dlaczego uważasz, że ignoruję telefon? To tylko całkowite zaciemnienie komunikacyjne. Moje zabezpieczenie.

Deenie ze złością zmarszczyła brwi, które przybrały kształt niepasujący do jej drobnej buzi wróżki.

– Poczekaj, to znaczy, że nie zamierzasz odpisywać? Chcesz olać te wszystkie samotne babki, które w tym najbardziej romantycznie ohydny dzień roku tylko próbują zyskać nadzieję na przyszły związek?

– Właśnie dlatego nie odpisuję. W walentynki wszystko jest rozdmuchane i traci zwykłe proporcje. Muszę mieć pewność, że nikt nie będzie sobie zbyt wiele obiecywać po zwykłym „cześć”.

– Ponieważ kobiety to napalone wariatki, które tylko czekają, by w akcie rozpaczy przyssać się do ciebie swoimi mackami, bo odezwałeś się do nich czternastego lutego?

– Bo zamierzam się ożenić z jedną z nich i chcę oszczędzić przykrości pozostałym.

Zmarszczone brwi Deenie wygięły się w ostry łuk.

– Chcesz się teraz ożenić?

Connor poczuł, że płoną mu policzki.

– Kiedyś zamierzam to zrobić. Taki mam cel. – Nie mógł uwierzyć, że się wygadał. – Cała sprawa z randkami sprowadza się do tego, żebym potem nigdy więcej nie musiał tego robić. – Nie pomyślałem, że nie powinienem zakładać profilu przed walentynkami, ale terminy mnie gonią.

Ale jeśli miał być wobec siebie całkiem szczerzy, to udzieliły mu się niektóre z tych sentymentalnych bredni Bena, więc pomyślał, że ma szansę, aby któreś z tych aplikacyjnych dopasowań okazało się strzałem w dziesiątkę. I wyobrażał sobie, że spędzi walentynki z tą Jedyką.

Tylko że ta Jedyna się nie pojawiła. Było za to siedemdziesiąt „być może”. A im więcej dopasowań się pokazywało, tym nadzieja na znalezienie tej Jedynej stawała się coraz bardziej przemożna.

– Masz termin na zawarcie małżeństwa, żeby odziedziczyć wielką posiadłość po ekscentrycznym wujaszku?

Connor zamrugał ze zdziwieniem i z niezadowoleniem wrócił do rzeczywistości.

– Że co?

Dennie uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie na twarzy Connora. Wyglądał na oszołomionego. Szukała odpowiednich słów i w końcu powiedziała:

– Czytam setki powieści romantycznych i tam pojawia się całkiem dobry motyw. Przymusowe małżeństwo z rozsądku, ale pod warunkiem że bohaterowie są w sobie szaleńczo zakochani, a osoba, z którą zawierają to małżeństwo dla pieniędzy, znaczy dla nich więcej niż jej majątek, a potem żyją ze sobą długo i szczęśliwie, najczęściej w bogactwie.

Skonsternowany Connor pokręcił głową.

– W prawdziwym życiu tak się nie zdarza. I nie jestem pewien, czy taka klauzula dziedziczenia jest do końca legalna.

– To tylko kwestie techniczno-prawne. Wolę wierzyć, że takie rzeczy się zdarzają. A więc jaki termin sobie wyznaczyłeś?

Connor się skrzywił, co sprawiło, że przez milisekundę dołeczki w jego policzkach były jeszcze bardziej widoczne.

– Nie chodzi o termin. Po prostu... chcę mieć partnerkę, żeby znaleźć równowagę między pracą a życiem osobistym. Jeśli będę pojawiał się z dziewczyną na spotkaniach towarzyskich mojej kancelarii, zyskam w oczach partnerów. Pokażę im, że nie jestem wyłącznie wołem roboczym.

– Wynająłeś mnie, żebym zajęła się twoim psem, bo nie jesteś w stanie oderwać się na piętnaście minut od komputera, żeby zrobić to sam, a teraz mówisz, że szukasz żony, by udowodnić, że nie jesteś całkowicie pochłonięty pracą?

– Nie chodzi o to, że nie mogłem znaleźć czasu. Wynająłem cię, bo jesteś kompetentna. Jesteś ekspertką.

– Nie do końca...

– Ale to działa. Max zachowuje się coraz lepiej. Dzięki temu mogę się skupić na swoich celach. I nie szukam żony z powodu pracy. Doszedłem do wniosku, że to już najwyższy czas.

– Jakie to praktyczne. Miłość zgodnie z harmonogramem.

– Miłość zawsze pojawia się zgodnie z harmonogramem. – Connor nie dawał za wygraną. – To nie bajka. Prawdziwa i trwała miłość polega na tym, by znaleźć osobę, która jest z tobą kompatybilna i każdego dnia stara się utrwalać więzi. To wybór, a więc musisz go dokonać. Ale muszę szybko kogoś znaleźć, bo potrzebuję osoby towarzyszącej na imprezach charytatywnych i spotkaniach firmowych, bo to moja praca.

– Kurde, Connor, jesteś niepoprawnym romantykiem.

– Nie twierdzę, że romans nie istnieje – ta cała chemia, wzajemne przyciąganie, grom z jasnego nieba, którymi ekscytują się poeci – ale nie chodzi wyłącznie o pożądanie. Nie twierdzę, że nie jest ważne, ale nie gwarantuje trwałości związku. Gwarantuje ją wyłącznie kompatybilność.

Deenie skrzywiła się z dezaprobatą.

– Masz listę i odhaczasz na niej cechy charakteru, które ci odpowiadają, prawda?

Twarz Connora była niczym migający neon potwierdzający jej słowa.

– Musisz wiedzieć, czego chcesz, co ma dla ciebie znaczenie, na jakie kompromisy jesteś gotowa, i eliminować niepożądane czynniki.

– Poważnie znalazłeś siedemdziesiąt kobiet odpowiadających twoim kryteriom? – zapytała Deenie.

Była zdziwiona, że przy tak długiej liście wymagań znalazł kogokolwiek.

– Nie miałem okazji omówić wszystkich punktów z każdą z nich – przyznał. – O niektórych sprawach lepiej porozmawiać osobiście. Chodzi o bezpośrednie porozumienie. Kompatybilność podczas rozmowy w cztery oczy. Czy cały czas gapi się w smartfona, czy angażuje się w rozmowę.

– A może jej najlepsza przyjaciółka jest w dziewiątym miesiącu ciąży i czeka na wiadomość, że zaczął się poród, i musi pędzić do szpitala.

– W każdym razie mam nadzieję, że moja przyszła żona będzie w stanie mi to wyjaśnić. Nie wymagam chyba zbyt wiele, oczekując, że zjem kolację z kobietą, która będzie patrzyła na mnie, a nie na jakieś elektroniczne urządzenie.

Deenie uświadomiła sobie, że w trakcie tego sporu cały czas patrzą sobie w oczy. Chociaż stoją po przeciwnych stronach wyspy kuchennej.

Zakołysała się na obcasach i odwróciła wzrok. Spojrzała na telefon Connora, który znowu zawibrował.

Zmarszczyła brwi, nie spuszczając wzroku z zakłócającego spokój urządzenia.

– Nadal twierdzę, że powinieneś niektórym odpisać. Nie wszystkim, rzecz jasna. Tylko tym z topowej piątki. Nie bądź złamasem, który je olewa w dzień zakochanych tylko po to, by udowodnić, że ich kiepski stan emocjonalny nie ma dla niego żadnego znaczenia. Jesteś to winien swojej przyszłej żonie, nie sądzisz?

Connor zacisnął usta, a potem odpowiedział z niechęcią:

– Może to dobra rada.

– Widzisz? Nie jestem całkowicie bezużyteczna.

– Wiem o tym. Ale i tak nie zamierzam umówić się dzisiaj z żadną z nich.

Pochwycił jej spojrzenie.

– Pizza?

Z jakiegoś powodu nie była jeszcze gotowa, by wyjść.

– Super. I do tego najbardziej krwawy horror, jaki uda nam się znaleźć.

ROZDZIAŁ 11



Maximus się obudził, zanim dotarła pizza. Connor wskoczył pod prysznic, a Deenie w tym czasie składała zamówienie. Pojawili się jednocześnie, roztaczając obłądny zapach – jego źródłem oczywiście był Connor, a nie Maximus.

– Cześć, szczeniaczku – zagruchała Deenie, ukrywając, że tak naprawdę ślini się na widok jego pana.

Connor znowu się naburmuszył.

– On już nie jest szczeniakiem. Weterynarz ocenił, że ma mniej więcej dwa lata.

– Ale zawsze będzie szczeniakiem. Prawda, skarbie? – zapała z zachwytem, co nieuchronnie mogło doprowadzić do jałowej dyskusji na temat wieku kwalifikującego psa do bycia szczeniakiem, ale przynajmniej powstrzymało ją od spoglądania na Connora pożądliwym wzrokiem.

Ponieważ dostawa pizzy z miejscowości wypoczynkowej trwała wieki, Deenie postanowiła wykorzystać ten czas, by podszkolić Maxa i Connora w chodzeniu przy nodze – realizowała w ten sposób jeden z ustalonych wcześniej warunków umowy. Connor narzekał, że poprawia go częściej niż Maximusa – i wcale się nie mylił – ale wyjaśniła mu, że to on rządzi w tym układzie, a nie Max, więc Connor w końcu się przymknął i zaczął jej słuchać.

Nie było tak źle, jak myślała. Na jutrzejszych zajęciach ta dwójka nie powinna zakłócać spokoju.

Kiedy dostarczono pizzę, Deenie i Connor zasiedli na kanapie w pokoju telewizyjnym, zajadając się pysznym ciastem. Max próbował wcisnąć się między nich, ale Deenie osadziła go jednym warknięciem, więc położył się u ich stóp.

Connor popatrzył na nią z takim podziwem, jakby zamieniła wodę w wino.

Film, który wybrali, okazał się umiarkowanie straszny, ale dzięki niemu Deenie szybko zdobyła cenne informacje o Connorze.

Był skrytym krzykaczem.

Najpierw chrząkał zirytowany, gdy jeden z głównych bohaterów mówił lub robił coś głupiego – ale gdy skończyli jeść pizzę, a Maximus ułożył się między nimi na kanapie – z łbem na kolanach Deenie i tylnymi łapami na nogach pana – Connor zaczął zrzędliwie komentować akcję.

Deenie zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać, irracjonalnie rozbawiona zniesmaczeniem Connora. Miała wrażenie, że wszystkie usterki filmu – a było ich wiele – traktuje jak osobistą zniewagę. Ale to jego rozdrażnienie było niezwykle urocze.

– No dlaczego? – warknęła zniecierpliwiona i na tyle głośno, że przestraszył pochrapującego Maximusa.

– Dlaczego nie wracasz do domu? – krzyknął. – Przecież masz samochód. Po prostu odjedź!

Deenie nie była w stanie do końca powściągnąć wybuchu śmiechu.

Pochwyciła rozpalone spojrzenie Connora, a on przeszył ją takim wzrokiem, jakby sama napisała scenariusz.

– Uważasz, że to zabawne? – zapytał.

– A nie? – zachichotała.

Jej śmiech sprawił, że jego rozwścieczona mina złagodniała, bo zdał sobie sprawę, że się zagalopował. Dołeczki w jego policzkach uwidoczniły się w lekkim grymasie.

– Denerwuję się, gdy oglądam film bez sensu.

– Zauważyłam.

– Poważnie? Ale dlaczego? Czemu wróciła do tego domu?

– Bo potrzebowali piętnastu minut, żeby ten zły facet zdążył zabić główną bohaterkę? Gdyby odjechała i wezwała gliny, byłoby mniej dramatycznie.

– Ale to irracjonalne.

– Niech no zgadnę. „Irracjonalność” to jeden z punktów na twojej romantycznej liście, który uniemożliwi ci zawarcie umowy.

– Nie chodzi o żadną romantyczną listę – upierał się. – Ważne jest to, czego się pragnie.

– O Boże! – krzyknął w kierunku ekranu. – Poważnie? Weź ten nóż! Nóż, kobieto!

– Wyrzucili cię kiedyś z kina? – zapytała Deenie.

– Nie chodzę do kina – odrzekł, nie spuszczać wzroku z ekranu. – To strata pieniędzy. Mogę obejrzeć film w domu z własnym popcornem i colą za niewielką cenę. I nie muszę czekać w kolejce ani jeździć do multipleksu. To źle?

– Poza tym, że to fajne? Bo gdy jesteśmy w kinie pełnym ludzi, razem się śmiejemy i płacemy, to czujemy, że jesteśmy częścią pewnej społeczności i wspólnie coś przeżywamy? A gdy oglądamy film na DVD, to już wiemy, co się wydarzyło?

– Nie zaglądam na portale społecznościowe, więc nie muszę się martwić o spoilery.

Deenie zamrugła, zastanawiając się, czy Connor kiedykolwiek widział zdjęcia swojej byłej narzeczonej.

– A więc nie masz żadnych złych nawyków? – zapytała.

Connor zawsze wszystko kontrolował. Tak naprawdę nie było w tym nic złego. Dzięki tej kontroli ćwiczył swoje ciało. A to wyćwiczone ciało spoczywało teraz ubrane w dresy na drugim końcu kanapy i naprawdę nie miała mu nic do zarzucenia.

– Faktycznie pijesz colę i jesz popcorn? – zapytała, bo Connor sprawiał wrażenie osoby, dla której ciało jest świątynią.

– Nie, ale jeśli masz ochotę, to znajdę coś w spiżarni. Mac zawsze przynosi śmieciowe żarcie, gdy gramy w pokera.

– No tak, te słynne pokerowe wieczorki.

Connor spojrzał na nią kątem oka.

– Słynne?

– Ally mi o nich opowiedziała. Duża sprawa. Sam testosteron.

– To nasza tradycja. Próbuje ją wskrzesić. To część moich noworocznych postanowień.

– Connor połaskotał Maximusa po brzuchu. – Do tego adopcja tego gościa, awans w firmie i małżeństwo.

Powiedział to tak niezobowiązująco. Jakby pewnego dnia nagle postanowił, że się ożeni. Życie w świecie Connora z pewnością było dziwne.

– Nie kupuję tych noworocznych postanowień – powiedziała od niechcienia Deenie, gdy bohaterka filmu próbowała wspiąć się po schodach, by umknąć przed mordercą, który łąpał ją za kostki.

– Jeśli naprawdę chcesz rozwiązać jakiś problem, to czy jest ci do tego potrzebny konkretny dzień?

– Wtedy masz pretekst, żeby zrobić to w określonym terminie. Szczerze mówiąc, bardziej mi odpowiada Dzień Świstaka. W styczniu jestem zbyt zajęty i zapominam o swoich planach. *Zastrzel go!*

– zawołał do aktorki.

Ale ona uparcie nie chciała się zastosować do jego wskazówek.

– Właśnie o tym mówię – argumentowała Deenie. – Ludzie planują, zamiast działać. Obiecujesz sobie, że coś zrobisz, ale nigdy tego nie robisz. Tak bywa z ludźmi, którzy mi zazdroszczą, że byłam w Paryżu, Tajlandii albo w jakimkolwiek innym miejscu z ich listy rzeczy, które muszą zrobić przed śmiercią, i chociaż większość z nich na to stać i mogliby tam polecieć nawet jutro, to tego nie robią. Zostają w domu i planują, że kiedyś to zrobią.

– No wreszcie! – wrzasnął Connor, gdy bohaterka w końcu opróżniła cały magazynek i sięgnęła po siekiere, by dobić złoczyńcę. – Nie mów, że jestem facetem, który wyłącznie planuje – powiedział.

– Teraz jestem bardzo aktywny, ściągnąłem te wszystkie aplikacje i nawet umówiłem się na pierwszą randkę.

– Naprawdę? – Deenie poczuła, że jej kręgosłup staje na baczność, ale wmówiła sobie, że to tylko ciekawość. Za nic w świecie nie chciała być zazdrosna o Connora. – I jak poszło?

Milczał, wpatrując się w heroinę stojącą nad pozbawionymi głowy zwłokami czarnego charakteru. W końcu potrząsnął głową i burknął:

– Niezbyt dobrze.

Potrzebowała chwili, żeby się zorientować, że mówi o randce, a nie o filmie.

– Nie?

Nie miała żadnego powodu, by znaleźć pociechę w tym stwierdzeniu. Z jednej strony nie była zainteresowana randkami z Connorem, a z drugiej nie pogardzała nim na tyle, by życzyć mu nieszczęśliwego życia w samotności. Powinna mu raczej kibicować i życzyć udanych randek.

– A co się stało?

– Było jakoś dziwnie.

– Niektórzy denerwują się na pierwszych randkach...

– Nie chodzi o tę kobietę. To moja wina... – Głośno wciągnął powietrze, na ekranie przewijały się napisy końcowe, więc nie mógł już udawać, że ogląda film. – Przeżyłem ciężkie rozstanie, więc teraz wypatruję znaków ostrzegawczych, żeby nie trafić na taką kobietę jak moja była. Każda wspólna cecha to dla mnie czerwona flaga, ale jeśli te kobiety nie mają z nią nic wspólnego, to nie mają również nic wspólnego ze mną. A nie da się układać życia z osobą, z którą nie znajdujesz wspólnego języka. Mój związek z byłą narzeczoną miał sens, nasze rozstanie nie miało sensu, więc teraz mam poczucie, że nie mogę zaufać samemu sobie.

Deenie poczuła w klatce piersiowej ucisk współczucia.

– Daj mi telefon – poprosiła.

– Co takiego? W żadnym wypadku. – Na twarzy Connora pojawił się wyraz dezaprobaty.

– Tylko sprawdzę twoje dopasowania. Nie ufasz sobie, więc pozwól, że zabawię się w swatkę. A jeśli coś pójdzie źle, przynajmniej będziesz miał na kogo zwalić.

Connor milczał trochę dłużej, niż powinien, roztrząsając propozycję Deenie, ale w końcu pokręcił głową.

– Nie zgadzam się. Stanowczo.

Deenie wzruszyła ramionami, niezrażona odmową.

– Jak chcesz.

To była właśnie jedna z tych rzeczy, która sprawiała, że przebywanie z Deenie było takie nieskomplikowane. Żadne z nich nie dbało o to, co pomyśli drugie, więc nie byli przewrażliwieni na własnym punkcie. Connor nie musiał uważać na słowa ani udawać, że nie jest facetem, który daje upust frustracjom, oglądając głupi film.

Walentynki z Deenie były zaskakująco zabawnym przeżyciem. Oczywiście miał jeszcze inną opcję w postaci „Walentego” Maximusa.

– A zamierzasz odpowiedzieć przynajmniej niektórym? Zaufaj mi. Chyba nie chcesz być facetem, który codziennie rozmawiał z tymi kobietami, a w walentynki zniknął w tajemniczy sposób?

– Wiem – mruknął Connor. – Po prostu nie mam pojęcia, co miałbym im powiedzieć.

– Cokolwiek. Najgorsze jest milczenie, bo wynikają z tego tylko kłopoty. Gwarantuję, że co najmniej pięć kobiet wierzy, że jesteś na randce z kimś innym, a wśród nich może się znaleźć też i taka, która pomyśli, że jesteś żonaty.

Connor popatrzył na Deenie, na jej różowy kucyk Pebbles i mądre niebieskie oczy.

– Umawiasz się z kimś? – zapytał. – Nigdy cię z nikim nie widziałem.

– Jestem szczęśliwą singielką. Z wyboru bez faceta. Najbardziej lubię randki z terminem ważności: umawiam się z kimś, gdy znam termin wyjazdu, na przykład wylotu do Stanów, bo to gwarantuje, że za bardzo się nie przywiążę. Żadnych rozczarowań ani niespełnionych oczekiwań. Tylko zabawa. Ale słucham moich koleżanek randkujących w tradycyjny sposób i, jak już mówiłam, czytam tony romansów, w których jest wszystko o związkach, a na dodatek różne tajne informacje na temat kobiecego umysłu. Powinieneś spróbować. To nieograniczony dostęp do terytorium wroga.

– Nie traktuję tego jak wojny. I nie mam czasu na czytanie.

Deenie westchnęła ciężko.

– To najsmutniejsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałam. A powiedziałaś mi wiele smutnych rzeczy, Princeton.

– Yale – przypomniał.

– Co za różnica.

Max jęknął, zszedł z kanapy i zwałił się na swoje posłanie, pozwalając Deenie i Connorowi na odzyskanie czucia w nogach. Dziewczyna natychmiast podkurczyła nogi przyodziane w żółte legginsy i obróciła się twarzą do Connora.

– Opowiedz mi o swoich faworytkach.

– Moich faworytkach?

– O ulubionych dopasowaniach. Nie daj się prosić. Pomóż mi trochę. Kogo lubisz najbardziej? Podniósł dłoń, żeby ją uciszyć.

– Nie potrzebuję trenerki.

– Moim zdaniem potrzebujesz, skoro zamierzać ignorować cały harem, dopóki nie skończą się walentynki.

– To nie jest żaden harem.

– Jasne, to twoje *dopasowania*. Masz jakieś faworytki?

Spiorunował ją wzrokiem, ale to jej nie przstraszyło, więc tylko się uśmiechnęła – różowa, brokatowa i obojętna na jego humory.

– Dobra – warknął i zaczął szybko wymieniać imiona: – Sarah, Ashley, Piper, Jennifer, Noor, Ashley...

– Och, chyba naprawdę musisz lubić tę Ashley, bo wymieniłeś ją dwa razy.

– To dwie różne Ashley. Może nawet trzy, ale te dwie z czołówki stawki to Ashley ze Stowe i Ashley z New Hampshire.

Deenie wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami pełnymi podziwu.

– Masz trzy Ashley? To nawet lepiej niż gość z *Kawalera do wzięcia*. No dobra, co ci się podoba u tych Ashley, które są najwyżej w klasyfikacji. Jakby co, to jestem w stu procentach pewna, że masz taką klasyfikację. Co lubisz na przykład u Ashley ze Stowe?

Connor się skrzywił, ale grał dalej. Tylko głupiec nie chce przyjąć pomocy, kiedy jej potrzebuje, a on musiał przyznać, że nie jest teraz w najlepszej formie.

– Ma trzydzieści cztery lata, więc nie jest już dzieckiem. To bardzo ważne. Nie pali i nie bierze narkotyków. Pije towarzysko, ale nie ponad miarę...

– Ciekawe, kto się przyznaje na profilu randkowym, że dużo pije?

Trafiła w sedno, ale Connor mówił dalej, nie zwracając uwagi na jej słowa.

– Nie ma dzieci, ale chce mieć. Nigdy nie była mężatką, ale chce wyjść za mąż. I zarabia mniej więcej tyle co ja...

– A więc nie musisz się martwić, że będzie z tobą tylko dla kasy.

Connor spochmurniał.

– Przynajmniej wiem, że mamy podobne cele i wyznajemy podobne wartości.

– Kasa rządzi?

– Bezpieczeństwo i stabilność finansowa są bardzo ważne. Chcę mieć pewność, że nie będę musiał kłócić się z żoną o pieniądze i lekkomyślne nawyki.

– To, że sporo zarabia, nie znaczy, że nigdy nie żyje ponad stan. Ja nie mam prawie nic, ale jestem jedną z najbardziej odpowiedzialnych finansowo osób, jakie poznałeś.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Deenie uśmiechnęła się, szczerząc zęby.

– Nie wątpię. A ja nie mogę uwierzyć, że te babki opowiadają ci, ile zarabiają.

– Nie wszystkie. Chcesz posłuchać o Ashley czy nie?

– O niczym innym nie marzę – powiedziała, rozkładając ręce.

– Jest agentką nieruchomości, więc przeprowadzka do Pine Hollow nie przeszkodzi jej w karierze.

– To niezwykle aroganckie z twojej strony zakładać, że przeprowadzi się do ciebie.

– Niczego nie zakładam. Tylko próbuję przewidywać przyszłe problemy. – Deenie nie uzasadniała dłużej swojego punktu widzenia, więc Connor mówił dalej. – Wszystkie zdjęcia na jej

profilu są eleganckie i z klasą. Spotkania dobroczynne, wydarzenia sportowe, rodzinne pikniki z małym siostrzeńcem, to pokazuje, że ma instynkt macierzyński. Żadnych barów ani roznieglizowanych fotek. Wszystko profesjonalne. Nienaganne i wytworne.

– Brzmi *wspaniale*.

Connor zmarszczył brwi.

– Nigdy nie wiem, czy mówisz poważnie, czy żartujesz.

– Nikt tego nie wie – oświadczyła radośnie. – To część mojej tajemniczej aury. A więc jaką walentynkową wiadomość przysłała ci Nienaganna, Wytworna i Elegancka Ashley?

– Nie. – Connor pokręcił głową, instynktownie odrzucając pomysł opowiedzenia Deenie o próbach flirtowania z Ashley w Internecie. To było zbyt krępujące. Nieodpowiednie. – Napiszę coś, obiecuję. Nie zerwę z nimi kontaktu w dzień zakochanych, ale nie chcę, żebyś zabawiała się w Cyrana de Bergeraca i mówiła mi, co mam robić. Poradzę sobie.

Wzruszyła ramionami.

– Jak uważasz.

– Prawdę mówiąc, jestem w tym dobry, tylko muszę wpaść w rytm.

Deenie parsknęła śmiechem.

– Jestem pewna, że kobiety nie narzekają.

– Co ty powiesz? – Connor spojrzał na nią wilkiem. – Jakie to dojrzałe.

– Dojrzałość jest przereklamowana. Wszyscy się zachowują, jakby bycie dorosłym zasługiwało na medal za odwagę, ale to wyłącznie kolejny sposób oceniania ludzi. Wiem, że młodo wyglądam, ale w tym roku skończę trzydzieści lat. A wszyscy traktują mnie jak dziecko.

– Wystarczy, żebyś się nie ubierała, jakbyś splądrowała szafę przedszkolaka.

Connor wyciągnął rękę i strzepnął różowy pukiel, który wymknął się z kucyka.

– A więc skoro lubię jaskrawe kolory i błyskotki, to automatycznie muszę być nieodpowiedzialna? Bzdury. Baw się tym, co sprawia ci przyjemność.

Deenie wierciła się na kanapie, robiła to przez cały wieczór. Poprawiała się, kręciła, jej drobne ruchy przez cały czas przyciągały jego uwagę.

– Nie możesz usiedzieć w miejscu, co?

– Bawi cię to?

– W życiu nie chodzi o zabawę.

– Nie chodzi też wyłącznie o pracę. Zabawa jest niezbędnym składnikiem życia, a ludzie, którzy nie wiedzą, jak się bawić, powinni bardziej doceniać tych, którzy wnoszą radość w ich życie.

– Potrafię się bawić.

– Zauważyłam. Przekrzykując innych ludzi. *Bardzo dojrzałe*.

– Nikogo nie przekrzykuję.

– Oczywiście, że nie. – Uśmiech Deenie był anielsko protekcjonalny.

Connor obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

– Mam trudności z bagatelizowaniem irracjonalnych zachowań.

– Może cię to zszokuje, ale ludzie mogą niekiedy zachowywać się irracjonalnie. Zwłaszcza jeśli są przestraszeni lub zestresowani. Jestem przekonana, że również byłabym zestresowana, gdyby ścigał mnie psychopata z siekierą.

– Lubię oglądać horrory, w których główny bohater potrafi poradzić sobie w kryzysowej sytuacji.

– Chyba mówisz o „filmach akcji” – odrzekła Deenie, zaznaczając palcami znak cudzysłowu.

– Główny bohater jest twardzielem wyposażonym w różne gadzety, które pomagają mu pokonać czarny charakter. Weźmy na przykład *Szklaną pułapkę*. Albo *Obcego*.

– Czyli twierdzisz, że nieudolność to podstawowe założenie horroru, a film przestaje być horrorem, gdy główny bohater nie jest idiotą?

– Twierdzą tylko, że główna postać, która nie ma arsenału w piwnicy i musi się bronić przed jakąś nadprzyrodzoną siłą jedynie za pomocą własnych umiejętności i dostępnych w domu narzędzi, jest wspólnym elementem tego gatunku. Jesteś oburzony jej nieudolnością, bo wszyscy identyfikujemy się z bohaterami horrorów. A raczej wątpię, czy ktokolwiek utożsamia się z bohaterem *Mission impossible*.

W filmach akcji widzimy gościa, który wykazuje się nadludzkimi umiejętnościami, jest wyluzowany i radzi sobie z każdym kryzysem: to strzelec wyborowy i mistrz kung-fu, wyposażony w przeróżne odjazdowe sprzęty. Nigdy się nie poci, flirtuje z kobietami i prawdopodobnie ma socjopatyczne skłonności, bo nie wzrusza go śmierć pięknej dziewczyny, która umiera na jego oczach, mimo że był z nią emocjonalnie związany.

Deenie podała dobre argumenty, ale Connor nie zamierzał przyznać się do porażki.

– Jasne, masz rację, ale to bardzo względne podejście, bo brak kompetencji bohaterów obraża publiczność.

– A może jej pochlebia. Przypomina, że jesteśmy sprytniejsi. Chcemy wierzyć, że my na pewno przetrwalibyśmy filmowy koszmar, a więc skoro jesteśmy mądrzejsi niż bohater, który jakimś cudem w końcu pokonał zabójcę, bardzo nam się to podoba. Bo jesteśmy próżni. I dlatego oglądamy horrory, chociaż doprowadzają nas do szału, prawda? Czujesz się mądrzejszy od innych?

Connor posłał jej jeden ze swoich najbardziej aroganckich uśmieszków.

– Zawsze czuję się mądrzejszy od innych.

Deenie wybuchła śmiechem.

– Taa... Już to zauważyłam.

Przez chwilę uśmiechali się do siebie, a po chwili Connor zdał sobie sprawę, jak bardzo jest odprężony, jak dobrze się teraz czuje we własnej skórze.

To uczucie od dawna było mu obce. Zawsze i bez żadnych wątpliwości wiedział, kim jest, ale w ostatnim roku, gdy go teraz analizował, zaczynał czuć, że przespał swoje życie. Jakby nie był już tą osobą, którą zawsze był. Chciał odzyskać swoją osobowość, a więc planował wkroczyć na dobrą drogę. I w jakiś dziwny sposób spieranie się z Deenie, która w żaden sposób nie odpowiadała jego standardom, coś w nim poruszyło.

Może dlatego, że przebywanie z nią nie zmuszało go do bycia akuratnym czy jakoś tak, ale po prostu do bycia sobą. I dlatego nie był gotowy, by już wyszła, gdy w końcu przestała patrzeć mu w oczy i wstała.

– Chyba muszę już iść. Masz mnóstwo roboty z tymi dopasowaniami.

– Bardzo się cieszę, że przyszedłaś – powiedział, wstając. – Świetnie się bawiłem.

– Ja też – przyznała Deenie, odrobinę zaskoczona. Myślała, że Connor się obrazi, ale on był równie zdziwiony jak ona.

– Ale nigdy w życiu tego nie powtórzymy.

– Broń Boże – zapewniła go z udawanym przerażeniem, wywołując uśmiech na jego twarzy.

Maximus się ruszył i odprowadził ich do wyjścia. Connor chwycił psa za obrozę, by go przytrzymać, a potem otworzył drzwi przed Deenie. Do domu wdarł się podmuch zimnego powietrza, słońce już zaszło i zapadła noc. Na niebie nisko wisiał księżyc w pełni.

Nie mogło być bardziej romantycznie.

Deenie zadrżała z zimna i podrapała Maxa za uszami.

– Do zobaczenia, psiaczku – rzuciła, nie zaszczycając Connora ani jednym spojrzeniem, dopóki nie zeszała z ganku, a światło księżycy nie rozjaśniło różowych pasemek w jej włosach. – Trzymaj się, Princeton.

– Yale.

– Aha. Powodzenia z haremem.

Nie patrzył, jak odchodzi. Zamknął drzwi, poszedł do kuchni i zajął się sprzątaniem kartonów po pizzy. Był pewien, że zostały jakieś resztki – zważając na to, ile zamówiła – ale nie docenił, ile kawałków pizzy może zjeść tak drobna kobietka jak Deenie. Pozostały tylko niedojedzone obrzeża ciasta, które wrzucił do miski Maxa, a ten natychmiast je spałaszował.

Kuchnia w ciągu kilku minut stała się nieskazitelnie czysta, więc Connor nie miał już wymówki, by ignorować dźwięki powiadomień dochodzące ze smartfona.

Przewinął wiadomości, chciał jak najszybciej załatwić tę nieprzyjemną sprawę. Większość była zupełnie nieszkodliwa. Życzenia miłego dnia, walentynkowe pozdrowienia, GIF-y i emotikony. Nic, czego trzeba by unikać. Niepotrzebnie przesadzał, nadając walentynkom zbyt wielkie znaczenie.

Nadal jednak nie wiedział, co odpisać. Nie chciał mówić zbyt wiele. Nie chciał dać się wciągnąć w niepotrzebną wymianę zdań. Nie dzisiaj. Może mógłby napisać „Szczęśliwych walentynek”. I na tym poprzestać.

Zazwyczaj wiedział, jak postępować z kobietami, nigdy się nie przejmował, że powie lub zrobi coś nieodpowiedniego, ale chyba zapomniał, jak być beztrosko czarującym.

Telefon znowu zabrzęczał, sygnalizując SMS-a, lecz Connor nie przestał się wahać.

Deenie.

Gdy zobaczył jej imię, natychmiast odczytał wiadomość. GIF przedstawiający cukierkowe serduszka – takie same, jakie dostawał w walentynkowym koszyczku, gdy był w pierwszej klasie – wychodzące z pudełka w imitacji tańca conga. Uśmiechnął się szeroko i wtedy nadeszła druga wiadomość.

„Możesz to wysłać swojemu haremowi”.

Connor zamrugał. Świetny pomysł. Czarujący obrazek. Niezobowiązujący. Podtrzymujący kontakt.

I bezpieczny.

Podziękował Deenie, skopiował GIF-a i otworzył pierwszą aplikację.

ROZDZIAŁ 12



Gdy następnego ranka Deenie wysiadła z samochodu na osiedlu emerytów, usłyszała dzwonek komórki. Pogoda całkowicie się zmieniła. Po rześkiej i bezchmurnej walentynkowej nocy nastał szary dzień, a lodowata mżawka wzniosła go na wyższy poziom nieszczęścia. Zanurkowała do auta, by skryć się przed deszczem, i zaczęła szukać telefonu.

Gdy wygrzebała go z przepastnej czeluści torby i zobaczyła, kto dzwoni, zawahała się.

Kochała swoją siostrę. Naprawdę. Ale dziewięć rozmów na dziesięć kończyło się dla niej emocjonalnym kacem trwającym przez wiele godzin, a chciała być w najlepszej formie ze względu na Bitty.

Poza tym Kirsten prawie nigdy do niej nie dzwoniła. Musiało wydarzyć się coś naprawdę ważnego. Rodzice byli coraz starsi...

Szybko odebrała.

– Kirsten?

– Maleńka Deenie!

Dziewczyna już dawno przestała się przejmować przewiskiem z dzieciństwa. Brat i siostra, starsi od niej odpowiednio o osiem i sześć lat, nadali jej tę ksywkę, kiedy się urodziła. Najpierw nazywali ją Teenie Weenie Deenie, bo była maleńka, ale kiedy hitem stały się zabawki Beanie Babies, wymyślili nowe przezwisko.

Oboje wyjechali do college'u, gdy była jeszcze dzieckiem, więc w ich mniemaniu nadal pozostawała Maleńką Deenie. I nieważne, że metryka wskazywała na coś zupełnie innego, dla rodzeństwa nigdy tak naprawdę nie dorosła. Nie miała „prawdziwego” zawodu, hipoteki ani planu emerytalnego. Nie wspominając o poważnych i *dorosłych* związkach. Nie miało znaczenia, że zbliża się do trzydziestki. Nadal była Maleńką Deenie.

– Nie zgadniesz, co się stało – zapiała Kirsten wysokim głosem, jakim przemawia się do małych dzieci, a więc nigdy nie wahała się go używać, gdy rozmawiała z Deenie. – Todd się oświadczył!

– Wow! Gratulacje!

Kirsten umawiała się z Toddem od dwóch lat. Deenie powinna wiedzieć, że w końcu nadejdzie ten moment. Zwłaszcza w walentynki, ponieważ takie banalne oświadczyzny były akurat w guście jej siostry.

– Raczej nie jesteś zszokowana, prawda? Wszyscy, którym mówiłam, byli zachwyceni. Wiesz, „tym terminem”! Zwłaszcza że prawie z nim zerwałam, gdy nie zjawił się z pierścieniem w Boże Narodzenie. Ale czy można mnie winić? Dwa lata randkowania? W naszym wieku? Na co on czekał? Okazało się, że na walentynki! Czy to nie romantyczne? Już na zawsze zapamiętamy tę datę.

Podczas gdy większość ludzi oczywiście zapomina o swoich zaręczynach. Deenie skutecznie zdławiła ten złośliwy komentarz.

– Cudownie!

– To nie będzie długie narzeczeństwo. Mój zegar biologiczny nie ma zamiaru tykać w nieskończoność. Myślmy o lecie. Może czerwiec, najpóźniej lipiec. Oczywiście jesteś zaproszona na ślub. Obiecuj, że będziesz. Żadnych wyjazdów na Bora-Bora, żeby pływać z delfinami, ani nic w tym rodzaju.

– Och! Jesteś pewna, że chcesz mnie na swoim weselu? – Dużo ją kosztowało, żeby nie zapytać, czy matka dopuściła się szantażu i zmusiła Kirsten, by wybrała siostrę na druhnę. Albo, co gorsza, na dziewczynkę od sypania kwiatów. Czasem miała nieodparte wrażenie, że według Kirsten najlepiej nadaje się właśnie do tej roli.

– No jasne, głuptasie! Jesteś moją jedyną siostrą. Musisz przyjść na mój ślub.

Ale dlaczego? Żeby ludzie nie gadali?

– Nie obrażę się, jeśli nie będziesz chciała, żebym...

– Zostaniesz jedną z moich druzhen? – wtrąciła Kirsten ostrym tonem, którego zazwyczaj używają ludzie, pytając: „Ty potworze, naprawdę chcesz zamordować te słodkie, niewinne szczeniaczki?”

– Oczywiście, że tak. Po prostu... Chcę, żeby to był twój idealny dzień.

Rodzina Deenie zawsze jedną rzecz stawiała jasno: nie pasujesz do naszej definicji perfekcji.

– Małeńka Deenie, skarbie. To będzie idealny dzień. Ale pod warunkiem, że ty też tam będziesz.

Słowa Kirsten zabrzmiały szczerze, a Deenie poczuła się jeszcze bardziej podle i dziecinnie z powodu swoich wątpliwości.

– Przyjęcie zaręczynowe jest szóstego marca o ósmej wieczorem w Lodge. Od razu zapisz sobie w kalendarzu. – Kirsten przemawiała pełnym werwy, biznesowym tonem. Prawdopodobnie miała przed sobą listę rzeczy do zrobienia.

Ogłoszenie zaręczyn – odhaczone.

Żart o porzuceniu Todda – odhaczony.

Ślub latem (z powodu zegara biologicznego, cha, cha, cha) – odhaczony.

Zaproszenie na przyjęcie weselne – odhaczone.

Podanie daty zaręczyn – odhaczone.

– Zobaczą, czy dam radę – odrzekła Deenie, unikając konkretnej odpowiedzi.

Przez ostatnie kilka lat udawało jej się omijać rodzinne imprezy – wędrówka z plecakiem po Nowej Zelandii, która trwała trzy miesiące, okazała się znakomitą wymówką, by nie pojawić się na urodzinach czy rocznicach. Ale w Święta Bożego Narodzenia popełniła błąd, wyznając rodzinie, że pozostanie w Vermoncie kilka miesięcy. Mieszkała tylko godzinę drogi od nich.

– Deenie – skarciła ją Kirsten.

– Dobra. Będę. Tak wszystko załatwię, żeby się udało.

– Doskonale! – zaszczebiotała siostra. – Nie mogę się doczekać. Pa, kochanie!

Deenie siedziała w swoim volkswagenie, gapiąc się na przednią szybę połyskującą od mżawki. Ponury dzień idealnie pasował do jej nastroju.

Nie złościła się, że Kirsten wychodzi za mąż. Siostra była w stanie takiego upojenia, że mogła wyłącznie cieszyć się jej szczęściem. Ona i Todd bardzo do siebie pasowali – byli do siebie niemal zbyt podobni. Żyli we własnej „bańce”, mieli identyczne poglądy i nigdy się nie kłócili.

Deenie chciała, żeby siostra dostała to, o czym marzyła. Ale spotkanie z rodziną... to było skomplikowane.

Kochała ich. I wiedziała, że oni również ją kochają. Dlatego zawsze próbowali jej pomagać. Radzić. Sprowadzać na właściwe tory. Pokazywać, co może zrobić, żeby się do nich upodobnić.

Deenie już od dawna wiedziała, że najbliżsi nigdy nie będą postrzegać świata tak jak ona. Mogła jedynie pilnować, by uśmiech nie schodził jej z twarzy, i znosić pełną dobrych intencji krytykę, aż do chwili, gdy zaczynała odczuwać przemożną chęć ucieczki na Islandię, do Irlandii lub Indonezji, by tam odzyskać równowagę.

Ale tym razem... Zaręczyny w marcu. Ślub w czerwcu. Przyjęcia, wieczór panieński, przymiarki sukienek – czy będzie musiała w tym wszystkim uczestniczyć? I przez cały czas trwać na miejscu?

Miała dużo pracy w schronisku, chciała być z Bitty, dopóki ciocia miewała jeszcze dobre dni, ale myśl, że będzie musiała pozostać w Vermoncie aż do *czerwca*, wywołała nerwowe mrowienie karku. Szybko go więc roztarła, żeby odgonić panikę.

Godziny wizyt już się rozpoczęły, była spóźniona.

Wyskoczyła z samochodu i pobiegła do głównego wejścia, chroniąc głowę przed lodowatym deszczem. Woda spływała jej za kołnierz, aż dygotała z zimna i otrząsała się jak mokry pies.

Dzisiaj w recepcji dyżur pełniła Suzie Keep, wolontariuszka i instruktorka tańca, a Deenie przystanąła i zapytała, jak się miewa jej babcia. Poplotkowały przez kilka minut, a potem dziewczyna skierowała się do ośrodka stałej opieki. Tam znowu na chwilę się zatrzymała, by przywitać się z pielęgniarkami.

Gdy weszła do pokoju, Bitty siedziała przy oknie zapatrzona w szarość dnia. Ostatnio większość

czasu spędzała, wyglądając przez okno i obserwując pogodę. Nigdy nie przepadała za telewizją, a teraz – według relacji pielęgniarek – miała problemy ze śledzeniem fabuły. Za to kochała muzykę, więc Deenie przyniosła jej radio. Teraz, gdy obserwowała padający deszcz, towarzyszyły jej przeboje z lat czterdziestych i pięćdziesiątych nadawane przez stację SiriusXM.

– Cześć, ciociu – zawołała wesoło Deenie. Miała wypchaną torbę, jak zawsze pełną rzeczy, które chciała pokazać cioci – jedne miały ożywić jej pamięć, a inne stać się tematem do rozmowy, gdyby się okazało, że Bitty ma gorszy dzień i mówi sama do siebie.

Ale ciocia podniosła wzrok, a jej twarz rozjaśnił szeroki, znajomy uśmiech.

– Deenie!

Dziewczyna poczuła tak przemożną ulgę, że jej oczy wypełniły się łzami, więc uśmiechnęła się równie szeroko, a może nawet jeszcze szerzej, żeby to ukryć.

– Widzisz, jaka pogoda? – zapytała, nachylając się, by uściskać ciocię. Gdy poczuła obejmujące ją ramiona Bitty, walka ze łzami stała się jeszcze trudniejsza, więc jej wysiłki ostatecznie spełzły na niczym.

– Siąpiący deszcz – stwierdziła Bitty z niesmakiem. – Opowiadałam ci, jak pierwszy raz pojechałam do Paryża? Lało przez cały cholerny pobyt. Wszyscy piali z zachwytem, że to takie magiczne miasto, a jedyne, co z niego wyniosłam, to zdefasonowane od wody buty. I to miała być magia? Co innego Rzym. To dopiero była prawdziwa magia.

Deenie usiadła na krześle obok cioci, żeby posłuchać opisów światła na rzymskich placach i opowieści o podróżach skuterem, kiedy czuła się jak Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach*. Słuchała opowieści o Rzymie, które mieszały się Bitty ze wspomnieniami z Monaco. Słyszała już większość tych historii, ale każdy nowy szczegół był niczym skarb, więc chłonęła każde słowo.

Bitty była w tłumie gapiów na ulicach Monte Carlo, gdy Grace Kelly brała ślub z księciem Rainierem. Tę opowieść Deenie lubiła najbardziej, gdy była małą dziewczynką – od tego zaczęła się jej obsesja na tle królowien i księżniczek. Poleciała nawet do Anglii na ślub Williama i Kate. Opuściła wtedy zajęcia i zrezygnowała z egzaminu, ale niektóre rzeczy zdarzają się tylko raz, a ona chciała być ich częścią. Tak samo jak Bitty, kiedy miała dziewiętnaście lat.

Babcia cioteczna dorastała w czasie wojny, jej pierwsze wspomnienia ukształtowały tamte okrutne czasy. Z siostry Bitty, a babci Deenie, uczyniły osobę nadmiernie ostrożną i unikającą ryzyka, a z Bitty żądną przygód, gotową czerpać z życia pełnymi garściami i rozkoszować się wszystkimi jego smakami. Była zakląką swojego pokolenia, podobnie jak Deenie, która uchodziła za dziwoląga w swoim.

Bitty nigdy nie wyszła za mąż. Zwiedzała świat. Nauczyła się żeglować i pilotować samolot, zanim inne kobiety na to wpadły. Miała głowę wypełnioną wspomnieniami – wszystkie nadal tam były, nawet jeśli czasem nie potrafiła ich przywołać.

Deenie słuchała opowieści cioci przez ponad godzinę. W końcu Bitty zamilkła i uniosła głowę.

– Chyba nie przyszedł tutaj, żeby słuchać mojej gadaniny?

– Właśnie po to przyszedł – zapewniła dziewczyna. – Ale mam też dla ciebie nowinę. Kirsten się zaręczyła.

W bładoniebieskich oczach Bitty błysnęło zdziwienie.

– Nie! Mała Kirsten? Przecież jest na to za młoda. – Twarz cioci zasnuła mgła zapomnienia.

– Prawda, że jest jeszcze za młoda?

Jest starsza ode mnie, Bitty. Deenie nie próbowała poprawiać cioci. Wiedziała, że to tylko pogłębi mętlik w jej głowie.

– Jest wystarczająco dorosła. I bardzo podekscytowana – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła.

– To dobrze. Jest takim słodkim, kochanym dzieckiem. Zawsze wiedziałam, że się szybko ustakuje. Nie to co Deenie. Moja mała dzikuska. – Bitty pokręciła głowę z czułym uśmiechem, który świadczył o tym, że kompletnie nie rozpoznaje dziewczyny, która siedzi tuż obok.

Deenie przełykała łzy, smutek ścisnął ją za gardło. Poklepała dłoń babci ciotecznej.

– Pójdę już. Pewnie jesteś zmęczona.

Bitty przytaknęła i popatrzyła wilgotnymi oczami. Deenie jeszcze raz ją uścisnęła, trzymając w ramionach jak najdłużej.

To był dobry dzień. *Wspaniały*. Przebywały razem dłużej niż zwykle – *naprawdę* razem. Ale to nie zmieniało faktu, że Bitty coraz mniej była sobą. Może to ich ostatnie dobre chwile.

A więc nieważne, ile nerwów, zagryzania zębów i uśmiechów w czasie niekończących się imprez rodzinnych będzie ją to kosztowało. Zrobi to.

Musiała zostać. Wyjazd oznaczałby, że odpuściła. A na to jeszcze nie była gotowa.

ROZDZIAŁ 13



Dlaczego uznałem, że ubieganie się o urząd burmistrza to dobry pomysł? – jęknął Ben, stojąc przy scenie, na której za chwilę miał debatować z Tandy Watts, by sięgnąć po zaszczyt zarządzania Pine Hollow.

– Ponieważ masz patologiczną potrzebę rozwiązywania wszystkich problemów? I doprowadza cię do szału myśl, że przez cztery lata będziesz musiał patrzeć, jak ktoś inny robi bajzel w tym mieście? – pospieszył z pomocą Connor.

Mieszkańcy Pine Hollow tłoczyli się między rzędami krzeseł w sali teatralnej, wymieniając pozdrowienia i plotki. Dekoracje przygotowane do najbliższego przedstawienia – *Snu nocy letniej* – stanowiły niezwykle baśniowe leśne tło dla dwóch mównic ustawionych z przodu sceny, ale z pewnością nie była to najdziwniejsza sceneria dla imprezy miejskiej, jaką Connor widział w Pine Hollow.

Obok stała Astrid z Bażantem przystrojonym w muchę i opartym o jej goleń, Ally zaś przeciskała się między ludźmi, rozdając plakietki BEN WEST NA BURMISTRZA; jedną z nich Connor miał już przypiętą do piersi.

Gdzieś w tłumie Deenie robiła to samo, ale Connor zmusił się, żeby nie wypatrywać wymownych przebłyków różu.

Przez tydzień, który minął od walentynek, wiele się między nimi zmieniło. Connor coraz częściej wychodził z biura, gdy Deenie szkoliła Maxa. Najwyraźniej wystarczył mu jeden wspólnie obejrzany krwawy horror, by poczuł się całkowicie komfortowo w towarzystwie różowowłosej trenerki psów.

Nie zawsze rozmawiali. Czasem tylko patrzył, jak Deenie pracuje, dziwnie zadowolony, gdy Max dawał jej się we znaki, chociaż była wobec niego nieskończenie cierpliwa. Obserwując ją, doszedł do wniosku, że będzie wspaniałą matką – spokojną, cierpliwą, choć stanowczą. Nie żeby go to obchodziło.

Deenie była w ciągłym ruchu i nie zamierzała tego zmieniać. Nie miał ochoty jej gonić, ale stwierdził, że lubi zamieszanie, które wprowadza w jego życie. Myślał, że przerwy w pracy negatywnie wpłyną na jego produktywność, ale okazało się, że po wizytach Deenie w dziwny sposób przybywało mu energii, był bardziej skupiony i udawało mu się o wiele więcej zdziałać.

Może faktycznie potrzebował większej równowagi między życiem zawodowym a prywatnym.

Rozmawiali bardzo swobodnie. Bez troski. Podziękował jej za radę w sprawie cukierkowych serduszek – wysłanie GIF-a potencjalnym partnerkom okazało się zaskakująco dobrym pomysłem, z którego wyniknęło kilka zabawnych rozmów. Deenie wypytała go o dopasowania, które konsekwentnie nazywała Ashley bez względu na to, jak dziewczyny miały na imię. Ale najczęściej rozmawiali o Maxie.

Deenie zachęcała Connora, żeby zabrał Maxa na dzisiejszą debatę – co wynikało z punktu umowy dotyczącego imprez publicznych – ale w końcu oboje się zgodzili, iż nie mogą oczekiwać, że pies długo będzie grzeczny i że ostatecznie może zachować się niczym słoń w składzie porcelany. Zwłaszcza że oboje będą przecież zajęci wspieraniem kandydata.

Który akurat prezentował wytworną zieleń na twarzy.

– Zawsze to robię. – Ben potrząsnął głową, patrząc przed siebie, ale nie dostrzegając tłumu. – Podejmuję się niewykonalnych zadań, biorę na siebie więcej, niż jestem w stanie udźwignąć. Czekałem, aż skończy mi się kadencja w radzie miejskiej, i co? Chcę się wmanewrować na kolejne cztery lata?

Ally pojawiła się przy boku Bena, uśmiechnęła się promiennie i zachęcająco ścisnęła go za ramię.

– Rozdałyśmy wszystkie plakietki. Masz mnóstwo zwolenników. Jesteś gotowy?

– Trochę się waha – odpowiedział Connor.

– Wybory są mniej więcej za dwa tygodnie, a w środę rozwalamy kuchnię – jęknął Ben.

– A jeszcze nie zdążyliśmy opróżnić szafek. U Astrid w szkole jest wywiadówka, a my żyjemy na walizkach... Dlaczego w ogóle pomyślałem, że to dobry pomysł?

Ally natychmiast spoważniała.

– Wykonawca powiedział, że skończą remont przed twoim zaprzysiężeniem, ale nie o to chodzi, prawda?

– Wszystko w porządku? – zapytała Deenie, przyłączając się do towarzystwa, wpatrzona w jakiś punkt pomiędzy nimi.

Ally nawet na nią nie spojrzała.

– Ben, na pewno cię wybiorą. Ocaliłeś schronisko, naprawiłeś dach świetlicy i zrobiłeś dla tego miasta tysiąc innych rzeczy. Wszyscy o tym wiedzą.

Deenie chwyciła Connora pod ramię i delikatnie pociągnęła w stronę pierwszego rzędu.

– Chodź, Mac i Astrid zajęli nam miejsca. – Poczekała, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu Bena, i dodała cicho: – Przez cały weekend dziwnie się zachowuje. Nie sądziłam, że tak bardzo chce zostać burmistrzem.

– Zawsze wiele od siebie wymagał – powiedział Connor, licząc krzesła w pierwszym rzędzie, by się upewnić, że wystarczy miejsc dla całej grupy.

– On nie jest jedyny, panie „Za Wszelką Cenę Muszę Zostać Wspólnikiem”.

Rzucił jej gniewne spojrzenie i opadł na krzesło.

– To zupełnie coś innego.

– Skoro tak mówisz. – Deenie usiadła obok i natychmiast się obróciła, żeby komuś pomachać.

Błyszcząca smuga brokatu biegła od jej ucha do obojczyka. Iskrzący się akcent na smukłej, gładkiej szyi.

Zirytowany odwrócił wzrok.

– Dlaczego zawsze jesteś pokryta brokatem?

– Po południu miałam przyjęcie z królową. – Pochwyciła jego spojrzenie i z roztargnieniem dotknęła swojej szyi. – Jest jak piasek. Wszędzie włazi.

– A nie wydaje ci się, że po prostu za dużo go używasz?

Oczy Deenie zapłonęły udawanym przerażeniem.

– To bluźnierstwo.

Kiwnęła głową w kierunku sceny.

– Wygląda na to, że nasz kandydat przybrał swoją pokerową twarz.

Connor podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Ben był gotowy do szturmu, a Ally przez cały czas do niego przemawiała i podnosiła go na duchu. Connor ściszył głos, nie spuszczając z nich oka:

– Jak mają się sprawy z naszymi gruchającymi gołąbkami? Kiedy nie będziesz mogła już dłużej znieść tej egzaltacji, zawsze możesz się u mnie ukryć i pooglądać ze mną horrory.

– Uważaj, bo przyjmę twoją ofertę. Chociaż nie tyle chodzi o gruchanie, ile o to, że znowu mnie zwerbują do pomocy. Wczoraj niemal przez cały dzień krążyliśmy w tę i z powrotem między farmą a domem Bena, zwożąc „tylko najpotrzebniejsze rzeczy”.

– Moja oferta jest aktualna. Prawdę mówiąc, też zamierzałem cię o coś poprosić. W piątek dowiedziałem się, że w marcu będę musiał wyjechać służbowo na kilka dni do Nowego Jorku. Mogłabyś u mnie pomieszkać i zaopiekować się psem?

– Jasne, nie ma problemu.

– Zapłacę ci.

Uśmiechnęła się, a jej oczy błysnęły radością.

– Dobrze, że mamy część C.

– Żartujesz sobie, ale jesteś wdzięczna, prawda?

– *Wdzięczność* to wielkie słowo.

Connor otworzył usta, żeby zaprotestować, ale powstrzymało go trzeszczenie mikrofonu, gdy Delia Winter, obecna pani burmistrz, która właśnie weszła na scenę, ogłaszała rozpoczęcie debaty.

Już wcześniej uczestniczył w takich zgromadzeniach, ale zawsze zasiadał z tyłu audytorium, by wymknąć się niepostrzeżenie, kiedy sprawy przybierały zbyt absurdalny obrót. Ale tym razem chodziło

o Bena, musiał więc tkwić w pierwszym rzędzie do samego końca. Był przygotowany na to, że prędzej czy później się wkurzy, ale gdy Tandy Watts zaczęła porównywać postawę rady miejskiej – która nie pozwoliła jej zbudować w ogrodzie pięćdziesięciostopowej ścianki wspinaczkowej – do prześladowań w komunistycznej Rosji, nie wytrzymał. Z gardła wyrwał mu się cichy okrzyk zniesmaczenia, a Deenie zaczęła się trząść.

Spojrzał na nią i zauważył, że dziewczyna starannie unika jego wzroku, patrzy na scenę i z całych sił stara się nie roześmiać.

– Powinam wiedzieć, że będziesz próbował przekrzyczeć nawet debatę – szepnęła.

Nagle sam musiał walczyć ze śmiechem.

Przez resztę debaty, kiedy mieszkańcy zadawali pytania albo gdy Tandy Watts popisywała się kolejnym idiotyzmem, wymieniali znaczące spojrzenia. Connor ledwie dotrwał do końca, nie wybuchając śmiechem. A potem oboje wstali i dopingowali Bena, gdy wygłaszał mowę końcową.

Kiedy kandydaci zeszli ze sceny, a zebrani zaczęli się wolno przesuwać w kierunku drzwi, Connor rozprostował kręgosłup i spojrzał na zegarek.

– Tylko półtorej godziny – powiedział. – W miarę przyzwyczaję.

Deenie spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

– Myślałam, że nie wytrzymasz i się wtrącisz, gdy Darren Wells zapytał, który kandydat poprze jego petycję, by urządzić rekonstrukcję inwazji piratów.

– Mieszkamy w *Vermoncie* – mruknął Connor. – Tu nie ma piratów. I nigdy nie było.

– Tak, ale to jego *marzenie*.

– Jesteś okropna – odrzekł Connor, spoglądając na nią groźnie.

– Gorsza niż Darren Wells?

Otworzył usta, żeby powiedzieć, że owszem, jest gorsza, o wiele gorsza niż Darren Wells, bo on jest niewinny, a ona dokładnie wie, co robi, ale wtedy usłyszał głos, który sprawił, iż stanęło mu serce.

– Connor! Może przedstawiś mnie swojej przyjaciółce?

Tuż obok stała jego matka i uśmiechała się radośnie do Deenie.

– Mamo – powiedział zduszonym głosem. – Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Słyszac słowo „mamo”, Deenie szeroko otworzyła oczy.

– Oczywiście, że jestem. Całe miasto tu jest. – Kobieta najwyraźniej doszła do wniosku, że nie doczeka się, aż Connor dokona prezentacji, bo następne słowa skierowała do Deenie. – Jestem matką Connora. Mele Cooper. Mów mi Mele. Widziałam, że przez całą debatę coś do siebie szeptaliście. Nie miałam pojęcia, że Connor się z kimś spotyka.

Connor niemal zadławił się własną śliną.

– Mamo, to nie tak...

– Nie jesteśmy razem – wtrąciła Deenie. – To relacja czysto zawodowa.

– Deenie jest trenerką mojego psa. Pamiętasz? Mówiłem ci, że wynająłem kogoś do pomocy przy Maxie.

– Ale nie mówiłeś, że to taka śliczna dziewczyna! – entuzjazmowała się matka całkowicie niezrażona ich protestami. Wzięła Deenie pod ramię i poprowadziła ją przejściem między krzesłami w kierunku wyjścia na tyłach teatru. – Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła.

Connor do tej pory starannie unikał poruszania z matką tematu Deenie. Istniała szansa, że rodzicielka nie dostrzeże w trenerce psów kandydatki na jego dziewczynę, bo przecież zaczął się umawiać na randki przez aplikacje, ale wolał nie ryzykować. Matka była niczym żywioł, wprost nie do powstrzymania, więc nie chciał, żeby rozkręcała się w obecności Deenie. Ale teraz mógł tylko patrzeć, jak sunie między krzesłami, ciągnąc ją za sobą.

Mitch czekał już na zewnątrz – na parkingu panował istny cyrk. Matka dalej szeptała z Deenie, gdy mężczyzna się do niego przyłączył.

– Connor, czy matka już z tobą rozmawiała?

– O czym? – zapytał. – Jest przecież całkowicie pochłonięta maglowaniem Deenie i wyciąganiem szczegółów z jej życia, chociaż *się nawet nie spotykamy*. – Wypowiadając ostatnie słowa, podniósł głos, a matka rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, ale przynajmniej puściła ramię dziewczyny.

– Chcę tylko poznać Deenie – zaprotestowała. – Bycie miłym jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Aha.

Matka pacnęła go lekko i zmusiła, żeby się pochylił, bo chciała go przytulić.

– Lubię ją – szepnęła synowi do ucha, ściskając go za ramiona.

Po pięciu sekundach? Connor powstrzymał się od kpiny i podjął ostatnią próbę przekonania matki, że się myli.

– Nie jesteśmy razem. Ona tylko u mnie pracuje.

– Yhm. – Matka uwolniła Connora z objęć i odsunęła się z uśmiechem Kota z Cheshire.

– Dobranoc, moi drodzy.

Connor patrzył, jak matka z Mitchem odchodzą. Zaczekał, aż znajdą się wystarczająco daleko, a potem ciekawość zwyciężyła i wypalił:

– Dobra, co ci powiedziała?

Deenie uśmiechnęła się szeroko, rozbawiona jego anielskim spokojem.

– Powiedziała, że masz zbyt dobre geny, żeby ich nie przekazać następnemu pokoleniu, i że będziesz cudownym ojcem.

– Subtelność nie jest jej mocną stroną.

– Subtelność jest przereklamowana.

Tak często słyszał to wyrażenie z ust mamy, że zareagował z lekkim opóźnieniem. Nigdy się nie spodziewał, że dopatry się jakichś podobieństw między swoją matką, kobietą, którą podziwiał najbardziej na świecie, a Deenie – kobietą, którą w pewien sposób odrzucał, bo uważał, że jest niepoważna. Ale obie bez cienia wstydu zawsze zdobywały to, czego pragnęły.

Connor podniósł głowę.

– Naprawdę powiedziała „dobre geny”?

– Technicznie rzecz biorąc, tak to brzmiało – odpowiedziała Deenie z szerokim uśmiechem.

– Ale to chyba było bardziej coś o zrobieniu najpiękniejszego dziecka w Vermontie i że jesteś jej winien rozkoszne wnuczka, i to jak najszybciej.

– Tak, to zupełnie w jej stylu.

– Ale naprawdę powiedziała, że będziesz świetnym tatą. I że się nie myli.

– A o którą część chodzi? O tę z tatą czy o tę z najpiękniejszym dzieckiem?

Deenie przewróciła oczami.

– Przecież wiesz, że jesteś przystojny. Przestań mnie wypytywać. – Dostosowała się do jego kroku i poszli w kierunku swoich samochodów. – A jak twoje panny Ashley?

– Wyśmienicie. Super.

Deenie uniosła brwi.

– *Wyśmienicie?* Cholera, Connor. Daj spokój z tymi kłiwymi głupotami. Zostaw je na randki.

– To wszystko trwa dłużej, niż się spodziewałem – przyznał, wsuwając ręce do kieszeni spodni.

– Od cholery gadania, umawiania się na kawę i drinki, ale do tej pory...

– Żadnego śladu tej Jedynej? – Deenie oparła się o swój samochód, a Connor stanął obok niej; czekali, aż minie godzina szczytu w wersji Pine Hollow. – A nie wydaje ci się, że im bardziej jesteś wymagający, tym więcej rozczarowań cię spotyka? A omija cię to, co niesie życie.

– Nie jestem wymagający. I pojawiły się pewne obiecujące perspektywy – wyznał. – Corine z Burlington wydaje się całkiem do rzeczy. Jest teraz w podróży służbowej, ale spotkamy się, gdy tylko wróci. Spodobały jej się cukierkowe serduszka.

– Widzisz? Ja zawsze mam rację – oznajmiła z dumą Deenie, chociaż może nieco przesadzoną, jakby usiłowała coś ukryć za uśmiechem. – To świetnie – dorzuciła. – Czyli coś zaiskrzyło.

– Chyba tak. Ale właśnie się dowiedziałem, że w przyszłą sobotę muszę iść na imprezę charytatywną organizowaną przez moją firmę, i nie mam pojęcia, jak do tego czasu znaleźć osobę towarzyszącą. Chyba że potraktuję tę imprezę jako pierwszą randkę, ale to chyba zbyt ryzykowne.

– Możesz wynająć kogoś z agencji.

– Ale mi pomogłaś. – Obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

– Staram się – odparła, uśmiechając się promiennie. Odsunęła się od volkswagena i pociągnęła

za kławkę. – Widzimy się jutro?

– Już nie mogę się doczekać – powiedział przeciągle, wywołując jej śmiech. Ale najdziwniejsze było to, że... naprawdę nie mógł.

ROZDZIAŁ 14



Wielki młot kowalski poszybował w powietrze wysokim łukiem, wzniesiony płynnym i silnym ruchem, a potem wylądował na wyspie kuchennej, rozbijając brzydkie kafelki blatu w drobny mak. Rozległy się radosne wiwaty – Deenie również wyrwał się z piersi okrzyk zachwyty, który wzbudziły w niej mięśnie wprawiające w ruch potężne narzędzie.

Connor przybył z własnym młotem, tak doskonale błyszczącym i czystym, jakby nigdy nie był używany. Ben i pozostali dwaj członkowie ekipy pokerowej – Levi, szef miejscowej policji, oraz Mac, właściciel Cup – natychmiast zaczęli mu dokuczać, że jest zbyt delikatny i nie nadaje się do pracy fizycznej. Że nawet nie wie, którym końcem młota się zamachnąć, co było śmiechu warte, zważywszy na to, jak ramiona Connora napięły się pod T-shirtem, nadając mu wygląd modela reklamującego narzędzia budowlane.

Connor szybko udowodnił, że wie, jak posługiwać się młotem. I wyglądał przy tym diabelnie atrakcyjnie. Wszystkie mięśnie napinały się i nabrzmiwały...

– Patrzysz na coś obiektywnie łagodnego? – zapytała Elinor słodkim głosem.

Deenie natychmiast odwróciła wzrok od Connora, na którego bezceremonialnie się gapiła. Znowu.

– Co? Skąd. Tylko się zamyśliłam.

– I myślałaś o kimś empirycznie seksownym?

Deenie przewróciła oczami i chwyciła z rumowiska zdemontowane drzwi od szafy, popychając je w kierunku Elinor, żeby ją uciszyć. Szafki były zbyt stare i zniszczone, żeby je komukolwiek ofiarować, więc zostały z nich tylko deski, bo Levi i Mac brutalnie pozrywali je ze ścian.

Deenie, Ally, Elinor i Astrid zmieniały się przy machaniu młotkami – Elinor w zasadzie jednym uderzeniem zdołała zmasakrować cały wyciąg wentylacyjny – jednak ostatecznie doszły do wniosku, że mądrzej będzie trzymać się poza „linią ognia”. Kuchnia nie była na tyle duża, żeby wszystkich pomieścić, więc ci, którzy akurat nie władali młotami i łomami, wynosili gruz do podstawionego przed domem kontenera.

W powietrzu wisiała cienka zasłona pyłu, który przywierał do odsłoniętych bicepsów Connora. Deenie zmusiła się, by oderwać wzrok od tej uczyty dla oczu, podniosła trochę gruzu i ruszyła ku drzwiom.

– Hej! – zawołała wesoło Ally, która wrzucała jakieś rzeczy do kontenera. – Tutaj jesteś. Myślałam, że się gdzieś zgubiłaś.

– Była zajęta pożeraniem wzrokiem Connora – rzuciła radośnie Elinor.

Deenie posłała jej mordercze spojrzenie – była wdzięczna, że są przed domem tylko we trzy i że pan Fischer, najbliższy sąsiad Bena, który obserwował ich przy pracy, już wrócił do siebie. Nie chciała, żeby po mieście zaczęły rozchodzić się plotki.

– Nikogo nie pożerałam wzrokiem. Tak się składa, że mam dzisiaj sporo na głowie.

– Jakież wielce dramatyczne przyjęcie z królowną?

Deenie zmarszczyła brwi i spojrzała na Elinor. Nie była pewna, czy nie stała się przypadkiem przedmiotem szyderstwa. Elinor nigdy nie oceniała ludzi, ale była jedną z tych osób – tak poważanych przez rodziców Deenie – które odhaczały kolejne pozycje w swoim harmonogramie: wyższe wykształcenie, plan emerytalny, posiadanie domu.

– Chodzi o twoją babcię cioteczną? – zapytała Ally, odciągając uwagę dziewczyny od Elinor.

Ostatniego wieczoru Deenie w końcu się poddała i opowiedziała Ally o cioci mieszkającej na osiedlu emerytów. Przyjaciółka martwiła się, że chaos spowodowany przeprowadzką Bena i Astrid wypędził Deenie z domu. Poniekąd tak było, więc jedynym sposobem, by mogła usprawiedliwić swoją

nieobecność – bez przyznawania się, że spędza czas u Connora – była opowieść o wizytach u Bitty.

– Zawsze o niej myślę – potwierdziła, a potem wyjawiała prawdziwą przyczynę swojego rozkojarzenia, przynajmniej tę, do której mogła się przyznać. – Ale tym razem chodzi o moją siostrę. Zaręczyła się.

Kirsten znowu dzisiaj zadzwoniła, by się upewnić, czy Deenie na pewno pojawi się na jej przyjęciu zaręczynowym.

Na twarzy Ally ciągle malowała się troska.

– Nie lubisz tego faceta?

– Nie, wydaje się całkiem w porządku. Szczerze mówiąc, ledwie go znam.

Ally skrzywiła się lekko.

– Jej też prawie nie znam – dorzuciła Deenie. – Można śmiało powiedzieć, że nigdy tak naprawdę nie byliśmy blisko. Moja siostra jest odpowiedzialna. Idealna. Gdybyśmy znalazły się w typowej sytuacji – na przykład byłabym w połowie drogi dookoła świata – na pewno znalazłaby różne wymówki, żeby nie zaprosić mnie na większość imprez okołoweselnych. Ale jestem tutaj, godzinę drogi od domu, więc wykluczenie siostry z przyjęcia nie mieści się w głowie. Przynajmniej nie w świecie Kirsten. Tak więc złapała mnie na haczyk i muszę brać w tym wszystkim udział. Od zaręczyn począwszy.

– Jeśli chodzi tylko o przyjęcie... – mruknęła Ally, sugerując, że może nie być aż tak okropnie.

Deenie pokręciła głową.

– To nigdy nie jest tylko przyjęcie. Rozerwą mnie na strzępy, wypomną wszystko, co tylko się da. Tak właśnie robią. Myślisz, że idziesz świętować trzecie urodziny swojego bratanka, a pierwsza rzecz, którą ci serwują, to rada, jak znaleźć prawdziwą pracę. Albo ktoś podsuwa ci wizytówkę dobrego terapeuty, który pomoże ci rozwiązać „problemy z niestabilnością emocjonalną”. Nie. To nigdy nie jest tylko przyjęcie.

Sposób życia, który sobie wybrała, kosztował ją mnóstwo kąśliwych komentarzy, tysiące drobnych przytyków.

– Musisz koniecznie kogoś ze sobą zabrać – zaproponowała Elinor. – W postaci żywej tarczy. Kogoś, kto zadziała jak bufor bezpieczeństwa. Wtedy będą musieli być uprzejmi. Nie będą cię krytykować, jeśli odwrócisz ich uwagę nowym facetem.

– Nawet gdybym miała z kim pójść, a nie mam, zaczęliby krytykować mój gust co do mężczyzn – argumentowała Deenie. – Nigdy nie miałam faceta, którego by polubili. A potem czułam się odpowiedzialna za to, że przyprowadziłam kogoś do tego kłębowniska żmij. – Dziewczyna z przygnębieniem pokręciła głową. – To by się mogło udać, ale tylko wtedy, gdybym zdołała znaleźć jakieś wcielenie cnót kapitalizmu, które by zaakceptowali. Najpierw musiałabym jednak nakłonić takie cudo, żeby ze mną poszło...

Connor wyszedł przez frontowe drzwi z poplamionym ceramicznym zlewem, który przyciskał do klatki piersiowej. Do wysokiej kości policzkowej przykleił mu się kawałek gipsu.

– Nie jest wam tu zimno? – zawołał, schodząc po schodach, by wrzucić zlew do kontenera.

– Prawie skończyliśmy. Trzeba tylko posprzątać.

Deenie prawie go nie słyszała.

Wcielenie cnót kapitalizmu.

Jej rodzice by go pokochali. Był *wszystkim*, czego dla niej pragnęli. Dokładnie kimś takim jak oni. Purytański, zasadniczy, sztywny. Miał plan pięcioletni, ustabilizowane życie, normalne cele. Nigdy nie chciała takiego mężczyzny, bo gdyby zakochała się w Panu Idealnym, oni odnieśliby zwycięstwo. A Pan Idealny sprawiłby bez wątpienia, że poczułaby się niewystarczająco dobra, jakby jej życie było złe. Tak zawsze się czuła w obecności rodziców.

Ale gdyby nie była zakochana... gdyby tylko wykorzystwała go jako tarczę... gdyby zawarli układ... podpisali umowę...

– Za chwilę będziemy – zapewniła Ally, odsyłając Connora do środka.

Deenie prawie tego nie zauważyła, jej myśli wirowały jak szalone.

– Chyba nigdy nie widziałam, żeby Connor spocił się publicznie – powiedziała z podziwem Elinor, spoglądając za nim, gdy zamykał drzwi. – To dziwne. Jakby usłyszeć przeklinającego Dalajlamę.

– Właśnie – przytaknęła Deenie, uśmiechając się szeroko. – Jest *doskonały*.

Oczywiście Elinor i Ally błędnie rozumiały słowo „doskonały”. Gdy przedstawiała im swój plan, patrzyły na nią, jakby brakowało jej piątej klepki, ale im dłużej wyjaśniała, o co jej chodzi, tym bardziej się upewniała, że wpadła na genialny pomysł.

Connor pilnie potrzebował osoby towarzyszącej na imprezy firmowe, ale nie mógł zaskoczyć taką propozycją którejś z Ashley, dopóki jej lepiej nie pozna. Ale ona mogłaby tymczasowo odgrywać rolę jego dziewczyny na przyjęciach charytatywnych, podlizując się współnikom, dopóki Connor nie znajdzie miłości swojego życia. On mógłby w zamian powstrzymać jej rodzinę, żeby nie napadała na nią jak stado hien przez najbliższe kilka miesięcy. Pomysł był doskonały.

Teraz musiała tylko przekonać do niego Connora.

Kiedy kuchnia Bena została rozebrana do gołych desek, pojechali do domu Ally na piwo i pizzę. Connor zniknął na chwilę, żeby sprawdzić, co z Maxem. Wrócił odświeżony, akurat gdy dostarczono jedzenie. Deenie skubnęła kawałek pizzy z serem i popiła cydrem z truskawek i kiwi, czekając na odpowiednią chwilę, by przedstawić mu swój plan.

Teraz gdy wpadła na ten szalony pomysł, nie chciała już dłużej czekać, by się przekonać, czy wypali. To był pierwszy promyk nadziei, od kiedy się dowiedziała, że Kirsten wymaga od niej uczestnictwa we *wszystkich* ślubnych projektach.

Astrid poszła do łóżka, a reszta rozsiadła się w salonie i pograżyła w rozmowie. Connor wstał i poszedł po wodę dla Maca, który po wypiciu dwóch piw osiągnął stan upojenia alkoholowego i przeszedł do etapu śpiewania piosenek z musicali.

Deenie dostrzegła w tym swoją szansę i podreptała za nim do kuchni.

– Hej – zagała, opierając się o blat. – Masz chwilę? Wpadłam na pewien pomysł i chcę ci o nim opowiedzieć. Chodzi o nasze wzajemne korzyści. – Wzajemne korzyści. Świetnie, Deenie.

Connor zmarszczył czoło i przystanął ze szklanką wody dla Maca.

– Chodzi o Maxa? – zapytał. – Myślałem, że wszystko idzie dobrze.

– Tak, tak! – szybko zapewniła Deenie z odrobinę zbyt dużym entuzjazmem. Zobaczyła, że Elinor zagląda z salonu do kuchni, więc zniżyła głos. – Chodzi o coś zupełnie innego. Kompletnie niezwiązanego z Maxem. Jeśli pomyślisz, że to szaleństwo, nie będę miała pretensji, ale wysłuchaj mnie, dobrze? Może to trochę zwariowane, ale powinno się udać.

Zaniepokojony Connor przekrzywił nieco głowę.

– Dobra, mów już, bo zaczynam się denerwować.

– Spokojnie. Nie ma się czym niepokoić. Ta propozycja to czysty interes.

Connor tym razem zmarszczył brwi, ale ponieważ to już był standard w jej obecności, postanowiła się tym nie przejmować i mówiła dalej:

– Moja siostra właśnie się zaręczyła i za chwilę będę musiała radzić sobie z lawiną różnych przyjęć, wieczorów panieńskich i spotkań rodzinnych. Moja rodzina... no, to skomplikowana sprawa. Powiedzmy, że byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym kogoś ze sobą przyprowadziła.

Connor ściągnął brwi, ale Deenie to zignorowała i uśmiechnęła się do niego, jakby już wyraził zgodę.

– Ty z kolei potrzebujesz osoby, która ponawija z twoimi szefami na spotkaniach firmowych, dopóki nie znajdziesz tej Jedynej. Jestem dyplomowaną aktorką. Mogę zagrać każdą rolę. Mam nawet peruki, w których mogę wystąpić, żeby nikt się nie domyślił, że umawiasz się z dziewczyną z różowymi włosami. Poudaję dla ciebie Miss Pretensjonalności i Doskonałości, dopóki nie znajdziesz kogoś, kto naprawdę będzie chciał się popisywać na tych wielkich przyjęciach. A ty zaryzykujesz dla mnie na moich imprezach, poudajesz mojego chłopaka i posłużysz mi za tarczę. Oboje na tym zyskamy.

Zmarszczki Connora się pogłębiły.

– Czy to akcja z jednego z tych twoich romansów?

– Tak. Ale to nie znaczy, że pomysł nie jest znakomity. I owszem, w książkach bohaterowie zakochują się w sobie, ale nam to przecież nie grozi. Nie chcę być z tobą i wiem, że jestem ostatnią kobietą na ziemi, z którą byś się umówił. Dlatego to idealny układ. Nie musimy się przejmować

sprzecznymi sygnałami, mieszanymi uczuciami ani innymi bzdurami. To czysty biznes. Dwoje przyjaciół pomaga sobie w ciężkich chwilach.

– A kiedy poznam kogoś, z kim będę chciał się umawiać? Jak to wyjaśnię?

– Powiesz prawdę! Że się wspieraliśmy, ale nie było między nami nic romantycznego. Nawet mniej niż nic. A szefom, jeśli się zainteresują, powiesz, że „zerwaliśmy”, i będziesz mógł zacząć przeprowadzać prawdziwą dziewczynę.

– Deenie...

– Zastanów się – nalegała. – Prześpij się z tym. Rozważ wszystkie za i przeciw. Jestem pewna, że uznasz, iż to genialny pomysł.

Connor nie miał wątpliwości, że Deenie postradała zmysły. Mógł pójść z nią na wesele w roli osoby towarzyszącej czy przyjaciela, ale udawanie chłopaka to już zupełnie inna sprawa.

Chociaż to rozwiązałyby wiele problemów.

Pierwsze spotkanie, w którym musiał wziąć udział, by pozyskać sympatię przyszłych wspólników, miało się odbyć już za kilka dni. Zdążył spotkać się osobiście dopiero z trzema kobietami, ale żadna z tych randek nie zaowocowała kolejną. Nie mówiąc o tym, że nie czułby się komfortowo, testując tego typu relację na oczach swoich kolegów.

Deenie z kolei nie była typem dziewczyny, którą zabrałby na spotkanie firmowe, ale z drugiej strony była aktorką. Nigdy wcześniej nie widział jej w żadnej roli, ale czy przyprowadzenie Deenie na przyjęcie mogło być gorsze niż pojawienie się na nim z kobietą, którą widział pierwszy raz w życiu? Miała żywotny interes w tym, żeby się dobrze sprawować, bo potrzebowała go jako tarczy na weselu siostry.

Może to wcale nie taki zły pomysł.

Kiedy w nocy przewracał się z boku na bok, czekając na sen, propozycja Deenie stawała się coraz bardziej przekonująca.

Kiedy następnego ranka próbował pracować nad umowami, słyszał w głowie kuszące podszepty.

Gdy Deenie zjawiała się na południowy trening z Maxem, czekał już na nią z dokumentami ułożonymi w zgrabny stosik na wyspie kuchennej.

– Musimy podpisać nową umowę – poinformował ją.

Na zarumienionej twarzy Deenie pojawił się szeroki uśmiech.

– Przeczynałam, że to powiesz.

ROZDZIAŁ 15



Deenie zeszła po schodach, gdy usłyszała samochód Connora zatrzymujący się na podjeździe, szybko ukrywając zdenerwowanie pod nieprzeniknioną warstwą spokoju. Potrafiła to zrobić bez żadnego wysiłku. Bułka z masłem.

Ally spojrzała na nią z kanapy, gdzie wypoczywała z Colbym i Bażantem zalegającymi na jej stopach. Było sobotnie popołudnie, które powoli zmieniało się w wieczór. Astrid poszła na noc do Kimber, swojej najlepszej przyjaciółki, a Ben po raz drugi tego dnia pojechał „tylko spojrzeć, co się dzieje” na placu budowy, którym stał się jego dom. A więc pozostała wyłącznie Ally, która otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, gdy Deenie weszła do salonu, i dziewczyna poczuła prawdziwą ulgę, bo nie była gotowa na zbiorowe komentarze na temat tego, co właśnie zamierza zrobić.

– Wow! – zawołała Ally, wyciągając stopy spod psów, żeby wstać. – Wyglądasz...

– Wiem. Wyglądam jak Korporacyjna Koktajl Party Barbie, a raczej płaska jak deska siostra Korporacyjnej Koktajl Party Barbie – rzuciła Deenie, zanim Ally zdążyła ocenić jej wygląd.

Nie była pewna, co byłoby gorsze: gdyby przyjaciółka powiedziała, że wygląda głupio, czy gdyby powiedziała, że wręcz przeciwnie.

Sukienka pochodziła ze schowka Bitty – podobnie jak reszta garderoby, której Deenie będzie potrzebowała tej cudacznej wiosny – i wymagała przewietrzenia. Deenie załatwiła ten schowek trzy lata temu, gdy ciocia sprzedała mieszkanie i przenieśli się na osiedle emerytów, i od czasu do czasu dokładała tam swoją garderobę. Lekko stęchły zapaszki wilgoci na szczęście szybko się ulotniły, ale tkanina nadal wywoływała świerzbienie skóry, więc Deenie miała wrażenie, że to raczej objaw psychosomatyczny, a nie wina atłasu.

Tę sukienkę kupiła jej matka. Było to wprawdzie kilka lat temu, ale klasyczny krój nigdy nie wychodzi z mody, a tym bardziej metka znanego projektanta. Szerokie ramiączka przebiegające przez łopatki tworzyły głębokie wycięcie w kształcie litery V, a push-up wszyty w gorset zaciskający się wokół jej talii niczym boa dusiciel tak uwydatniał piersi, że robił się między nimi rowek. Ledwo mogła oddychać w tym gorsecie, ale za to spódnica bardzo przypadła jej do gustu. Była rozkloszowana niczym suknia balowa, chociaż kończyła się na wysokości kolan, i miała ukryte kieszenie. Wokół talii biegł cienki pasek w kolorze kości słoniowej, a jego zwieńczeniem była elegancka kokardka na wysokości krzyża. Sukienka była połączeniem „księżniczki” i „małej czarnej”.

Czuła się w niej całkiem ładnie, zwłaszcza kiedy akurat nie oburzał jej fakt, że musi odgrywać swoją rolę, żeby się do niej dopasować.

– Twoje włosy... – powiedziała z podziwem Ally, a Deenie dotknęła jedwabistych loków.

– No tak. Poznaj Aurorę.

Blond peruka Śpiącej Królowej była najdroższa w jej kolekcji, co oznaczało, że wyglądała najbardziej naturalnie. Na ramiona opadały wijące się fale w kolorze praktycznie identycznym z naturalnym odcieniem jej włosów, podkreślając efekt Barbie.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Deenie przeklęła w duchu. Planowała, że spotka się z Connorem w samochodzie, a tymczasem utknęła w drodze do wyjścia. Nie chciała, żeby ich wspólne wyjście wyglądało jak randka. Tak, udawali, że są razem, ale kiedy nie przebywali – by tak rzec – na scenie, chciała się zachowywać najmniej randkowo, jak tylko się da. Żadnego przychodzenia pod drzwi. Tyle że za długo się ociągała i teraz Connor stał po drugiej stronie, naciskał dzwonek, a ona nie mogła go tak po prostu zignorować.

Jej czarne klasyczne szpilki – również podarunek od matki – zastukały na zniszczonej drewnianej podłodze, gdy szła w kierunku wyjścia, nie pozwalając jej na okazywanie wahania i niepewności. Zdjęła płaszcz z wieszaka i otworzyła drzwi.

– Wow! – zawołał Connor, po czym zamrugał i zaniemówił.

Obejrzał ją dokładnie od stóp do głów, ale nie mogła go za to winić, bo zrobiła z nim dokładnie to samo.

Wyglądał nieskazitelnie. Świeżo wyprasowana biała koszula, gołębioszary krawat, doskonale skrojony czarny garnitur i elegancka poszetka. Z Connora Wyetha było niezłe ciacho. Nie żeby na co dzień można było coś mu zarzucić. Wręcz przeciwnie. Prezentował się diabelnie apetycznie, nawet gdy był spocony i pokryty pyłem.

Spojrzał jej ciepło w oczy.

– Wyglądasz...

– Żadnych komplementów! – Deenie niemal zaskowyczała, ale jej szaleńczy okrzyk spełnił swoje zadanie.

Spojrzenie Connora zmieniło wyraz – w jego oczach nie było już uznania, a jedynie ocena.

– Odpowiednio – dokończył, jakby właśnie to chciał od początku powiedzieć. – Dziękuję.

– Bardzo proszę – odrzekła Deenie, po królewsku skłaniając głowę.

Uważał, że jej naleganie, by „wszystkie komplementy i kliki, romantyczne bzdety” ograniczyć do koniecznych „występów”, było niemądre. Tłumaczył, że jeśli przywykną do zachowywania się wobec siebie jak prawdziwi kochankowie, wówczas przyjdzie im to w naturalny sposób, gdy będą musieli grać na zawołanie – taka zwariowana metoda aktorska. Deenie była jednak nieugięta w tej kwestii, więc Connor musiał zawrzeć ją w umowie, którą oboje podpisali.

Dziewczyna знаła siebie na wylot. Wiedziała, że nie chce się zastanawiać, czy Connor naprawdę ma coś na myśli, czy tylko wczuwa się w swoją rolę. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała. Lepiej wyraźnie wyznaczyć granice. Żadnych nieporozumień i pomyłek. Żadnego zamartwiania się, że się zaangażuje.

– Gotowa? – zapytał.

– Całkowicie – oznajmiła, bezwzględnie trzymając nerwy na wodzy. Miała swoją kopertówkę, swój płaszcz i swoją godność. Miała wszystko, czego potrzebowała.

Pożegnała się z Ally i wyszła na ganek, zamykając za sobą drzwi. Connor zaoferował jej ramię, gdy schodziła ze schodów, ale Deenie zmiażdżyła go spojrzeniem.

– Potrafię chodzić na obcasach – poinformowała go cierpko. Jej wyniosłą niezależność odrobinę zrujnował żwir na podjeździe; zachwiała się już przy drugim cholernym kroku.

Connor natychmiast zareagował, przytrzymując ją za łokieć.

– Dzięki – wymamrotała gniewnie.

Gdy otwierał drzwi samochodu i czekał, aż usiądzie w fotelu pasażera jego luksusowego wozu, zrobił wszystko, by powstrzymać się od komentarza „A nie mówiłem”.

Impreza charytatywna miała się zacząć dopiero za półtorej godziny, lecz Connor chciał mieć w zapasie trochę czasu na wypadek korków ulicznych i problemów z parkowaniem. Podróż powinna im zająć blisko godzinę, więc Deenie usadowiła się wygodnie, wyregulowała temperaturę po swojej stronie i zaczęła majstrować przy ogrzewanym siedzeniu.

Zaczekała, aż Connor przebrnie przez progi spowalniające na ulicach Pine Hollow i wyjedzie na drogę do Burlington – jego elegancki SUV łagodnie pokonywał zakręty – a potem przystąpiła do interesów.

– Powinniśmy już zacząć?

Uzgodnili, że w trakcie jazdy na przyjęcia będą się przygotowywać, a w drodze powrotnej analizować, co poszło dobrze i jak mogą rozwiązać potencjalne problemy w przyszłości. To miało im pomóc zapamiętywać potrzebne kwestie. Connor wpadł na pomysł, że powinni to zawrzeć w umowie, a Deenie musiała przyznać, że to bardzo dobra strategia.

– Co muszę wiedzieć na temat dzisiejszego wieczoru?

– To cicha aukcja i kolacja połączona z kwestą na rzecz organizacji Easterseals. Moja firma ma do dyspozycji dwa stoliki.

– Na kim musimy zrobić największe wrażenie?

– Na starszych wspólnikach, Brennie Sterlingu i Lili Karlson. Będzie tam też mój mentor, Davis,

oraz inni pracownicy ubiegający się o funkcję wspólnika, jak mniemam.

– Współzawodnictwo. Nie przejmuj się. Zniszczymy ich.

– Technicznie rzecz biorąc, muszę dalej z nimi współpracować, więc ograniczymy zniszczenia do minimum.

– W porządku. Minimalne zniszczenia, ale tak, żebyś wygrał – przytaknęła. – Kim mam być?

Connor przeniósł wzrok z drogi na tyle długo, by obrzucić ją chmurnym spojrzeniem.

– Moją dziewczyną. Pamiętasz naszą umowę?

– Mam na myśli, kim mam być z zawodu. Księgową? Analitykiem finansowym? Inwestorem kapitału podwyższonego ryzyka? W tym ostatnim świetnie się odnajduję.

Connor ściągnął brwi.

– A nie możesz po prostu być sobą?

Deenie posłała mu nieufne spojrzenie, którego nawet nie zauważył, zajęty prowadzeniem samochodu.

– Chcesz, żebym powiedziała twoim szefom, że umawiasz się z organizatorką przyjęć z królową i trenerką psów?

– A dlaczego nie? – zapytał, spoglądając na nią przelotnie, by sprawdzić jej minę. – Chodzi przecież o to, by im pokazać, że nie jestem spięty i opętany pracą. A któż się do tego lepiej nadaje niż dziewczyna, która organizuje przyjęcia z królową?

– Ale ty jesteś spięty i opętany pracą.

– Wiem – burknął. – Ale nie chcemy, żeby oni się o tym dowiedzieli. Chociaż nie. Oni już o tym wiedzą, więc spróbujemy ich przekonać, że się zmieniłem. Teraz jestem towarzyski i zaangażowany, jestem liderem i mentorem w swojej społeczności, idealnie godzę życie prywatne i zawodowe, więc będę cennym nabytkiem jako wspólnik.

Deenie zmarszczyła brwi.

– W ogóle cię to nie wkurza, że musisz udawać kogoś, kim nie jesteś, żeby dostać tę niby wymarzoną posadę? Skąd wiesz, że właśnie tego naprawdę chcesz, skoro musisz udawać kogoś innego, żeby to dostać?

– W każdej pracy są jakieś aspekty, do których trzeba się dostosować. Żadna praca nie jest idealna. Robimy to, co trzeba, aby zdobyć to, co ma dla nas znaczenie.

– A co ma znaczenie dla ciebie? Status? Pieniądze?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, zaciskając ręce na kierownicy.

– Connor?

– Chcę zostać wspólnikiem.

– No tak, ale dlaczego akurat w tej kancelarii?

– Bo jest najlepsza.

Powiedział to takim tonem, jakby to było jego ostatnie słowo w tej kwestii. I prawdopodobnie tak właśnie było. Dlaczego akurat ta praca? Dlatego że jest najlepsza. Dlaczego ten dom? Dlatego że jest najlepszy.

Ale czy „najlepsze” naprawdę uszczęśliwia ludzi? Czy osiągnięcie tego, na co zawsze pracowali, automatycznie uruchamia włącznik satysfakcji? Connor był dla niej facetem, który nie wiedział, jak znaleźć w życiu satysfakcję. Nie umiał po prostu być. Musiał ciągle coś udowadniać.

Oczywiście ona też miała wiele do udowodnienia. Ale w jej walce chodziło bardziej o to, by dowieść, że nie musi być najlepsza, żeby być szczęśliwa.

Byli chyba najgorzej dopasowaną parą, jaką można sobie wyobrazić.

– Ludzie mają naprawdę niezdrowe podejście do pracy – oświadczyła zniechęcona, gdy cisza się przeciągała.

Connor w bardzo wymowny sposób wygiął w łuk jedną brew.

– Możesz rozwinąć temat?

– Francuzi mają co roku *miesiąc* wakacji, a w przypadku Amerykanów chodzi tylko o rywalizację, kto zgromadzi najwięcej niewykorzystanego urlopu, kto jest bardziej zajęty i ważniejszy, żeby nie brać ani jednego wolnego dnia. A więc to chyba Amerykanie specjalizują się w niezdrowym

podejściu do pracy. Muszę skorygować moje poprzednie stwierdzenie.

– Niektórzy ludzie *muszą* pracować.

– To prawda. Wielu nie ma wyboru, a ja szczerze przyznaję, że przypadł mi w udziale obłądny przywilej i luksus, bo nie tonę po uszy w długach i nie biorę od rodziców ani centa. Mam świadomość, że nigdy nie pozwoliliby mi umrzeć z głodu, gdyby w moim życiu wydarzyła się jakaś katastrofa. To psychiczne poczucie bezpieczeństwa ma ogromne znaczenie. Ale nie mówię o ludziach, którzy żyją od wypłaty do wypłaty. Mówię o tych, którzy mają patologiczną potrzebę zaharowywania się na śmierć, jakby dzięki temu stawali się lepsi od innych.

– Nie możesz powiedzieć wprost, że mówisz o mnie? Nie musisz mówić „ludzie”, skoro oboje wiemy, kogo masz na myśli.

– Nie chodzi tylko o ciebie – stwierdziła Deenie. – Zdziwiłbyś się, ilu ludzi pieje z zachwytu nad moim *wyzwolonym* życiem, *zazdrości* mi podróży i bycia panią siebie. Ale gdy mówię, że mogą zrobić to samo, zaczynają się przechwalać, że nie mogą wziąć urlopu, ponieważ są zbyt cenni, żeby zrobić sobie wolne. Ludzie czują się ważni dzięki pracy, czerpią z niej poczucie własnej wartości, a potem – kiedy idą na emeryturę, zostają zwolnieni albo docierają do punktu, w którym uświadamiają sobie, że ich życie to tylko siedzenie przed komputerem przez osiem godzin dziennie – następuje *kryzys*.

Connor stłumił irytację, ponieważ jej słowa zabrzmiały nad wyraz prawdziwie, i postanowił nie rezygnować z sarkastycznego tonu.

– Wygląda na to, że pojąłeś sens życia. A reszta jest zbyt ograniczona, by to zrozumieć?

– Tego nie twierdzę. Każdy musi znaleźć własną drogę. Myślę, że ludzie powinni mniej się martwić o swój status, a bardziej o to, co naprawdę ich uszczęśliwia. Moja praca nie podnosi samooceny. To tylko sposób na zarabianie pieniędzy, dzięki którym kupuję czas i wolność. Trenuję twojego psa, organizuję przyjęcia z królowną i szyję kostiumy, żeby zarobić na zwiedzanie świata, a nie dlatego, że te zajęcia mnie definiują.

– Zawód prawnika też mnie nie definiuje – stwierdził, ale jego słowa zabrzmiały jak kłamstwo. Zbudował swoją tożsamość na tym, co robi, ale czy było w tym coś złego? Wiele osób tak postępuje.

– Wiem – zgodziła się Deenie, ale nieco zbyt szybko. – Przepraszam. Zupełnie zboczyłam z tematu. Mamy jeszcze dużo do omówienia, zanim dotrzemy na miejsce. Jak długo się spotykamy?

Connor zmarszczył brwi, wściekły na siebie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Na pewno nie może to być pierwsza randka. Nie chciał, żeby Davis lub inni współpracownicy pomyśleli, że zaczął się z kimś spotykać, aby zrobić wrażenie na partnerach – chociaż tak właśnie było.

W ogóle cię to nie wkurza, że musisz udawać kogoś, kim nie jesteś, żeby dostać tę niby wymarzoną pracę?

Connor szybko pozbył się tej myśli.

– Od Bożego Narodzenia? – zapytał.

To brzmi w miarę poważnie. Ponad dwa miesiące. Taka data była prawdopodobna i bez obaw mógł ją podać na przyjęciu firmowym.

– To będzie prawie zgodne z prawdą, bo przecież poznaliśmy się w Świąta.

– Prawdę mówiąc przed Świątami.

Connor odrzucił poprawkę.

– W okresie Bożego Narodzenia. W sezonie świątecznym.

– Mówię ci, że nie. To było zeszłego lata.

Powiedziała to bardzo radośnie, ale kiedy na nią spojrział, w jej oczach było coś takiego, co przyprawiło go o ból żołądka.

– Nie pamiętam...

– Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Nie wymieniliśmy imion ani nic takiego. Wydaje mi się, że to było w czerwcu. Byliśmy oboje u Magdy. Nawiasem mówiąc, powinnam powiedzieć Makowi o twojej zdradzie, ale cię nie wsypię. Miałaś słuchawkę w uchu, więc nie wiedziałam, że rozmawiasz, i próbowałam cię zagadać. Jestem prawie pewna, że to było w sobotę, a ja wracałam z przyjęcia, które organizowałam, czyli prawdopodobnie byłam skąpana w brokacie, ty spojrzaleś na mnie jak na błoto zeskrobane z podeszwy buta i powiedziałeś: „Pracuję”.

Connor poczuł zażenowanie. Bez problemu mógł sobie wyobrazić, że tak się zachował.

– Przepraszam...

– Było, minęło – stwierdziła, ignorując jego przeprosiny. – A więc poznaliśmy się w Boże Narodzenie...

– Dokładnie. – Connor zmarszczył brwi, niepokojąco rozstrojony pierwszym wrażeniem, jakie zrobił na Deenie. – I od tej pory się spotykamy?

– I trzymamy się wersji, że trenuję Maxa? Takie było pierwsze spotkanie przyszłych kochanków? Przyszedłeś do schroniska, żeby adoptować psa, który okazał się urwisem, więc mnie zatrudniłeś, a potem szaleńczo się zakochałeś w moim uroku i poczuciu humoru?

– To brzmi wiarygodnie – przyznał Connor. Stanowczo zbyt wiarygodnie.

– A kto wykonał pierwszy ruch? Chyba ja? Od razu się na ciebie rzuciłam.

Connor poczuł, że się czerwieni.

– Wątpię, czy to przejdzie.

– W porządku. No to teraz wszystko, co muszę wiedzieć, gdyby ludzie pytali... Zawsze mieszkałeś w Pine Hollow?

– Tak. Wyjechałem tylko do college'u, a potem na studia prawnicze.

– Racja. Zatem najpierw Pine Hollow, potem Princeton...

– Yale – warknął.

– Wiem, wiem. – Deenie wyszczerzyła zęby w uśmiechu, nie okazując skruchy. – Lubię cię wkręcać. Zrobiłeś tam licencjat i magisterkę z prawa?

– Tylko licencjat. Prawo w Georgetown. A potem od razu wróciłem i zacząłem pracować w kancelarii STK.

– Dlaczego Vermont?

– To mój dom. Moja matka tu mieszka.

– Synek mamusi. Odhaczone. – Deenie wesoło kiwnęła głową, Connor mruknął gniewnie, a ona beztrąsko pytała dalej: – Co robią twoi rodzice?

– Mama pracowała w kancelarii jako asystentka prawna, a ojciec był dupkiem.

– Z zawodu?

Connor prychnął, ale poczuł ulgę, że Deenie mu nie współczuje. Nienawidził współczucia.

– Wydaje mi się, że pracuje w budowlance. Ale tak naprawdę nie mam pojęcia. Mama kilka lat temu ponownie wyszła za mąż. A twoja rodzina?

– Finanse – oznajmiła. – Finanse *ponad wszystko*. Nie akceptują nauk humanistycznych, chociaż publicznie bardzo starają się udawać, że mnie wspierają. Jestem całkowicie przekonana, że stanowią dla nich wyzwanie. Gdzieś w królestwie wrózek jakiś analityk finansowy zastanawia się, dlaczego cały czas jestem obsypana brokatem i otoczona tęczą. Czasem mi ich przypominasz.

Connor spojrział na nią z ukosa.

– Mam wrażenie, że to nie jest komplement.

– Bo nie jest. Ale staram się nie mieć ci tego za złe.

– Nie dorastałaś w Pine Hollow...

– Urodziłam się w Connecticut – wtrąciła. – Kiedy miałam dziewięć lat, rodzice kupili dom nad jeziorem Champlain i tam się przeprowadziliśmy. Siostra nadal mieszka obok nich, a brat wybrał karierę na Wall Street. Teraz mieszka w Westchester.

– Jesteś najmłodsza?

– Mówiłam ci? A może się domyśliłeś? Jestem sześć lat młodsza od Kirsten i osiem od Petera. Nie byłam planowana. Bardzo wcześnie się dowiedziałam, że antykoncepcja nie jest niezawodna. Jestem tego chodzącym przykładem.

Connor nie był pewien, jak zareagować na tę mieszankę goryczy i humoru, która pojawiła się w jej głosie, gdy mówiła o rodzinie, więc tylko zapytał:

– Dlaczego przeprowadziłaś się do Pine Hollow?

– Nie przeprowadziłam się. Tak naprawdę nigdzie się nie przeprowadziłam. Po prostu tu bywam i zostaję tak długo, aż zarobię na podróże. A potem znowu wyjeżdżam i zwiedzam świat. Poza tym

mieszka tu moja ukochana ciocia, a właściwie babcia cioteczna. Teraz przeniosła się na osiedle emerytów, ale gdy miała jeszcze swój dom, zatrzymywałam się u niej między podróżami, spędzałam z nią czas, oszczędzałam, razem planowałyśmy moje kolejne przygody. Miała odjazdowe życie. Widziała *wszystko*.

– Jak jej na imię?

– Elizabeth, ale wszyscy nazywają ją Bitty. – Deenie zmarszczyła nos. – Chyba powinienes poznać moje prawdziwe imię, ale ostrzegam cię: jeśli będziesz się tak do mnie zwracać, będę okrutna i bezlitosna.

– Czuję się ostrzeżony.

Zerknął na Deenie, a ona wzięła głęboki oddech, dodając sobie odwagi.

– Nadine – powiedziała dramatycznie.

Connor uniósł brwi.

– To piękne imię.

– Wiem, ale *Nadine*? Czy ja wyglądam jak Nadine?

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi, więc postanowił trzymać język za zębami.

Potem zaczęli się wymieniać losowo informacjami ze swojego życia – zwierzaki z dzieciństwa (u niej szpic miniaturowy o imieniu Pom Pom, u niego nic), ulubione przedmioty w szkole (u niej nauka o teatrze, u niego debaty polityczne) – aż w końcu dojechali do hotelu, w którym odbywała się impreza charytatywna.

Przyjechali za wcześnie, a Deenie stanowczo odmówiła pojawienia się na przyjęciu przed czasem, więc zaproponowała, żeby pojechali do odległej o kilka przecznic lodziarni. Connorowi nie spodobał się pomysł jedzenia lodów przed kolacją, ale ona uparła się, że to jedyny sposób, by w ich żołądkach znalazło się wolne miejsce na deser, i że muszą mieć energię na cichą aukcję, więc Connor w końcu się poddał, znalazł wolne miejsce i zaparkował samochód.

Po długiej dyskusji na temat smaków oraz gorącej debacie, podczas której Deenie upierała się, że cytrynowy sorbet Connora to nie są prawdziwe lody, wzięli swoje różki i ruszyli Chuch Street z powrotem do samochodu. Connor nie miał najmniejszej ochoty, by kapiące lody zaplamiły skórzane siedzenia jego eleganckiego wozu, więc zrzucił płaszcz, otulił nim Deenie i dokończyli je oparci o SUV-a.

Deenie była kłótniwa. Konfliktowa. Nie był w stanie powiedzieć niczego, czego by nie skrytykowała, nie rozbierała na części pierwsze i nie dyskutowała, przekonując go do swoich racji. Ale potrafiła doskonale rozproszyć jego uwagę i oderwać od niechcianych myśli. Kiedy w końcu dotarli na przyjęcie – pięć minut po otwarciu drzwi – był zbyt zajęty sprzeczeniem się z nią na temat tego, czy nadal są skandalicznie za wcześnie (jej stanowisko), czy prawie się spóźnili (jego opinia), żeby się denerwować.

Przez cały tydzień drżał na samą myśl o tym spotkaniu. Wmawiał sobie, że to rozstrzygający moment dla całej jego kariery, ale gdy oddawał płaszcze szatniarzowi, a Deenie w tym czasie poszła do toalety, by poprawić szminkę zmasakrowaną lodami, był zaskakująco odprężony.

Szalony pomysł dziewczyny mógł się okazać najlepszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła.

ROZDZIAŁ 16



To był bez wątpienia najgorszy pomysł, na jaki w życiu wpadła.

Najpierw wydawał się świetny. Deenie była doskonała w odgrywaniu ról – pomyślała, że udawanie kociaka Connora przez kilka wieczorów może być całkiem zabawne. Ale gdy knuła tę intrygę, jakoś nie wzięła pod uwagę, że dla niej to tylko zabawa, a dla Connora prawdziwe życie. I w jego przypadku może mieć realne konsekwencje.

Bardzo mu zależało na tym awansie. Nawet jeśli jej się wydawało, że jego priorytety są poważnie zaburzone, nie chciała przecież tego schrzanić. Zostanie współnikiem miało dla niego ogromne znaczenie. Pragnął tego najbardziej na świecie, więc nagle poczuła, że ciąży na niej odpowiedzialność – presję potęgował fakt, że chciał, aby była sobą.

Była znakomicie przygotowana do odegrania roli Ashley Księgowej, ale gdy tylko zapragnął, by była Deenie – Niekonwencjonalną Organizatorką Przyjęć z Królewną – jej żołądek zaczął się skręcać z nerwów.

To przecież byli ludzie w typie jej rodziców. A jeśli jej nie zaakceptują? Jeśli wyładują swoje rozczarowanie na Connorze?

Chciała uciec, ale nie zdjęła maski i uśmiechała się z wdziękiem, gdy pod rękę z Connorem wkraczała do sali balowej. Z przodu pomieszczenia ustawiono scenę z ogromnym ekranem wyświetlającym logo Easterseals. Po lewej stronie stały stoły bankietowe z artykułami będącymi przedmiotem cichej aukcji. Resztę sali zajmowały numerowane stoliki nakryte obrusami.

Idea „modnego spóźnienia” najwyraźniej była obca prawnikom z firmy Connora, bo gdy podprowadził ją do stolika, okazało się, że był już prawie zajęty. Kiedy znajdowali się kilka stóp od celu, kelner zaoferował im szampana. Connor podziękował i przyjął dwa kieliszki.

Deenie wzięła swój, wdzięczna za ten rekwizyt, bo przynajmniej wiedziała, co zrobić z rękami.

Nigdy nie miewała tremy, więc dlaczego teraz jej żołądek wyczytniał takie salta?

– Connor!

Jeden z mężczyzn, lawirując między stolikami, ruszył ku nim z szerokim uśmiechem na twarzy, żeby się przywitać. Był dość niski, miał czarne, krótko przycięte włosy i ten rodzaj ujmującego, szczerzego uśmiechu, który sprawił, że Deenie natychmiast go polubiła.

– Davis, miło cię widzieć – powiedział bez zająknięcia Connor i ukłonił się kobiecie, która mu towarzyszyła. – Jodie, wyglądasz przepięknie.

– A to kto? – zapytał Davis. Gdy przyglądał się dłoni Deenie spoczywającej na ramieniu Connora, jego gęste czarne brwi powędrowały do góry, a na ustach pojawił się szeroki, przenikliwy uśmiech.

– Już dawno zamierzałem was sobie przedstawić – odrzekł Connor, jakby spotykali się od wielu miesięcy. – Deenie Mitchell, Davis Aquino i jego żona, Jodie.

– Deenie – rozpromienił się Davis. – Ależ niespodzianka! Nie miałem pojęcia, że Connor się z kimś widuje.

– To moja wina – szybko rzuciła dziewczyna, ściskając umięśnione ramię Connora. – Trzymałam go wyłącznie dla siebie.

Davis uśmiechnął się jeszcze szerzej, co wydawało się prawie niemożliwe.

I tak się zaczęło.

Deenie miała wrażenie, że została zasypana tysiącem nazwisk, choć tak naprawdę było ich tylko piętnaście lub szesnaście. Próbowwała zapamiętać imiona współników i ich żon oraz konkurentów Connora, ale było ich zbyt dużo, a ona była zbyt zdenerwowana. Potrafiła skupić się tylko na osobie, którą akurat jej przedstawiano, uśmiechała się promiennie i żartowała na tyle lekko i z wdziękiem, by

rozbawić rozmówcę.

To było niczym improwizacja. Najważniejsza zasada polegała na tym, by zgadzać się ze wszystkim, z czym przychodzi ci się zmierzyć, na tym bazować i właściwie reagować. Podtrzymywać rozmowę i szybko podejmować decyzje.

Straciła rachubę czasu, aż jedna ze współpracowniczek – starsza czarnoskóra kobieta z bystrymi oczami i imieniem zaczynającym się na L, Deenie była tego pewna na dziewięćdziesiąt procent – zaproponowała, żeby wszyscy sprawdzili oferty cichej licytacji.

Kiedy podzielili się na mniejsze grupy, Connor położył dłoń na jej plecach i poprowadził w stronę jednego z długich stołów. Oddalili się od innych gości, zyskując kilka chwil dla siebie. Deenie poczuła, że znowu się denerwuje, chociaż akurat nie miała ku temu żadnego powodu.

Udawała, że studiuje instrukcję cichej licytacji, ale nie widziała ani słowa.

– W porządku? – zapytał cicho Connor, pochylając się nad nią.

Na szczęście nie był to gest z rodzaju wielkiego okazywania uczuć w miejscu publicznym, ale i tak była aż nadto świadoma, że trzyma dłoń na jej plecach. Spojrzała w górę prosto w jego oczy – różnica wzrostu między nimi się zmniejszyła dzięki jej ośmiocentymetrowym obcasom – a strach, który nią targał, jeszcze się zwiększył, gdy ujrzała w nich niepokój.

– Powiedziałam coś nie tak?

– Nie, Deenie, jesteś doskonała. Tylko... wydajesz się trochę spięta.

Żołądek podskoczył jej do gardła, ale Connor od razu pospieszył z zapewnieniem:

– Jestem pewien, że nikt inny tego nie zauważył.

On jednak zauważył. Zajrzał za maskę, którą przybrała. Ta myśl była umiarkowanie zatrważająca. Nawet jej rodzice nie zawsze byli w stanie poznać, co naprawdę czuje, gdy robiła dobrą minę do złej gry i udawała szczęśliwą.

Zdwoiła więc wysiłki, żeby pozbyć się wszelkich śladów stresu, pokrywając napięcie uśmiechem.

– Jest super. Nie martw się. Ale powinniśmy chyba wymyślić jakiś sygnał na wypadek, gdybym coś palnęła. Kopnij mnie pod stołem albo coś w tym rodzaju.

Connor wciągnął powietrze, ale zanim zdążył się odezwać, zrobił to ktoś inny.

– Co licytujecie? Wyglądacie, jakbyście coś kombinowali.

Connor wyprostował się tak szybko, że Deenie natychmiast się zorientowała, iż jedna osoba z tej pary – nazywali się Sterlingowie? – musi być starszym wspólnikiem, więc posłała im swój najbardziej promienny uśmiech.

– Brent, pamiętasz, że my też kiedyś szeptaliśmy ze sobą podczas takich imprez? Zanim staliśmy się starym małżeństwem? – powiedziała nieco smętnym głosem kobieta i pochyliła się, by zobaczyć przedmiot cichej aukcji, przed którym nieumyślnie zatrzymali się Deenie i Connor. – Och, weekend w B&B nad jeziorem Champlain. Jakie to romantyczne.

– Chyba będę musiał z tobą o to zawałczyć, Wyeth – zażartował Brent, a Connor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ostrożnie, sir. Zamierzam wysoko licytować, żeby uszczęśliwić Deenie, i to wszystko w słusznej sprawie.

Pani Sterling niemal się rozplynęła, słysząc te słowa, i poklepała dziewczynę po ramieniu.

– Trzymaj się go.

Deenie mocno złapała Connora za ramię.

– Mam dobry chwyt – powiedziała.

Pani Sterling uśmiechnęła się, spoglądając na nią z czułością.

– Świetnie poszło – szepnął Connor, kiedy Sterlingowie w końcu się oddalili.

Gdy zmierzała z powrotem do stolika, niemal unosił się w powietrzu.

Wydawało się, że wszystko idzie doskonale. Co tylko jeszcze bardziej zdenerwowało Deenie. Czekala, aż nastąpi jakaś katastrofa. Nadchodziła. Czuła to.

I wydarzyła się, kiedy zasiedli do kolacji.

Jedna z kobiet – Deenie nie pamiętała, czy to prawniczka, czy jedna z żon – nachyliła się

i zapytała:

– A więc, Deenie, czym się zajmujesz?

Dziewczyna poczuła, że żołądek zawiązuje się jej na supeł, bo to przecież dla takich ludzi miało największe znaczenie. Status zawodowy.

Spojrzała na Connora, dając mu ostatnią szansę, by wymyślił dla niej jakąś stosowną i społecznie akceptowalną profesję, ale on chyba źle zinterpretował jej spojrzenie, bo nachylił się i zaczął mówić w taki sposób, jakby był z niej dumny:

– Deenie urządza przyjęcia z królowną. Wiecie, takie, na których małe dziewczynki w sukienkach...

– I mali chłopcy – dorzuciła Deenie. – Stosujemy równouprawnienie w kwestii królewskości, chociaż mamy więcej królewien niż królewiczów.

– Mój Boże, to cudowne. – W oczach kobiety pojawił się zachwyt. – To praca na pełen etat?

Deenie posłała Connorowi kolejne spojrzenie, czekając, aż powie: „Och, nie. To tylko jej hobby. Tak naprawdę zarządza funduszami hedgingowymi”. Ale słowa, które popłynęły z jego ust, brzmiały zupełnie inaczej.

– Pracuje również w schronisku dla zwierząt w naszym mieście. – Nakrył swoją wielką ręką jej małą dłoń. – Tam się poznaliśmy – dodał.

– Mój Boże – zagruchała z zachwytem kobieta. Allison? Abigail? – Jesteś święta. Cudownie, że poświęcasz się czemuś tak istotnemu.

Deenie się zarumieniła, walcząc z wszystkich sił, by jej maska pozostała na miejscu.

– Cóż, właściwie to moja przyjaciółka prowadzi schronisko. Ja tylko pomagam.

– Jest zbyt skromna – stwierdził Connor. – W kwestii psów to cudotwórczyni. I jest jedyną osobą, która potrafi czegokolwiek nauczyć mojego Maximusa.

Na szczęście dyskusja przeszła gładko z zawodowych osiągnięć Deenie – a może braku takowych – na zwierzęta. Connor opowiedział historię o Maximusie, piwie i jacuzzi – w jakiś sposób zdołał zrobić z tego uroczą anegdotę z początków ich randkowania. Pozostali goście zaczęli się dzielić zabawnymi historyjkami o swoich zwierzakach, wywołując przy tym tyle śmiechu, że Brent Sterling, który siedział przy innym stoliku, podszedł do nich i pożalił się, że tak świetnie się bawią bez niego. Współpracownicy namówili Connora, żeby jeszcze raz opowiedział o jacuzzi, a Deenie cały czas pilnowała, by uśmiech nie zniknął z jej twarzy, gdy wszyscy się śmiali.

Patrzyła na Connora, na jego jasne oczy, oszłamiające dołeczki, rzucając mu od czasu do czasu krótkie, intymne spojrzenia, jakby mieli tysiące wspólnych sekretów.

Było tak, jak powinno być, gdyby naprawdę stanowili parę.

Nie spodziewała się tego. Myślała, że będzie odgrywać swoją rolę. Sądziła, że będą opowiadać same kłamstwa. Że zastosują się do odpowiedniego scenariusza. Martwiła się, czy ich opowieści wydadzą się szczerze, a nie o to, że będzie się czuła, jakby to wszystko było prawdą.

Connor dotykał jej tak swobodnie – jego dłoń na jej plecach, gdy obserwowali cichą aukcję, muśnięcie, które poczuła na karku, gdy szeptem wyjaśniał, kim są jego współpracownicy, jego ręka na jej dłoni, gdy opowiadał ich historię – zachowywał się tak, jakby naprawdę był z dziewczyną.

Był lepszym aktorem, niż przypuszczała. Powinna wyrazić mu uznanie.

I był w swoim żywiole. Rozkwitał. Dała mu niezły wycisk w samochodzie oskarżeniami, że zabiega o pracę, która zmusza go do udawania kogoś, kim nie jest, a tymczasem on *błyszczą*. Ona zaś czuła się kompletnie dezorientowana.

Na szczęście aż nazbyt dobrze wiedziała, że to tylko gra i że musi ją kontynuować – chociaż kiedy podano deser, zaczęła odczuwać napięcie, bo to wszystko trwało już bardzo długo. Connor uśmiechnął się do niej. Był to porozumiewawczy, intymny uśmiech, którym przypomniał jej, że już jedli deser. Skupiła się na delikatnym torciku bezowym, żeby nie musieć mierzyć się z tym uśmiechem.

Dlaczego zachowywał się tak, jakby to wszystko było *prawdziwe*?

– Dzięki Bogu, że tu jesteś – szepnęła Jodie Aquino siedząca po jej lewej stronie. – Obiecuj mi, że od teraz będziesz przychodzić na wszystkie nasze imprezy.

Deenie dopiero po chwili uświadomiła sobie, że kobieta zwraca się do niej.

– Słucham?

– Nie masz pojęcia, jakie tutaj zazwyczaj są nudy. Wszyscy porównują wskaźniki giełdowe i cały czas gadają o pracy. Nie myśl, że nie zauważyliśmy, skąd się wzięła ta zmiana.

– Cóż, Connor...

– Gdyby cię tu nie było, Connor też by rozprawił o precedensach prawnych i akcjach.

Deenie się zarumieniła.

– Jeśli lubią rozmawiać o takich sprawach...

– Mam wrażenie, że czasem nawet sami są tym znudzeni. Niekiedy wtrącam na chybił trafił jakiś komentarz z dziedziny historii sztuki, żeby zobaczyć zakłopotanie na ich twarzach. Ale historie o zwierzakach to był wręcz genialny pomysł. Muszę o tym pamiętać.

Dziewczyna nie czuła się komfortowo, przyjmując pochwały, które należały się Connorowi – to on opowiadał te zabawne anegdoty – ale zanim zdążyła zaprotestować, między dwoma stolikami zajmowanymi przez pracowników kancelarii stanęła jakaś kobieta i utkwiała w niej spojrzenie.

– Naprawdę urządzasz przyjęcia z królową?

Rozmowy przy stole ucichły i wszystkie oczy zwróciły się ku Deenie. Dziewczyna znowu się zarumieniła i przytaknęła.

Kobieta spojrzała na nią z podekscytowaniem.

– Mam na imię Serena. Jestem synową Brenta. Siedzę przy drugim stoliku i właśnie się dowiedziałam o twoich przyjęciach. Zrobiłabyś przyjęcie z Elsą? Moja córka ma na jej punkcie obsesję.

– Właściwie to robię tylko z Królową Śniegu Hansa Christiana Andersena. Oczywiście z domeny publicznej.

Prawnicy przy stole zachichotali porozumiewawczo, a Deenie poczuła się jeszcze bardziej nieswojo, ale Serena z zapalem pokiwała głową.

– Super. Masz wizytówkę? Moja córka ma urodziny w pierwszym tygodniu kwietnia i musiałyby czekać cały rok, gdyby teraz nie udało mi się zrobić rezerwacji. Chyba nie masz zajętych wszystkich terminów przez następną dekadę?

Deenie właściwie nigdy nie robiła planów z takim wyprzedzeniem, bo nigdy nie zostawała tak długo w jednym miejscu, ale teraz...

Pochwyciła spojrzenie Connora, dostrzegła błaganie w jego oczach i uśmiechnęła się.

– Myślę, że uda się coś wykombinować.

– Dziękuję. – Powiedział to już chyba kilkanaście razy, od kiedy odebrali samochód od parkingowego i wyruszyli w drogę powrotną do Pine Hollow, ale po prostu nie mógł przestać.

– Byłaś zachwycająca.

Dziewczyna siedziała w milczeniu na fotelu pasażera. Zamilkła, gdy wyszli z bankietu – ta cisza wprawiała go w zakłopotanie. Deenie nie była cichą osobą.

Może była po prostu zmęczona. Wieczór był wyczerpujący. Doskonały, ale wyczerpujący.

Oczarowała wszystkich i nawet umówiła się na organizację przyjęcia z królową dla wnuczki jednego ze starszych wspólników. A to oznaczało, że Connor spędzi więcej czasu z Brentem, na rzecz którego łaskawie przegrał licytację romantycznego wyjazdu do B&B.

Nie mógł sobie wyobrazić lepszego rozwoju wydarzeń. Szalony pomysł Deenie był oficjalnie szalenie genialny.

Chociaż nie powinien być tym zaskoczony. Zwłaszcza po tym, czego się dzisiaj dowiedział o Deenie.

Położył nadgarstek na kierownicy.

– Nigdy nie mówiłaś, że chodziłaś do Brown.

– Naprawdę?

Szpilki Deenie leżały na podłodze. Zdjęła je i wsunęła stopy pod spódnicę, moszcząc sobie gniazdko w fotelu.

– Chyba zapamiętałbym, że studiowałaś na uniwersytecie z listy Ivy League. Zwłaszcza po tym całym gównie, którym mnie obrzucałaś, gdy dowiedziałas się o moich szkołach.

– Nie obrzucam cię gównem z powodu Yale. Robię to, bo jesteś intelektualnym snobem.
– Ja jestem snobem? Facet, który pochodzi z klasy pracującej, syn samotnej matki, który musiał zarobić na wszystko, co ma?

– To, że nie jesteś snobem z pochodzenia i nie podano ci wszystkiego na tacy, nie oznacza, że nie jesteś intelektualnym snobem. Jeśli oceniasz ludzi na podstawie wykształcenia lub sukcesu finansowego, to czyż nie jest to snobizm?

– Levi jest jednym z moich najlepszych przyjaciół i nigdy nie chodził do college’u.

– A umówiłbyś się z dziewczyną, która nie jest przynajmniej magistrem?

Connor się zawahał. Te słowa zawisły między nimi – dziwnie niezręcznie, nawet brutalnie.

Była w nich niemal złość.

Connor chwycił kierownicę obydwoma rękami i zapatrzył się na ciemną drogę.

– Nie próbuję wywołać kłótni. Chciałem ci tylko podziękować za dzisiejszy wieczór. I bardzo przepraszam, jeśli cię nie doceniałem.

– Czyli zdałeś sobie sprawę, że mnie nie doceniałeś, dopiero gdy się dowiedziałeś, że chodziłam do Ivy?

Westchnął. Najwyraźniej to ona próbowała wywołać kłótnię.

– Nie o to mi chodziło. – Myślał, że wszystko doskonale się udało, a ona była kłująca jak kaktus.

– Jesteś na mnie wściekła? Zrobiłem coś złego?

Deenie ulokowała się wygodniej w gniazdku, które umościła sobie w fotelu pasażera. Kiedy wsiedli do samochodu, było zimno, więc Connor dał jej swój płaszcz, żeby mogła się nim okryć jak kocem. Nadal go miała, chociaż ciepłe powietrze dmuchało na nią, wesoło szumiąc, a dodatkowo rozkręcił na cały regulator podgrzewanie fotela. Connor nie mógł się nadziwić, że jeszcze się nie upiekła, ale ona tylko siedziała i spoglądała na niego groźnym wzrokiem.

– Nic nie zrobiłeś – burknęła. W jej głosie brzmiała narastająca irytacja.

– W porządku. Co zatem się stało?

– Nic – warknęła. – Wszystko dobrze. Jestem tylko zmęczona.

– Możesz się przespać, jeśli chcesz. Obudzę cię, gdy dojedziemy do domu.

– Dzięki – mruknęła. Zgrzebała się głębiej w gniazdo z płaszczy i zamknęła oczy.

A więc robiła się marudna, kiedy była zmęczona.

Connor zarejestrował tę informację na przyszłość. Miał przecucie, że może mu się przydać. Przez następne kilka miesięcy miał zamiar zabierać ją na wszystkie imprezy firmowe, jeśli oczywiście będzie miała ochotę mu towarzyszyć.

Nadal chciał znaleźć przyszłą panią Wyeth, ale póki tego nie zrobi, Deenie będzie idealną osobą towarzyszącą. Najpierw był dość sceptyczny, ale dzisiejszy sukces pomógł mu zrozumieć, jak genialny jest jej plan. Nie musiał się przejmować, że Deenie za bardzo się do niego przywiąże – wielokrotnie dawała mu do zrozumienia, że jest ostatnim mężczyzną, z którym poszłaby na randkę. Nie musiał się też martwić o własne serce. Nigdy nie pozwoliłby sobie na uczucie do kogoś takiego jak Deenie. Do osoby, która z radością zwieje do Indii, gdy tylko zacznie robić się trudno.

Ale była świetną towarzyszką. Dzisiejszy wieczór faktycznie był zabawny. Nie spodziewał się tego.

Teraz musiał być dla niej najlepszym na tej planecie kompanem na przyjęciu zaręczynowym, bo nie chciał, żeby się rozmyśliła i przestała mu pomagać. Musiał zrobić wszystko, żeby ona również go potrzebowała.

ROZDZIAŁ 17



W niedzielny poranek Deenie obudziła się w kiepskim nastroju, plując sobie w brodę. Zeszłej nocy w drodze powrotnej do Pine Hollow spadła jej maska. Co za żenada – była wytrącona z równowagi, niepewna siebie i pozwoliła, żeby Connor to zobaczył.

Warczała na niego, żeby sobie przypomnieć, że nie są parą, że Connor tak *naprawdę* jej nie akceptuje, że odgrywa tylko swoją rolę. W rezultacie stchórzyła i przez całą drogę udawała, że śpi, a w głowie wirowała jej szalona karuzela myśli.

Wpadła w paranoję. Bez powodu. Robiła z igły widły. Na szczęście nie wypaplała tego, co miała na końcu języka – że nie chce tego dłużej ciągnąć.

Ale w świetle dnia wszystko było w idealnym porządku.

Nie zamierzała przeproszać. Obiecała to sobie, zbiegając po schodach. Przeprosiny byłyby tylko przyznaniem się do idiotycznego zachowania, więc wolała udawać, że po przyjęciach zawsze jest gderliwa. Po prostu pójdzie do Connora i będzie szkolić Maxa, jakby nic się nie zmieniło. Bo się nie zmieniło.

Ally i Astrid siedziały przy kuchennym stole. Dziewczynka natychmiast do niej doskoczyła, entuzjasm wręcz z niej buchał.

– Wzięłyśmy następnego psa!

– Naprawdę? – zapytała Deenie, starając się podzielać radość małej. – To fantastycznie!

Szczeniaki Dolce były już na tyle odchowane, że mogły pójść do adopcji. W ciągu tygodnia zaczęły po kolei trafiać do nowych domów – ku wielkiemu rozczarowaniu Astrid. Większość została już adoptowana z wyjątkiem jednej małej przylepy, którą nazwały Tank. Teraz rozwiązanie problemu zależało od Astrid, która miała zabrać szczeniaczka na prezentację do szkoły, a nauczycielka piątej klasy zrobiła dla niego specjalną aplikację.

Dziewczynka biegła po kuchni bez śladu żalu po zmniejszającej się populacji „Kosmatych Przyjaciół”.

– Nazywa się Lucky i ma trzy nogi. Jest taki słodki!

– Znalazł go nasz weterynarz z Burlington – wyjaśniła Ally. – Ktoś go potrącił i uciekł. Biedne maleństwo. Poprosiłam, żeby po południu przysłał mi zdjęcie, ale zamierzamy po niego jechać zaraz po śniadaniu. Wybierzesz się z nami?

Kusząca propozycja, bo miałyby wymówkę, żeby trochę odseparować się od Connora, ale nie chciała, by pomyślał, że go unika, więc pokręciła głową.

– Nie, powinnam popracować z Maxem.

– Wkładam buty i zaraz będę gotowa! – Astrid z impetem zeskoczyła ze stołka i głośno tupiąc, popędziła na górę.

Robiła zdumiewająco wiele hałasu jak na tak małą osobkę.

– Gdzie Ben? – zapytała Deenie, kiedy zostały same.

– Na śniadaniu wyborczym w Elks.

– Chyba zdaje sobie sprawę, że nikt nie będzie głosował na Tandy Watts?

Ally wzruszyła ramionami, przemycając kawałki chrupiącego bekonu Colby’emu i Bażantowi, którzy zalegali na podłodze w charakterze zawalidróg.

– Podejrzewam, że chce na to zasłużyć. Nawet jeśli wie, że i tak wygra przytłaczającą liczbą głosów. Zdobył stanowisko w radzie miejskiej przez przypadek, więc to, że teraz zostanie wybrany przez mieszkańców miasta, wiele dla niego znaczy.

Deenie porwała kawałek bekonu, który stygł na talerzu.

– Potrafię to zrozumieć.

Ally wyciągnęła talerze, starając się zachowywać jak najbardziej swobodnie.

– Zatem... jak było wczoraj? – zapytała. Chciała, żeby pytanie zabrzmiało jak najbardziej neutralnie, zdradzając tym samym, że umiera z ciekawości. – Dość późno wróciłaś.

– Było naprawdę w porządku – odrzekła Deenie, przegryzając bekon. – Zakontraktowałam nawet przyjęcie z królowną. A skoro o tym mowa, powinnam chyba rozbudować kalendarz na mojej stronie internetowej, skoro zamierzam się tu kręcić do czerwca.

– Naprawdę? – Twarz Ally się rozjaśniła, jakby ta wiadomość była główną atrakcją dnia.

– Kirsten wrobiła mnie w swoje ślubne przedsięwzięcia. Już nie ma odwrotu.

Rozdzwoniła się komórka, Deenie spojrzała na wyświetlacz i aż się wzdrygnęła.

– Wywołałyśmy wilka z lasu...

Złapała jeszcze jeden kawałek bekonu, przeprosiła Ally i poszła odebrać telefon. Gdy znalazła się sama na ganku, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie przełączyć na pocztę głosową.

Telefony od matki rzadko bywały najmilszym akcentem dnia.

Nie było jednak sensu odkładać nieuniknionego – potraktowała to jak zrywanie plastra.

Odebrała.

– Cześć, mamo.

– Nadine. Wreszcie.

Supermoc, którą wykorzystywała matka, by wpędzić ją w poczucie winy, używając do tego zaledwie kilku sylab, była w pełnym rozkwicie.

– Przepraszam – odpowiedziała. To było ulubione słowo jej matki, jeśli chodziło o najmłodszą córkę. – Właśnie z kimś rozmawiałam.

Matka nienawidziła, gdy ktoś uważał, że odebranie telefonu jest ważniejsze od rozmowy z człowiekiem, którego ma przed sobą – pod warunkiem że to nie ona była osobą po drugiej stronie słuchawki.

– Właśnie dowiedziałam się od Kirsten, że przyjdiesz na wesele.

– Yhm – przytaknęła Deenie. Nie była pewna, czy znowu zrobiła coś źle, więc przygotowała się na uderzenie.

Matka wyartykułowała pełen niepokoju dźwięk.

– Jesteś przekonana, że będziesz mogła?

– Powiedziałam Kirsten, że przyjdę.

– No wiem, kochanie, ale sama musisz przyznać, że nie masz najlepszych notowań, jeśli chodzi o słowność...

Deenie zacisnęła zęby, ale opanowała wzburzenie.

– To, że nie chcę robić wszystkiego, czego ode mnie żądasz, nie świadczy o niesłowności czy zawodności. Nigdy nie obiecuję, że coś zrobię, jeśli nie jestem w stanie się z tego wywiązać.

– Tak, ale chodzi też o to, *jak* się wywiązujesz. Wszyscy wiemy, że masz skłonności do dramatyzowania, i nie chcę, żebyś zniszczyła wesele siostry jedną ze swoich scen.

Deenie wstrzymała oddech, bo uświadomiła sobie, że matka nie próbuje jej nakłonić, by przyszła na wesele, lecz raczej ją od tego odwieść. Z roztargnieniem rozmasowała nowy ból w klatce piersiowej wywołany ciosem, który właśnie otrzymała.

– Niczego nie zniszczę. I robię sceny tylko wtedy, gdy mnie prowokujesz.

– Wiem, że nigdy nie robisz tego celowo, ale czasem nad sobą nie panujesz. A twoja siostra zasługuje na idealny ślub.

– To był jej wybór – zauważyła Deenie. I pomyśleć, iż przez chwilę sądziła, że to matka zmusiła siostrę, żeby ją zaprosiła.

– Jesteście siostrami. Jakby to wyglądało, gdyby cię pominęła? Ale pomyślałam, że będziesz chciała się wykpić. Zawsze znajdujesz jakieś wymówki, żeby nie spędzać z nami czasu.

Ten kąśliwy komentarz sprawił, że znowu zacisnęła zęby.

– Ale nie tym razem – odparła.

Matka westchnęła ciężko.

– Cóż, oczywiście wszyscy jesteśmy zachwyceni, że pojawisz się na przyjęciu zaręczynowym.

Chyba zamierzasz przyjść?

– Masz to jak w banku. Przyprawdzą nawet chłopaka. Pokochacie go.

– Nie musisz być sarkastyczna, Nadine.

– To nie sarkazm. Zobaczysz, naprawdę go pokochacie. – I to tak, że była niemal gotowa odwołać Connora, bo nie chciała dać matce satysfakcji.

Żywa tarcza, przypominała sobie. Connor będzie jej tarczą z vibranium, która odeprze wszystkie strzały skierowane w jej stronę przez kochającą rodzinę.

– Obiecuj, że nie zrobisz żadnej sceny. Na przyjęciu będzie kilku klientów twojego ojca. I oczywiście współpracownicy Kirsten i Todda.

– Żadnych scen – obiecała. Bez względu na to, jak bardzo będzie mnie kusiło.

Naprawdę nie chciała zrujnować wesela Kirsten ani żadnej z imprez, które je poprzedzą.

Nigdy nie chciała być odmieńcem. Denerwowało ją, że musi się dostosowywać do wszystkich ich reguł – a było ich nieskończenie wiele – żeby zasłużyć na akceptację. Do tych śmiesznych, niedorzecznych zasad, które nie miały żadnego sensu. Te rodzinne zasady były dla Deenie niczym kaftan bezpieczeństwa krępujący jej osobowość.

Ale przecież miała Connora. Przyjęcie zaręczynowe na pewno będzie udane. Po prostu *świetne*.

Deenie wyglądała olśniewająco i tak, jakby właśnie zamierzała zwymiotować na swoje wściekle różowe szpilki.

Miała na sobie tę samą czarną koktajlową sukienkę z bufiastą spódnicą co w zeszłym tygodniu na aukcji charytatywnej, ale tym razem włożyła różowe szpilki. I nie było śladu po peruce. Zakręciła za to włosy, więc różowe i blond kędziorki sterczały zabawnie na wszystkie strony, a szyję okalał jaskraworóżowy naszyjnik.

Wyglądała jak gwiazda rocka wystrojona na ceremonię rozdania Oscarów – warstwa elegancji nie była w stanie przykryć naturalnej dzikości – więc Connor ucieszył się, że postawił na czarny garnitur, dzięki czemu pasował do jej stylizacji, chociaż różowo-brokatowe paznokcie Deenie wbijały się w kosztowną tkaninę.

– Dobrze się czujesz? – mruknął, gdy wchodzili do eleganckiej sali balowej ośrodka narciarskiego, która została specjalnie przygotowana na przyjęcie zaręczynowe Kirsten i Todda.

Deenie błysnęła uśmiechem – promiennym, delikatnym i fałszywym.

– Nie mogłoby być lepiej! – stwierdziła.

Nie był w stanie rozróżnić, czy próbuje być uszczypliwa, czy jest szczerą.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział uspokajająco. – To tylko kolacja.

W jednym rogu sali, na parkiecie do tańca, na którym nikt nie tańczył, przygrywał kwartet smyczkowy. Wokół uwijali się kelnerzy z zakąskami i szampanem, a w sali rozlegał się cichy, stonowany szmer rozmów.

Od stojącej w pobliżu grupy oderwała się kobieta w srebrnej sukni, z czarnymi włosami gładko zaczesanymi w elegancki kok. Ruszyła w ich stronę, uśmiechając się pogodnie.

Connor poczuł na ramieniu mocniejszy uścisk Deenie.

– Musimy mieć jakąś strategię – szepnęła. – Na wypadek gdyby nas rozdzielili.

Nie zdążył jej zapewnić, że nie zamierza ani na chwilę jej opuszczać.

– Nadine. Jesteś. Zaczynałam się zastanawiać, czy dasz radę przyjechać.

– Korki – powiedziała Deenie, uśmiechając się przeproszająco. Jakby przez całą drogę nie namawiała Connora, żeby jechał wolniej. – Cześć, mamo.

Connor był tak zdziwiony, że musiał się powstrzymać, by nie przenosić spojrzenia z jednej na drugą, bo kobiety w ogóle nie były do siebie podobne – ciemna i jasna, opanowana i szalona. Chociaż gdy zaczął szukać podobieństw, zauważył, że obie mają małe zadarte nosy.

– Pozwolisz, że przedstawię ci mojego partnera. Connor Wyeth, moja mama, Joanne Mitchell.

– Witam, jak się pan miewa? – Matka wyciągnęła rękę, bez ogródek taksując go spojrzeniem.

Lekki grymas niezadowolenia sprawiał, że kąciki jej ust nieco opadły. Wydawała się twarda i stanowcza. Nieugięta.

– Miło mi panią poznać – powiedział Connor, ujmując na chwilę jej dłoń. – Gratuluję zaręczyn córki.

– Dziękuję. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że Todd będzie należał do naszej rodziny. Prawda, Deenie?

– Absolutnie.

Na twarzy matki malowała się taka sama niepewność, jaką czuł Connor, gdy się zastanawiał, czy Deenie jest uszczypliwa, czy szczerą. Dziewczyna najwyraźniej nie odziedziczyła perfekcyjnie pokerowej twarzy po matce. Gdy starsza pani Mitchell spojrzała przez ramię Deenie, jej twarz się wypogodziła. Pomachała ręką i uśmiechnęła się radośnie.

– Pójdę przywitać się z Westonami. A wy bądźcie grzeczni! – zaszczębiotała i poklepała córkę po ramieniu.

Przestroga zabrzmiała zabawnie, ale Deenie jeszcze mocniej ścisnęła ramię Connora. Spojrzał w dół na jej platynowo-różowe loki. Chyba nie była naturalną blondynką.

Pochwyciła jego spojrzenie i uniosła wysoko jasne brwi.

– Myślisz, że mnie podmienili? Kirsten jest podobna jak dwie krople wody do matki, a gdybym nie była wierną kopią siostry mojego ojca, wszyscy byliby przekonani, że zamienili mnie na porodówce.

W tym momencie dziewczyna ujrzała kogoś za plecami Connora – jej spojrzenie stwardniało.

– Nadchodzi – powiedziała.

– Deenie, całe wieki cię nie widziałem.

– Peter. – Powitała nowo przybyłego chłodnym skinieniem głowy, a potem przedstawiła Connorowi swojego brata.

Miesiąc temu, gdyby ktoś zapytał Connora, z jakiej rodziny pochodzi Deenie, byłby święcie przekonany, że wszyscy jej krewni są głośni, serdeczni i obdarzeni nonszalanckim stosunkiem do świata. Deenie była tak pewna siebie, żywiołowa, pogodna i wolna, że nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, iż tak barwna i błyskotliwa osoba wzięła się z palety statecznej szarości.

Odkrył, że łatwo się irytuje, uwielbia wbijać mu szpile, kpić z jego sztywności i przywiązania do rutyny, ale jednocześnie podziwiał jej ducha. Ducha, który wydawał się wyraźnie przygaszony, gdy prowadziła dziwną pogawędkę z bratem.

Rozmawiali o jego dzieciach. Peter podziękował Deenie za gwiazdkowe prezenty, które im przysłała. Potem się oddalił, a oni podchodzili do kolejnych członków rodziny, chociaż jedyną różnicą między krewnymi a pozostałymi gośćmi zdawały się ich tytuły, które wymieniała, przedstawiając ich Connorowi. Wszystko było bardzo formalne. Bardzo uprzejme.

I bardzo chłodne.

Nikt – dosłownie nikt – nie zapytał Deenie, jak się miewa i co u niej słychać.

Wszyscy przekazywali jej najświeższe nowiny ze swojego życia. Czasem rzucali jakiś komentarz na temat imprez, które ją ominęły, albo wtrącali uwagi na temat swoich planów zawodowych, które jej kompletnie nie interesowały. Ale nikt nie był ciekawy, co się dzieje w jej życiu. Ani nawet jak długo Connor i ona się spotykają.

To było niezwykle, niespotykane, przedziwne.

A potem pojawiła się przyszła panna młoda.

– Małeńka Deenie! – Kobieta w białej koktajlowej sukience rzeczywiście wyglądała jak młodsza kopia matki – ciemnobrązowe włosy zaczesane w kok i czekoladowe oczy. Ujęła dłoń Deenie, ścisnęła je z zapalem i się uśmiechnęła. – Tak się cieszę, że przyszedłeś! Peter robił zakłady. Uwierzysz w to?

– Mam nadzieję, że sporo wygrałeś. – Deenie się uśmiechnęła, ale tylko kącikiem ust.

– Och, nie zakładałam się. Wiedziałam, że przyjdiesz. Nie mogłam się doczekać. Musisz kogoś poznać. Jedną ze znajomych Todda jest inwestorem i wprost uwielbia twoją stronę internetową z przyjęciami dla dzieci. Koniecznie chce z tobą porozmawiać o prawdziwym biznesie, który mogłybyście zrobić na tych słodkich sukieneczkach dla księżniczek. Gdybyś chciała, mogłybyś otworzyć pierwszy sklep w Pine Hollow, ale Burlington to o wiele lepsza lokalizacja.

– Kirsten, nie chcę żadnego sklepu.

– Wiem, że to zwiększy koszty i że mnóstwo firm działa teraz tylko w Internecie, ale zaufaj mi:

to będzie naprawdę cudowne. Wpadłam na ten pomysł, gdy w zeszłym tygodniu szukałam sukni ślubnej. Weszliśmy do sklepu, a tam szampan i te cudowne małe ciasteczka, wspaniałe doświadczenie. I wtedy pomyślałam o tobie. Mówiłaś, że jeździsz do domów klientów i robisz przymiarki dziewczynkom, żeby poczuły się jak prawdziwe królowny. No i przyszło mi do głowy, że nie ma nic lepszego niż sklep, do którego dziewczynki przychodziłyby mierzyć sukienki, a przy okazji popijałyby herbatę i zjadały się rozkosznymi ciasteczkami, a ty sprzedawałabyś sukienki ich rodzicom po wyższej cenie. Czy to nie genialne?

– To wspaniały pomysł, ale nie dla mnie.

– Ale mogłoby się udać! – ciągnęła z entuzjazmem Kirsten. – Możesz zarabiać na życie, robiąc to, co kochasz! Na *dobrze* życie. Nawet jeśli to tylko szycie sukienek.

Connor wzdrygnął się z zażenowania, ale Kirsten nawet nie pomyślała, że mogła urazić Deenie. Ich rodzice krążyli w pobliżu, nie spuszczać wzroku z najmłodszej córki, jakby chcieli się upewnić, że odpowiednio się zachowuje.

– Świetnie sobie radzę – odparła dziewczyna, ścisząc głos. – Lubię swoje życie i nie chcę go zmieniać. I podoba mi się, że żyję według własnego planu. Gdybym teraz chciała wyjechać, wystarczyłaby informacja na stronie internetowej i byłabym wolna. Nie muszę się martwić o personel i sprawdzać, czy wszystko działa, kiedy mnie nie ma.

– Ale to byłaby wielka szansa. Przynajmniej porozmawiaj ze znajomą Todda...

– Prawdę mówiąc, nie szyję już kostiumów królowny – wypaliła Deenie, przerywając siostrze.

– Teraz jestem trenerką psów.

Był to jeden z tych momentów zaaranżowanych przez złośliwy los, by podkreślić efekt do maksimum – kwartet skończył grać i zapadła cisza, która idealnie zbiegła się z przerwą w ogólnych rozmowach, więc głos Deenie zadźwięczał prowokująco, odbijając się echem w krótkiej chwili spokoju.

Wszystkie głowy się odwróciły. Matka Deenie głośno westchnęła.

Dziewczyna zrobiła się czerwona jak burak.

– Tak to właśnie wygląda. A teraz przepraszam, muszę przypudrować nos.

Uciekła, a muzycy potraktowali to jako sygnał do zagrania kolejnego utworu. Ludzie znowu zaczęli rozmawiać – szum głosów był teraz trochę głośniejszy niż wcześniej. Connor chciał rzucić się za Deenie, chociaż nie był pewien, czy byłaby zadowolona, gdyby pognał za nią do łazienki, ale zamarł w bezruchu, kiedy usłyszał z lewej strony wyniosły głos.

– Ona nie mówi poważnie.

Matka Deenie. Próbuje zatrzeć złe wrażenie. Stara się zatuszować wstrząs wywołany obecnością najmłodszej córki.

Connor nie wiedział dlaczego, ale rozgorzał w nim gniew.

– Owszem, mówi. – Usłyszał swoje warknięcie, jego słowa były ostre, krótkie i rzeczowe. – I jest niesamowita w tym, co robi.

Joanne Mitchell wbiła w niego wzrok, unosząc cienką brew.

– Connorze, a ty czym się zajmujesz?

ROZDZIAŁ 18



Jedynie w świecie jej rodziców przyznanie się do pracy w charakterze trenerki psów mogło zostać uznane za obraźliwą scenę, ale Deenie wiedziała, że matka właśnie tak to postrzega.

Nie zamierzała powiedzieć tego tak głośno. Chciała tylko, żeby Kirsten przestała z niej robić Korporacyjną Księżniczkę. Nie chciała mieć sklepu i była strasznie zmęczona obroną swojego terytorium przed rodziną, która nieustannie próbowała ją „naprawiać”, ale powinna trzymać język za zębami i rzucić Connora na pierwszą linię ognia. Przecież dlatego z nim tu przysłała, prawda?

Deenie stała przed lustrem już od pięciu minut, gdy do łazienki weszła jakaś kobieta. Uśmiechnęła się i podeszła do najbliższej umywalki, a potem sięgnęła do torebki i wyjęła puderniczkę.

– Deenie, prawda? Młodsza siostra Kirsten? Jestem Katrina. Jedna z druchen.

Deenie odwzajemniła uśmiech, odkręciła kran i umyła ręce, by uzasadnić, dlaczego stoi przy umywalce.

– Miło cię poznać – powiedziała.

– Czyż Kirsten i Todd nie są najśłodszą parą na świecie? Jesteśmy bardzo podekscytowane, że tak dobrze trafił. Chociaż ty też podłapałaś niezły towar, nie? Ta tesla X, którą podjechaliście, należy do twojego faceta?

Deenie zrobiła wszystko, żeby zachować beznamiętny wyraz twarzy, gdy po raz kolejny przypomniano jej, co tutaj ma znaczenie. Czym przyjechałaś. Ile zarobiłaś.

– Tak, to jego samochód – potwierdziła łagodnym głosem.

– To nie samochód, skarbie. To *szpan*. – Głos Katriny zabrzmiał seksownie, gdy poprawiała szminkę. – Wyrazy uznania, że złapałaś takie ciacho. Gdzie go znalazłaś?

– W Pine Hollow – odparła obojętnym głosem.

Katrina się roześmiała, jakby Deenie opowiedziała świetny dowcip.

– Chyba żartujesz. Gdybym wiedziała, że takiego rekina można złapać w obskurnej sadzawce, już od dawna bym tam łowiła.

Deenie zignorowała niepożądany przeblysłk *czegoś*, co nakazywało jej trzymać Katrinę z dala od Connora. Nie zważała przy tym, że nagła zaborczość wywołała ucisk w jej piersi. Po prostu obmywała dłonie pod ciepłą wodą. Connor był przystojniakiem. Inteligentnym i zabawnym facetem, ale Katrina wiedziała o nim tylko to, jakim przyjechał samochodem. I tego gratulowała Deenie, jakby jego książeczka czekowa była najważniejszą sprawą na świecie.

Dziewczyna zakręciła kran, wytarła ręce i pamiętając o tym, żeby nie wywoływać kolejnej sceny w sali balowej, skierowała się do drzwi.

– To duże miasto – powiedziała dyplomatycznie, a potem wyszła, zanim Katrina zdążyła zaprotestować swoim seksownym głosem.

W sali rozejrzała się, szukając Connora. Chciała złapać go za ramię i wyjść. Byle z dala od tych ludzi.

Pochwyciła jego wzrok, a on już zmierzał do niej, przeciskając się przez tłum.

– Wszystko w porządku? – wymruczał, łapiąc ją za łokieć i pocierając w roztargnieniu jej skórę.

– Ekstra. Przepraszam, że cię zostawiłam. Mam nadzieję, że szakale cię nie dopadły, gdy zostałeś bez ochrony?

Uśmiechnął się kącikiem ust i wlepił w nią oszalamiające bursztynowe oczy.

– Daję sobie radę z twoimi rodzicami. Może nie uwierzysz, ale niemal wszyscy mnie polubili.

Prawdopodobnie nawet pokochali, ale Deenie nadal czuła, że musi przeprosić za to, że go tu sprowadziła. Impreza charytatywna okazała się sukcesem. Współpracownicy Connora byli zabawni. A to...

- Myślisz, że ktoś zauważy, jeśli wymkniemy się niepostrzeżenie?
- Daj spokój – powiedział. – Zaraz podadzą kolację. Jemy, uśmiechamy się, a potem znikamy.
- Jesteś pewien, że nie skusisz się na moją propozycję ucieczki?

Connor pokręcił głową.

- Nie ma takiej opcji. Później mi podziękujesz.

Deenie miała pewne wątpliwości.

Zwłaszcza że kolacja się przeciągała. Z powodu toastów. Niezliczonych. Na szczęście dzięki temu nie musieli rozmawiać z innymi parami przy stole – Deenie szybko się zorientowała, że to inne drużyny z partnerami, wszyscy w elegancki sposób porównywali stan swoich kont.

Kiedy ojciec pana młodego wstał, żeby wygłosić *drugą* przemowę, Deenie nachyliła się do Connora i szepnęła:

- Dłużej nie dam rady. Potrzebuję więcej czekolady, żeby to przetrwać.

Albo więcej alkoholu. Na deser podano chyba najcieńsze ciasteczka na świecie, a kelnerzy krążący między stolikami i uzupełniający szampana w kieliszkach zdawali się omijać Deenie – prawdopodobnie na prośbę jej matki, która chciała zapobiec „kolejnej scenie”, chociaż ona *przenigdy* nie upiła się na spotkaniu rodzinnym.

– Zobaczę, co da się zrobić – mruknął Connor, kiedy właśnie miała zamiar zacząć go przekonywać, żeby się wymknęli bocznymi drzwiami.

Kiedy wstał od stołu, chciała go złapać, zatrzymać i błagać, żeby nie zostawiał jej samej z tymi ludźmi, ale już się oddalił w poszukiwaniu czegoś słodkiego.

Skoncentrowała się więc na ciągnącej się w nieskończoność drodze przez mękę toastów, aż poczuła, że ktoś zajmuje miejsce opuszczone przez Connora. Poczuła lekki dotyk ramienia matki, która znienacka się do niej przysiadła. Deenie ledwo zdołała opanować zdziwienie, po czym szepnęła:

- Nie powinnaś siedzieć przy głównym stole?

Matka zmarszczyła brwi, wyrażając w ten sposób niezadowolenie, które chociaż raz nie było wymierzone w Deenie.

– Proponowałam jeden toast na rodzinę, żeby wszystko toczyło się w miarę sprawnie, ale Kirsten nie chciała odmówić przyszłym teściom. Mam nadzieję, że klienci twojego ojca nie zasnęli z nudów.

- To dlaczego z nimi nie porozmawiasz?

Chyba nikt nie zwrócił uwagi, że szepczą, ale matka i tak jeszcze bardziej ściszyła głos.

- On jest aktorem, prawda?

- Kto? – nie zrozumiała Deenie.

– Connor. Twój ojciec myśli, że on naprawdę jest prawnikiem, a ja nie wyprowadzałam go z błędu. Rozmawialiśmy z nim, gdy poszłaś do toalety. Ojciec był pod wielkim wrażeniem, ale wtedy przypomniałam sobie, że masz mnóstwo przyjaciół aktorów. Ten młody człowiek jest bardzo atrakcyjny i odnosi sukcesy, jeśli mówi prawdę. Wynajęłaś go, żeby udawał twojego partnera?

- Ponieważ ktoś taki jak Connor umówi się z kimś takim jak ja tylko za pieniądze?

To było obelżywe i irytująco bliskie prawdy.

Matka prychnęła z dezaprobatą.

– Nie bądź przewrażliwiona. Chcę się dowiedzieć, by powściągnąć oczekiwania ojca. Jest taki zachwycony, że w końcu przyprowadziłaś kogoś odpowiedniego.

– Connor nie jest aktorem – odgryzła się Deenie. Pilnowała się, żeby nie wspomnieć, że nie jest również jej prawdziwym partnerem. Ojciec Todda wreszcie skończył swoją tyradę i podniósł kieliszek. Deenie wykorzystała ten moment i wstała. – Przepraszam na chwilę.

Szybko przemknęła wzdłuż ściany sali balowej z nisko opuszczoną głową, jakby dzięki temu nikt nie był w stanie zauważyć, że ucieka z przyjęcia. Reszta ekskluzywnego ośrodka narciarskiego o tej porze była cicha i pusta, korytarze ciemne, więc zanurkowała w jeden i znalazła małą wnękę przy oknie. Tam w końcu mogła się zatrzymać; przycisnęła plecy do boazerii i wzięła głęboki oddech.

Tysiące ludzi miało o wiele gorzej. Ona zachowywała się dziecinnie z tymi swoimi „problemami pierwszego świata”. Żaden z nich nie miał znaczenia. Była szczęściarą. Mogła żyć tak, jak chciała. Zwiedzać świat. Czy to ważne, że w oczach swojej rodziny nigdy nie będzie wystarczająco dobra?

Dopóki nie będzie żyła w sposób, który rozumieją i akceptują. Dopóki nie założy dobrze prosperującej firmy. I nie będzie się umawiać z odnoszącym sukcesy prawnikiem.

– Ciasteczko?

Nie usłyszała, jak podchodzi. Connor stanął przed wnęką – z niepewną miną i tacą z czterema czekoladowymi ciasteczkami. Na jego widok serce Deenie podskoczyło z radości, musiała na siłę sobie przypomnieć, że to wszystko nie jest prawdziwe.

– Mój bohater – zamruczała na tyle oschłym tonem, by nie usłyszał szczerości w jej słowach.

Niepewność zniknęła z jego twarzy i zmieniła się w uśmiech wywołany kaśliwością w jej głosie. Wszedł za Deenie do wnęki i podsunął jej talerz.

– Przyniosłem czekoladę.

– Dziękuję.

Nie przyniósł widelczyka – widocznie się spodziewał, że zastanie ją przy stoliku – ale nie pozwoliła, żeby taki drobiazg ją powstrzymał. Chwyciła palcami ciasteczko i wsunęła je do ust, pojękując z rozkoszy, gdy gorzka czekolada rozpuszczała się na jej kubkach smakowych. Nie odezwał się ani słowem, gdy sięgnęła po kolejne.

– Nadal wznoszą toasty? – zapytała, gdy już się odprężyła pod wpływem ciastek i Connora.

– Chyba tak. Dobrze się czujesz?

Deenie się skrzywiła.

– Tak. Kiedy zaczynają się poważne problemy, twarde uciekają, prawda?

Zajrzał jej w oczy, nieprzeniknione w mroku.

– Nie musisz tego robić.

Deenie podniosła głowę.

– Czego?

– Kpić z siebie. Nie ma niczego złego w tym, że się starasz.

– Nie chodzi o to, że nie mam niczego, o co warto się starać. Mama uważa, że cię wynajęłam.

Gdy byłam w łazience, najwyraźniej zaimponowałeś mojemu ojcu, ale ona zna mnie zbyt dobrze, by uwierzyć, że zdołałabym poderwać takiego faceta jak ty. Mądra kobieta.

– Hej. – Connor podszedł bliżej i ujął jej podbródek wolną ręką. Jego dłoń była niesamowicie ciepła, koniuszki palców lekko zrogowaciałe. – Pamiętaj, że mówisz o mojej przyjaciółce Deenie. Bądź miła.

Spojrzała mu w oczy, nie do końca dostrzegając ich kolor w mroku korytarza, ale przecież już dobrze znała każdą zmarszczkę na jego twarzy. Każdy odcień. Każdy oszałamiający wyraz twarzy, każdy subtelny szczegół jego doskonałego uroku. *Znała go*. I wstrzymała oddech.

Nie wiedział, dlaczego to zrobił – podszedł bliżej, ujął jej twarz. Nienawidził tego zwątpienia w jej oczach. Chciał się go pozbyć. Ale nie wziął pod uwagę, jak się poczuje, stojąc tak blisko niej w małej ciemnej wnęcie.

A czuł, że powinien ją pocałować.

Musiał tylko pochylić głowę. Nawet niezbyt nisko, bo znowu miała niebotycznie wysokie szpilki. Wcześniej się martwiła, czy szminka na jej ustach się utrzyma – nie sądził, by uświadamiała sobie, ile jej zjadła, gdy myślała, że nikt nie patrzy. Była świetna w pilnowaniu się, żeby uśmiech nie zniknął z jej twarzy, w odwracaniu od siebie uwagi i sprzedawaniu historyjek, że wszystko jest w porządku, ale teraz Connor zdołał zajrzeć za tę zasłonę. Zobaczył, jak ciężko pracuje, by wszystko wyglądało na łatwe i bezproblemowe. Widział wysiłek, który wkładała w to, by wszyscy myśleli, że niczym się nie przejmuje.

Ścisnęło mu się serce i bardzo chciał ją przytulić, pokazać, że jest przy niej, że nie jest sama i nie musi z taką zawziętością chować się pod powierzchnią, bo on jej pomoże. Są drużyną.

– Nadine?

W ciemnym korytarzu rozległ się kobiecy głos, a potem dźwięk oddalających się kroków. Deenie się wzdygnęła i odsunęła twarz. Connor opuścił ramię, czubki palców płonęły mu od dotyku jej skóry.

Deenie wzięła kolejne ciastko z talerza i wymamrotała:

– Powinieneś zjeść jedno, zanim wszystkie pochłonę.

Czar przysł.

Connor odsunął się, zdając sobie sprawę, iż powinien być wdzięczny, że im przerwano, zanim zrobił coś głupiego, chociaż nie był do końca pewien, jak się z tym czuje.

Uniósł talerz i ustawił między nimi.

– Przyniosłem je dla ciebie.

– Weź ostatnie – powiedziała i pchnęła talerz ku niemu. – Jestem za bardzo łakoma.

Nawet w słabym świetle zdołał dostrzec wyraz jej twarzy. Ten sam, który przybierała, trenując Maxa, gdy nie miała zamiaru odpuścić, dopóki nie zdoła go skłonić do wykonania jakiejś czynności. Zacięty. Uparty.

Zachwycający.

Oczywiście nie zamierzał jej tego mówić, bo prawdopodobnie zmiotłaby go z powierzchni ziemi.

Connor włożył do ust ostatnie miniciasteczko – tak dobre, że faktycznie można było się uzależnić – a potem złapał Deenie za rękę.

– Chodź. Mam pewien pomysł.

Zaprowadził ją z powrotem do sali balowej. Poczul ulgę, gdy zorientował się, że toasty wreszcie dobiegły końca, a muzycy wrócili na swoje posterunki. Kilka par kołysało się w rytm muzyki. – Connor uśmiechnął się w duchu. Doskonale.

Odłożył pusty talerz na tacę i pociągnął Deenie na parkiet.

– Miałam nadzieję, że twój pomysł obejmuje uciezkę z tego miejsca – mruknęła, gdy przyciągnął ją do siebie, zmuszając, by położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nonsens. Musimy coś udowodnić.

Muzycy grali walca, a Connor prowadził ją zgodnie z rytmem melodii. Zmrużyła oczy, gdy zrobił pierwszy krok.

– Jesteś dobry we wszystkim?

– Mama podstępem wysłała mnie na lekcje tańca – wyjaśnił. – Powiedziała, że dziewczyny lubią chłopaków, którzy umieją tańczyć. Ale zapomniała wspomnieć, że taniec z sali balowej w szkole średniej jest całkowicie bezużyteczny.

Usta Deenie zadrżały.

– Muszę jej za to podziękować.

Connor przytulił ją jeszcze bardziej – w stosunku do standardów wymaganych w sali balowej. Deenie uniosła głowę.

– Co próbujesz w ten sposób udowodnić?

– Czy twoja matka na nas patrzy?

Dziewczyna spojrzała przez jego ramię, ściągnęła usta z irytacją, a potem wbiła w niego wzrok.

– Patrzy.

– Świetnie.

Pochylił się i ją pocałował.

To miała być szybka akcja, musnięcie warg, ale pokusa okazała się silniejsza, więc przedłużał pocałunek w nieskończoność.

Smakowała gorzką czekoladą. Jej dłoń zacisnęła się na jego ramieniu – oddała mu pocałunek, jej usta były miękkie i szukały jego warg. Skóra jej pleców płonęła pod dotykiem jego dłoni, drugim ramieniem przytulał ją do siebie. Nadal tańczyli, chociaż Connor nie pamiętał już kroków, nie pamiętał nawet, żeby się kołysać, bo wpadł w sieć pocałunku Deenie, która całkowicie go pochłonęła.

Kiedy w końcu się odsunęła, by zaczerpnąć oddechu, wyprostował się zakłopotany, mimo że od samego początku to zaplanował.

Chciał pokazać jej rodzicom, że to nie gra. Że Deenie jest doskonała taka, jaka jest, ale nie spodziewał się, iż cokolwiek przy tym poczuje. Nie oczekiwał, że to go porwie i zauroczy.

– Gotowa do ewakuacji? – zapytał nieoczekiwanie ostro.

Na twarzy Deenie malował się spokój, wszelkie ślady oszołomienia zniknęły z jej oczu.

– Absolutnie – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 19



Connor był o wiele lepszym aktorem, niż sądziła.

Nie spodziewała się, że ją pocałuje. Owszem, było to trochę dziwne, nawet biorąc pod uwagę, że rzekomo spotykają się od kilku miesięcy, bo publiczne okazywanie uczuć nie było dobrze widziane w jej rodzinie.

Trzymanie się za ręce? Tak. Wspólny udział w przyjęciu? Jak najbardziej.

Ale absolutnie nie była przygotowana na pocałunek.

Dlatego tak ją to poruszyło. Szok. Kompletne zaskoczenie. To było jedyne wytłumaczenie.

Znowu siedziała wtulona w fotel pasażera, chociaż w ostatnich dniach niespodziewanie zawitała wiosna i nie było tak zimno jak ostatnio, gdy wracali z przyjęcia dobroczynnego na rzecz Easterseals. Deszcz bębnił jednostajnie w przednią szybę.

Nie rozmawiali od chwili, gdy odebrali samochód od parkingowego i wyruszyli w stronę Pine Hollow. Może tym razem też powinna udawać, że śpi. Wiedziała, że muszą porozmawiać o tym wieczorze – takie ustalenia zawarli w umowie – ale miała ochotę schować się w myśłą dziurę.

Czuła się całkowicie obnażona. Nigdy nie pozwalała, by ludzie widzieli, że się z czymś zmagają. Że przeżywa ciężkie chwile, czując się czarną owcą w rodzinie. Przebyła długą drogę, udoskonalając strategię odwracania od siebie uwagi, ale wszystko się zawaliło w obecności Connora.

– Dziękuję, że spędziłeś ze mną ten wieczór – odezwała się w końcu, gdy deszcz smagał okna samochodu.

Może sytuacja była krępująca, ale wiedziała, że byłoby dużo gorzej, gdyby go przy niej nie było.

– Skąd się wzięłaś? – zapytał.

To pytanie zadawała sobie przez całe życie.

– Ciekawe, prawda? Oni są przecież tacy doskonali.

Rzucił jej szybkie, pełne irytacji spojrzenie.

– Nie o to mi chodzi. Jesteś jak promień słońca. Jak ktoś z takiej rodziny zmienił się w Deenie Mitchell?

Te słowa tak nią wstrząsnęły, że zadrżała, chociaż wcale nie było jej zimno. Powiedział to w taki sposób, jakby bycie Deenie Mitchell było czymś naprawdę dobrym.

– Mówiłam ci, że mam ciocię, które mieszka na osiedlu emerytów. Pamiętasz? Tę, którą ciągle odwiedzam?

– Pamiętam.

– Była czarną owcą swojego pokolenia. Nigdy nie wyszła za męża. Nie miała dzieci. Nie była perfekcyjną panią domu, chociaż wszyscy tego od niej oczekiwali. I przez całe życie tylko ona zachęcała mnie, żebym była szalona, żebym żyła tak, jak chcę. – Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – To ona sprawiła, że poszłam do Brown.

Connor rzucił na nią okiem; to szybkie spojrzenie miało jej dać do zrozumienia, że słucha, że zachęca ją, by mówiła dalej.

– Moi rodzice poznali się w Princeton – ciągnęła. – Brat i siostra też tam studiowali. To nasza rodzinna uczelnia. Tam właśnie studiuje wszyscy Mitchellowie. W szkole średniej naprawdę bardzo się starałam być taką osobą, jaką chcieli we mnie widzieć. Wybrałam tylko jeden przedmiot, który nie mieścił się w strategii mojej przyszłej kariery akademickiej. To była teatrologia, moja ucieczka. Wiedziałam, że rodzice postradają zmysły, jeśli im powiem, że chcę pójść do szkoły teatralnej. Szczerze mówiąc, byłam naprawdę dobra z matmy. Finanse i ekonomia wydawały mi się sensownym wyborem. Może dlatego, że przez całe życie przysłuchiwałam się przy stole rozmowom na ten temat. A więc postanowiłam, że będę się specjalizować w przedmiotach ekonomicznych. A konkretnie w matematyce

teoretycznej, jeśli zdobęde się na taką zuchwałość. Ale potem pojechaliśmy zwiedzać uczelnie. – Pokręciła głową, wspominając tamten tydzień. – To była formalność. Rodzice próbowali mi pokazać w czasie tej wycieczki, że Princeton jest lepszą uczelnią niż inne. „W Brown panuje chaos... Columbia jest taka zatłoczona... W New Haven jest brudno...”.

– Hej!

Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego instynktowną obronę Yale.

– No i pojechaliśmy do Princeton. – Deenie jęknęła dramatycznie. – Byłeś tam kiedyś?

– Nie – przyznał.

– To takie staroświeckie i nudne miejsce. Kampus jest wspaniały i trafiliśmy akurat na przepiękny dzień. Słońce i zielona trawa. Ale wszyscy potencjalni studenci nosili sportowe marynarki, krawaty i eleganckie sukienki, jakby wybierali się na brunch w country clubie. Wszystko było takie oficjalne, formalne. Zawsze zakładałam, że będę tam studiować, lecz nagle nie mogłam złapać tchu. Całkowicie zawałam rozmowę kwalifikacyjną, ale rodzice mnie zapewniali, że mam się nie martwić, że to moje dziedzictwo, że świetnie wypadłam na testach i na pewno się dostanę. A ja wcale tego nie chciałam. Za każdym razem, gdy mnie pocieszali, czułam, że za chwilę dostanę ataku paniki. Wtedy pojawiła się Bitty i zabrała mnie na lody. To była całkowicie przypadkowa sytuacja. Zawsze wiedziałam, że ciocia jest zabawna, i gdy byłam mała, uwielbiałam spędzać u niej wakacje, choć rodzice nieustannie powtarzali, że jest szurnięta. Gdy chodziłam do szkoły średniej, często do niej jeździłam, ale nigdy nie traktowałam jej poważnie. Kiedy jednak tak siedziałyśmy i zajadałyśmy się lodami, nagle zaczęłam opowiadać jej o teatrze i o tym, że w Brown pozwalają studentom tak dobierać przedmioty, by mogli realizować swoje pasje. I już wiedziałam, co robić. Wróciłam do domu i powiedziałam rodzicom, że chcę studiować w Brown. Byli zaskoczeni, nieskończenie rozczarowani, ale to przecież nadal uczelnia z Ivy League, więc zrozumieli, że to rozsądny kompromis. Dopóki nie powiedziałam, że chcę sobie zrobić rok przerwy i wyjechać do Europy. Wtedy ciocia Bitty zaoferowała, że sfinansuje mi ten wyjazd.

– Zakładałam, że wszystko poszło dobrze.

– O wiele lepiej, niż się spodziewałam. Rodzice doszli do wniosku, że muszę wyrzucić z siebie to, co nakazuje mi walczyć z ustalonym porządkiem świata. Poszliśmy więc na kompromis w sprawie mojej wakacyjnej podróży: sześć tygodni wędrowki z plecakiem po Europie przed rozpoczęciem studiów w Brown.

– Wtedy po raz pierwszy wyjechałaś za granicę?

– Nie, ale po raz pierwszy sama. Nie będę ściemniać: było strasznie. Przez pierwszy tydzień wylałam więcej łez niż przez poprzednie dwa lata. W pociągu okradł mnie jakiś kieszonkowiec, a potem zgubiłam się w Madrycie. W liceum uczyłam się hiszpańskiego, ale nigdy nie miałam zacięcia do języków, więc większość czasu spędziłam na studiowaniu rozmówek, prosząc ludzi, by rozmawiali ze mną po angielsku. Na początku byłam przerażona, a potem uświadomiłam sobie, że mimo wszystko dam radę. Miałam ograniczony budżet i byłam zdana na siebie. Ale wiedziałam, że przetrwam. Mogłam zwiedzać świat. Jakbym odkryła w sobie nieznane dotąd pokłady siły. Bardzo mi się to spodobało. Zaprzyjaźniałam się z ludźmi w hotelach, w których pomieszkiwałam – zawsze obiecywaliśmy sobie, że zostaniemy przyjaciółmi na całe życie, ale potem już nigdy się nie spotkaliśmy – i to było naprawdę kapitalne. Po raz pierwszy czułam, że mam przyzwolenie na to, by być, kim tylko zechcę, i zaczęłam rozumieć, kim naprawdę jestem. Jesienią wróciłam na studia, ale nigdy nie wyzbyłam się zamiłowania do podróży. Nawet teraz pracuję głównie po to, żeby zarobić na wyjazdy. „Aby pamiętać, kim jestem”. To rada cioci Bitty. Pomogła mi zapłacić za college, bo rodzice w końcu doszli do wniosku, że nie zrobię „przydatnego” dyplomu, i odcięli mnie od finansów. Gdyby nie ona, nie byłabym tym, kim jestem.

A teraz prawie mnie nie pamięta...

Connor spojrział na nią, zmieniając bieg.

– Wydaje się niezwykłą osobą.

– Bo taka jest. Chociaż moi rodzice nie są jej fanami. Obwiniają ją za mój „menelski styl życia”. Pewnie dlatego tata był taki podekscytowany, gdy zobaczył mnie z prawnikiem. W końcu to jakiś sygnał, że prawdopodobnie dojrzewam i znajdę prawdziwą pracę. Cała rodzina myśli, że Bitty mnie sponsoruje. A to nieprawda – dorzuciła szybko, by mieć pewność, że Connor nie posądzi jej o naciąganie cioci. – Nie

wzięłam od niej ani grosza, od kiedy skończyłam szkołę. Nawet próbowałam oddać jej pieniądze, ale odmawia. Nie pozwoliła mi płacić czynszu, gdy u niej mieszkałam, zanim przeprowadziła się na osiedle emerytów, nawet jeśli spędzałam z nią kilka miesięcy. W zamian zajmowałam się domem i zawsze przykładałam się do pracy. Chociaż moi rodzice są przekonani, że jestem nieodpowiedzialna i niedojrzała.

– Wiem o tym.

– Przykro mi. – Deenie wtuliła się głębiej w fotel, wzruszona prostymi słowami Connora, i podkuła bosa stopy. – Mam straszne kompleksy z powodu mojej rodziny. Zawsze odnoszę wrażenie, że muszę im udowadniać, że nie jestem tym, za kogo mnie mają.

– Rodzina to skomplikowana sprawa – powiedział Connor współczująco.

– Nawet rodzina Connora Wyetha?

Nie sądziła, że odpowie. Była nieprzyzwoicie ciekawska, ale on tylko spojrzał na nią, uśmiechając się lekko.

– Nawet moja.

Przesunął ręce na kierownicy i przez chwilę wsłuchiwali się w milczeniu w rytmiczny szum wycieraczek.

A potem odezwał się niskim i głębokim głosem:

– Mówiłem ci, że gdy dorastałem, byliśmy tylko we dwoje, mama i ja. Ojciec dał nogę, gdy miałem pięć lat. Kiedy byłem nastolatkiem, w końcu wytrzeźwiał i próbował wszystko naprawić, ale upłynęło zbyt wiele czasu i to nie miało już znaczenia. Nie potrzebowałem go. Mama była dla mnie wszystkim. Mówiłem jej o rzeczach, z których bym się nie zwierzył nawet przyjaciółom. A gdy miałem dwadzieścia cztery lata, mama zaczęła się umawiać z *Mitchem*. – W tym jednym słowie Connor zawarł bogactwo sprzecznych emocji.

Deenie obróciła się w fotelu i rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, bo zainteresowało ją, co go tak nakręciło.

– Nie lubisz Mitcha? – zapytała.

– Nie można nie lubić Mitcha. To wyjątkowo sympatyczny gość – odparł, a jego słowa były przepojone goryczą.

– To musi być strasznie wkurzające, gdy nachodzi cię ochota, by utopić go w najbliższym stawie. Connor spojrzał na nią zaskoczony, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

– Wiesz, jak to jest. Gdyby był palantem, nie czułbym się takim dupkiem dlatego, że go skrycie nie cierpię.

– To naturalne. Przecież zabrał ci mamę.

– Właśnie w tym rzecz. Wcale tego nie zrobił. Od pierwszego dnia zrozumiał, że moja relacja z mamą zawsze będzie najważniejsza. Nigdy nie próbował odgrywać mojego ojca. I zawsze pozwalała, żebyśmy trzymali go na dystans. W ogóle nie naciska.

– Ale tak czy inaczej zmienił twoje relacje z mamą. Ona ma teraz dodatkową osobę, na której może polegać.

Connor długo przypatrywał się Deenie. Tak długo, że samochód skręcił, a opony zachrobotały na nierównym poboczu, co natychmiast zmusiło go do ponownego skupienia uwagi na prowadzeniu. Jak to się stało, że od razu zrozumiała? Jak w jednej chwili pojęła to, co przez tyle lat próbował poukładać sobie w głowie?

Lubił Mitcha. Ale odkąd ojczym pojawił się na horyzoncie, czuł się mniej związany z mamą. Pomyślał, że jest w stosunku do niej zbyt zaborczy, bo za bardzo na niej polega. Ale prawda była zupełnie inna: brakowało mu tego, że ona już nie musi polegać na nim.

Mama bez przerwy mu powtarzała, że za szybko dorósł. Że nie powinien być najbardziej zorganizowanym dzieckiem w sąsiedztwie. Że nie powinien uczyć się gotować. Ale był taki dumny, że może to dla niej robić. Zbudował całą swoją tożsamość wokół tego, że jest facetem, który troszczy się o mamę. Chciał mieć dobrze płatną pracę, żeby kupić jej duży dom.

Przez ostatnie kilka lat próbował walczyć z pretensjami do Mitcha, ale nie zawsze mu

wychodziło.

A Deenie od razu wszystko zrozumiała i to bez zbędnych wyjaśnień.

– To świetny facet – powtórzył nie tylko po to, by przekonać Deenie, lecz przede wszystkim siebie samego. – Uszczęśliwia ją. Jesteśmy przyjaciółmi. No, może nie przyjaciółmi, ale się dogadujemy.

– Czy kiedyś robiliście coś wspólnie bez twojej mamy?

– Zdarza się, że jesteśmy sami.

– Celowo?

Connor usłyszał w jej głosie nutę sceptycyzmu i uśmiechnął się przelotnie.

– No dobra, nie celowo.

Mitch próbował, gdy zaczął spotykać się z jego mamą, ale Connor ustanowił wówczas własne zasady ich wzajemnej relacji i obaj ściśle ich przestrzegali. Lubił Mitcha, lecz z dystansu, i tak naprawdę wcale go nie znał.

– Jednak macie ze sobą wiele wspólnego – rzuciła lekko Deenie. – Obaj kochacie swoją mamę.

Connor spojrział na nią przelotnie, zwalniając przy wjeździe do Pine Hollow.

– Myślałem, że tego wieczoru to ja miałem pomagać tobie, a nie odwrotnie.

– Pomogłeś. Możesz mi wierzyć.

Skoncentrował się na drodze. Niemal zaczął przeproszać Deenie za pocałunek. Miał już na końcu języka odpowiednie słowa, ale tylko wyszeptał:

– Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

Poczuł zaskoczenie emanujące od strony fotela pasażera.

– Co takiego? – zapytała Deenie.

– Wcześniej żartowałeś, że nie jesteś silna. A jesteś.

– Tak. Ucieczka do Europy to przejaw prawdziwej siły.

Connor spojrział na nią z ukosa.

– Nie pozwalasz, by ktokolwiek mówił ci, kim jesteś czy kim powinnaś być. Na tym polega siła – powiedział z szerokim uśmiechem. – No i tylko ty potrafisz poradzić sobie z Maxem. Nie znam drugiej tak cierplivej, upartej i praktycznej osoby.

– Cóż, przynajmniej mam jakieś umiejętności.

Connor zerknął na nią znacząco.

– Deenie, musisz przestać to robić.

– Co takiego?

– Kpić z siebie. Wiem, jaka jesteś niezwykła. Nie przekonasz mnie, że jest inaczej.

Kiedy na nią spojrział, miała zaciśnięte usta, spuszczone oczy, a na policzkach rumieńce widoczne nawet w świetle deski rozdzielczej. Wsłuchując się w rytmiczne bębnienie deszczu, skręcił na podjazd „Kosmatych Przyjaciół”.

ROZDZIAŁ 20



Deenie była mistrzynią w udawaniu, że nic się nie zmieniło, więc gdy następnego dnia przyszła na trening z Maxem, tak się właśnie zachowywała. *Ludzie, nic się nie wydarzyło. Connor Wyeth nie pocałował mnie wczoraj wieczorem i z pewnością nie zbliżyliśmy się do siebie z powodu tego całego rodzinnego szajsu.*

To była po prostu część umowy. I wszystko w temacie. Aż do pierwszego tygodnia kwietnia, kiedy miało się odbyć przyjęcie z królową dla wnuczki szefa Connora, nie mieli żadnych zobowiązań towarzyskich wynikających z kontraktu. Do tego czasu mogła więc zachowywać emocjonalny dystans i poświęcić się odbudowie muru, który runął na przyjęciu zaręczynowym Kirsten. I nie powinno jej w tym przeszkadzać nawet to, że biegała po domu Connora i zajmowała się jego psem.

Wystarczyło tylko zachowywać dystans.

Na szczęście kolejne tygodnie były istnym szaleństwem, a to znacznie ułatwiało jej zadanie.

W drugi wtorek marca Ben wygrał wybory na burmistrza, co dla nikogo nie było żadnym zaskoczeniem. Aby to uczcić, Connor wydał u siebie przyjęcie, ale Deenie udawało się go skutecznie unikać przez większość wieczoru, bo trzymała się blisko Ally i Maca.

Ben miał zostać zaprzysiężony pierwszego kwietnia i żył nadzieją, że do tego czasu remont kuchni w końcu się skończy i będzie mógł wrócić z Astrid do własnego domu. Za każdym razem, gdy pojawiał się temat wyprowadzki, dziewczynka głośno protestowała, że będzie strasznie tęskniła za pieskami.

Do schroniska trafiało coraz więcej psów. Przybyło czterech czworonożnych mieszkańców potrzebujących nowych domów, w tym Lucky i husky o imieniu Wolfgang, który miał niemal tyle samo energii co Dory, suczka Elinor.

Deenie pomagała Ally, kiedy tylko nie szła kostiumów królowy, nie urzędowała przyjęć i nie trenowała Maxa. Miała coraz więcej zamówień na sukienki – prawdopodobnie dzięki kolegom Connora, którzy zamawiali stroje dla swoich córek – ale mimo to znajdowała czas, by prowadzić księgi rachunkowe „Kosmatych Przyjaciół”. Po raz pierwszy doceniła fakt, że próbując zadowolić rodziców, zrobiła w college’u kurs zarządzania firmą.

Zaczęły też przychodzić dostawy towarów, które zamówiły z Ally, by rozbudować schronisko i przekształcić je w Ośrodek Treningowo-Sprawnościowy dla Psów „Kosmaci Przyjaciele”. Gdy już na dobre zagościła wiosna – bez niespodzianek w postaci nagłych opadów śniegu i deszczu – zaczęły organizować szkolenia na zewnątrz. Ogrodziły część byłego pastwiska na tyłach famy i zbudowały tam wybieg dla psów, ale reszta materiałów nadal piętrzyła się w starej pracowni Rity Gilmore.

Deenie myślała, że będzie się czuła jak piąte koło u wozu, ale wspólne życie w chaosie razem z Astrid, Benem i dziadkami Ally, którzy często do nich wpadali, okazało się całkiem zabawne. Było głośno, tłumnie i praktycznie idealnie.

Co nie oznaczało, że z tego powodu zdecyduje się na dłuższy pobyt. Była podróżniczką. A podróżnicy nigdy nie zostają na długo w jednym miejscu.

Na razie donikąd się jednak nie wybierała.

Trudno było nawet myśleć o wyjeździe, skoro wiedziała, że to mogą być jej ostatnie dobre chwile z Bitty. Spędzała na osiedlu emerytów coraz więcej czasu, ale wydawało się, że to już nie ma większego znaczenia – ciągle były dobre dni i złe dni. Odwiedzała pana Burke’a i Jo-Jo niemal tak często jak ciocię. Siadała na podłodze, bawiła się z Jo-Jo piszczącą myszą, słuchała opowieści pana Burke’a i opowiadała mu o nadciągającym dramacie ślubnym.

Na pierwszy tydzień czerwca rodzina zarezerwowała idealne miejsce – luksusowy ośrodek wypoczynkowy na południu stanu z oszałamiającym widokiem na góry, wprost doskonały na

kilkudniową imprezę. Idealna sukienka ślubna została zamówiona, stroje dla drухen wybrane – kiedy matka dzwoniła, by umówić ją na przymiarkę, bez końca pytała, czy Deenie jest *pewna*, że chce ponieść taki wydatek, i czy jest absolutnie *przekonana*, że pojawi się w czerwcu na weselu.

Deenie trwała przy swoim – Kirsten ją zaprosiła i dopóki chciała ją widzieć na swoim przyjęciu, ona nie zmieni zdania i na pewno się stawi. Nawet jeśli będzie musiała zaciskać zęby i znosić kąśliwe komentarze matki.

Ponieważ Kirsten wynajęła organizatorkę ślubów, nie miały zbyt wiele roboty z planowaniem przyjęcia. Deenie musiała się tylko upewnić, że sukienka pasuje i że dobrała do niej odpowiednie buty. Musiała też pojawić się na wieczorze panieńskim, który drухna honorowa Kirsten organizowała w maju. A potem miał nastąpić ten wielki dzień. Kirsten powiedziała, że chciałaby zaangażować Deenie w planowanie, ale to na szczęście oznaczało jedynie rozmowę telefoniczną raz w tygodniu. Siostra opowiadała, jakie decyzje podjęła, a Deenie potwierdzała, że są genialne.

A więc z tym wszystkim na głowie nie miała czasu, by zwracać uwagę na Connora. Ani na jego dołeczki. Ani na niewymownie zachwycające oczy.

Ani pamiętać o tym, że nazwał ją promieniem słońca i powiedział, że jest fantastyczna.

Kto tak robi? Kto mówi takie rzeczy i pozwala, żeby ją prześladowały?

Wiedziała, że Connor nadal umawia się z różnymi pannami Ashley. Nie żeby o tym rozmawiali. W sumie prawie w ogóle nie rozmawiali. Deenie unikała poważnych tematów. Starła się być wyluzowana i beztroska. Wymieniali jedynie poglądy na temat Maximusa i jego postępów.

I stał się cud nad cudami. Max naprawdę robił postępy. Rozumiał polecenia „siad”, „leżeć” i „zejdź”, a nawet stał się mistrzem w podawaniu łapy. Nad „zostań” i „chodź” musieli jeszcze trochę popracować. Nawet Connor o wiele lepiej radził sobie z psem i już potrafił go dyscyplinować.

Kiedy w połowie miesiąca wyjechał służbowo, Deenie poczuła ulgę. Musiała choć na chwilę pozbyć się go z głowy.

Jednak mieszkanie w domu Connora nie pomagało w wyeksmitowaniu go z myśli. Nie chodziło o to, że za nim *tęskniła*. I nie o to, że nadsluchiwała jego kroków czy głębokiego, lekko zrzędliwego głosu. Chodziło tylko o to, że ten dom był taki duży.

Starła się w nim spędzać jak najmniej czasu.

Maximus ledwie się mieścił na tylnym siedzeniu jej garbusa, ale zabierała go z upiornie cichego domu Connora za każdym razem, gdy pobyt w nim zaczynał ją przerastać, i wiozła do „Kosmatych Przyjaciół”. Max wystawiał wielki łeb przez okno, a jego obwisłe policzki powiewały na wietrze.

Chodzili na długie spacery po mieście, by ćwiczyć dobre maniere psiego obywatela, których uczyli się na szkoleniu. Maximus był na najlepszej drodze, by zostać wzorcem grzeczności – przynajmniej na tyle, na ile stać było tak ogromnego i zwariowanego psiaka. Nadal przy każdej okazji wchodził na kanapę i rozkładał się na kolanach Deenie, jakby był terierem, a nie w trzech czwartych wilczarzem.

Dzień przed powrotem Connora dziewczyna tkwiła pod ogromnym cielskiem Maxa, oglądała stary horror w ogromnym telewizorze i wmawiała sobie, że zdecydowanie *nie tęskni* za barwnymi komentarzami właściciela domu. I wtedy odezwał się sygnał telefonu.

Sięgnęła z roztargnieniem po komórkę, jej uwagę przykuło powiadomienie.

Z aplikacji podróżnej. Lot z kodem promocyjnym do Sydney. Przyglądała się wiadomości, sondując swoje uczucia i próbując zrozumieć, dlaczego po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuje tego podniecenia, które kiedyś się pojawiało i mówiło, że natychmiast musi się ruszyć, zdobyć informacje i wyjechać.

Podejrzewała, że po prostu jest zbyt zajęta i brakuje jej czasu na marzenia o Australii, ale się nie wściekała, mimo że tkwiła w Pine Hollow już od wielu miesięcy.

Chodziło przecież o Bitty i pana Burke’a. I jeszcze o Ally i Bena. A może nawet o ślub Kirsten.

Tłumaczyła sobie racjonalnie, że powodem na pewno nie jest Connor. Nie czuła się u niego swobodnie i spokojnie, chociaż przysypiała na jego kanapie, gapiła się w jego telewizor i tkwiła uwięziona pod jego psem. Nosiła nawet jego starą bluzę z Yale – ale tylko dlatego, że była miękka, a jej zapach uspokajał Maximusa.

Nie miało to nic wspólnego z oszłamiającymi dołęczkami Connora.
Przymknęła ciężkie powieki, ledwo świadoma, że telefon znowu się rozdzwonił.

– Świetna robota. Bardzo zaimponowałaś Lili – popłynął z głośników głos Davisa, gdy samochód Connora spokojnie sunął przez noc. – Masz jakieś plany na ostatni wieczór w mieście?

– Właściwie... – Connor się wzdrygnął, słysząc absolutnie niewinne pytanie Davisa, i stanął na swoim podjeździe. – Postanowiłem, że wrócę do domu już dzisiaj, skoro tak szybko się uwinęliśmy.

Davis zachichotał porozumiewawczo.

– Powinienem się domyślić. Przecież ktoś na ciebie czeka.

Connor stłumił impuls, by sprostować błędne założenie szefa.

Nie przewidział, że w czasie załatwiania interesów tyle rozmów będzie dotyczyło Deenie i jej obecności na przyjęciu dobroczynnym. Że jego współpracownicy będą się o nią dopytywać: jak się miewa i czy im pomacha, gdy Connor będzie brał udział w wideokonferencji.

Podbiła ich serca – właśnie tego chciał, ale doszedł również do wniosku, że odkręcić ten fałszywy romans nie będzie tak łatwo, jak na początku sądzili. Teraz było w porządku. Mieli umowę. W przyszły weekend Deenie organizowała przyjęcie z królewną dla wnuczki Brenta, a Connor sam się na nie wprosił, aby spędzić więcej czasu ze współnikami w swobodnej atmosferze. Współpracownicy zaczęli zupełnie inaczej na niego patrzeć. To naprawdę działało.

Ale nie było *prawdziwe*. Nie wrócił do domu z powodu dziewczyny.

– Max potrafi być strasznym rozrabiaką. Nie chciałem, żeby Deenie musiała się z nim użerać dłużej niż to konieczne.

– Jasne – przytaknął Davis bez cienia wiary. – Pozdrów ją ode mnie.

Connor rzucił coś niezobowiązującego na pożegnanie i nacisnął guzik, by uruchomić drzwi do garażu. Wszystkie trzy miejsca parkingowe były puste. Szaroniebieski garbus stał po jednej stronie podjazdu, moknąc w ulewnym deszczu. Connor powiedział Deenie, że może korzystać z dodatkowego pilota do garażu, ale najwyraźniej nie przyjęła jego oferty. Straszny z niej uparciuch.

Napisał do niej SMS-a z lotniska, że złapał wcześniejszy lot – nie chciał jej zaskoczyć, na wypadek gdyby tańczyła w samej bieliźnie w jego salonie. Nie odpisała mu, co sprawiło, że obraz Deenie tańczącej w samej bieliźnie w jego salonie nie chciał wyjść mu z głowy przez całą drogę do domu.

Bielizna była prawdopodobnie różowa. Albo w kropki. Albo jedno i drugie.

Nie miał żadnego powodu, by myśleć o jej bieliźnie. Tego wszak nie było w kontrakcie.

Wysiadł z samochodu, wyjął walizkę i wszedł do środka, robiąc w wiatrołapie sporo hałasu, by Deenie zdążyła coś na siebie zarzucić. Nikt go nie powitał – ani dziewczyna, ani Max. Gdy wszedł do pokoju telewizyjnego, zorientował się dlaczego.

Była już ósma wieczorem, ale jedyne światło w salonie dawały reklamy migające na ekranie telewizora, przed którym Deenie zapewne spędzała czas, zanim zasnęła. Leżała na kanapie w ciemnoniebieskich legginsach i jego bluzie z Yale. Jej włosy z różowymi pasemkami były zmierzwiłone – przyklapnięte po jednej stronie i dziko poskręcane po drugiej. Na jej nogach rozłożył się Maximus i tak oboje zalegali wygodnie na jego kanapie.

Na ten widok Connor poczuł ucisk w sercu i przez chwilę po prostu się przyglądał. Była w jego domu, w jego bluzie, z odprężoną we śnie twarzą, z ręką luźno ułożoną na barku Maxa.

Pies półprzytomnie uniósł głowę.

– Jesteś najgorszym psem stróżującym na świecie – skarcił go cicho Connor.

Max się poruszył i obudził Deenie.

Otworzyła wielkie błękitne oczy.

Zamrugła, momentalnie się speszyła, a potem na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech, który był jak cios prosto w jego klatkę piersiową.

– Connor! Popatrz, Maximus. Tatuś już wrócił!

Pies skoczył na niego, ale on przygotował się na to gwałtowne powitanie, więc nie zdołał zwalić go z nóg. Tymczasem Deenie zerwała się z kanapy i przeczesła dłonią potargane włosy.

– Tęsknił za tobą – powiedziała z zapartym tchem. – Dlatego noszę twoją bluzę. Żeby czuł twój

zapach.

– Nie miałem zamiaru cię zaskakiwać...

– Ależ skąd. Uwielbiam niespodzianki.

– Napisałem SMS-a...

– Musiałam zasnąć, zanim... – Deenie potarła dłonią twarz. – Która godzina?

– Koło ósmej? Jeszcze wcześniej.

Connor pogłaskał Maxa, a gdy się wyprostował, w powietrzu zawisło krępujące milczenie.

– Chyba powinnam już iść – odezwała się w końcu Deenie z zarumienioną twarzą. – Potrzebuję tylko kilku minut, żeby pozbierać swoje rzeczy.

– Możesz spać tutaj – odrzekł. – Nie wyganiam cię.

– Nie. Lepiej będzie, jak wrócę na farmę – rzuciła natychmiast. – Witaj w domu!

Pobiegła na górę, niemal od niego uciekając, a Connor w milczeniu słumił mieszankę dziwnych uczuć, przez które zaczynał czuć ucisk w piersiach.

Poczuł się naprawdę jak w domu, gdy zobaczył Deenie i Maxa śpiących na kanapie.

Prawdopodobnie dlatego, że gdy wrócił, dom dla odmiany nie był pusty. Nie powinien jednak pozwolić, by zauroczyła go ta iluzja domowego zacisza. Lubił Deenie, ale ona wyraźnie chciała zachować dystans i nie wychodzić poza sferę zawodową. Co nie było złe. I miało sens. A Connor zawsze postępował logicznie.

Kiedy trzy minuty później Deenie pędziła po schodach w dół, czekał na nią z telefonem w dłoni. Pełen profesjonalizm.

– Pomyślałem, że zapłacę ci ostatnią ratę za szkolenie Maxa, gdy będę przysyłać pieniądze za opiekę nad nim. Na to samo konto?

Deenie zamarła, wyraźnie zaskoczona, i to chyba po raz pierwszy, od kiedy się poznali.

– Hm, tak. Na to samo konto. Ale jeszcze nie skończyliśmy... To znaczy Max nie spełnia jeszcze wszystkich kryteriów zapisanych w umowie.

– Oczywiście. Nadal będziesz z nim pracować, ale po prostu pomyślałem, że możemy już pozatwierać sprawy finansowe.

– Zgoda. Dziękuję.

– No to zajmę się tym...

– Tak. Dobrze. – Deenie powędrowała do drzwi, taszcząc wielki worek, ubrana w jasnozieloną koszulkę, którą zastąpiła bluzę Connora. – Świetnie. Trzymaj się, Connor.

– Dobranoc, Deenie.

Dziewczyna próbowała otworzyć drzwi, ale ani drgnęły.

– Są zamknięte na klucz.

– Co? – Wydawało się, że go nie usłyszała, bo dalej się z nimi mocowała.

Stał za jej plecami i sięgnął nad jej ramieniem, by odblokować zamek.

– Wszedłem przez garaż – zadudnił tuż przy jej uchu.

– Racja. Oczywiście.

Nie spojrzała na niego, wyprostowała plecy, czując ciepło na karku.

– Cóż, dobranoc – powiedziała.

Nigdy nie widział jej takiej skołowanej. To nie była Deenie, która na wszystko miała ciętą odpowiedź i zawsze promiennie się uśmiechała.

Patrzył, jak biegnie do swojego volkswagena, a potem odjeżdża. Wmawiał sobie, że wyobraził sobie żar między nimi, i przypisywał go zakłopotaniu, które się między nimi pojawiło. To był podszept chemii.

Ale przecież mieli umowę. I tylko o to chodziło.

Nie myślał o niej, gdy sobie poszła. Przynajmniej przez godzinę albo dwie.

ROZDZIAŁ 21



Deenie zawahała się, zatrzymując samochód na podjeździe przed domem Connora, bo parkowało tam już kilka aut. Pokerowy wieczór. Zapomniała, że jest środa.

Ostatnie dwa „pokerowe wieczory” panowie spędzili w domu Bena, malując ściany w piwnicy i burząc łazienkę na piętrze, by Ben mógł zaoszczędzić na kosztach remontu, ale dzisiejszego wieczoru najwidoczniej postanowili zagrać u Connora.

Zmniejszyła liczbę sesji treningowych, częściowo dlatego, że Max radził sobie już całkiem dobrze. A poza tym, jeśli miała być wobec siebie całkiem szczerą, musiała sobie przypomnieć, że należy oddzielać życie zawodowe od prywatnego. A to oznaczało mniej czasu z Connorem. I pełen profesjonalizm. Max nadal nie opanował jednak wszystkich zachowań, więc dalej przychodziła i go szkoliła.

Chciała zjawić się wcześniej, ale straciła rachubę czasu, przygotowując kostiumy – właśnie dlatego nie wierzyła w żadne harmonogramy. Kiedy zobaczyła samochody przed domem Connora, zaczęła się zastanawiać, czy nie zrezygnować z treningu, ale nie była u Maxa już dwa dni, gorączkowo kończąc zamówione sukienki.

A może to idealny czas. Skoro Connor był zajęty grą w pokera z kumplami, mogła się wślizgnąć do jego domu, popracować z Maxem piętnaście minut, a potem wyjść niezauważona. Spełni swój obowiązek i nikt się nawet nie zorientuje.

Wbiła kod i weszła do środka. Robiła to setki razy w ciągu ostatnich miesięcy, ale tym razem po raz pierwszy poczuła, że nie należy do tego miejsca. Zakradała się do jego domu, gdy grał w karty z przyjaciółmi.

Max podbiegł do niej wielkimi susami, wystawiając język z ogromnej paszczy.

– Cześć, słodziaku – powitała swojego gamoniowatego podopiecznego.

Mówiła szeptem, mimo że miała przecież powód, żeby znaleźć się w domu Connora. Nawet wcześniej wysłała mu SMS-a, a on potwierdził spotkanie „kciukiem w górę” – co prawda było to godzinę temu, więc nie była pewna, co się do tej pory wydarzyło.

W pokoju, w którym grali, rozległ się najpierw głośny śmiech, a po nim pojękiwania.

Przez ostatnie kilka miesięcy dobrze poznała przyjaciół Connora – głównie dlatego, że mieszkała z Benem, a przyjaciele Bena byli również przyjaciółmi Connora. Levi, szef policji, był wysoki i nieugięty, zdecydowanie silny i małomówny typ. Nie odzywał się zbyt wiele, ale zawsze sprawiał wrażenie, że kontroluje sytuację.

Z drugiej strony Mac, właściciel Cup, całkowite przeciwieństwo Leviego. Zawsze uśmiechnięty, gadatliwy, popełniający różne gafy. Deenie go uwielbiała – zwłaszcza kiedy wypił dwa piwa i zaczynał demonstrować swoją encyklopedyczną wiedzę na temat musicali. Gdy świętowali wybór Bena na burmistrza, połączyła ich wspólna miłość do *Hadestown*.

Deenie czuła się komfortowo w ich obecności, ale tym razem się wahała, czy zajrzeć do pokoju gier, by dać im znać, że przyszła. Nigdy nie zawracała głowy Connorowi, gdy pojawiła się wcześniej, ćwiczyła z Maximusem, a potem wymykała się po cichu, nie przeszkadzając mu w pracy. Tak się umówili. Ale tym razem było inaczej, bo słyszała ich głosy z pokoju gier.

– Chyba nie oczekujesz, że będziemy cię nazywać Panem Burmistrzem, gdy zostaniesz zaprzysiężony? – Deenie nadstawiła uszu, słysząc głos Connora.

– Oczywiście, że tak. – To był najprawdopodobniej Ben.

– W takim wypadku będę nalegał, żebyście nazywali mnie Szeryfem. – Z całą pewnością Levi.

– A ja nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać Szefem Kuchni – dorzucił wesoło Mac.

– Zwłaszcza jeśli powiecie „Tak jest, Szefie!”, gdy każę wam coś zrobić.

Potem zaległa cisza, a Deenie bez problemu mogła sobie wyobrazić spojrzenia, jakie wymieniają. Starła się nie podsłuchiwać. Po prostu trenowała z Maxem jak zwykle, ale ich rozmowy niesły się po całym domu. To z powodu drewnianej podłogi, która odbijała wszelkie dźwięki. Dziwna akustyka. I tyle.

A skoro ona ich słyszała, oni pewnie słyszeli ją. Przemawiała do Maxa wyraźnie i głośno, wydawała mu komendy, by usiadł lub podał łapę, i mówiła do niego czule, gdy wywiązał się z zadania. *Jestem tutaj, pracuję jak zwykle i wcale nie podsłuchuję.*

I znowu usłyszała głos Bena.

– Chcę tylko, żeby facet od remontu nie przedłużył roboty o kolejny tydzień – odezwał się jęklonie, tasując niecierpliwie karty. – Myślałem, że remont skończy się przed zaprzysiężeniem i że będziemy mogli z Astrid wrócić do normalnego życia, zanim zacznie się ten cały kocioł.

Connor zebrał wygraną z ostatniego rozdania, a Levi zakotyłał się na krzesło, przekładając żetony między palcami.

– Nie masz ochoty mieszkać z Ally? – zapytał Connor.

Ben obrzucił go ostrym spojrzeniem, kładąc pierwszą kartę przed Levim o wiele bardziej agresywnie, niż to było konieczne.

– Tak się umówiłem z facetem od remontu. Przeprowadziliśmy się do Ally z konieczności, a teraz chcę wrócić do domu, zanim nasz związek się rozwinie, bo w przeciwnym wypadku nie będziemy mieli wyboru. To zasada inercji, a nie możemy biernie poddawać się temu, co się dzieje.

– Może za dużo o tym myślisz – skomentował Mac.

– Właśnie – potwierdził Connor, podbijając stawkę. – Przestań się zamartwiać jakimś tam porządkiem rzeczy i nie kontroluj wszystkiego.

– I to ty twierdzisz, że Ben ma świra na punkcie kontroli? Właśnie ty? – zarechotał Mac.

Connor wziął swoje karty.

– Mówię tylko, że trochę przesadza.

– No tak, zdecydowanie – odparł Mac. – Przyganiał kocioł garnkowi. Wszyscy troje jesteście tak spięci i nakręcen, że na wszystkich warczycie.

– Mnie w to nie wciągajcie – powiedział niewinnie Levi, udając, że jego ta uwaga nie dotyczy.

– Ale to ja jestem jedynym facetem w tym pokoju, który pozostaje całkowicie wyluzowany – oświadczył Mac.

I nie mylił się. Zawsze był imponującą oazą spokoju, wyznawał filozofię zen, a reszta tego nie potrafiła.

– Chociaż wydaje mi się, że Connor też jest ostatnio podejrzanie wyluzowany – dorzucił.

Connor od razu poczuł, że ramiona mu się napinają.

– Też to zauważyłem – powiedział Levi, spoglądając wymownie na przyjaciela.

– Jakby zaczął się z kimś umawiać. – Na twarzy Maca pojawił się uśmiezek zadowolenia.

– Nie – rzucił ostro Connor. – Teraz powinniśmy gnębić Bena. To nie moja kolej.

– A ja myślę, że twoja. – Ben uśmiechnął się szeroko i poczuł ulgę, że nie jest już na cenzurowanym. – Przy okazji, mógłbyś czasem przyznać mi rację.

– A niby w czym miałaś rację? – zapytał Connor, udając, że intensywnie się zastanawia.

– A co z Maximusem? Upierałeś się, że nie potrzebujesz psa.

– Gdzie Maximus? – Mac rozejrzał się po pokoju, jakby stuczterdziestofuntowy pies mógł się ukryć pod dywanem.

– Pewnie gdzieś śpi. – Connor nie odrywał spojrzenia od kart. Deenie napisała, że przyjdzie popracować z Maxem, a ten niemal zawsze drzemał po treningu.

– Przynajmniej jest lepszy niż ta zmora Elinor – mruknął Levi. – Spędzam pół życia na tropieniu tego cholernego psa.

– A ja czuję ulgę, że nie muszę się martwić o Maxa, gdy znika mi z oczu. Deenie jest cudotwórczynią.

– Taa... – powiedział przeciągle Mac. – Zauważyliśmy.

– Co macie na myśli? – Connor zmrużył oczy.

– Jego pytaj – zarządził Levi.

Connor zmarszczył brwi, spoglądając na Leviego i Maca.

– O co wam chodzi?

Levi wpatrywał się w swoje karty, nie okazując żadnych emocji, a Mac chyba zapomniał o grze, bo położył dłonie na stole.

– Jesteś zainteresowany Deenie? – zapytał. – Bo naszym zdaniem coś razem kombinujecie.

– Gwoli ścisłości, osobiście nie sędzę, żebyście coś razem kombinowali – wyjaśnił Ben.

– Według mnie Deenie ma o wiele lepszy gust.

– Ale często tutaj bywa – przypomniał Levi. Postukał palcami w karty, uważnie przy tym obserwując Connora.

– Nie spotykam się z Deenie – odpowiedział ten stanowczym, jednoznacznym tonem. Jego przyjaciele mieli już obsesję na jej punkcie, a ponad wszystko nie chciał, żeby odnieśli błędne wrażenie. Levi spojrział na niego sceptycznie, więc od razu dorzucił: – Mamy umowę.

– Na trenowanie psa? – zapytał Mac.

– Tak. To znaczy nie tylko. Umówiliśmy się, że będę jej partnerem na spotkaniach rodzinnych, jeśli ona będzie chodziła ze mną na imprezy firmowe.

Brwi Leviego wygięły się w łuk.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Kiedy Connor rzucił mu wyzywające spojrzenie, przyjaciel tylko leniwie poruszył jednym ramieniem.

– Jesteś seryjnym monogamistą. Dajesz się wciągać w związki, a potem nie wiesz, jak odpuścić.

– Co za bzdury.

Mac nie spojrział mu w oczy.

– Byłeś tak długo zaręczony...

– Ale nie tak długo jak Levi – warknął Connor, otrzymując w zamian spojrzenie pod tytułem „przestań chrzanić”. – To czysto platoniczna relacja – zapewnił pospiesznie. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Nie miałem pojęcia, że się przyjaźnicie – powiedział przeciągle Levi.

Connor tak naprawdę też nie miał, ale przecież się przyjaźnili. Deenie jakimś dziwnym sposobem stała się jedną z osób, które prawdopodobnie znały go najlepiej. Oczywiście nie mogli być gorzej dopasowani: ona cały czas planowała ucieczkę, a on nie mógł sobie pozwolić, by zakochać się w kimś, kto zachowa się jak Monica – ale ją lubił. Uwielbiał spędzać z nią czas.

Jako przyjaciele, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, nadawali na tych samych falach.

Owszem, nie mógł zaprzeczyć, że miał pewne myśli, gdy wrócił do domu i zobaczył ją śpiącą w jego bluzie, ale to było tylko przypadkowe odchylenie od normy. I już prawie o nim zapomniał.

Mac spojrział na niego badawczo, więc Connor pospieszył z wyjaśnieniem, by zdławić te cholerne brednie w zarodku.

– Nie zamierzam dać się w nic wciągnąć. Cały czas szukam odpowiedniej kobiety na portalach randkowych.

– Czyli kogoś poznałeś.

– Nie. Na razie mam taki plan.

– Wy i te wasze plany – jęknął Mac. – Nie możecie pozwolić, żeby to się po prostu zadziało?

– Jaki plan? – zapytał Ben.

– Żeby się ożenić – wyjaśnił Connor. – Znaleźć odpowiednią kobietę. Skończyć z poszukiwaniami i mieć pewność, że moja miłosa przyszłość ułoży się tak, jak powinna.

Mac parsknął śmiechem i z powrotem wziął karty do ręki.

– I jak ci idzie?

– Byłem na kilku randkach. Nic specjalnego, ale robię postępy.

W sumie nudził się na tych spotkaniach, bo wszystkie kobiety bezwiednie przyrównywał do Deenie. Co było absurdalne. Oczywiście Deenie była bardziej zabawna. Błyskotliwa, ognista, inteligenta

i dowcipna. Klóciła się z nim, nie zgadzała i robiła to wszystko z tym swoim promiennym uśmiechem, który zawsze go obezwładniał.

Ale była taka nieobliczalna. Już nigdy nie chciał wrócić do domu i zastać w nim karteczki z pożegnaniem. Pragnął kogoś statecznego i godnego zaufania. Dlatego ciągle sobie o tym przypominał i dawał swoim „randkom” drugą szansę. I znowu śmiertelnie się nudził.

To nie była wina tych kobiet. Po prostu do niego nie pasowały. Potrzebował kogoś, kto będzie stanowił wyzwanie, a jednocześnie da mu poczucie stabilizacji. To wszystko. Kogoś zabawnego i mądrego...

Przypomniał sobie dopasowanie, które wczoraj wyskoczyło w jednej z aplikacji.

Zerknął na Leviego siedzącego po drugiej stronie stołu. Przyglądał się jego pozbawionej wyrazu twarzy, podczas gdy szef policji analizował swoje karty.

– Te aplikacje są pokręcone. Jedna z nich dopasowała mnie z Elinor.

Czekał na jakąś reakcję Leviego, ale ten nawet nie mrugnął. Nie spuszczał wzroku z kart.

– To idź na całość.

Connor nie próbował nawet ukryć zaskoczenia. Levi kochał się w Elinor od szkoły średniej. Kilka lat wcześniej zerwali zaręczyny, ale Connor zawsze zakładał, że w końcu do siebie wrócą. Czy to możliwe, że Leviemu już przeszło?

Nawet jeśli tak, to nie sądził, że sam byłby w stanie pomyśleć o Elinor w inny sposób.

Ale to nie oznaczało, że nie sprawdzi reakcji Leviego.

– Możliwe, że tak zrobię. Wszyscy wiemy, że jest inteligentna i zabawna. I że chce założyć rodzinę. Chyba naprawdę do siebie pasujemy.

Oczekiwał morderczego spojrzenia. Myślał, że Levi się na niego rzuci i zabije go gołymi rękami.

Ale policjantowi nawet nie drgnęła powieka. Dwoma palcami uniósł butelkę piwa i pociągnął ostatni łyk.

– Jeszcze jedno rozdanie? – zapytał.

– Niech to szlag! – Deenie zorientowała się, że już nie zdąży się wymknąć frontowymi drzwiami, bo z pokoju gier sąsiadującym z biurem Connora wyłonił się Levi.

Nie miała gdzie się ukryć w otwartej przestrzeni, więc popędziła do kuchni, udając, że dopiero przyszła i przygotowuje przekąskę dla Maximusa.

I że wcale jej nie przyniosła.

Zanim Levi tam wszedł, otworzyła drzwi spiżarni.

– O, Levi! Cześć! Pokerowa nocka?

Mruknął twierdząco i otworzył lodówkę. Wyjął cztery piwa, złapał je jedną ręką, a drugą przeciągnął po karku. Przyglądał się jej twarzy bladoszarymi oczami. Deenie miała złe przeczucia. Podejrzewała, że patrzy na nią w ten sposób, bo wie, że słyszała każde słowo.

Zachowywał jednak niewiarygodnie pokerową minę, ale w tym braku jakiegokolwiek ekspresji była dziwna życzliwość.

– Przyszłam poćwiczyć z Maximusem. Radzi sobie coraz lepiej – powiedziała, przerywając krępującą ciszę.

Levi naprawdę nadawał się na policjanta. Nie odzywał się, a jak tylko chrząknął, ona natychmiast wypruwała sobie flaki.

Zerknął na psa, który – dzięki Bogu – siedział posłusznie przy niej.

– Na to wygląda. – Skinął podbródkiem na pożegnanie i ruszył spokojnym krokiem do pokoju gier.

Deenie poczuła ucisk w żołądku, bo nie wiedziała, co będzie dalej. Czy Levi powie pozostałym, że ona tu jest? A jeśli tak, czy Connor wyjdzie, żeby z nią porozmawiać? Czy dowie się, że podsłuchiwała? Że słyszała, jak mówił, że są tylko przyjaciółmi i jest już prawie zakochany w Elinor? Czy zorientuje się, że jest o niego głupio zazdrosna i nie potrafi tego ukryć?

Nie chciała być z Connorem. Naprawdę nie chciała. No to dlaczego tak się przejmowała, że on nie chce być z nią? Może to zwykła próżność?

Levi się zatrzymał, zanim przeszedł pod sklepionym przejściem prowadzącym do pokoju gier i znalazł się w polu widzenia kolegów. Spojrzał na nią, nawiązał kontakt wzrokowy i kiwnął głową. W stronę drzwi.

Deenie nie trzeba było dwa razy tego powtarzać.

Pożegnała się z Maxem, podała mu ostatni smakołyk, a potem rzuciła się do wyjścia.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, w chłodzie marcowej nocy, wzdrygnęła się na widok samochodów zaparkowanych na podjeździe. Nic dziwnego, że Levi nie kupił jej zdziwienia: „Och, Levi, ty tutaj?”.

Okazała się straszną idiotką.

Próbowała ukryć, że wszystko słyszała.

I przede wszystkim, że podsłuchiwała. Nie miała wątpliwości. Wiedziała, że gdy ktoś się zakrada, zawsze usłyszy rzeczy, których wcale nie chce słyszeć.

Na przykład Connora zapewniającego kumpli, że ich relacja jest wyłącznie platoniczna. Nie oczekiwała niczego innego, ale po tym, jak ją pocałował i powiedział, że jest promieniem słońca i że jest wystarczająco dobra, to było jak użądlenie osy. Bo dowiedziała się, że Connor jest potajemnie zakochany w Elinor.

Z pewnością tak było. Zorganizowana Elinor. Gotowa na założenie rodziny. Rozsądna i zasadnicza.

Miała wszystko, czego brakowało Deenie.

Jej relacja z Elinor zawsze była chłodniejsza niż przyjaźń z Ally. Ally miała tę samą zwariowaną energię, więc od razu się dogadały, a Elinor była uporządkowana i zdyscyplinowana.

Czyli idealna dla Connora.

Nie miała więc naprawdę żadnego powodu, by czuć się rozczarowana. I tak nie zamierzała się angażować. Connor próbował ją zmienić. Ukształtować i sprawić, by stała się lepszą wersją siebie – jak jej rodzice.

Nie. Lepiej zachować emocjonalny dystans. Nie może o tym zapominać. Była zadowolona, że podsłuchiwała tę rozmowę. Dowiedziała się, na czym stoi. Z bezpiecznej odległości. Ta klarowność była bezcenna.

Albo coś w tym rodzaju, powiedziała do siebie, gdy wsiadła do szaroniebieskiego volkswagena i ruszyła w stronę domu.

ROZDZIAŁ 22



Jest nasz książę!

Connor wzdrygnął się, gdy tuzin piszczących pięciolatek w bufiastych pastelowych sukienkach przypuścił na niego zmasowany szturm.

Kiedy powiedział Deenie, że zamierza pójść z nią na przyjęcie z królową, by spędzić prywatnie trochę czasu ze swoimi współnikami, uznała, że to świetny pomysł. Zapomniała tylko powiedzieć, że zapędzi go do roboty.

Niemniej trafiła w punkt, oferując mu szykowny kostium. Skoro chciał się wprosić na dziecięce przyjęcie urodzinowe, potrzebował dobrego powodu, żeby się tam znaleźć. A czy może być lepszy powód niż rola do odegrania?

Na przykład księcia z bajki. Dopóki nie odkrył, że w tym scenariuszu książę jest tak naprawdę fałszywym potworem. Deenie poleciła dziewczynkom, by go odnalazły, pojechały i postawiły przed obliczem sprawiedliwości.

Nie spodziewał się, że będzie występował w roli ofiary ściganej przez tuzin małych, samozwańczych strażniczek prawa odzianych w królewskie szaty, ale tak właśnie było.

I w końcu go dorwały.

Connor chciał mieć dzieci. Lubił je. Ale nigdy nie przebywał w towarzystwie tylu maluchów naraz i autentycznie nie wiedział, co z nimi począć. Na ogół traktował dzieciaki jak małych dorosłych – co się bardzo dobrze sprawdzało – ale gdy dopadła go ta rozkrzyczana horda, potrzebował jakiejś nowej strategii.

Co zrobiłaby Deenie?

Uderzyła w niego fala dziewczynek, więc upadł dramatycznie na podłogę, rycząc jak lew. Wszystkie królowy rzuciły się na niego, więc stał się górą w zaimprovizowanej zabawie w króla gór. A może w tym wypadku w królową gór. Albo raczej w księżniczkę.

– Trzymajcie go! – zawołała zachęcająco Deenie, podczas gdy co najmniej jeden z kolegów Connora nagrywał wszystko komórką. – Użyjcie magii! Użyjcie swojej magii, by go pojmać!

Dziewczynki zeszyły z niego – dzięki czemu znowu mógł złapać oddech – i zaczęły machać rączkami, by go zczarować. Usiadł na podłodze otoczony ze wszystkich stron pełnymi przejęcia i skupionymi twarzyczkami, a rączki rzucały na niego zaklęcia.

– Nie pozwólcie mu uciec! – instruowała Deenie zdyszonym głosem. – Macie go?

Connor zamarł w bezruchu z wyciągniętą ręką.

– Mamy! – zawołała mała jubilatka.

– Świetna robota! Nie przestawajcie czarować! Ale skoro już go mamy, może się zastanowimy, dlaczego próbował nas oszukać? Jak myślicie? Z jakiego powodu? Spójrzcie na niego swoimi magicznymi oczami!

Buźki skrzywiły się podejrzliwie.

– Ktoś rzucił na niego zaklęcie! – krzyknęła jedna z dziewczynek.

– Ma serce z lodu! – dorzuciła kolejna.

Deenie westchnęła, na jej twarzy malował się szok.

– O Boże! Zaklęcie! Myślicie, że możemy go uratować?

– Tylko miłość może go uratować! – zapiszczała jubilatka, a potem podbiegła do niego tak szybko, że aż się wzdrygnął.

Ale ona tylko go uścisnęła. Potem jej śladem poszły niemal wszystkie pozostałe dziewczynki. Z każdej strony obejmowały go niecierpliwe rączki, a dziewczynki wołały:

– Nie martw się! Uratujemy cię!

To było tak niesamowicie słodkie i wzruszające, że miał łyzy w oczach. Wtedy spojrzał w górę i napotkał spojrzenie Deenie.

Deenie popatrzyła Connorowi w oczy i poczuła, że przenika ją coś dziwnego. Ciepłego i niepożądanego.

Radził sobie o wiele lepiej, niż oczekiwała.

Nie pozwoliłaby wprowadzić, żeby zawiódł na całej linii, ale zabierając go na przyjęcie w charakterze asystenta, spodziewała się jednak, że Connor nie sprostą wyzwaniu. Na pewnym poziomie próbowała sobie przypominać, że do siebie nie pasują. Że Connor jest sztywniakiem, a także wszystkim, czego ona nie chce w swoim życiu.

Ale wcale nie był sztywny.

I z pewnością nie był wygodnicki i nieugięty. Widziała to w jego oczach. Na tyle się wyluzował i pozbył krępującego gorsetu godności i powagi, że potrafił wygłupiać się z dziewczynkami – i zrobił prawdziwe show.

Byłby świetnym tatą.

W odpowiedzi na tę myśl gdzieś w oddali rozległ się grzmot.

Przez cały dzień pogoda była niepewna. Po niebie przetaczały się złowieszcze szare chmury, chociaż deszcz wstrzymał się na tyle długo, by dziewczynki mogły gonić Connora po ogrodzie. Teraz wyglądało na to, że aura przestaje im sprzyjać.

Na szczęście kolejna część przyjęcia miała się odbyć w domu.

Deenie westchnęła.

– Słyszycie to? – zapytała i podniosła głowę, udając, że nadśłuchuje, dopóki dziewczynki nie oderwały się od Connora. W końcu się uciszyły i też nadstawiły uszu. – Czy to dzwoneczki tortowych wróżek? Sądzicie, że jeśli się pospieszymy, to je przyłapiemy, jak zostawiają w domu tort?

Małe zapiszczały z radości – z jednej strony chciały przyłapać tortowe wróżki, a z drugiej nie mogły się doczekać zastrzyku cukru i popędziły do drzwi, gdzie już czekali na nie rodzice.

Deenie wyciągnęła rękę do Connora, który nadal klęczał na ziemi.

– Chodź, mój książę z bajki. Myślę, że zasłużyliśmy na kawałek tortu.

Poczuła jego ciepłą, zrogowaciałą dłoń.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś – powiedział, gdy pomagała mu wstać.

Tylko miłość może go uratować.

Nie. Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. To się nie działo. Nie zakochiwała się w Connorze. Nie w takim facecie, jakiego zawsze chcieli dla niej rodzice. W facecie z planem pięcioletnim i szufladą skarpetek posortowanych według kolorów, który pragnął idealnej żony. A Deenie daleko było do perfekcyjnej pani domu. A więc po prostu nie.

– Chodź – rzuciła i wyszarpnęła rękę. – Za chwilę będzie padać.

Dwie godziny później jechali samochodem, a deszcz uderzał rytmicznie w przednią szybę. Deenie nie wiedziała, czy Connor cokolwiek widzi, ale wydawał się zrelaksowany, prowadził swobodnie i nawet lekko się do siebie uśmiechał.

Podejrzewała, że ma powód, by czuć się szczęśliwy. Przyjęcie okazało się wielkim sukcesem – zarówno towarzyskim, jak i z perspektywy dzieci. Gdy jadła tort i popijała herbatkę z dziewczynkami, Connor usiadł z boku z rodzicami i dziadkami, prowadząc cichą pogawędkę ze swoim szefem. Obaj wyglądali na tak zaprzyjaźnionych, że zanim się spakowali i wyjechali, stał się praktycznie członkiem rodziny.

– Ile z tego było zaplanowane? – zapytał znienacka, kiedy przez kilka chwil jechali w ciszy zakłócaną tylko przez deszcz. Najpierw sądziła, że ma na myśli dodatkowy czas, który wykorzystał, żeby trochę podliznąć się szefowi, kiedy ona się guzdrała, pakując swój sprzęt, ale od razu wytłumaczył, o co mu chodziło. – Wiedziałaś, że mam być złym facetem?

– Nie lubię tego określenia. Zły facet. Jest zbyt zerojedynkowe.

Nie musiał nawet na nią patrzeć, by poczuła, co chce powiedzieć tym spojrzeniem. Odpowiedz

na pytanie, Deenie. Aż nazbyt dobrze znała te jego prowadzące do kłótni spojrzenia.

– Zawsze mam jakiś pomysł, zarys planu, jak zorganizować zabawę – wyjaśniła. – Ale pozwałam dzieciom, by w miarę możliwości same wymyślały historię. Instruuje je, podpowiadam i steruję, gdy zbaczamy ze szlaku, ale mają szansę zmienić opowieść, którą czytały albo oglądały w kinie, we własną historię. Stawiam na interaktywność. – Deenie spojrzała z ukosa na profil Connora. Na swoje szczęście był naprawdę obłędnie przystojny. – Doszłam do wniosku, że to świetna okazja, żeby dziewczynki zrealizowały scenariusz oszukańczego księcia, bo jubilatka ma obsesję na punkcie *Krainy lodu*, a książę z tej baśni okazuje się nie taki znów idealny. Nigdy dokładnie nie kopiuję baśni, więc jeśli dzieci chcą pominąć jakiś fragment, podążamy w innym kierunku. Na przykład ratujemy miłością, cytuję: „złego faceta”. Jestem pewna, że myślisz, że to ckliwe i śmieszne...

– Nie mów mi, co myślę. Prawdę mówiąc, pomyślałam sobie, iż nie ma się co dziwić, że jesteś taka popularna. Niesamowicie radzisz sobie z dziećmi.

Deenie się zarumieniła, wdzięczna, że szalejąca burza odciąga uwagę Connora, więc nie mógł spojrzeć na jej twarz.

– Moi szefowie byli pod wielkim wrażeniem.

– Super. – Przecież właśnie po to tam pojechali. Chodziło o jego pracę. O nic więcej.

Poza tym dostała ogromny napiwek, dużo wyższy niż przewidywało jej honorarium, więc nie mogła narzekać.

– Poszło lepiej, niż zakładałam – przyznała. – Naprawdę świetnie poradziłeś sobie z dziećmi.

– Ja tylko przez cały czas się zastanawiałem: „Co zrobiłaby teraz Deenie?”. – Connor zerknął na nią przelotnie, po czym dodał: – Myślisz, że kiedyś będziesz miała dzieci?

Poczuła to pytanie aż w jajnikach, ale zaraz przywołała się do porządku i przypomniała sobie, że Connor nie pyta o jej plany rodzicielskie, ponieważ chce mieć z nią dzieci. Starał się tylko podtrzymać rozmowę.

– Nie wiem – wykręciła się. – No, wiesz... Chcę mieć dzieci, uwielbiam je, ale nie jestem pewna, czy w moim życiu jest miejsce na rodzicielstwo.

– A ja nie jestem pewien, czy to do końca prawda. Jeśli wystarczająco mocno będziesz tego pragnęła, zawsze możesz coś zmienić.

– A może nie jestem stworzona do bycia mamą – odparła odrobinę zbyt ostro, trochę za bardzo odsłaniając swój czuły punkt. Szybko się jednak uspokoiła i obróciła wszystko w żart. – Mój brat mówi, że będę straszną matką. Ale ponieważ jego dzieci chodzą zwartym szykiem i jak w szwajcarskim zegarku, wątpię, czy można ufać jego kwalifikacjom rodzicielskim.

– Naprawdę tak ci powiedział? – Connor zerknął na Deenie bardziej zbulwersowany niż rozbawiony.

Wyraźnie nie była w formie. Zazwyczaj nie miała kłopotu z rozśmieszaniem ludzi, gdy opowiadała im o swoich wadach lub niepowodzeniach.

– To było dawno temu – zapewniła, jak gdyby nie przypominała sobie tych słów za każdym razem, kiedy myślała o ustatkowaniu się i założeniu rodziny.

Miała dwadzieścia lat, kiedy bratu urodziło się pierwsze dziecko. Właśnie wróciła z wyprawy po Europie. Nie dość, że uciekła tam, by obejrzeć książęcy ślub, to jeszcze zbuntowała się przeciwko rodzinie i zaczęła studiować teatr dziecięcy zamiast finansów.

Po raz pierwszy trzymała w ramionach maleńką bratanicę, z nabożną czią przyglądając się paluszkom u rączek i nóżek.

– Chcę takiego maluszka – powiedziała.

I Peter to usłyszał.

Natychmiast zrobił jej wykład o odpowiedzialności. O tym, że nie może ot tak sobie *przestać* być matką, kiedy wpadnie jej do głowy, żeby zwać za granicę. Dodał też, że nie każdy jest stworzony do rodzicielstwa.

I w głębi duszy nadal w to wierzyła.

Uwielbiała pracować z dziećmi. I pragnęła mieć jedno własne. A może nawet dwoje lub troje. Ale to, że tego chciała, nie czyniło marzenia bardziej realnym. Jej życie opierało się na wyborze – a ona

wybrała wolność. Wychowywanie dzieci zaś niekoniecznie szło w parze z nieskrępowaną wolnością.

Możesz dokonać innego wyboru, podszepnął cichy głosik w jej głowie.

Ale żeby to zrobić, musiała znaleźć kogoś, kto będzie chciał dokonać tego wyboru razem z nią.

A nie była typem dziewczyny, z którą Connor chciałby wychowywać dzieci.

– Jak ci się układa z pannami Ashley? – zapytała, by utwierdzić się w tym przekonaniu.

Uniósł rękę z kierownicy i wjechał w zakręt.

– Całkiem dobrze.

Świetnie. Jakie to nieskomplikowane. Nijakie. Niczego się nie dowiedziała.

– Ale żadna z tych, z którymi się kontaktuję, nie ma na imię Ashley.

Już miała na końcu języka, by zapytać go o Elinor, i ledwo się powstrzymała. W końcu nie chciała ujawniać, że podsłuchiwała.

– Panny Ashley okazały się felerne?

– Jedna ciągle była zajęta i nigdy nie udało nam się umówić na spotkanie. Tylko raz miała czas, ale ja musiałem wtedy wyjechać do Nowego Jorku, więc nasze rozmowy tak jakby się urwały. Druga... źle traktowała kelnerów, zawsze zwracała się do nich ostrym tonem. A mama mi powtarzała, że każdy powinien przynajmniej raz w życiu popracować w usługach, żeby nauczyć się uprzejmie traktować ludzi, którzy nas obsługują.

To była dobra rada. Deenie pracowała kiedyś jako baristka i barmanka, a poza tym wykonywała chyba z tuzin różnych krótkoterminowych prac w usługach – w każdej miała okazję się przekonać, jak rozmaicie ludzie potrafią traktować tych, którzy podają im jedzenie i picie. Miała za to problem z wyobrażeniem sobie Connora w roli kelnera.

– Pracowałeś w usługach?

– Na studiach – wyjaśnił. – Na kelnerowaniu można było nieźle zarobić. Mogłem dostosować pracę do planu zajęć, a szefowie rozumieli, że w trakcie sesji egzaminacyjnej potrzebuję więcej czasu i ruchomych zmian. Myślę, że byli do tego przyzwyczajeni, zatrudniając studentów.

– Musieli cię wprost uwielbiać. Pan Odpowiedzialny. Taki pracowity i punktualny.

– Nie lubię się spóźniać. W przeciwieństwie do niektórych.

Deenie spiorunowała go wzrokiem – bardziej dlatego, że tego od niej oczekiwał, a nie dlatego, że poczuła się urażona.

– Jest czas i miejsce na punktualność oraz czas i miejsce na opieszałość w rozsądnych granicach.

– Zgadza się co do tego, że się nie zgadzamy. – Connor zerknął znacząco na Deenie, a jego promienny uśmiech rozjaśnił ciemne wnętrze samochodu.

I nagle coś w jego uśmiechu, coś w nim samym sprawiło, że poczuła ucisk w gardle.

ROZDZIAŁ 23



Gdy zbliżali się do Pine Hollow, Deenie siedziała w bezruchu, a w jej piersi wzbierały emocje. Jeszcze dwa miesiące temu nie przyszłoby jej do głowy, że razem z Connorem będzie przedzierać się samochodem przez burzę, z sercem rozpierającym klatkę piersiową z nadmiaru uczuć. Ale wtedy miała o nim zupełnie inne wyobrażenie.

Teraz już wiedziała o nim trochę więcej. W końcu знаła go od pewnego czasu.

Rozumiała, dlaczego jest taki zdeterminowany, by gonić za swoją wizją sukcesu, który wymarzył sobie jako chłopak, syn samotnej matki. Nie miał uporządkowanego życia, więc je sobie stworzył. Teraz pracował ciężiej niż ktokolwiek inny i przy lada okazji rozpieszczał matkę. Trudno było się tym nie wzruszyć.

Szczególnie że nazwał ją promieniem słońca.

Te słowa ciągle ją prześladowały. Dlaczego to powiedział? Dlaczego musiała się przez niego tak czuć?

Była pewna, że jest taki jak jej rodzice – że wszystkie zasady, którymi się kieruje, nałoży także na nią i będzie starał się je egzekwować, a ona nigdy nie będzie się przy nim czuła swobodnie. Że poczuje się zmuszona się zmienić, nawet zrezygnować ze swoich potrzeb, by się do niego dopasować. Ale Connor nigdy nie dał jego tego odczuć. Ani razu.

Nie był facetem, który dawał jej do zrozumienia, że nie jest dość dobra. On jej mówił, że właśnie *jest*.

Jak miała się przed tym bronić?

Zwłaszcza kiedy nie mogła przestać się na niego gapić. Kiedy udawali, że są razem. Kiedy on nie przestawał udawać, że Deenie jest dokładnie taką dziewczyną, jakiej szukał, a ona *wiedziała*, że nie jest.

Naprawdę jeszcze się wzajemnie potrzebowali? Max był prawie wyszkolony, a Connor już umiał z nim postępować. Był też na dobrej drodze, by dogadać się z szefami, zaprosili go nawet na kolację. Nie miała w planach tak wielu imprez związanych ze ślubem, jak się początkowo spodziewała. A podczas wesela i tak będzie zajęta rolą drużny – zbyt zajęta, by przejmować się randkami.

Może już najwyższy czas zrezygnować z tego układu. Zanim wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje. Zanim kompletnie się pogubi, straci dla niego głowę i nie będzie potrafiła odpuścić.

Zatrzymali się na długim podjeździe „Kosmatych Przyjaciół”. Ulewny deszcz bębnił o dach i całkowicie zagłuszał chrzęst żwiru pod kołami. Connor zaparkował jak najbliżej ganku, nie wjeżdżając na trawę. Deenie miała zamiar pobiec sprintem w deszczu.

– Dziękuję za dzisiejszy wieczór – powiedział. – Uratowałeś mnie.

Tylko miłość może go uratować.

Echo słów, które padły z ust pięcioletnich dziewczynek, poruszyło ją do żywego. Było niczym rozżarzony do białości pogrzebacz. Irytacja. Wściekłość. Bezsens.

– Może powinniśmy z tym skończyć. – Wypowiedziała te słowa, nim w ogóle zdecydowała, że się odezwie.

W świetle deski rozdzielczej zobaczyła zmarszczone brwi zdezorientowanego Connora.

– Z czym? – zapytał.

– Z tym wszystkim – odparła, machając ręką, jakby ich umowa dotyczyła jakiejś usterki SUV-a. Jej wielki worek z akcesoriami do przyjęć z królowną leżał na tylnym siedzeniu. Wpakowała również do niego własną sukienką i perukę. Znowu miała na sobie turkusowe legginsy i wystrzałowy dżinsowy płaszcz, który znalazła na targu w Grecji. Powinna zatem czuć się sobą, a tymczasem miała wrażenie, że znalazła się w obcej skórze. – Zrealizowaliśmy to, co zamierzaliśmy. Możesz teraz chodzić wszędzie

z jedną z tych Ashley, a ja sama odbębnię ślub.

Burzowe chmury na niebie nie miały nic wspólnego z tymi, które zebrały się w oczach Connora.

– Właśnie umówiliśmy się na kolację z Brentem i pozostałymi współnikami.

– Wiem.

– To był twój pomysł. Ty to wszystko wymyśliłaś.

– Wiem! – warknęła. – Ale nie spodziewałam się, że poczuje...

W myślach nacisnęła hamulec, ledwie powstrzymując słowa, których nie chciała wypowiedzieć. Gdzie, do cholery, podziały się jej naturalne filtry? Co się stało z jej legendarnym opanowaniem? Co się z nią działo?

Wyskoczyła z samochodu jak z katapulty. Momentalnie przemokła do suchej nitki – ulewny deszcz zmoczył jej płaszcz i schłodził skórę, ale była wdzięczna za ten wstrząs.

– Deenie! – krzyknął Connor.

Ale ona już zatrzaśniała drzwi od strony pasażera.

Sięgnęła do tylnych, zamierzając je otworzyć i chwycić swój worek z królewskimi akcesoriami, ale były zablokowane, więc zaklęła, szarpiąc bezskutecznie za klamkę.

– Deenie! – Connor też już wysiadł i wrzasnął, przekrzykując deszcz: – Co się dzieje, do diabła?

– To jest zbyt prawdziwe! – krzyknęła do niego nad dachem samochodu. – To dla mnie zbyt wiele.

Chrzanić to! Obróciła się na pięcie i popędziła przez kałuże, które w jednej chwili powstały niemal wszędzie, z impetem rozbryzgując wodę. Później odzyska worek. Nie było w nim niczego niezbędnego do życia, więc mógł przez kilka dni poleżeć na tylnym siedzeniu jego samochodu.

– Deenie! – Connor nagle pojawił się przed nią i zablokował jej drogę. Woda spływała mu po twarzy, był tak samo przemoczony jak ona. Co za głupek wysiada z samochodu w samym środku szalejącej ulewy? – Co jest zbyt prawdziwe?

– Nie! – Pokręciła głową, nie wiedząc nawet, przeciwko czemu protestuje.

Connor podszedł bliżej, nadal dzieliło ich kilkadziesiąt centymetrów, ale ta odległość zmieniła wszystko. Już nie przekrzykiwali deszczu, nagle stali w nim osamotnieni, w zaciszu prywatności, a ona nie mogła złapać tchu.

– Co jest zbyt prawdziwe, Deenie?

– Ty – powiedziała, chociaż to słowo nie miało sensu, a jednocześnie było jedyną odpowiedzią, która miała sens. – Nie miałam cię polubić. Nienawidzę tego, że cię lubię!

Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z granitu, widoczne były wszystkie ostre linie i krawędzie, ale oczy płonęły ogniem. W ułamku sekundy dojrzała w nich żar, a potem Connor się poruszył, szybko i z determinacją. Ujął jej twarz w dłonie i nagle zaczęli się całować.

Ten pocałunek nie mógł być mniej podobny do tego z przyjęcia zaręczynowego.

Tamten był słodki, powolny i czuły. Ten był tornadem. Huraganem. Katastrofą naturalną, siłą natury, która ich porwała, która ją porwała i nie wypuszczała, dopóki znajdowała się w jego ramionach. Oderwała pięty od ziemi, przywarła do niego, nie czuła zimna ani deszczu, bo w jej żyłach zamiast krwi krążyła energia elektryczna w czystej postaci.

Nie chciała, żeby to się skończyło. Nie teraz. Nigdy.

Poczuła ból w plecach, gdy uderzyła w słupek podtrzymujący ganek, który również ją podtrzymywał, bo jej mięśnie i kości zupełnie nie były do tego zdolne. Była ogniem i żarem. Była płonąca świecą czystego pożądania.

Connor w końcu uniósł głowę i przerwał pocałunek – musiał tak zrobić. Nie mógł tak po prostu dać się porwać tsunami, pozwolić, żeby zniszczyło jego świat, pozostawiło po sobie zgliszczą. Musiał wszystko kontrolować, wszystko planować.

– Co my...

– Przestań myśleć. – Deenie chwyciła jego głowę i z powrotem przyciągnęła do siebie, sprawiając, że znowu porwała ich siła przyciągania pocałunku.

Wpadli w czarną dziurę jego grawitacji, która pochłonęła cały rozsądek. Ale ten okropny facet znowu wszystko zepsuł i chwycił ją za włosy, ciężko łapiąc oddech.

– Dosyć – mruknął, a żar w jego oczach stopił jej kobiecość w płynny wosk.

Dlaczego, gdy jej nie całował, był bardziej seksowny niż podczas pocałunku? Kim jest ten mężczyzna?

Stali pod okapem ganku – całkiem sprytnie. Nawet w samym środku huraganu, który szalał między nimi, Connor zdołał uchronić ich przed deszczem. Można było na nim polegać, zawsze wiedział, co należy zrobić. Deenie mogła spokojnie dać się porwać jak latawiec w samym środku burzy, wiedząc, że on bezpiecznie sprowadzi ją na ziemię – nawet gdy oboje zostaną trafieni piorunem.

– Co my wyprawiamy? – zapytał.

Tego pytania cały czas próbowała uniknąć.

– Całujemy się? To wyglądało na pocałunek. I tak smakowało.

Zbliżyła się do niego, ale ścisnął mocno jej żebra, by ją powstrzymać.

– Stop.

Zamarła, znowu czując na skórze lodowate zimno przenikające przez mokre ubranie.

– Nie chcesz...? – Nie potrafiła dokończyć. Czy rzuciła się na faceta, który sobie tego nie życzył?

Jednak nie. To on wziął ją w ramiona. Tak, skoczyła na niego jak puma, ale bez wątpienia to on zaczął. I wydawało się, że nie miał nic przeciwko temu. Nadal była uwięziona między jego ciałem a słupkiem ganku. Chyba powinna wysłać kartkę z podziękowaniem do jego trenera osobistego, bo wszędzie, gdzie go dotykała, był twardy jak granit.

– Deenie. Pragnę cię – zapewnił, a szorstkość w jego głosie świadczyła o szczerości, której potrzebowała. – Dokąd idziemy?

– Czy zawsze trzeba dokądś iść?

Dlaczego musieli wszystko definiować? Planować? Podpisywać jakieś obłąkane umowy?

Connor spojrział na dom i wtedy zrozumiała, że pytanie było dosłowne.

Otworzyła szeroko oczy.

– Och.

Ally, Ben i Astrid byli w domu. Gdyby weszli do środka, tacy przemoczeni, i przemknęli do jej sypialni, nie dałoby się rano uniknąć dyskusji o ich relacji z burmistrzem i właścicielką schroniska. Ta myśl sprawiła, że Deenie poczuła się zażenowana.

No i był jeszcze Maximus. Nie mogli zostawić go samego na całą noc.

Mogli wprawdzie wtłoczyć swoje przemoczone ciała z powrotem do samochodu Connora i pojechać do niego, ale ten pomysł sprawił, że zaczęła dygotać, bo zdrowy rozsądek nagle powrócił, chociaż nie był mile widziany.

Connor natychmiast wyczuł zmianę i zrobił krok do tyłu. Nadal stał pod okapem, ale już nie przyciskał jej do słupka.

Deenie z wdzięcznością pomyślała o ciemności, bo nie mógł zobaczyć jej twarzy, która z pewnością oblała się czerwienią. Wolno zaczerpnęła powietrza.

– A więc stało się.

Roześmiał się cicho i obejrzał przez ramię na samochód.

– Jeśli naprawdę nie chcesz być moją osobą towarzyszącą...

– Nie – wtrąciła szybko. – W porządku. Przesadziłam. Jestem pewna, że możemy tak to zostawić i... – Zamilkła, a przez głowę przemknęły jej sprośne żarty na temat tego, co jeszcze mogą zostawić, i uparcie cisnęły się na usta, jakby chciały złagodzić napięcie. Jednak tym razem nie mogła się za nimi ukryć, bo już za bardzo się odkryła.

– A więc to...

– Chemia – Deenie wypowiedziała to słowo tak lekko, jak tylko mogła. – To musiało się wydarzyć. Ty jesteś gorący. Ja jestem seksowna. Udajemy, że szalejemy za sobą.

– Nigdy nie tracisz pewności siebie – parsknął Connor.

Nieprawda. Bardzo się mylił, ale zaakceptowała tę błędną opinię.

Uniosła brwi, chociaż nie miała pewności, czy Connor zdoła to zauważyć. Musiała przejąć kontrolę nad swoją twarzą i znowu włożyć maskę.

– Sugerujesz, że nie jestem seksowna?

– Nie – warknął, wkładając w to zaprzeczenie zbyt dużo uczuć. – Nie o tym mówię.
Uciekaj, krzychał jej instynkt samozachowawczy. Cofnęła się w głąb ganku i powiedziała:
– Powinam już iść.

Nienawidziła słowa „powinam”. Gdyby ją znał, wiedziałby o tym. Wiedziała, że zawsze wybiera najbliższe preteksty, by buntować się przeciwko temu, co *powinna* robić, i wtedy natychmiast mogłaby z powrotem rzucić się w jego ramiona. Tylne siedzenie samochodu Connora było raczej wygodne – gdyby tam trafili, nie byłoby tego niezręcznego opóźnienia „jedziemy do twojego domu w określonym celu, bo wpadliśmy na lekkomyślny pomysł, żeby iść na całość”. Wystarczyłoby, żeby ruszył palcem.

Ale Connor tylko zakołysał się na piętach i wsunął ręce do kieszeni spodni.

– W porządku.

Zostawił swój elegancki płaszcz w samochodzie, gdy za nią wyskoczył, więc przemoczona koszula z dopinanym kołnierzykiem oblepiała go *wszędzie*. No nie, skąd się bierze taki kaloryfer na brzuchu? Wiedziała, że Connor dużo ćwiczy, ale to już był absurd. Dlaczego musiał być taki przystojny? Dlaczego czuła się tak głupio, że go teraz porzuca, i dlaczego była zbyt przerażona, by zrobić krok prosto w jego objęcia?

– Dobranoc, Deenie.

Nie!, krzyknęła w duchu. Była królową złych decyzji i chociaż wiedziała, że to zaangażowanie to okropny wybór, rozpaczliwie go pragnęła. Dlaczego nie mógł być tak lekkomyślny i szalony jak ona?

Connor spuścił głowę, obrócił się i odszedł – z tyłu wyglądał równie dobrze. Rany, te bary. Deenie stała pod okapem, patrzyła na niego jak na obiekt pożądania, ale on się nie obejrzał. Nawet nie przystanął przed wejściem do samochodu, a potem ruszył i ostro skręcił na podjazd.

Nie spodziewała się, że przystanie. W końcu lał deszcz, a ona go odprawiła. Niemniej jednak...

Trzęsąc się z zimna w przemoczonym ubraniu, stała i patrzyła tak długo, aż tylne światła samochodu zniknęły w deszczu. Dopiero gdy weszła do domu, przypomniała sobie, że zostawiła swój worek na tylnym siedzeniu.

ROZDZIAŁ 24



Connor zmuszał się, by nie patrzeć w lusterko wsteczne – dosłownie i w przenośni. Nie miał zamiaru sprawdzać, czy Deenie obserwuje, jak odjeżdża. I *zdecydowanie* nie miał zamiaru wracać myślami do tej chwili, gdy stracił panowanie nad sobą i ją pocałował.

Tyle że nie mógł przestać o tym myśleć. O tym, jak stali w deszczu, a woda sklejała jej rzęsy i moczyła włosy, które przyklejały się do głowy. Ta ulewa wypłukała z niego zdrowy rozsądek, pozbawiła go logicznego myślenia i zawładnęła każdym zakątkiem mózgu, pozostawiając jedynie instynkt; a ten podpowiadał mu, że jej potrzebuje.

Nie potrafił pozbyć się tego uczucia.

Teraz dokładnie ją widział. Tę Deenie ukrywającą się za zasłoną pewności siebie. Za promiennym uśmiechem, arogancją i przemądrzałymi komentarzami. Dennie pod fasadą brokatu. Bezbronną i wrażliwą Dennie. I za nic w świecie nie chciał jej zranić.

Wiadomo, nie pasowali do siebie. I oboje o tym wiedzieli.

Czuł się bezradny jak dziecko. Nie chciał znowu się tak czuć. Było zupełnie jak wtedy, gdy rozstał się z Monicą. To uczucie go obezwładniało. Nie potrafił go kontrolować. Zbudował swoje życie na dokładnym planowaniu. Nie chciał podejmować ryzyka dla kogoś, kto zniszczy jego staranne plany jednym ciosem.

A Deenie pozbawiała go kontroli. Ten pocałunek...

Co się wydarzy dalej? Jej worek nadal spoczywał na tylnym siedzeniu samochodu? Czy ma go jej odwieźć? Może zaczekać do jutra, gdy przyjdzie szkolić Maxa?

Czy znowu się pocałują?

Wprowadził samochód do garażu i wypuścił Maximusa na zadaszone patio, żeby się wysusiał, a potem wrócił i wytarł mokre siedzenie kierowcy. Wszedł do domu, zdjął przemoczone ciuchy, wrzucił je do pralni i wziął gorący prysznic. Wracał do swojego uporządkowanego życia. Usuwał dowody.

Ale worek Deenie nadal leżał na tylnym siedzeniu samochodu. Jego wspomnienia były niezwykle sugestywne, zwłaszcza gdy stał pod prysznicem – woda, która go obmywała, była odzwierciedleniem ulewnego deszczu, czuł ból w całym ciele.

Możliwe, że tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Deenie była mistrzynią udawania. Mogła udawać, że ten ich szaleńczy pocałunek nigdy się nie wydarzył. A gdyby zechciała, żeby znowu się powtórzył...

Nie chciał ponownie czuć się bezradny. Nie chciał być ofiarą swoich emocji. Niemniej potrafił się do nich zdystansować. *Wiedział*, że nie pasują do siebie. Potrzebował kobiety, która nigdy nie ucieknie, w którą nigdy nie zwątpi. Tylko takiej osobie mógł ofiarować całego siebie. A dopóki jej nie znajdzie...

Może tymczasowość okaże się dobrym rozwiązaniem. Randki z terminem ważności, jak to kiedyś ujęła. Szaleńcza chemia, która wystrzeliła niczym fajerwerki. Przeciwiężstwa się przyciągają. Ale nie mieli szans, by na dłużej zostać parą.

Może potrzebował przelotnego romansu. Odszkodni po niepowodzeniu z Monicą. On i Deenie byli przyjaciółmi. Więc dlaczego nie mogliby być przyjaciółmi, którzy ze sobą sypiają?

Możliwe, że to okropny pomysł. Może powinien zapomnieć o tym cholernie niezapomnianym pocałunku.

Postanowił, że podąży jej śladem. Śladem swojej Zaczarowanej Flecistki złych pomysłów.

Ale jego serce pozostanie zamknięte.

Deenie nie ukrywała się przed Connorem. Maximus potrzebował od czasu do czasu chwili

przerwy od reżimu codziennych szkoleń. Zaplanowała, że w niedzielę odwiedzi babcię cioteczną. Gdyby z tym zwlekała i odkładała wizytę w nieskończoność, mogłaby trafić na zły dzień, a miała nadzieję, że Bitty wyłoni się z pochłaniającej ją mgły i udzieli jej rady, której tak bardzo potrzebowała. Cóż... to przecież zrozumiałe.

Deenie była bardzo zadowolona, że żaden z mieszkańców farmy nie wyglądał przez okno wczorajszej nocy i nie widział, co wyprawiała z Connorem na ganku.

Ally i Ben nawet specjalnie nie komentowali, że jest kompletnie przemoczona.

– Wow, wygląda na to, że nieźle leje – powiedzieli tylko od niechcenia.

Deenie zakradła się na górę, zanim ktokolwiek zdążył się jej lepiej przyjrzeć. Była przekonana, że jej usta płoną, że ma na nich wypaloną szkarłatną literę C. C jak Connor, bo czuła, że ją napiętnował. Co oczywiście było niedorzeczne. Czysta fantazja. Ale Deenie mogła sobie pozwolić na to, aby być niedorzeczną fantastką, jeśli miała na to ochotę, a miała ją bardzo często.

Czuła coś do Connora. I te uczucia przysparzały jej mnóstwo kłopotów, nie pasowały jej.

Gdyby ograniczały się wyłącznie do pożądania, nie byłoby problemu. Ale połączenie pożądania, przyjaźni i ogromnej, szczerzej sympatii... To już była bardzo niebezpieczna mieszanka. Nie wiedziała, co z tym zrobić.

Udawać, że nic się nie wydarzyło? Może powinna złapać byka za rogi i od razu dać Connorowi do zrozumienia, że nie ma mowy o żadnym związku? Albo dać się ponieść, zmierzyć się z tym i poczekać, aż jej przejdzie?

Trzecia opcja wydawała się najlepsza, ale Deenie raczej nie słynęła z podejmowania dobrych decyzji.

Dlatego chciała porozmawiać z Bitty.

Prawdę mówiąc, chciała, żeby Bitty porozmawiała z nią, ale dzisiaj ich spotkanie nie rozpoczęło się zbyt dobrze. Ciocia była zdezorientowana i przygnębiona jeszcze przed jej przyjściem, a później było coraz gorzej.

Deenie wymknęła się z ośrodka i przeszła długim korytarzem do wysokiego budynku, w którym mieszkali pensjonariusze niewymagający stałej opieki. Nie zadzwoniła wcześniej, ale pan Burke nie wychodził zbyt często, więc zaryzykowała i wjechała windą na piąte piętro.

Gdy zbliżała się do mieszkania 5015, drzwi nagle się otworzyły, a w nich pojawiła się pielęgniarka, która wydała jej się znajoma. Dziewczyna pożegnała się z panem Burkiem, a potem uśmiechnęła do Deenie. Ta odwzajemniła uśmiech, usiłując przypomnieć sobie jej imię.

– Witam, panie Burke! – zawołała, zanim drzwi się zamknęły. – Przyszłam nie w porę?

– Nadine! – Pan Burke uśmiechnął się promiennie z nieskrywaną radością. Nie wiedziała dlaczego, ale uwielbiała, gdy zwracał się do niej pełnym imieniem. Jo-Jo zaskowyczała i wypadła na korytarz, wijąc się radośnie wokół kostek Deenie. – Przyszłaś do swojej słodkiej dziewczynki?

Przykłęka, by przywitać się z Jo-Jo. Wzięła ją na ręce, przytuliła i pogładziła policzkiem jedwabistą główkę uroczej psinki. Potem się wyprostowała i uśmiechnęła do pana Burke'a.

– Przyszłam do pana.

– Jaka cudowna niespodzianka. Wejdz, proszę.

Gdy Deenie znalazła się w znajomym mieszkaniu, zawahała się, widząc na stoliku kawowym wielkie pudło z lekarstwami, które przyniosła pielęgniarka.

– Powinam wcześniej zadzwonić – powiedziała.

– Ależ skąd. Możesz przychodzić, kiedy tylko chcesz. Jak się miewa Bitty?

Zwykle słowa zapewnienia, że z ciocią wszystko w porządku, utknęły jej w gardle. Poszła za gospodarzem do kuchni i przyglądała się, jak nastawia czajnik. To była ich tradycja – gdy przychodziła, zawsze pili herbatę i zjadali się maślanymi ciasteczkami. Teraz pan Burke przygotowywał tacę – poruszał się wolno, każdy jego ruch był zamierzony, spokojny, nieśpieszny.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała.

– Możesz wyjąć ciasteczka – odrzekł, przyglądając się wyblakłymi oczami każdemu szczegółowi jej twarzy.

– Myślę, że dzisiaj przydadzą się dodatkowe – stwierdził.

Deenie otworzyła kredens i ułożyła ciastka na dekoracyjnym talerzu, który podał jej pan Burke. Podczas ostatniej wizyty dowiedziała się, że jego zmarły mąż był Anglikiem i przywiązywał szczególną wagę do „herbaty i herbatników”.

Coraz częściej bywała na osiedlu emerytów i odwiedzała pana Burke’a i Jo-Jo prawie tak regularnie jak Bitty. Zwłaszcza gdy dowiedziała się, że starszy pan nie ma żadnego kontaktu ze swoją rodziną.

Gospodarz zaczekał, aż usadowią się wygodnie na kanapie, a Jo-Jo zwinie się w puchatą kulkę na jego kolanach, a potem spojrzał Deenie w oczy.

– Powiesz mi, co się dzieje?

Dziewczyna się zarumieniła.

– A skąd pan wie, że coś się dzieje?

Rzuciła piszczącą myszkę, a Jo-Jo zerwała się z kanapy, żeby ją dopaść. Jednak pan Burke nie spuszczał wzroku z gościa.

– Nadine, jesteś doskonałą aktorką, ale przy mnie nie musisz grać.

Napotkała jego spojrzenie i nagle poczuła na sobie ciężar kilku ostatnich miesięcy. Chciała porozmawiać o Connorze. O pocałunkach, o tym, że czuje do niego więcej, niżby chciała, że z pewnością popełnia wielki błąd. Ale słowa, które popłynęły z jej ust, były o wiele bardziej surowe.

– Nie jest z nią dobrze – powiedziała. Załamał jej się głos.

Pan Burke nie musiał pytać, o kogo chodzi.

Słyszając ból w głosie Deenie, Jo-Jo porzuciła piszczącą mysz, wskoczyła na kanapę i wdrapała się na jej kolana – maleńkie łapki i ledwie odczuwalny ciężar psinki przynosił ukojenie. Dziewczyna odstawiła filiżankę i zaczęła rytmicznie głaskać pieska.

– Tak właśnie myślałem – odpowiedział łagodnie pan Burke.

Deenie przełknęła ślinę, walcząc ze łzami, które usiłowały się przedrzeć przez jej pancerz ochronny.

– Bitty nie chce, żeby ludzie wiedzieli.

– Rozumiem to – odrzekł pan Burke i spojrzał na stolik kawowy. Na pudło z lekarstwami i cienką kopertę obok niego.

To był rachunek z domu opieki. Od razu go rozpoznała. Jako najbliższa krewna wiedziała, na co idą pieniądze Bitty. Od razu rzuciła jej się w oczy nazwa firmy oferującej opiekę domową i wtedy sobie przypomniała, gdzie widziała pielęgniarkę, która odwiedziła pana Burke’a.

I wcale nie chodziło o ośrodek stałej opieki.

Deenie gapiła się na kopertę i nagle wszystko zrozumiała. Skomplikowane emocje związane z Bitty powędrowały w zupełnie innym kierunku. Podniosła głowę i pochwyciła spojrzenie pana Burke’a. Uśmiechnął się delikatnie, pogodzony ze swoim losem.

– Wszystko w porządku – mruknął.

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy.

– Jak długo jest pan pod opieką hospicjum? – zapytała.

Wydawał się taki zdrowy. Sprawny. Był już wprawdzie po osiemdziesiątce, ale miał taki bystry umysł.

– Od niedawna. Mówią, że zostało mi kilka miesięcy. Rak prostaty. Kiedy postawili diagnozę, powiedzieli, że pożyję jeszcze dziesięć lat i prawdopodobnie wcześniej dopadnie mnie coś innego. Ale to było dwanaście lat temu. I okazało się, że nic innego mnie nie dopadło. – Uśmiechał się spokojnie.

Jakim cudem pozostawał aż tak opanowany?

Czuła, że drży jej broda, ale pan Burke tylko zmrużył oczy i powiedział:

– Hej. To nic takiego. Jestem szczęściarzem. Zabiorę ze sobą przepiękne wspomnienia. Niczego nie żałuję. Może jedynie, że już nie mam czasu na kolejne przygody. – Położył rękę na jej dłoni i dorzucił: – Nigdy nie rezygnuj z przygód, Nadine. Możesz odłożyć w banku więcej pieniędzy, ale nigdy nie odłożysz na koncie więcej życia.

Deenie uśmiechnęła się krzywo.

– Bitty też tak zawsze mówiła.

– Przejęła to powiedzenie od Davida – wyjaśnił, mówiąc o swoim nieżyjącym mężu. – On należał do tych, którzy chwytają dzień.

– Żałuję, że go nie poznałam.

Pan Burke uśmiechnął się z czułością.

– Ja też. Pokochałby cię. I tę dziewczynkę również – dodał, głaszcząc jedwabisty łebek Jo-Jo.

– Zaopiekujesz się nią? Zrobisz to dla mnie, prawda? Ma wszystkie szczepienia i świadectwo weterynaryjne, więc jest gotowa, żeby zwiedzać z tobą świat.

Deenie zacisnęła usta i kiwnęła głową. Tylko na tyle mogła się zdobyć.

Pan Burke uśmiechnął się łagodnie.

– Zawsze myślimy, że jeszcze na wszystko mamy czas. Zadziwiające, jak on szybko przemija.

ROZDZIAŁ 25



Rozbrzmiał dzwonek u drzwi.

Deenie nigdy wcześniej z niego nie korzystała, więc dla Connora był to pierwszy znak, że coś się zmieniło.

Drugim było to, że wpadła do domu z impetem, wyrzucając z siebie słowa jak z karabinu.

– Nie chcę niczego żałować.

Minęła go i pomknęła prosto do kuchni, a Maximus ochoczo pobiegł za nią wielkimi susami.

Connor popatrzył na dziewczynę, a potem ruszył wolno jej śladem.

– Ja też nie chcę – powiedział.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął dla nich obojga, było to, żeby czegokolwiek żalowali. Przez cały dzień wmawiał sobie, że jest bardzo wdzięczny za to, że nic się nie wydarzyło. W nocy odzyskał zdrowy rozsądek. Dzięki Bogu.

– Życie jest za krótkie.

Deenie zdecydowanym szarpnięciem otworzyła drzwi lodówki i wyjęła z niej puszkę wściekle różowego cydru o smaku truskawki i kiwi. Connor zaczął kupować go dla niej na filmowe wieczory, gdy zostawała do późna, oglądając z nim beznadziejne horrory. Dla niego cydr był za słodki, ale ona go uwielbiała.

Obróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

– Bitty zawsze mi powtarzała, że jedyną rzeczą, której nie można dostać więcej, jest czas. Wykorzystuj szanse, które podarował ci los, bo nigdy nie wiesz, czy znowu się nadarzą. Patrz na *wszystko* jak na jedyną taką okazję w życiu. „Możesz odłożyć w banku więcej pieniędzy, ale nigdy nie odłożysz na koncie więcej życia”. – Ze wzburzeniem otworzyła puszkę, ale nie uniosła jej do ust, tylko mocno ścisnęła ją jedną ręką. – Zawsze myślałam, że mówi o podróżach, o zbieraniu doświadczeń, a nie pieniędzy, ale teraz wcale nie jestem pewna, czy rozumiałam, co ma na myśli. – Chodziła po kuchni, a Maximus tańczył wokół niej, próbując wykombinować, na czym polega ta zabawa. – Ona umiera.

Te słowa były tak brutalne, że Connor mimowolnie podszedł bliżej, chcąc ją pocieszyć, ale nie zwróciła na niego uwagi. Dalej krążyła po kuchni.

– Gaśnie na moich oczach, a teraz jeszcze pan Burke... – Deenie potrząsnęła głową. – Bitty była jedyną osobą, która mnie rozumiała. Chciałam być taka jak ona. Czerpać z życia pełnymi garściami, ale jestem tak zajęta pogonią za tymi wszystkimi rzeczami, za podróżami po świecie, próbuję wszystko zwiedzić i zobaczyć, że to, co jest w zasięgu mojej ręki, mi umyka. A jeśli nie zawsze chodzi o to, by uciekać od tego, co się wydarza, ale o pewność, że nie przegapię tej konkretnej chwili, nawet gdy jestem tutaj. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Z tobą.

Jej spojrzenie nim wstrząsnęło.

– Deenie... – Już nie był pewien, czy wie, po co tu przyszła.

– Wiadomo, że nie będę twoja na zawsze. Wiem, że wszystko ma termin ważności. Ale nie czujesz, że jesteśmy tutaj z jakiegoś powodu?

Connor przytrzymał się krawędzi blatu.

– Chyba udzielają ci się poglądy Ally.

Bo Ally zawsze wierzyła w znaki. I wolę wszechświata.

Deenie z hukiem postawiła nietknięty napój na blacie.

– Pragnę cię. – Te słowa, bezpośrednio i proste, zawisły między nimi. – Wiem, że to zła decyzja – dorzuciła, nie upiększając niczego. – Jestem królową złych decyzji. Ale jeśli ty też mnie pragniesz, a przecież oboje jesteśmy dorośli i wiemy, w co się pakujemy i że nic z tego nie wyjdzie, to dlaczego nie?

Bo to nierozważne, odpowiedziała mu logika.

Bo uzależnię się od ciebie, dorzuciła jego wrodzona ostrożność.

Bo nie mogę ryzykować, że znowu poczuję się bezradny, gdy to wszystko wybuchnie mi w twarz, podsumował strach.

Ale gdy przygryzła dolną wargę, spojrzała na niego, a jej wielkie niebieskie oczy były tak bezbronne i czyste, jego serce przepędziło te wszystkie głosy.

Uniósł rękę i przesunął kciukiem po wardze, którą przygryzała.

Dlaczego nie? Z wielu powodów.

Ale nadal się nad nią pochylał. Nadal kołysał jej głowę w dłoniach. I nadal wdychał jej ciepło.

To było tylko zwykłe pocieszenie. Przelotny romans. Ogień, który mógł szybko zapłonąć i równie szybko zgasnąć.

– Niczego nie będziemy żałować – wyszeptał, zbliżając usta do jej warg, mając nadzieję, że nie popełnia największego błędu w swoim życiu.

Zaczęła rozpinać mu koszulę, doprowadzając go do szaleństwa. To był najlepszy zły pomysł jego życia.

ROZDZIAŁ 26



Kiedy przyrowadzisz Dennie na kolację?

Connor jęknął pod nosem. Mógł się tego spodziewać.

Powietrze było przesycone zapachem kwiatów. Wiosna zawitała do Pine Hollow, więc cotygodniowe targi lokalnych producentów i biznesmenów – złorzeczających na niepewną pogodę – na dobre zagościły na miejskim rynku z całą paletą kolorowych markiz. Tak też było w ten majowy słoneczny sobotni poranek.

Gdzieś tam krążyła Ally, zachęcając ludzi, by odwiedzili jej budkę fotograficzną i zrobili sobie zdjęcia z cudownymi mieszkańcami schroniska, ale Connor nie mógł jej dostrzec w tym labiryncie straganów i ludzi w tłumie. Na szczęście Max jeszcze nie wyczuł zapachu innych psów. Rozglądał się czujnie, ale trzymał się Connora. Nie rzucał się i nie ciągnął, gdy on wraz z mamą wędrował od stoiska do stoiska.

Targ w Pine Hollow był o wiele bardziej skomplikowanym zjawiskiem niż kasyna w Las Vegas – przyciągał ludzi i nie dawał im uciec, skutecznie ukrywając wszelkie drogi ewakuacji. Niemal przez godzinę krążyli wśród straganów oferujących nowalijki – asortyment był dość ograniczony ze względu na wczesną porę roku.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – przypominał. To nie było zupełne kłamstwo, bo faktycznie byli przyjaciółmi. Tyle że czerpali z tej przyjaźni określone korzyści.

Mnóstwo korzyści.

Ostatni tydzień był totalnym szaleństwem. Wspaniałym szaleństwem. Connor zdecydowanie zrezygnował z podejmowania rozsądnych decyzji, ale nie miał zamiaru opowiadać o tym mamie.

– Powinieneś ją dzisiaj do nas zaprosić – upierała się niczym niezrażona.

Prawie wszystko wypaplał. Deenie dzisiaj nie może. Jest w Burlington na wieczorne panieńskim swojej siostry. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że nie chce, by matka wiedziała, że on zna plany Deenie – jakby w ogóle ktokolwiek mógł je zapamiętać.

– Czyli chcesz spędzić cały dzień, plotkując o tym, jaka to cudowna z nas para? Nie, dziękuję bardzo. Nie jesteśmy razem.

Przynajmniej nie w ten sposób.

Ale w udawaniu byli naprawdę dobrzy.

Deenie poszła z nim na kolejną kolację ze współnikami i znowu wszystkich oczarowała. Zaczął odnosić wrażenie, że to on jest jej osobą towarzyszącą, a nie odwrotnie – i bardzo mu się to podobało. Na przyjęciach firmowych był bardziej zrelaksowany i swobodniej rozmawiał ze współpracownikami. Deenie zdjęła z niego całe napięcie, był dowcipny i błyskotliwy, bo ona taka była.

Nadal miał aplikacje randkowe, ale nie korzystał z nich od tygodni. Zdawał sobie sprawę, że relacja z Deenie jest tymczasowa i nie na wyłączność – oboje nie mieli co do tego żadnych wątpliwości – ale nie chciał się spotykać z innymi kobietami. Nie żeby na serio randkował z Deenie, ale podobało mu się, że jest jego „fałszywą” dziewczyną, i lubił w miarę regularnie uprawiać z nią seks, nawet jeśli wprowadzała w jego życie kompletny chaos.

Nadawała się idealnie do przelotnego romansu – była zabawna, namiętna i nieobliczalna – ale wiedział, że gdy ich przygoda dobiegnie końca, a w końcu nieuchronnie tak się stanie, wróci do poszukiwań żony, mając na koncie ostatnie w życiu burzliwe wybryki młodości. Przed poznaniem Deenie nie uświadamiał sobie, że w ogóle go stać na takie szaleństwa.

Nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mógłby się nią znudzić, ale przecież ona może zmęczyć się nim. I uciec. Oboje o tym wiedzieli. To tylko kwestia czasu.

Dlatego nie chciał, żeby matka się do niej przywiązywała.

– Deenie po prostu trenuje Maxa – twierdził uparcie.

– I robi cudowną robotę, prawda, Max? – zagruchała do psa, który zachowywał się jak aniołek.

Wymówka ze szkoleniem już długo nie przetrwa, bo Max był na najlepszej drodze, by zostać najlepiej wychowanym psem w Pine Hollow. Deenie nadal pracowała z nim od czasu do czasu, ale o wiele częściej przychodziła, by spotkać się z Connorem. Tak jak zeszłej nocy...

Szybko odpędził to wspomnienie. Nie chciał, żeby matka wyczytała coś z jego twarzy.

– Mówię tylko, że ją lubię – oświadczyła, nachylając się, by przyjrzeć się szparagom.

– Przecież tylko raz ją widziałas. Przez pięć sekund.

Matka uniosła głowę i utkwiała w nim spojrzeniem.

– Jest zabawna. A ty jesteś szczęśliwy. Szczęśliwszy niż wtedy, gdy byłeś z Monicą. *Lubię ją.*

Nie było żadnego porównania z Monicą. Deenie zmieniała wszystko w święto. Była chodzącą radością. Poświęcała ludziom całą swoją uwagę, sprawiała, że czuli się wyjątkowi. Ale nie tylko dzięki niej czuł się lepiej.

Max uderzył go w biodro, więc Connor poluźnił smycz.

– Wiesz, mamó, moje szczęście chyba nie ma nic wspólnego z nią. Niedługo zostanę współnikiem.

W oczach mamy błysnęły ogniki.

– Jestem z ciebie dumna bez względu na wszystko. Wiesz przecież.

– Oczywiście. Ale i tak chcę zostać współnikiem.

Connor zawsze wiedział, że nie musi być najlepszy, by matka była z niego dumna. Ale nic nie mogło go przed tym powstrzymać, bo właśnie dla niej chciał być najlepszy.

– Nie pracuj zbyt ciężko. Poświęcasz się pracy i zapominasz o reszcie świata. Zawsze taki byłeś.

– Nie pracuję zbyt ciężko – zapewnił. I przynajmniej tym razem nie skłamał.

To była zasługa Deenie. I nawet nie chodziło o seks – chociaż to była niezwykle pożądana rozrywka i odmiana – bo niemal tyle samo czasu spędzali na dyskusjach o filmach, które razem oglądali. Zawsze się o coś spierali i Connor to ubóstwiał. Ben był jego najlepszym przyjacielem częściowo z tego powodu, że był jedyną osobą, która tak samo jak on uwielbiała się sprzeczać, ale Deenie lubiła to jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. Mieli odmienne zdanie prawie na każdy temat, ale nigdy nie czuł się bardziej pełen życia i energii niż wtedy, gdy usiłował ją przekabacić. Zawsze była dla niego wyzwaniem. Ich słowne potyczki stały się grą wstępną.

– Uważaj na siebie – powiedziała matka. – Wiesz, mamy w rodzinie przypadki chorób serca.

Zmysły Connora się wyostrzyły, skupił uwagę na matce.

– Naprawdę? Dobrze się czujesz?

– Świetnie – powiedziała z naciskiem. Poklepała go po ramieniu i skierowała się do następnego stoiska. – Kilka miesięcy temu Mitch namówił mnie do zmiany lekarza, bo ten poprzedni mnie nie słuchał. Nowy doktor zrobił mi kilka badań i wszystko jest w porządku. Dzięki Bogu okazało się, że nie potrzebuję operacji. Zmienił mi tylko lekarstwa.

Serce Connora się zatrzymało na dźwięk słowa „operacja”.

– Jakie lekarstwa? I jaka operacja? Kiedy to było?

– Dwa miesiące temu. W lutym. Nie chciałam cię martwić.

– Martwić? Mamó! – Nie widział już niczego, nie zwracał uwagi na kolorowe stragany. – Jeśli coś się dzieje, chcę o tym wiedzieć.

– Ale wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, czy coś się dzieje. A ty jesteś taki zestresowany. Nie chciałam ci dokładać zmartwień.

– A więc rozmawiałaś o tym z Mitchem, a ze mną nie?

Maximus musiał wyczuć, że coś odwróciło uwagę Connora, i postanowił rzucić się w kierunku innego psa. Connor przywołał go do porządku spokojnym głosem, mimo że czuł pod skórą narastającą frustrację.

– Mitch uważał, że powinnam ci powiedzieć. Ale jakżebyś mogła to na siebie zrzucić?

– Niczego na mnie nie zrzucasz. Chodzi o to, żebyś wszystkim się ze mną dzieliła i nie musiała sama zmagać się z problemami.

Tyle że matka wcale nie była sama. Miała Mitcha. Poczul wzbierającą zazdrość – irracjonalną, rozpalającą do czerwoności.

Matka pokręciła głową.

– Gdy byłeś mały, nie zawsze dokonywałam dobrych wyborów. Za bardzo na tobie polegałam. Pozwoliłam, żebyś za wcześnie dorósł.

– Mamo, wcale tak nie było...

– Pozwól mi dokończyć.

Connor zamknął buzię na kłódkę.

– Za dużo na ciebie zrzuciłam, a byłeś jeszcze małym dzieckiem. Dopuszczałam, żebyś dźwigał zbyt wielki ciężar. Connorze, nie musisz się mną opiekować...

– Ale chcę – wtrącił.

Obrzuciła go przesywającym spojrzeniem, a on poczul, że pieką go uszy, i zdławił argument, który cisnął mu się na usta.

– Przepraszam – powiedział.

– Jesteś taki zdolny. Taki samodzielny. Nigdy nie przysparzałeś mi żadnych zmartwień. Teraz po prostu nie chcę obarczać cię swoimi problemami, bo wiem, że kiedyś musiałeś ciężko pracować, żeby mnie odciążyć. Ty byłeś dzieckiem, a ja byłam dorosła. Wiem, że jesteś już dojrzałym mężczyzną, ale mam zamiar cię chronić tak długo, jak tylko będę mogła. Rozumiesz?

Chwycił mamę za rękę.

– Ja też chcę cię chronić. Jesteś najważniejszą osobą w moim życiu. Jeśli cokolwiek by ci się przydarzyło, zrobiłbym dla ciebie wszystko. A ty nie mówisz mi o niczym, bo nie chcesz mnie martwić...

– Kochanie, przecież nic się nie stało. Wszystko ze mną w porządku. Dostałam tylko nowe leki.

– Ale nie wiedziałaś, że na tym się skończy. Coś było nie tak. Dlatego zrobili ci badania. I dlatego musisz zażywać lekarstwa. A nie powiedziałaś mi o tym. Mamo, musisz mówić mi o wszystkim.

Matka zacisnęła usta i odpowiedziała ledwie widocznym skinieniem głowy.

Wtedy pojawił się Mitch. Uśmiechał się szeroko, taszcząc torbę z piekarni.

– A wy co? – zapytał. – Nadal wybieracie warzywa? Myślałem, że już dawno jesteście gotowi.

Connor porzucił temat. Po dyskusji z mamą pozostał mu tylko ból w klatce piersiowej. A ona uśmiechała się do Mitcha.

Gdy dotarł do domu, nadal czuł klucie w piersiach. Usłyszał, że Deenie krząta się po kuchni. Maximus też ją wyczuł, więc popędził, żeby się przywitać.

– Już wróciłaś? – zawołał Connor, kierując się tam.

– Dlaczego nie masz żadnego śmieciowego żarcia? – zapytała, stojąc w drzwiach spiżarni.

– Masz jakąś awersję do chipsów z tortilli, o której powinnam wiedzieć?

Przywitała się z Maximusem – który na szczęście miał już za sobą etap rzucania się na ludzi w celu zamanifestowania uczuć – a Connor oparł się o blat.

– Ten, kto nie robi zakupów, nie ma prawa do narzekań – przypomniał.

Deenie się skrzywiła.

– Chyba jestem ci winna paczkę ekologicznej kukurydzy do prażenia?

– Myślę, że stać mnie na twój popcornowy nałóg.

Wyciągnął rękę po paczkę kukurydzy, przy okazji celowo lekko dotykając ramienia Deenie, a potem z dolnej szafki wydobyl urządzenie do popcornu.

Pies zwałił się na podłogę, czujnie obserwując, czy prażony przysmak nie leci w kierunku jego kudłatego pyska.

– Jesteś pewien, że nie chcesz sporządzić umowy na popcorn? – Deenie wskoczyła na blat wyspy i obserwowała Connora krzątającego się po kuchni. Długie gołe nogi w mikroskopijnych białych szortach skrzyżowała w kostkach i leniwie nimi machała. – Przecież wiem, że uwielbiasz te wszystkie prawnicze bzdety.

– W tym przypadku wystarczy mi umowa ustna. Tylko ten jeden raz.

Wziął ronderek i zaczął przygotowywać domowej roboty karmel, bo wiedział, że Deenie uwielbia polewać nim popcorn.

Nie spuszczała wzroku z jego bicepsów, gdy mieszał w rondelku wodę z cukrem i solą.

– Nie jesteśmy zbyt dobrzy w przestrzeganiu warunków innej umowy – powiedziała.

Tę „inną umowę” zawierającą zastrzeżenie, iż „wszystkie komplementy i kliwne romantyczne zachowania mają być ograniczone wyłącznie do czasu wykonywania niezbędnych zadań”, pogwałcili już tyle razy, że stracili rachubę.

– Mógłbym sporządzić aneks.

Deenie przewróciła oczami, ale z lubością wciągnęła powietrze.

– Będzie karmel? – zapytała.

– Zęby ci się zepsują. To świństwo jest zabójcze dla plomb – przypomniał, mieszając w garnku.

– Jak było na przyjęciu?

– Super. – Deenie skrzywiła się lekko, ale w jej głosie nie pojawił się ów cierpki ton, którego na ogół używała w rozmowach o ślubie. – I bardzo beżowo. Ale sałatka z farro była przepyszna. Chyba dodali do niej miętę. – Zmarszczyła nos. – Wszystkie chciały gadać ze mną wyłącznie o tobie. I one się uważają za feministki.

Connor odwrócił się od pieca, słysząc w jej głosie osobliwy ton.

– Cóż, przecież nieźle ze mnie ciacho.

Złapał ją za kolana. Rozplotła nogi i rozłożyła je z uśmiechem, a on wolno przyciągnął ją do siebie. Przesunęła się po śliskim granicie na krawędź blatu i zarzuciła nogi na jego biodra.

– To prawda – przyznała. Objęła go za szyję, a potem przyjrzała mu się błyszczącymi oczami o powiekach pomalowanych brokatowym niebieskim cieniem. – Chociaż nie zaryzykuję i nie powiem ci tego, bo twoje ego i tak już wymknęło się spod kontroli. – Potem nachyliła się, żeby go pocałować, ale pocałunek trwał tylko kilka sekund, bo zaraz się odsunęła. – Nie spał mojego karmelu.

Connor parsknął śmiechem.

– Tak jest, psze pani.

Obrócił się z powrotem do pieca i zamieszał karmel, gdy tymczasem w maszynie zaczął strzelać popcorn.

– Co u twojej mamy? – zapytała.

Connor się skrzywił.

Deenie westchnęła dramatycznie.

– Skrzywiłeś się, gdy zapytałam o twoją świętą matkę? Connorze Wyeth! Jestem w szoku.

– Okłamała mnie.

Z twarzy dziewczyny zniknęło całe rozbawienie.

– Co się stało?

– Tak naprawdę nie do końca okłamała – wyjaśnił, mieszając wolno karmel i nie patrząc w czujne oczy Deenie.

– Była chora, a właściwie nie chora, po prostu miała jakieś badania, bo coś było nie w porządku z jej sercem. Teraz musi brać leki i dobrze się czuje, ale nie powiedziała mi o tym, dopóki się nie okazało, że to nic poważnego. Ale groziła jej operacja. Na pewno się bała, mimo to nie odezwała się ani słowem. Tylko Mitch wiedział o wszystkim. A gdyby coś się stało?

– Hej. – Deenie zeskoczyła z blatu, podeszła do Connora, przyłożyła policzek do jego pleców i objęła go w pasie. – Przecież nic jej nie jest – przypomniała.

– Wiem, ale jestem wściekły, że mi nie powiedziała.

– Nie wściekaj się zbyt długo – poradziła. Czuł na plecach jej ciepły oddech. – Nie dostaniesz więcej czasu.

Położył rękę na jej dłoni.

– Nie będę.

Zaczęli rozmawiać o jej cioci, o wspomnieniach, które bezpowrotnie traciła.

– Chwytaj dzień – mruknął. Jego słowa brzmiały jak obietnica.

To powiedzenie stało się ich mantrą. W ten sposób przypominali sobie wzajemnie, że muszą żyć

chwila, smakować ją, bo nie będzie trwała wiecznie. Oboje doskonale o tym wiedzieli.

Connor nigdy wcześniej nie był spontaniczny. Wszystko planował, nie żył zgodnie z zasadą *carpe diem*, ale teraz zdecydował, że wyłączy piec.

Deenie zerknęła ponad jego ramieniem.

– Co robisz?

Usłyszał niezadowolenie w jej głosie. Stawanie między Deenie a słodyczami nie było dobrym pomysłem, ale zamierzał sprawić, by ta chwila jej to wynagrodziła.

Obrócił się w jej ramionach.

– Chwytam dzień – odrzekł.

Pocałunek był czuły, namiętny, niespieszny.

W końcu się odsunęła, lekko naburmuszona, ze zmarszczonymi brwiami, które ułożyły się w literę V nad smugami brokatu.

– Mam złe przeczucia co do karmelu.

– Zrobię ci go więcej – obiecał. – Później.

Przyciągnął ją do siebie i objął ciasno ramionami – idealnie do nich pasowała.

ROZDZIAŁ 27



Umawiasz się potajemnie z Connorem?

Deenie niosła szeroką deskę służącą jako psia huśtawka, ale słowa Ally tak ją zaskoczyły, że deska wyslizgnęła jej się z rąk i spadła na stopę. Krzyknęła, wyrwała stopę spod deski, potknęła się o plastikowy tunel i wylądowała płasko na tyłku.

Ally wolno uniosła brwi i zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać.

– Chyba uznam to za odpowiedź twierdzącą.

Colby, bernardyn, który nadzorował budowę zewnętrznego toru przeszkód dla psów, podszedł wolno do Deenie i zbliżył swój wielki łeb do jej twarzy, by się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Podrapała go za uszami, a potem poklepała po ogromnych barkach, żeby usunął się z drogi, bo chciała wstać z mokrej trawy.

– Nie umawiam się z Connorem – odparła zdecydowanie, a potem uczciwość zmusiła ją do wyznania prawdy: – Tylko ze sobą sypiamy.

Ally spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Nie mogę uwierzyć, że Ben jednak miał rację. Zazwyczaj zupełnie nie zwraca uwagi na takie rzeczy.

– Ben nie ma racji – stwierdziła Deenie. – Nie o to chodzi. Po prostu uprawiamy seks i od czasu do czasu chodzimy na fałszywe randki, tak jak się wcześniej umówiliśmy.

– Jesteś pewna, że tylko o to chodzi?

Deenie podniosła deskę i ustawiła ją na miejscu.

– To przelotny romans. Z datą ważności.

– Bo Connor jest empirycznie seksowny.

– Właśnie – przytaknęła Deenie, mrużąc oczy.

Ally pokiwała głową, przechylając rampę, którą wcześniej ustawiły. To był ostatni etap ich planu rewitalizacji „Kosmatych Przyjaciół”. Wybieg na tylnym pastwisku był już do dyspozycji mieszkańców schroniska. Studio fotograficzne dla psów działało pełną parą i przynosiło stałe dochody, Ally miała nawet kilku dwunożnych klientów. Zapisów na szkolenia też nie brakowało i miały już pierwszych psych lokatorów, którymi zajmowały się w ramach opieki dziennej.

Od dzisiaj schronisko było oficjalnie zmodernizowane i oferowało mnóstwo różnych usług. Deenie nie planowała, że zostanie w Pine Hollow, gdy interes się rozkręci, ale Bitty nadal miewała dobre dni, a wesele Kirsten miało się odbyć dopiero za miesiąc. Normalnie szukałaby już lotów i planowała trasę ucieczki, nawet gdyby nie była jeszcze gotowa do wyjazdu, ale jej pęd do podróży jakoś przygasł.

Cofnęła się i rozejrzała po wybiegu – w samym centrum wylegiwał się na grzbiecie wielki bernardyn. Colby był wyjątkowo leniwy, ale inne psy – na przykład suczka owczarka australijskiego Elinor – będą się tu czuły jak w raj.

– Dory pokocha to miejsce.

Ally podziwiała pracę, którą wykonali, bawiąc się sznurami bluzy z kapturem z emblematem „Kosmatych Przyjaciół”.

– Wybierasz się w środę na urodziny Elinor?

– Tak. Będziemy. To znaczy będę – Deenie szybko się poprawiła, plując sobie w brodę z powodu przejęzyczenia.

Ally pochwyliła jej spojrzenie.

– W porządku. Przecież możesz mówić *my*.

– Nie ma żadnych *nas* – upierała się Deenie. – Dopóki to trwa, po prostu razem się bawimy.

W przyszłym miesiącu idę na wesele siostry, a Connor doskonale się nadaje do takiej rozrywki.

– Przecież wiesz, że to nie musi się skończyć – powiedziała niepewnie Ally. – Możesz tutaj zostać, adoptować psa... Może wszechświat daje ci znak, żebyś się zatrzymała?
To było kuszące – aż za bardzo – ale Deenie tylko pokręciła głową.
– Możesz sobie słuchać wszechświata. Ja słucham jedynie tego, co mam w głowie i w sercu. A jedno i drugie mówi mi, że długotrwały związek z Connorem okaże się katastrofą.
Chociaż wcale nie była gotowa, żeby skończyć z tym, co robili. Czymkolwiek to było.
– To dobry facet – wtrąciła Ally.
– Wiem o tym. Ale jesteście jak ogień i woda. Uwierz mi. Tak będzie lepiej.
Ally kiwnęła głową i wtedy coś błysnęło w świetle między jej palcami. Deenie uświadomiła sobie, że przyjaciółka już nie bawi się sznurkami bluzy, lecz próbuje ukryć pod nią coś wiszącego na łańcuszku.
– A to co? – zapytała.
Gdy Deenie spojrzała jej prosto w oczy, ręka Ally zatrzymała się w połowie drogi. Dziewczyna sprawiała wrażenie zdenerwowanej.
– Mieliśmy zamiar powiedzieć wszystkim dopiero po urodzinach Elinor. Nie chcieliśmy wchodzić jej w paradę i psuć imprezy, ale czuję się głupio, że ukrywałam to przed tobą.
Deenie podeszła bliżej i wzięła do ręki błyszczący przedmiot wiszący na szyi Ally.
Pierścionek z brylantem.
Opadła jej szczęka.
– Zaręczyliście się?
Ally uśmiechnęła się z zakłopotaniem.
– Niespodzianka.
– Jak długo... Kiedy to się stało? Ally! Gratulacje! – Deenie otrząsnęła się z szoku, odepchnęła mieszaną skomplikowanych emocji i uścisnęła przyjaciółkę.
– Dzięki. W zeszły weekend. Kiedy byłeś na wieczorze panieńskim siostry. Astrid pomagała Benowi. To takie słodkie. Chyba planował to od tygodni. Nie mam pojęcia, jak zdołał powstrzymać Astrid, żeby się nie wygadała. Powiedział, że już od pewnego czasu chciał się oświadczyć, ale u Bena wszystko musi się dziać w odpowiedniej kolejności. Uważał, że pospieszyliśmy się ze wspólnym zamieszkaniem, że zrobiliśmy to dla wygody z powodu remontu, więc nie chciał mnie prosić o rękę, dopóki każde z nas nie będzie u siebie. Żeby przypadkiem nie przyjęła oświadczenia, kiedy była to najłatwiejsza i najbardziej naturalna rzecz na świecie. – Ally pokręciła głową i uśmiechnęła się. – Ben bywa strasznym głupcem.
Deenie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
– Domyślam się, że nie przyjęłaś oświadczenia tylko dlatego, że to było łatwiejsze niż odmowa.
– Oboje od miesiący krążyliśmy wokół tematu, rozmawialiśmy o przyszłości i zawsze zakładaliśmy, że kiedyś się pobierzemy i będziemy mieć dzieci, a jemu nie przyszło do głowy, że się zgodzę? – Ally przewróciła oczami. – *Faceci*.
– Niesamowite. – Deenie poczuła, jak zalewają ją różne emocje, tak skomplikowane, że nie potrafiła ich uporządkować. – Wychodzisz za męża. Wiedziałam oczywiście, że to się kiedyś stanie, ale *wow*.
W oczach Ally pojawił się błysk niepewności.
– Nie uważasz, że to za szybko? Nie weźmiemy ślubu przed Bożym Narodzeniem, ale znamy się dopiero od pięciu miesięcy.
– Szczerze mówiąc, dziwię się, że tak długo czekaliście. Jesteście dla siebie stworzeni. I będziecie wspaniałym małżeństwem.
– Serio? – W ciemnych oczach Ally błysnęła ulga.
– Absolutnie.
– Na razie wiedzą tylko nasze rodziny – wyjaśniła. – Ben chce skończyć remont i wystawić dom na sprzedaż, zanim oficjalnie kupimy farmę od moich dziadków. Nie wprowadzą się z Astrid tak szybko, więc możesz zostać. Dlatego bałam się o tym mówić. Nie chcę, żebyś miała wrażenie, że cię wyrzucamy.
– Oczywiście, że nie – zapewniła dziewczyna, chociaż przeszło jej przez myśl, że będzie musiała

ustalić nowe ostateczne terminy.

Ally i Ben twierdzili, że nie będą się spieszyć ze wspólnym zamieszkaniem, ale wiedziała, że to w końcu nastąpi. Zdawała sobie sprawę, że zamieszkają razem na dobre. A kiedy to zrobią, nie będą chcieli, żeby ona kręciła się im po domu.

I to właśnie zaczynało się dziać.

Deenie wbiła kod do drzwi i weszła do domu Connora. Przywitała się z Maxem, a potem przechyliła głowę, nasłuchując znajomych dźwięków rozmowy telefonicznej.

Nie wiedziała, po co tu przyszła. Ally pojechała do Bena, więc miała cały dom dla siebie, ale od kiedy usłyszała o zaręczynach, dręczyły ją niespokojne myśli.

Cieszyła się szczęściem Ally i Bena. Ale jednocześnie czuła, że status quo ostatnich tygodni zostało zachwiane i powoli nadciągają nieuchronne zmiany. Gdy Bitty i pan Burke odejdą. Gdy Ally i Ben zamieszkają razem, będą wychowywać psy i cudowne dzieci. Kiedy Connor ożeni się z kimś innym...

Zawsze wracała do Pine Hollow niczym bumerang. To miejsce było najbliższe temu, co mogła nazwać domem. Ale jeśli wyjedzie, pewnie już tu nie wróci. Tak będzie najlepiej.

Wróciła myślami do Connora.

Chwytaj dzień, przypomniała sobie.

Bo ten dzień niedługo dobiegnie końca.

Poszła w kierunku biura, ale zanim weszła, nadsluchiwała przez chwilę, czy Connor nadal rozmawia przez telefon.

– Cześć.

Spojrzał na nią, przesunął wzrokiem po jej twarzy i nagle jego oczy pociemniały.

– Ally ci powiedziała? – zapytał.

Deenie pogłaskała Maxa po głowie, gdy oparł się o jej biodro.

– Ben też ci powiedział?

– Jestem jego drużbą.

– No tak. Racja.

W tych słowach było coś niewiarygodnie otrzeźwiającego. Nie chodziło o to, że chciała zostać drużną Ally. Nawet nie rozmawiały o organizacji ślubu. Connor doskonale nadawał się na drużbę. Przyjaźnili się z Benem od wieków. A ona nie zagrzewała nigdzie miejsca.

– Wszystko w porządku? – zapytał, nie wstając z fotela. Co oznaczało, że połowę uwagi nadal poświęca pracy. – A jak poszło z torem przeszkód?

– Urządziłyśmy go. Było super, ale jestem wykończona. Pewnie wszystko będzie mnie bolało przez tydzień. Nie miałam pojęcia, że huśtawka dla psów jest taka ciężka.

Connor skupił się na ekranie komputera, zwabiony syrenim śpiewem swoich obowiązków.

– Powinnaś się wymoczyć w jacuzzi. Rozluźnić mięśnie.

– Od naszej ostatniej kąpieli jeszcze cierpię na zespół stresu pourazowego.

W jego ironicznym uśmiechu błysnęło wspomnienie.

– Upewnij się tylko, że linia wody jest ponad dyszami. Zaufaj mi. Spodoba ci się. Między innymi z powodu jacuzzi kupiłem ten dom.

– Będziesz pracować do późna?

Nie powinna zostawać. Powinna wrócić do siebie i zapomnieć o wszystkim.

– Jeszcze trochę. Muszę dokończyć kilka spraw.

Kiwnęła głową i już chciała wymknąć się z biura, ale zatrzymał ją jego głos.

– Deenie, dobrze się czujesz? Chyba nie zdenerwowałaś się tym ślubem?

– Oczywiście, że nie. Ale to skłania do myślenia, prawda?

O tym, że pewnego dnia Connor też się oświadczy. Tylko że komuś innemu. Takiej kobiecie jak Elinor.

– Nie jestem stworzona do tych rzeczy – dorzuciła. W równym stopniu chciała o tym przypomnieć sobie, jak i jemu. – I nigdy nie będę.

Connor skinął głową, w jego oczach mignął jakiś cień, a potem odwrócił wzrok.
– Nie dodawaj płynu do kąpieeli. Gdy uruchomisz dysze, bąbelki będą w całej łazience.
– Dobrze wiedzieć.

Connor próbował skupić się na pracy. Starał się też nie myśleć, że Deenie jest teraz na górze w jacuzzi. Ani o nowinie, z którą wyskoczył Ben niecałą godzinę temu.

To była wspaniała wiadomość. Cieszył się szczęściem Ally i Bena. A więc dlaczego czuł to silne, narastające przerażenie?

Nie jestem stworzona do tych rzeczy...

Wyrzucił z głowy echo słów Deenie, a po dwudziestu minutach wstał od biurka. Maximus znowu spał na kanapie – Deenie zapytała, czy chce, żeby oduczyła psa wchodzenia na meble, ale Max jako kanapowy leniwiec był taki szczęśliwy, że Connor nie miał serca go tego pozbawiać. Max mógł wchodzić *tylko* na tę kanapę. Żadnego włożenia na fotel w biurze i udawania pieska pokojowego.

Wypracowali idealną równowagę: Connor, Max i Deenie.

Zorientował się, że myśli o tym, co opowiedział mu Ben o zaręczynach. Wydawał się taki szczęśliwy. Odprężony. Gdy pytał Connora, czy zostanie jego drużbą, stał się trochę sentymentalny, przez co on też stał się sentymentalny.

Był to winien Benowi.

Przyjaciel nigdy go nie opuścił, nie pozwolił, by stał się pustelnikiem. Nie dopuścił, żeby zaczął się nad sobą użalać. Bez względu na to, jak się wkurzał, gdy przyjaciele wpadali do niego bez uprzedzenia i zawracali mu głowę, był zadowolony, że nigdy go nie zostawili. A więc mógł przynajmniej zostać drużbą.

Wchodził po schodach i nadal myślał o ślubie. Sypialnia była pusta i cicha – żadnego szumu jacuzzi – a drzwi do łazienki szeroko otwarte.

– Deenie?

– Tutaj! – zawołała przez otwarte drzwi.

Connor wszedł do środka i stłumił wybuch śmiechu.

Powinien się domyślić, że Deenie potraktuje jego uwagę o bąbelkach jako wyzwanie, a nie ostrzeżenie.

Leżała w górze piany – widać było tylko brodę i czubki palców. To było jak scena z filmu – takiego dozwolonego co najmniej od trzynastu lat, w którym próbowano zachować pozory przyzwoitości.

– Chcesz się przyłączyć? – zapytała, zgarniając garść piany.

Rozwiązał krawat. Deenie dokuczała mu, że nosi go w domu, a przecież musiał dbać o wizerunek podczas wideokonferencji.

– Wyglądasz jak Julia Roberts. Czy to znaczy, że ja jestem w tym scenariuszu Richardem Gere'em?

– Postanowiłam, iż się nie obrażę w związku z tym, że właśnie porównałeś mnie do najsłynniejszej filmowej prostytutki, bo tak się składa, że uwielbiam ten film.

Twarz Connora zapłonęła żywym ogniem w gorącym, zaparowanym pomieszczeniu.

– Nie chodziło mi o to, że...

– Wiem, wiem... – rzuciła wesoło. – Jestem szczerze zdumiona, że znasz *Pretty Woman*.

– Chyba wolno mi oglądać komedie romantyczne. – Connor zaczął rozpinąć koszulę.

Brwi Deenie wygięły się w łuk, bo zaskoczyła ją defensywność w jego głosie.

– Ale przecież ty nie cierpisz wszystkiego, co nielogiczne. A komedie romantyczne są dla ludzi, którzy zrezygnowali z logiki na rzecz miłości.

Może dlatego nie miał szczęścia w miłości? Może nie potrafił być na tyle nierozsądny, by z miłości zwariować?

Zmarszczył brwi, ale Deenie tego nie zauważyła, bo rysowała wzory w pianie.

– Dzięki za wskazówkę w sprawie bąbelków – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że jesteś facetem, który kąpie się w pianie.

– To właściwie sprawka Moniki. – Usłyszał swoje wyznanie, zdejmując buty. – To ona odkryła, że płyn do kąpieli i jacuzzi to mieszanka wybuchowa, która zawsze kończy się wielkim bałaganem. Deenie przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Nie miałam pojęcia, że mieszkaliście tutaj razem. Oczywiście, że nie miała. Nigdy nie mówił jej o Monice.

Opowiadał o swoich randkach internetowych, zawsze w bardzo rzeczowy sposób. Dzielił się z nią różnymi historiami. Praktycznymi aspektami nawiązywania nowych znajomości. Ale nie musiał jej opowiadać o swoim życiu. Rozmawiali tylko o tym, o czym chcieli rozmawiać, a i tak znała go lepiej niż którakolwiek z komputerowych „dziewczyn”. Ale nadal była w tym wszystkim jakaś dziura. Przepaść, do której nie chciał nawiązywać.

Deenie spojrzała mu w oczy.

– Elinor powiedziała, że byliście z Monicą zaręczeni. Connor usiadł na brzegu wanny, żeby zdjąć skarpetki.

– A powiedziała ci, że Monica zerwała ze mną dwa tygodnie przed ślubem za pomocą karteczki samoprzylepnej?

Deenie poczuła się zawstydzona.

– Możliwe, że coś wspomniała.

Skinął głową, ale nie spojrzał na nią, udając, że jest całkowicie pochłonięty zwijaniem skarpetek.

– Wydawało mi się, że mam idealne życie. Idealną pracę, idealną narzeczoną i idealny dom, w którym będziemy wychowywać nasze przyszłe idealne dzieci. Planowaliśmy wspólnie każdy krok. Byłem pewien, że we wszystkim się zgadzamy. I wtedy przyszedłem do domu i znalazłem karteczkę z informacją, że Monica nie może tego zrobić. Że nie jest szczęśliwa i wyjeżdża do Indii, by odnaleźć siebie. – Connor skrzywił się niechęcią. – Spaliłem jej egzemplarz *Jedz, módl się, kochaj*, ale nie pomogło. – Rozejrzał się po łazience, wyglądała jakoś inaczej. Inaczej niż wtedy, gdy jeszcze myślał, że jego życie jest na właściwej drodze. – Ten dom to przypomnienie, jak bardzo się myliłem. Nawet go trochę nienawidziłem. Dopóki...

Dopóki się nie zjawiał.

Ledwie zdołał się powstrzymać, by nie powiedzieć tego na głos. W jego głowie znowu rozbrzmiało echo jej słów. Nie jestem stworzona do tych rzeczy. I nigdy nie będę.

Ostrzegła go. Wiedziała, że Connor za bardzo się do niej przywiązuje. Widziała, że się w niej zakochuje. A więc dlaczego to powiedziała? Musiała mu przypominać, że jest dziewczyną, która nie zostaje dłużej w jednym miejscu?

Obiecał sobie, że się w niej nie zakocha.

Był strasznym idiotą. Co dało mu prawo sądzić, że ma jakąkolwiek kontrolę nad swoim głupim życiem? Zawsze starał się planować takie rzeczy, ale wszechświat go wyśmiał.

– Były jakieś znaki ostrzegawcze? Zauważyłeś coś? – zapytała Deenie.

Przez chwilę miał wrażenie, że pyta go, czy miał zamiar się w niej zakochać.

Wtedy sobie przypomniał. Monica.

– Gdy teraz na to patrzę, dochodzę do wniosku, że były różne sygnały – przyznał. – Ale ich nie dostrzegłem. Nawet nie szukałem. Chyba brałem za pewnik, że ze mną zostanie. Kiedy się z kimś wiążesz, to się *angażujesz*. Nie miałem powodów, by wątpić w Monicę.

A teraz wątpił we wszystko.

– Connor... – Znad góry piany dobiegł głos Deenie, łagodny, miękki i cichy. – To wszystko... ta jej ucieczka... to dotyczy tylko jej. Nie ma nic wspólnego z tobą. Jesteś niezwykły. Będiesz wspaniałym mężem i ojcem.

Tylko dlaczego nie z tobą?

Uniósł brew, bo sceptycyzm był najlepszą formą walki z tęsknotą, która go dławiała.

– I ty to mówisz? Kobieta, która uważa, że jestem nieznośnym snobem?

– Jesteś nieznośnym snobem – przyznała. – Ale jesteś też ciachem i niezłą partią. Może nie jestem dziewczyną, która się na to złapie, ale zaufaj mi: jesteś najlepszy i widzi to każda kobieta, która ma choć połowę mózgu.

Tak, ale czy pokocha mnie na tyle, żeby ze mną zostać?

Zatrzymał tę myśl dla siebie. Jaki sens miałoby teraz użalanie się nad sobą?

Ludzie, którzy nie chcą cię pokochać, zawsze są mistrzami w zapewnianiu, że jesteś wart miłości. Gdyby tylko w praktyce nie okazywało się, że się mylą... Deenie była taka pewna, że Connor znajdzie idealną miłość – i że to nie będzie ona. Cały czas musiał przypominać o tym swojemu sercu.

Nawet wtedy, gdy sadowił się w wannie za jej plecami. Chwytań dzień.

ROZDZIAŁ 28



Pub Wstawiony Łoś był jednym z dwóch barów w Pine Hollow i jedynym, który organizował karaoke. Deenie nigdy wcześniej nie była tutaj na takiej imprezie, więc nie miała pojęcia, czy przytulny pub zawsze jest taki zatłoczony, czy może te wszystkie osoby przyszły specjalnie, żeby świętować urodziny Elinor – gdyby miała obstawiać, postawiłaby na to drugie.

Wiedziała, że Elinor potrafi śpiewać – poznały się w grudniu na zaimprovizowanej imprezie gwiazdkowej, podczas której śpiewały kolędy – ale nie spodziewała się, że ułożona bibliotekarka tak świetnie się czuje w świetle reflektorów. Razem z Magdą z piekarni i Kendall z ośrodka narciarskiego stały na scenie i objęte ramionami wyśpiewywały do mikrofonu *I Will Survive*.

Entuzjazm jubilatki miał pewnie coś wspólnego z mocnymi drinkami.

Ben i Ally tańczyli wśród tłumu wraz z Connorem i Makiem, którego zadaniem było zdobycie śpiewnika, by mogli z Deenie zaimprovizować jakiś duet. Mac już wcześniej wyryczał na całe gardło *I Believe z Księgi Mormona*, ale nie doczekał się wielu entuzjastycznych recenzji, więc postanowił z determinacją, że porwie na scenę Deenie. Nie chodziło o to, że trudno ją było przekonać do występu, lecz o to, że nie mógł się dopchać do mikrofonu, bo Elinor, Magda i Kendall właśnie na cały głos wyśpiewywały, że *przetrywają*.

Wszyscy stali, śmiali się i śpiewali razem z nimi. Wszyscy oprócz spokojnego, barczystego Leviego, który ulokował się na stołku barowym i z zaciśniętymi szczękami wlepił oczy w scenę.

Obok niego siedziała Deenie, opierała się o bar i obserwowała, jak Connor przygląda się Elinor.

– Wiedziałaś, że ona potrafi tak śpiewać?

Magda i Kendall wybuchły śmiechem, a Elinor wznosiła się na wyżyny, wyśpiewując piosenkę z takim zaangażowaniem, jakby startowała w konkursie. Była naprawdę dobra.

Levi nie odrywał wzroku od sceny. Najpierw dziewczyna nie była pewna, czy w ogóle ją słyszy, ale po chwili szef policji lekko zacisnął usta.

– Wiedziałem – odrzekł.

Dennie przypatrywała się jego absolutnie beznamiętnej twarzy.

– Zawsze wygrywasz z chłopakami w pokera? – zapytała.

– Zazwyczaj – odparł po krótkiej chwili milczenia. – Dlaczego pytasz?

– Masz najbardziej pokerową twarz, jaką w życiu widziałam.

Miała jednak dziwne przeczucie, że ma to coś wspólnego z Elinor. Mężczyzna nie patrzy na kobietę w taki sposób, jeśli nie jest zainteresowany.

– Dlaczego powiedziałeś Connorowi, żeby poszedł na całość z Elinor? – spytała.

Levi zajął jej głęboko w oczy i zobaczył zbyt wiele.

– Nie martw się. Nie zrobi tego.

Deenie się zarumieniła.

– Nie martwię się.

Nikomui nie powiedzieli, że są razem. Bo przecież tak naprawdę *nie byli*. Ale Levi się domyślił. A może Connor powiedział coś przyjaciółom?

Spojrzała przez ramię Leviego w kierunku sceny. Dlaczego Elinor musi być taka dobra we wszystkim? To było wprost onieśmielające. Była zdolna i mądra, jednym słowem kobieta, która idealnie pasuje do Connora, a do tego jeszcze okazała się utalentowaną piosenkarką. Czy to było *sprawiedliwe*?

Jak Deenie mogłaby z nią konkurować? Nie żeby chodziło o jakieś współzawodnictwo. Układ z Connorem był w końcu tymczasowy. A Elinor była na zawsze.

Piosenka zakończyła się gromkimi brawami.

– Masz zamiar śpiewać? – zapytała faceta z marmuru, który siedział obok.

Levi pociągnął się za małżowinę.

– Nic z tego. Słoń mi na ucho nadepnął. Spróbuj przekonać Connora. Jest prawie tak dobry jak Elinor.

– Chyba żartujesz.

Connor wcześniej zdecydowanie odmówił i beznamyślnie stwierdził, że jest okropny.

Deenie obróciła się na stołku, wzrokiem odszukała Connora w tłumie i zobaczyła, jak Elinor rzuca się ze sceny prosto w jego ramiona.

Poczuła, że serce jej zamiera.

– To było cudowne. – Connor złapał Elinor, gdy runęła ze sceny, zahaczając stopą o nierówną krawędź. Roześmiała się, chwyciła go za ramiona i przytrzymała się mężczyzny, dopóki nie odzyskała równowagi. – Celujesz w kogoś konkretnego? – zapytał.

Elinor opierała się o jego pierś trochę mocniej niż trzeba, ale uśmiechała się niewinnie.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła.

– Yhm.

Odsunęli się, żeby zrobić miejsce nauczycielkom ze szkoły podstawowej w Pine Hollow, które wspięły się na scenę i zaczęły śpiewać własną interpretację *Eleonor Rugby*, raczej luźno związaną z oryginalnym tekstem.

– Dobrze się bawisz, droga jubilatko? – spytał.

– Wspaniale – oznajmiła i szturchnęła go łokciem. – A ty? Przyprowadziłeś kogoś? Widziałam cię na aplikacji randkowej. Dobrze wiedzieć, że znowu zacząłeś się umawiać.

– Tak – mruknął. Od tygodni nie korzystał z żadnej aplikacji. Za każdym razem, gdy zastanawiał się nad internetową znajomością, odkrywał coś, przez co dochodził do wniosku, że jest absolutnie nieodpowiednia... ale prawda była taka, że po prostu lubił przebywać z Deenie. – Prawie do ciebie zadzwoniłem, gdy zostaliśmy dopasowani. To było...

– Dziwaczne – dokończyła Elinor. – Najwyraźniej te ich algorytmy trochę szwankują.

– Ale to wcale nie jest takie szalone. Ty masz analityczny umysł. Ja mam analityczny umysł. Żadne z nas nie jest zwariowane. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego nigdy nie umówiliśmy się na randkę.

Elinor się roześmiała.

– Bo Levi by cię zamordował i zakopał twoje ciało tam, gdzie nikt by go nie znalazł?

– No tak, może wcześniej, ale nie teraz. Bo kiedy mu powiedziałem, że aplikacja nas dopasowała, kazał mi iść na całość.

Przez twarz Elinor przemknął cień. Tak szybko, że Connor prawie go nie dostrzegł, niemniej wyglądał jak cierpienie.

– To niedorzeczne – stwierdziła aż nazbyt pogodnie. – Jesteś dla mnie jak brat.

– Jestem pewien, że Levi wie, iż nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – powiedział Connor, próbując naprawić szkodę.

Młodsza siostra Elinor, Charlotte, wybrała ten moment, by rzucić się jej od tyłu na szyję.

– Hej, jubilatko! Nie chowaj się po kątach! Musisz wybrać następną piosenkę!

Pociągnęła uśmiechniętą Elinor w tłum ludzi, a Connor zaczął się rozglądać za Deenie, ale miejsce, które zajmowała przed chwilą przy barze, było puste.

– Co tu robisz?

Taras był mikroskopijny, wyglądał bardziej jak brudny kącik dla palaczy niż patio. Ale za to był cichy, pusty, a chłodne nocne powietrze rewelacyjnie chłodziło jej twarz. Kiedy Ally ją znalazła, Deenie nie była pewna, jak długo tam stała, sącząc mojito i bezmyślnie przyglądając się gwiazdom.

Spojrzała na przyjaciółkę, czując kłębiące się w niej emocje.

– Jedna z aplikacji dopasowała Connora i Elinor.

Na twarzy Ally pojawił się wyraz łagodności, jakim uspokaja się osobę pod wpływem.

– W porządku...

– Nie jestem pijana – warknęła. – No, przynajmniej nie bardzo. Musiałaś to widzieć. Elinor to babka, z którą powinien być Connor. Nawet program komputerowy tak myśli.

Ally uniosła wysoko brwi.

– Pamiętasz, jak się ze mnie śmiałaś, gdy myślałam, że Ben jest z nią zaręczony?

– Pamiętam. Ale to wszystko działo się tylko w twojej głowie. A teraz jest prawdziwe. Rzeczywiste. Connor powiedział, że byliby dla siebie idealni. Słyszałam.

– I dlatego cały czas cię szuka? – zapytała przyjaciółka. – Connor nie jest zainteresowany Elinor. Zależy mu tylko na tobie.

– Ale jak długo? – wypaliła Deenie. I zarumieniła się, gdy zrozumiała, ile wyjawily te trzy słowa.

– Nie jestem tym, czego pragnie.

– A on jest tym, czego ty pragniesz? – zapytała łagodnie Ally.

– Nie wiem. – Deenie zawsze doskonale wiedziała, czego chce. Jak mogła teraz nie wiedzieć? Kiedy miała taki mętlik w głowie?

– Mogę ci coś doradzić na wypadek, gdyby był tym, czego pragniesz? – Słowa Ally były delikatne, ostrożne i wyważone. – Może powinnaś mu o wszystkim powiedzieć. – Usadowiła się obok Deenie, ich ramiona lekko się dotykały. – Jesteś taka pewna siebie. Podziwiam cię za to. Ale musisz być trochę ostrożniejsza i bardziej powściągliwa.

– Nie mam zamiaru.

Ale jednak taka była. Zbudowała mur i nie zamierzała go burzyć. I nie była pewna siebie. Nigdy nie oczekiwała, że ktoś zaakceptuje ją taką, jaka jest. A więc od razu rzucała wszystkim prosto w twarz swoje wady, prowokowała, by zobaczyli, jaka jest naprawdę, ale nigdy nikomu nie pozwalała przedrzeć się przez mur. Nawet Ally. Która została jedną z jej najlepszych przyjaciółek.

– Nie szkodzi, że trzymasz nas na dystans. Jesteś tego warta. – Ally ujęła jej dłoń i splotła jej palce ze swoimi palcami. – Wiem, że Connor myśli tak samo.

– Nie jestem tym, czego chce – powtórzyła dziewczyna.

– A czym? Może jesteś nawet lepsza. Osobiście uważam, że jesteś niesamowita. Zaprosiłabym cię teraz na wesele, gdybym tylko wiedziała, że nie odbierzesz tego jako presji, żebyś została, bo chcę cię mieć przy sobie. – Ally oparła się ramieniem o przyjaciółkę. – Connor cię uszczęśliwia? – zapytała.

To było najprostsze pytanie. Ale nie negowało pozostałych.

– On pragnie kogoś takiego jak Elinor.

– Skąd ta pewność, że on wie, czego pragnie? Czy to nie ty powiedziałaś, że facetom trzeba uświadamiać, czego potrzebują? A poważnie, cóż takiego jest w Elinor, że tracisz całą pewność siebie? – zdziwiła się Ally.

– Ona jest wkurzająco doskonała.

– Kto jest doskonały?

Spojrzały w stronę drzwi i zobaczyły jubilatkę we własnej osobie.

– Wszystko w porządku, dziewczyny? – zapytała. – Macie cię szuka. Twierdzi, że macie coś zaśpiewać w duecie.

– Zgadza się – przyznała Deenie. – Przepraszam. Właśnie miałyśmy tutaj dramacik „związkowy”.

Elinor z niepokojem spojrzała na Ally.

– Z tobą i Benem wszystko w porządku?

– W sumie chodziło o mnie – powiedziała Deenie, strzelając słowami jak pociskami i patrząc, gdzie spadają. – Umawiasz się z Connorem? Wiem, że zostaliście dopasowani. W porządku, jeśli wam to odpowiada.

– Dlaczego dzisiaj wszyscy zezwalają mi na randki z Connorem? Nie jestem nim zainteresowana w ten sposób. I nigdy nie byłam.

– Czyli nie masz nic przeciwko temu, że będę się z nim spotykać?

Na twarzy Elinor pojawił się jakiś dziwny wyraz. Deenie odebrała jej zwątpienie jak pchnięcie nożem między zębra.

– Uważasz, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra? – Dziewczyna zdawała sobie sprawę,

że zachowuje się zbyt agresywnie, ale bez wahania wypluwała z siebie słowa. Powiedz je pierwsza, a cię nie zranią.

– Nie chodzi o to, czy jesteś wystarczająco dobra – powiedziała zdecydowanie Elinor.

– Ale według ciebie nie pasujemy do siebie.

Oczywiście, że nie. Sama wiedziała, że nie pasują.

– Nie chcę tylko, żeby cierpiał – wyjaśniła łagodnie Elinor. – To dobry facet. I dobry przyjaciel.

Był zdruzgotany, kiedy Monica go rzuciła. Wszyscy to widzieliśmy, a ty... Ty *odejdziesz*. Na tym polega twoje życie.

– A może już nie chcę, żeby na tym polegało moje życie – warknęła.

Wszystkie zamarły. Deenie była równie zszokowana tymi słowami jak Ally i Elinor.

Czego naprawdę chciała? Zostać? Prowadzić normalne, ustabilizowane życie?

A jeśli ona tego pragnęła, a on wręcz przeciwnie?

– Muszę znaleźć Maca – powiedziała i wstała.

Powinna być z takim facetem jak Mac. Wyluzowanym. Słodkim.

– Deenie... – Zatrzymał ją głos Elinor. – Nie miałam na myśli... Nie wiem, co miałam na myśli.

Dziewczyna otworzyła usta, niepewna, co chce powiedzieć, i wtedy poczuła paraliżujący strach.

– A jeśli zostanę, a on nie będzie mnie chciał?

– Wtedy będzie głupcem – odparła stanowczo Elinor.

Deenie prychnęła.

– Mówisz jak kobieta, która nigdy nie musiała się przejmować, czy jest wystarczająco dobra.

– Posłuchaj. – Elinor oparła ręce na jej ramionach. Stanowcza i rzeczowa. Pewna świata, który ją otacza. – Jesteś wystarczająco dobra. Absolutnie. Jesteś niesamowita. A teraz pokaż wszystkim, gdzie raki zimują. Zafatw ich.

– Tak! – Do rozmowy włączył się kolejny głos. To Mac, który właśnie pojawił się na tarasie.

– Pokażemy im, jacy jesteśmy odlotowi! Co zaśpiewamy?

Deenie przytuliła Elinor.

– Dziękuję – szepnęła. Zdążyła to zrobić ułamek sekundy przed tym, nim Mac wrzasnął:

– Przytulasy! – I objął je obie.

– Dlaczego nie zaśpiewałeś?

Deenie podeszła do Connora, lekko się zataczając, a on chwycił ją za łokieć i pomógł zachować równowagę, czym zasłużył na groźne spojrzenie. Panna Promyk Słońca i Błysk Brokatu, jak właśnie się przekonał, upiła się na bojowo. Chociaż całą noc przytulała się z Elinor, Ally i Makiem. Najwyraźniej tylko jego ignorowała z jakiegoś nieuzasadnionego powodu.

– Levi twierdzi, że masz świetny głos – nie ustępowała, gdy nie odpowiedział.

– Levi powinien trzymać głowę na kłódkę.

– *Elinor* z pewnością też tak myśli.

Przyjęcie skończyło się w dość spektakularny sposób, gdy jubilatka po zacieklej kłótni z szefem policji poinformowała go, że *nie ma prawa* decydować, z kim ma się umawiać, a z kim nie. Connor czuł się za to odrobinę odpowiedzialny, ale ponieważ chodziło o Elinor i Leviego, i tak by kiedyś do tego doszło.

– Boisz się, że będziesz wyglądać głupio podczas śpiewania? – zapytała Deenie, gdy właśnie wstąpiła w niego nadzieja, że zapomniła o temacie. – Wszyscy wyglądamy głupio. Na tym polega karaoke. Żeby wyglądać głupio. Ale ty i twój empirycznie seksowny tyłek, w który ktoś wetknął ci kij, nie możecie wyglądać głupio. Niece.

Potknęła się na chodniku, więc ją podtrzymał, zanim poleciała na twarz.

Stanowczo oświadczyła – z przekonaniem, które pojawia się tylko po zbyt wielu urodzinowych drinkach – że wraca do domu, a Connor wyznaczył sobie zadanie, że dostarczy ją w jednym kawałku, bo sam nie wypił ani kieliszka. Poza tym ta naburmuszona wersja słoneczno-światlistej Deenie Mitchell nawet mu się podobała.

– Dlaczego nie zaśpiewałeś? – drażyła, tym razem mocno do niego przywierając.

– Nie jestem piosenkarzem.

– Nie. – Odepchnęła go i zrobiła kilka kroków. – Jesteś *prawnikiem*. Jesteś Panem Doskonałym.

Ty i twoje *dołeczki*.

– Masz problem z moimi dołeczkami? Sporo się dzisiaj dowiedziałem.

– One nie są *w porządku*. Zabraniam ci być takim inteligentnym, miłym, doskonałym i mieć te głupio oszalałymi dołeczki. Jakies zasady obowiązują.

– Zapamiętam to sobie.

Pokiwała głową.

– Świetnie.

Szli w milczeniu, dopóki na horyzoncie nie pojawiła się farma, i wtedy ciekawość wzięła górę.

– Jak się nazywa ta piosenka, którą dzisiaj śpiewałaś z Makiem?

– *Weź mnie całą lub wcale*. Z *Rent*. – Ostatnie słowo zabrzmiało jak eksplozja i dopiero po chwili uświadomił sobie, że chodzi o musical. – Ale to duet dla kobiet, więc Mac dał cię jako Joanne.

– To było raczej niedwuznaczne. – Connor niezbyt dokładnie pamiętał tekst, ale Mac śpiewał coś o planowaniu i kontrolowaniu, a Deenie o tym, że jest tygrysią zamkniętą w klatce i że chce, by ją ktoś uwolnił.

– To świetna piosenka – powiedziała z udawaną niewinnością.

– To piosenka o rozstaniu.

Deenie nagle przystanęła na skraju żwirowego podjazdu i się zakołysała.

– Tego właśnie chcesz? – zapytała. – Rozstać się?

– A ty tego chcesz?

Potrząsnęła zdecydowanie głową, ale jej następne słowa zdawały się przeczyć temu gestowi.

– Powinniśmy wiedzieć, że to się nigdy nie uda.

– Deenie.

– Jestem taka głupia. Dlaczego jestem taka głupia? Nie mogę uwierzyć, że się w tobie zakochałam.

– Co? – Uderzyło go to jak obuchem, całkowicie zbijając z tropu.

Deenie obróciła się, odeszła kawałek i krzyknęła w noc:

– Udaję, że jestem zakochana w facecie, i się w nim zakochuję. Kto tak robi? Ja. Któżby inny?

Zmierzała już podjazdem w stronę domu, gdy zorientował się, że odchodzi.

– Deenie. Stój!

Dogonił ją, chwycił za ramię i obrócił do siebie.

– Ja też cię kocham. – Słowa same popłynęły z jego ust.

Jej oczy zapłonęły przerażeniem.

– Nie mów tak.

– Miałem nadzieję na inną reakcję. Ale z drugiej strony nie planowałem ci tego mówić, gdy jesteś wstawiona i na dodatek postradałaś zmysły. – Spojrzył w jej zaczerwienione oczy. – Zapamiętasz, co ci powiedziałem?

Cały czas kręciła głową, oczy miała szeroko otwarte.

– Zrywamy! To się nie uda. Jesteśmy jak ogień i woda.

– To znaczy, że nie spróbujemy? Myślałem, że lubisz podniebne akrobacje.

– Ale ze spadochronem! – krzyknęła, wyrывая się z jego objęć. – To jest... Ty jesteś...

– Odeszła kilka kroków, a potem obróciła się na pięcie. – Dlaczego to robisz? – zapytała.

– Może dlatego, że chcę być z tobą. Ale nie tak na pół gwizdka jak teraz. Może chcę, żeby to wszystko było naprawdę. No i może jeszcze przeraża mnie myśl, że pewnego dnia mogłabyś mnie opuścić. I może już wiem, czego chcę. Gdybym się nie bał, że cię stracę, to czy wiedziałbym, jakie to dla mnie ważne?

– Nie chcę, żebyś się bał. Ale przy mnie zawsze będziesz. Nigdy mi nie zaufasz, że zostanę, a ja ciągle będę się czuła jak w pułapce. To nas zeżre. Zniszczy.

– A jeśli nie? Jeśli nam się uda? – Podszedł do niej, pragnąc, żeby pozwoliła się przytulić.

– Wmówiłaś sobie, że nie nadajesz się do prawdziwego związku. A może ci się spodoba? Może okaże

się, że jest cudownie?

– Próbujesz wszystko kontrolować...

– A ty nie? Nie robisz tego, odpychając od siebie ludzi? Usiłując pilnować swojego serca? Nie pozwalając, by ktokolwiek się do ciebie za bardzo zbliżył? Masz takiego samego świra na punkcie kontroli jak ja. Chowasz się za tymi różowymi włosami i paszportem z milionem stempli. Ale ja już nie chcę niczego kontrolować. Nie chcę *tęsknić*, Deenie. A jeśli będziemy szczęśliwi? Byłaś kiedyś szczęśliwa?

W oczach dziewczyny zalśniły łzy.

– O co właściwie mnie prosisz?

– *Zostań*. To wszystko. Po prostu... zostań.

– Connorze...

– Proszę, żebyś została.

W oczach Deenie nadal kłębiły się różne emocje – nadzieja, strach, wrażliwość – ale wpatrywała się w niego tak, jakby już nigdy nie miała przestać. Przygryzła dolną wargę.

– Dobrze – szepnęła w odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 29



Weekend przed obchodami Memorial Day był obłędnie cudowny – słońce rozświetlało każdy zakątek, sprawiając, że świat wydawał się idyllicznie doskonały. Ale Deenie nigdy nie czuła się mniej słonecznie, idyllicznie i doskonale.

Chociaż naprawdę dobrze udawała, że tak właśnie jest. W końcu byli na pikniku firmowym kancelarii Connora, więc z tytułu umowy była mu winna udaną randkę... chociaż w miejscu, gdzie kończyła się umowa, a zaczynali *oni*, wszystko było mętne i pokręcone.

Zgodziła się zostać. *Chciała* zostać.

A co będzie, jeśli to schrzani? Nie była zbyt dobra w trzymaniu się jednego miejsca. Nigdy tego nie potrafiła.

– Przyniosłem hot dogi. – Connor stanął u jej boku, trzymając dwa kopiaste papierowe talerze.

Posłała mu promienny uśmiech w stylu wszystko-jest-cudownie i przyjęła talerz.

– Mój bohater.

Weekendowy piknik zorganizowany przez firmę prawniczą z okazji Memorial Day okazał się wydarzeniem o bardzo niezobowiązującej atmosferze – z dmuchanymi zamkami i malowaniem twarzy dla dzieci oraz górami grillowanego mięsa dla dorosłych. Deenie i Connor znaleźli wolne miejsca przy zatłoczonym piknikowym stole i pochłaniali hot dogi, przysłuchując się ożywionej dyskusji.

Gdy kończyli jeść, przyłączyli się do nich Sterlingowie.

– Ależ pogoda dopisała, prawda?

Deenie uśmiechnęła się promiennie.

– To chyba przeprosiny od bogów pogody za deszczową wiosnę – powiedziała.

– No nie wiem. Lubię deszcz. – Connor spojrział na nią przelotnie, a jego przedramię musnęło jej rękę, kiedy przysunął się bliżej. Powróciło wspomnienie tamtego wieczoru, gdy całowali się w deszczu i oboje przemokli do suchej nitki.

Deenie próbowała się nie zarumienić, bo właśnie podeszły do niej dwie dziewczynki, które rozpoznały ją z przyjęcia.

– Księżniczka Deenie! Musisz sobie pomalować buzię. Mają dużo brokatu!

Dziewczyna się zawahała i spojrzała szybko na Connora. Uśmiechnęła się szeroko.

– Idź – powiedział zachęcająco. – Dobrze wiem, że nie powinienem się sprzeciwiać Bogini Brokatu.

Dziewczynki złapały ją za ręce i zaprowadziły do stanowiska malowania twarzy. Otoczyły ją inne dzieciaki: każde chciało mieć swój wkład w to, jaki wzór wybierze dla siebie. Kiedy dziecięca „komisja” uzgodniła paletę najlepszych kolorów, Deenie usiadła na krześle przy stoliku. Poczowała na sobie spojrzenie Connora, więc zerknęła na niego i mrugnęła. Wtedy artystka malująca buzie poprosiła ją, by zwróciła głowę w innym kierunku.

Rozmawiała trochę z malarką, gdy akurat nie musiała siedzieć nieruchomo – obie doszły do wniosku, że powinny wymienić się wizytówkami, bo zakres działalności ich firm częściowo się pokrywa. No i Deenie miała pozostać na miejscu przez czas nieokreślony.

Nieokreślony. To takie przerażające słowo.

– Popatrz teraz w lewo – poleciła malarka, a Deenie obróciła głowę i zobaczyła Davisa, który właśnie podchodził do Connora.

Obserwowała, jak rozmawiają, i zobaczyła przyjemne zaskoczenie na twarzy Connora. Chwilę później panowie uściśnęli sobie ręce. Connor przez chwilę stał sam, jakby zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć. Bardzo szybko odzyskał jednak równowagę i zmierzał już w stronę Deenie, gdy artystka oświadczyła, że wszystko gotowe.

Dziewczyna spojrziała w lustro, podziwiając na swoich policzkach zwiewne wróżki uchwycone w locie. Jedna mała wróżka spoglądała przez ramię, jakby chciała uciec przed kimś, kto próbuje ją złapać i zatrzymać – a może to było tylko wyobrażenie Deenie.

Podziękowała malarce i wrzuciła trochę pieniędzy do puszki. Dzieci zaczęły ciągnąć ją za ręce, ale wysłała je w misję ratowania dmuchanego zamku przed inwazją smoczej armii, bo chciała zmierzyć się z Connorem bez swoich małych pomocników.

Nadal wyglądał na lekko oszołomionego, sprawiał wrażenie, że jej nie widzi, więc położyła dłoń na jego ramieniu.

– W porządku? – zapytała.

– To wszystko jest zdumiewające i zaskakujące – powiedział, zniżając głos. – Davis właśnie mi powiedział, że zostanę współnikiem. To jeszcze nieoficjalne. Muszę zaczekać dwa tygodnie na ostateczną decyzję zarządu, ale Davis sądzi, że mam to jak w banku. – Spojrzał Deenie głęboko w oczy. – I to wszystko dzięki tobie.

– To bzdura, wiesz o tym. Harowałeś dla tej firmy całymi latami.

– Ale bez ciebie nie zostałbym współnikiem.

Pokręciła głową. Próbowwała odnaleźć w sobie ekscytację, którą powinna teraz odczuwać.

– Gratuluję. Tak bardzo się cieszę – powiedziała, jak gdyby te słowa miały sprawić, że naprawdę się ucieszy.

Chciała cieszyć się jego szczęściem. A więc dlaczego czuła... coś innego?

Jakby to zwycięstwo było gwoździem do trumny. Tyle że nie wiedziała, do jakiej trumny i dlaczego. Jakby po prostu wcale tego nie chciała.

Na szczęście dopadła ją grupka dzieci, które potrzebowały pomocy w walce z wymyśloną smoczą armią, więc mogła uciec i odłożyć na później analizę swoich uczuć.

Przez całe popołudnie była w ruchu, uśmiechała się najpromiennie, jak potrafiła, a w drodze powrotnej do Pine Hollow zasnęła w samochodzie – tym razem nie udawała, rzeczywiście zasnęła, niewytłumaczalnie wykończona.

W Pine Hollow mieli tylko chwilę, by zabrać Maxa i kosz piknikowy, bo byli umówieni z Ally, Benem, Astrid, Elinor i Makiem na wieczór filmowy na rynku – to była letnia tradycja polegająca na oglądaniu starych filmów i urządzaniu pikników na trawie.

Było sielankowo. Romantycznie.

Deenie musiała przez cały czas pilnować, żeby się nie wiercić, chociaż leciała *Filadelfijska opowieść* z Katharine Hepburn i Carym Grantem, jeden z jej ulubionych filmów.

Na którym Connor oczywiście nie zostawił suchej nitki.

Zniżył głos, by nie przeszkadzać innym widzom, i mamrotał skargi prosto do ucha Deenie.

Normalnie broniłaby filmu, ale dzisiaj walka wydawała się bezcelowa. Mogła tylko się zastanawiać, dlaczego kiedykolwiek pomyślała, że uda jej się związek z facetem, który nie lubi *Filadelfijskiej opowieści*.

– A więc morał tej historii jest taki, że ona wraca do faceta, z którym wcześniej się rozstała, bo ją unieszczęśliwił? – zapytał gderliwie Connor, gdy wolno wracali z Maxem do domu.

Deenie posłała mu pełne irytacji spojrzenie.

– A nie zauważyłaś, że on przestał imprezować, a ona wyluzowała, więc mogli do siebie wrócić i odnaleźć miłość, która zawsze ich łączyła?

– Zatem oboje musieli się zmienić, żeby żyć długo i szczęśliwie? – zripostował i podawał kolejne argumenty, ale ona nie słyszała już ani jednego słowa.

Tak się przecież dzieje w komediach romantycznych, prawda? Oboje muszą się zmienić, żeby potem żyć długo i szczęśliwie? Ale w ich przypadku tak się nie działo. Nie poszli na kompromis. Tylko ona to zrobiła.

Connor dostał dokładnie to, czego zawsze pragnął, a Deenie dostała...

Dla niego zmieniła wszystko. Uległa, poddała się. Usłyszała szept niepokoju.

Connor był na dziewięćdziesiąt procent przekonany, że cierpi na paranoję, ale pozostałe dziesięć

procent ciągle mu powtarzało, że Deenie się od niego oddala.

Myślał, że gdy dziewczyna zgodzi się zostać, wszystko się ułoży i uspokoi, ale wcale nie czuł się spokojny. Powiedział, że ją kocha. Ona też powiedziała, że go kocha. Ale nadal miał wrażenie, jakby byli bokserami w ringu, krążącymi wokół siebie, czekającymi, by w odpowiedniej chwili znokautować przeciwnika.

Ta paranoja naprawdę stanowiła problem.

Wiedział, że szuka oznak zwiastujących ucieczkę Deenie. Gdy był z Monicą, niczego nie zauważył, a że nie chciał drugi raz popełnić tego samego błędu, był teraz nadmiernie czujny i wszędzie dostrzegał znaki ostrzegawcze.

Wczoraj na rynku zamartwiał się, że Deenie nie sprzecza się z nim tak jak zwykle. Nie nazywała go „Princeton” i nie podważała wszystkiego, co mówił. A więc kiedy film się rozpoczął, był absolutnie bezlitosny, czepiając się każdego szczegółu. Ale ona pozostała dziwnie przygaszona.

Starał się odczytywać każde jej spojrzenie, każde mrugnienie. Przygotowywał się na katastrofę. Po doświadczeniach z Monicą – i z ojcem również, jeśli miał być szczery – wszędzie widział emocjonalne czarne dziury i czekał, aż go wessa. Deenie powiedziała, że zostanie, chciał wierzyć, że tak będzie, ale jak miał się zmusić do tej wiary?

Nawet teraz nie była z nim – spędzała cały dzień z siostrą na objeździe po winnicach w ramach przyjęcia panińskiego – ale i tak nie mógł przestać się martwić.

– Jak uwierzyłaś, że Mitch nie odejdzie?

Matka spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie mógł jej za to winić. Sam był zaskoczony, że o to zapytał. Nigdy tak naprawdę nie rozmawiali o Mitchu.

Connor z matką i Maxem przechadzali się po jarmarku zorganizowanym w Pine Hollow z okazji Memorial Day. Wszystkie ulice dochodzące do rynku były zamknięte, zatłoczone straganami prezentującymi ofertę lokalnego biznesu. „Kosmaci Przyjaciele” mieli swoje stoiska na północnej pierzei rynku, ale kiedy Connor zaproponował Deenie, by wystawiła stragan ze strojami królowny, spojrzała na niego, jakby chciał ją otruć.

– Po prostu uwierzyłam – odrzekła spokojnie matka.

Nie okazała się zbyt pomocna.

Connor się skrzywił.

– I po tym wszystkim, co się wcześniej stało, nie byłaś...? – Connor nie wiedział, jak zakończyć pytanie.

Ale matka na to nie nalegała.

– Mitch był zupełnie inny niż Aaron. – Przestała nazywać Aarona Wyetha „ojcem Connora” tego dnia, gdy odszedł. – Ale wiem, co masz na myśli. Nie chodziło o niego, tylko o mnie. Jak pozwolić, by ktoś się do nas zbliżył?

– Właśnie.

Matka wzięła go pod ramię i razem ominęli dziewczynkę na trójkołowym rowerku.

– Chodzi o Deenie?

Connor wzruszył ramionami... na szczęście nie naciskała.

– Cóż. – Matka odchrząknęła. – W moim wypadku pomogło to, że dobrze znałam siebie. Wiedziałam, że nie potrzebuję mężczyzny, by poczuć się spełniona. Sama wychowałam wspaniałego syna. Byłeś szczęśliwy, zdrowy, bardzo dobrze radziłeś sobie w szkole, a mnie samotność w ogóle nie przeszkadzała. Ale moje gniazdo nagle zrobiło się puste. Tęskniłam za tym, żeby kimś się opiekować. Uświadomiłam sobie, że chociaż nikogo nie potrzebuję, to chcę kogoś mieć. Mitch mnie rozśmieszał. Pozwolił, żebym sama wyznaczała tempo. Jest taki spokojny, że czasem mam ochotę czymś w niego rzucić i powiedzieć, żeby w końcu na coś się wkurzył. Na cokolwiek. Kiedyś go oskarżyłam, że mu na mnie nie zależy, bo nie zmusza mnie, żebym była poważniejsza. Wtedy pokazał mi pierścienek, który nosił w kieszeni od naszej trzeciej randki, na wypadek gdybym postanowiła wyjść za niego za mąż. Przestałam zatruwać mu życie oskarżeniami, że wystarczająco mu na mnie nie zależy.

– Nie mam pewności, czy ta strategia zadziała w przypadku Deenie. – Nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób miałby wymusić na niej szybkie zaręczyny.

– Ona w ogóle nie przypomina Moniki.

– Ale to nie znaczy, że nie odejdzie.

W jej przypadku prawdopodobieństwo było nawet większe.

Tyle że Deenie... nie była taka.

Nie była niesłowna. Nie obiecywała czegoś, czego nie była w stanie spełnić. Nie robiła planów, bo wiedziała, że będzie czuła się zobowiązana je zrealizować. A nie chciała czuć się ograniczana i zobowiązana do dotrzymywania słowa. Była hiperodpowiedzialna. Bardzo zależało jej na tym, by nikogo nie zawieść. I skoro powiedziała, że zostanie...

Chyba mówiła poważnie.

Prawda?

Mitch przyłączył się do nich, zanim Connor zdążył cokolwiek powiedzieć, więc postanowił trzymać język za zębami. Nie rozmawiał na poważne tematy z mężem swojej matki.

Chwilę później mama popędziła, żeby się z kimś przywitać, zostawiając Mitcha i Connora w niezręcznej ciszy. Wtedy przypomniał sobie, jak Deenie mu dokuczała, że nie daje szansy Mitchowi.

Mężczyźnie, który tak uszczęśliwiał jego matkę. Który nigdy nie naciskał, ale nie dlatego, że mu nie zależało.

– Chyba zostanę współnikiem – powiedział. Powiedział to pierwszy raz, odkąd rozmawiał o tym z Deenie. Nie miał pojęcia, dlaczego mówi o tym Mitchowi, skoro nawet nie zdążył jeszcze zawiadomić mamy.

– Nie wyglądasz na szczęśliwego – stwierdził w zamyśleniu mąż jego matki.

– Ale jestem. Chociaż myślałem, że poczuję się jakoś inaczej.

Mitch wolno pokiwał głową.

– Po co ci to było potrzebne?

Connor otworzył usta, żeby odpowiedzieć... ale nie znalazł słów.

Masz to jak w banku, powiedział wczoraj Davis. Jeśli to jest to, czego pragniesz.

Connor był w stanie myśleć wyłącznie o tym, że tak właśnie jest. Oczywiście, że to jest to, czego pragnę. Zawsze tego pragnąłem.

Ale przyływ radości ze zwycięstwa nagle zniknął. Zastąpił go niejasny niepokój.

Czy to wszystko było zbyt dobre, żeby być prawdziwe? A może chodziło o to, że nie wierzył, że wszystko się wreszcie układa? A może jeszcze o coś innego?

– Wiesz, że matka jest z ciebie dumna bez względu na to, co robisz? Możesz być prawnikiem albo... – Mitch zamilkł, jakby znalazł się w rozterce, więc Connor dokończył:

– Albo wyprowadzać psy?

– Właśnie.

– Wiem – przyznał. – Ale chcę być najlepszy dla niej.

Mitch znowu pokiwał głową.

– Zawsze podziwiałem twoją determinację. Nawet jeśli czasem wydawała mi się trochę onieśmielająca.

– Nie miałem zamiaru nikogo onieśmielać... – Connor powstrzymał się w ostatniej chwili, ale zaraz dorzucił: – A właściwie trochę chciałem. Wiem, że zazdrość o ciebie to głupota...

– Och, nie przejmuj się. Też byłem o ciebie zazdrosny – zapewnił Mitch z uspokajającym uśmiechem. – Ale naprawdę cię podziwiam, młody.

Connor spojrzał na mężczyznę o niewyczerpanych zasobach spokoju. Na faceta, któremu nigdy nie zależało na współzawodnictwie, więc uczucie, że konkuruje z Mitchem, było niewiarygodnie frustrujące.

– Ja też cię podziwiam – przyznał i w tej samej chwili uświadomił sobie, że mówi prawdę.

Gdy mama ponownie się zjawiała, Mitch uśmiechnął się do niej i lekko rozprostował plecy. Ta delikatna zmiana postawy była jedyną wskazówką, że chwila budowania więzi jego zdaniem dobiegła końca, gdy wróciła Mele.

Lecz Connor spojrzał na niego i niezrażony zaproponował:

– Powinniśmy czasem napić się piwa. Tylko ty i ja.

W oczach Mitcha błysnęło zdziwienie, ale uśmiechnął się ochoczo.

– Bardzo chętnie. Podoba mi się ten pomysł.

Connor pochwycił spojrzenie mamy. W jej oczach zalśniły łzy.

– Mamo, nie – powiedział.

– Co? – zapytała rzewnie. – Jestem po prostu szczęśliwa. Nie mogę być szczęśliwa?

ROZDZIAŁ 30



Dziewczyny, jestem *taka szczęśliwa!*

Deenie nigdy nie widziała pijanej siostry. Nigdy nawet nie widziała, żeby Kirsten była *wstawiona*. Zawsze była opanowana. Taka wytworna i elegancka. I wszystko miała pod kontrolą.

A w tej chwili kołysała się pijaniuteńka na tyłach autobusu, popijając różowe wino prosto z butelki.

Przyjęcie panięskie nie zapowiadało się tak hałaśliwie, przynajmniej nie wskazywało na to wyłaczane zaproszenie, które Deenie dostała od innych druhen. Popołudniowy objazd po winnicach luksusowym autobusem, przekąszanie sera i toasty na cześć przyszłej panny młodej. Żadnych striptizerów. Żadnych naszyjników w kształcie penisa. Żadnych wściekle różowych drinków – to chyba było najlepsze, bo Deenie nadal je czuła po przyjęciu urodzinowym Elinor, od którego minęły już dwa tygodnie.

Szczerze mówiąc, spodziewała się, że zanudzi się na śmierć. Z pewnością nie oczekiwała, że „autobus winny” nagle zmieni się w „autobus pijany”, gdy Kirsten i wszystkie jej druheny zaczną szybko przechodzić od stonowanych toastów szampanem do kupowania w każdej winnicy butelek wina „na drogę” i picia z gwinta aż do postoju w następnym idyllicznym miejscu.

Deenie też wypła trochę wina, ale aktualnie jako jedyna mogła wykazać się trzeźwością – nie licząc kierowcy autobusu, który na szczęście wydawał się rozbawiony do łez zachowaniem rozchoconych i pijanych w sztok dam.

– Pasy! – krzyknął, gdy Kirsten zerwała się z fotela i chwiejnym krokiem zaczęła się przedzierać do miejsca, gdzie siedziała Deenie.

– Rany! – Kirsten zachichotała, rozchlapując wino z butelki, zanim ponownie przyłożyła ją do ust.

– Naprawdę z klasą – powiedziała przeciągle Deenie.

– To moje przyjęcie panięskie. Powinam się upić – oznajmiła siostra. – Taka *tradycja*.

– Misja wykonana.

Kirsten wzniosła toast butelką, a potem z westchnieniem położyła głowę na ramieniu siostry.

– Maleńka Deenie, tak się cieszę, że tu jesteś.

– Ja też. Wody? – Wyjęła z rąk siostry do połowy opróżnioną butelkę wina i podała jej wodę.

Kirsten się wyprostowała.

– Mówię serio – powiedziała z naciskiem, jakby Deenie się z nią sprzeczała, usiłując przy tym skupić na siostrze spojrzenie brązowych oczu. Przejęła po matce całą kolorystykę: ciemne włosy i oczy, ale Deenie jakoś to nie ruszało. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. Nigdy nie przychodzisz, gdy cię zapraszam.

– A więc nie żywiłaś skrycie nadziei, że odmówię, gdy zapraszałaś mnie na swoje przyjęcie weselne?

– Pewnie, że nie! Ale nie przypuszczałam, że się zgodzisz. Nawet mnie nie lubisz.

– Kirsten! Kocham cię.

– Wiem. Ja też cię kocham. Ale mnie nie lubisz. Nigdy nie chcesz spędzać ze mną czasu.

– Kirsten. – Deenie obróciła się, żeby spojrzeć siostrze w oczy i chwyciła ją za rękę. – Lubię cię. To, że nie chcę spędzać z tobą czasu, nie ma nic wspólnego z brakiem sympatii. Po prostu mam wrażenie, że zawsze muszę się bronić, gdy jestem z wami. A to wyczerpujące. – Widząc zmieszanie na twarzy siostry, rozwinęła swoją myśl: – Mama i tata od zawsze wiercili mi dziurę w brzuchu, żebym wybrała poważny kierunek, skończyła poważne studia i podjęła poważną pracę. Tak było, od kiedy pamiętam.

– Ale wiesz przecież, że mam to w nosie.

Brwi Deenie wygięły się w łuk.

– A sklep? – przypomniała łagodnie. Kirsten przyparła ją do muru, gdy wsiadały dzisiaj do autobusu, przypominając, że Todd ma znajomą, która pomoże jej rozkręcić biznes.

– Tylko próbuję pomóc, bo chcę, żebyś odniosła sukces...

– Ale na *twoich* warunkach.

– Nie znam żadnych innych – zaprotestowała Kirsten.

– Wiem. Ale ja nie chcę mieć sklepu, personelu i tych wszystkich zobowiązań. Lubię swoją niezależność. To część tego, kim jestem.

Ale poświęciła to dla Connora. Ten niepokój nieustannie ją prześladował. Wzbudzał pragnienie podróży.

– Nie próbuję cię zmienić – z uporem stwierdziła Kirsten. – Zawsze ci zazdrościłam.

Deenie poczuła dreszcz zaskoczenia.

– Co?

– Zawsze byłaś taka niezależna, wolna. Od zawsze stosujesz w życiu inne zasady. Stałaś się rebeliantką, Malutka Deenie! Rebeliantką, która od wszystkiego się wymigiuje i której wszystko uchodzi na sucho. Która zdobywa wszystko, czego zapagnie. Myślisz, że nigdy nie chciałam pojechać do Europy? Żeby studiować sztukę i popijać *caffè latte*?

Deenie pokręciła głową.

– Nie chodzi o inne zasady ani o to, że jestem rebeliantką. Po prostu nie chciałam, żeby mama i tata dyktowali mi, jak mam żyć. To nie takie proste.

– A myślisz, że moje życie jest proste? – rzuciła Kirsten.

– Nigdy tak nie twierdziłam – odparła Deenie.

– Zawsze nas odpychałaś. Rzuciałaś nam w twarz, jaka to jesteś wolna.

– Jeśli was odpychałam, to tylko dlatego, że stale musiałam bronić swojego prawa do inności. A to sprawiało, że jeszcze bardziej chciałam się od was różnić. Żeby udowodnić, że to nie jest złe.

– Nikt nie twierdzi, że to jest złe. Po prostu martwimy się o ciebie. Czy możesz być szczęśliwa bez stabilizacji? Wszyscy zamartwialiśmy się o twoją przyszłość. I teraz czujemy ulgę, że już nie musimy się martwić.

Deenie usłyszała podszepty niepokoju, a Kirsten wykorzystała jej nieuwagę, by przejąć butelkę różowego wina.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Cieszymy się twoim szczęściem – odrzekła Kirsten. – Peter twierdzi, że jesteś na dobrej drodze, by dorosnąć, ale Peter to głupek.

Deenie zbyła parsknięciem opinię brata, który na ogół twierdził, że zna się absolutnie na wszystkim.

– Ale tym razem ma rację. Ktoś cię w końcu okiełznał, Deenie! – krzyknęła Kirsten.

Serce dziewczyny zamarło, gdy siostra bombardowała ją tymi słowami.

– Masz pracę, adres i stałego, odpowiedzialnego faceta. I w końcu wiem, gdzie ci wysłać zaproszenie na ślub. Jak często przez sześć miesięcy miałaś ten sam adres? To dzięki niemu. On cię *zmienił*. Mama i tata go *uwielbiają*.

Niepokój narastał, przybierając w mózgu Deenie postać rozbrzmiewających na całego dzwonek alarmowych.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – powiedziała siostra. – W końcu znalazłaś swoje miejsce. A ja wychodzę za mąż!

Ostatnie słowa wykrzyczała, a odpowiedzią było gremialne „super!”. Ale Deenie nie przyłączyła się do tych okrzyków, bo nie mogła oddychać.

Zmieniła się dla Connora? Stała się tym, z czym zawsze walczyła?

– Tak się cieszę, Maleńka Deenie.

Kirsten położyła głowę na jej ramieniu i odetchnęła z zadowoleniem. A dziewczyna zastanawiała się, czy przeżywa właśnie atak paniki. Czuła ucisk w piersiach i nie mogła złapać tchu.

Instynkt nakazywał jej natychmiastową ucieczkę.

Nie wiedziała, czego chce. Wszystko było takie pogmatwane. Niezależność, którą kiedyś się szczyliła, zastąpiły kompromisy, rzeczy, do których *powinna* się zastosować. Obiecała, że przyjdzie na ślub. Obiecała, że zostanie z Connorem. Obiecała... i została zakładniczką swoich obietnic.

Sięgnęła po butelkę różowego wina.

ROZDZIAŁ 31



Ta sama sala balowa. Ten sam malowniczy kurort. A jakie różnice?

Connor stał w tym samym miejscu, w którym szesnaście miesięcy temu niemal wziął ślub z Monicą. Oczekiwał, że coś poczuje, coś w rodzaju żalu, a przynajmniej napływ wspomnień, ale był całkowicie skupiony na Deenie, obserwując, jak pozuje do pamiątkowego zdjęcia.

Przez ostatni tydzień prawie jej nie widywał. Wmawiał sobie, że nie ma paranoi. Znalazł nowe rozwiązanie: postanowił jej zaufać. Nie miał zamiaru roztrząsać drobiazgów. Deenie była zajęta. Udzielała się w schronisku. Była zavalona robotą, szyjąc kostiumy. I zawsze była gotowa, by w ostatniej chwili pomóc w przygotowaniach do ślubu Kirsten. Chodziła na próbne przyjęcia, na próbne stylizacje fryzur i makijażu. Oczywiście, że jej nie widywał. Bo go *unikala*.

Ale tego wieczoru miał jej pod dostatkiem. Spędzali noc w eleganckim kurorcie razem z innymi gośćmi. Wcześniej podrzucił Maxa do „Kosmatych Przyjaciół”, a potem pojechał do Deenie, która przebywała w kurorcie od rana – nie wystroiła się tak jak zazwyczaj i nawet różowym pasmom w jej włosach brakowało blasku.

Była taka przygaszona. Stała w stonowanej szarej sukience druhny, bez śladu brokatu.

Obserwował ją przez całą ceremonię. Dobrze odgrywała swoją rolę, uśmiech nie zniknął z jej ust ani na chwilę, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że się od niego oddala. Ucieka mentalnie, bo już go nie chce.

Grupa pozująca do zdjęcia zmieniała pozycje – druhny, rodzina pana młodego, rodzina panny młodej. Goście kręcili się po sali balowej, skubiąc przystawki i czekając na przybycie młodej pary. Connor powinien być z nimi, ale przyszedł na to wesele tylko z powodu Deenie, więc stanął w pewnej odległości i przyglądał się sesji fotograficznej.

Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, gdy dorwała go Kirsten.

– Connor! – zawołała i władczo pomachała bukietem. – Zróbmy sobie zdjęcie z Connorem.

– Och, nie trzeba. – Uniósł rękę w proteście, ale twarz kobiety przybrała wyraz wesołej buńczuczności.

– Odmawiasz panie młodej w dniu jej ślubu? Daj spokój.

A więc robili sobie zdjęcia ze szczęśliwą parą młodą i rodziną Deenie – z jej rodzicami, rodzeństwem, bratanicami i bratankami. Gdy do nich podszedł, wszyscy się do niego promiennie uśmiechali, witali go w rodzinie, a Deenie pozostawała niewzruszona i trudno było cokolwiek wyczytać z wyrazu jej twarzy.

Fotograf pokazał, żeby stanął bliżej niej i objął ją ramieniem.

– Nie masz nic przeciwko temu? – wyszeptał do ucha dziewczyny, chociaż gdyby się sprzeciwiła, i tak nie mógłby nic zrobić, bo fotograf nie pozwalał zmieniać ustawienia.

– Ramiona proste – zarządził właśnie, więc Connor wyprostował się na całą długość.

– Jeszcze mi podziękujesz, Maleńka Deenie – wypaliła Kirsten. – Wyobrazasz sobie, że za dziesięć lat spojrzysz na te fotografie i będziesz się zastanawiać: „Dlaczego na zdjęciach ślubnych Kirsten nie ma Connora? Przecież wiem, że tam był”.

Connor poczuł się nieco zażenowany – Kirsten nie pomagała. Zerknął na Deenie, która niewzruszenie wpatrywała się w obiektyw aparatu z przyklejonym uśmiechem.

– Proszę o uśmiechy!

Zastosował się do polecenia, a fotograf szybko pstryknął kilka zdjęć. Potem sesja zdjęciowa się skończyła, więc wraz z innymi gośćmi wrócił do sali, by czekać tam na rozpoczęcie przyjęcia. Trochę zwlekał, wypatrując Deenie, ale nie napotkał jej spojrzenia.

Tłumaczył sobie, że nie powinien wpadać w paranoję. Przekonywał się, że wszystko rozgrywa

się tylko w jego głowie.

Wmawiał to sobie podczas wielkiego wejścia pary młodej, podczas kolacji, toastów, pierwszego tańca i krojenia tortu. Z całych sił starał się jej ufać. Ale coś się psuło. Znowu trwał przy niej niczym najwierniejszy anioł stróż, ale ona tylko udawała, że jest szczęśliwa, bo taką mieli umowę. A on udawał, że nie zauważa, iż ona udaje, bo w przeciwnym razie by odeszła.

Zespół grał stare standardy jazzowe, kilka par kręciło się na parkiecie, a państwo młodzi krążyli wśród dwustu gości, próbując przyjąć od wszystkich życzenia. A Deenie przez cały wieczór zamieniała z nim najwyżej kilka słów.

Pewnie była wykończona. Wstała o świcie, by zdążyć z przygotowaniami do ślubu.

– Już prawie po wszystkim – mruknął, gdy usiedli przy stoliku. Dziewczyna gapiła się na tańczące pary. – Możemy się wymknąć, gdy panna młoda będzie rzucać bukiet.

Deenie nie odpowiedziała. Utkwiła wzrok w kobiecie, która się do nich zbliżała. W swojej matce.

– Chodź – powiedział Connor, zrywając się nagle od stołu. – Zatańczmy.

Nic nie odpowiedziała, ale też się nie opierała. Zaprowadził ją na parkiet i wziął w ramiona, gdy piosenkarka zaczęła nucić nową piosenkę.

Przynajmniej w tym miejscu wszystko wyglądało jak należy. Mimo że on starał się za bardzo i robił wszystko, by oboje mogli wyzbyć się wrażenia, że Deenie mu się wymyka.

Deenie kołysała się w ramionach Connora, wsłuchując się w słowa piosenki. Znała ją, to był stary standard *Something's Gotta Give*, wszystko o przemożnej sile i nieruchawym obiekcie. Zespół zwolnił tempo, zmieniając jazz w wolną i wzruszającą melodię. Deenie poczuła, że emocje zaczynają ją dławić.

– To nasza piosenka – powiedziała sarkastycznie, bo nie chciała, by zorientował się, że tkwi w tym jakiś haczyk.

Cały dzień – do cholery, nawet cały tydzień – prześladowały ją słowa siostry z przyjęcia panieńskiego.

Ktoś w końcu poskromił Deenie.

Jej rodzina go kochała. Siostra ciągnęła go do rodzinnych fotografii, jakby byli już zaręczeni, jakby było przesądzone, że za dziesięć lat nadal będą razem.

Poprosił ją, żeby dla niego skoczyła na głęboką wodę, i zrobiła to... ale gdzieś z tyłu głowy słyszała podszepty prawdy. Ona była siłą nie do zatrzymania, a Connor to nieruchomy obiekt. Coś musiało się wydarzyć. Ktoś musiał się poddać. I tym kimś była *ona*.

Zrezygnowała z siebie. Straciła wszystko, czym była. Po co? Dlaczego to wszystko robiła?

– Trzymasz się? – zapytał Connor, przyciągając ją do siebie.

I nagle fakt, że jest taki taktowny, taki wyrozumiały, taki cholernie *doskonały*, strasznie ją rozdrażnił. Odsunęła się od niego.

– Muszę wyjść na powietrze – powiedziała. – Sama – dorzuciła, gdy skinął głową, jakby chciał jej towarzyszyć.

Wyszła w ciepłą czerwcową noc i nawet się nie obejrzała. Nie powinna go porzucać w samym środku wesela siostry. Przyszedł tu tylko z jej powodu. Ale imadło, które ścisnęło jej klatkę piersiową i pozbawiało tchu, nie pozwalało jej wrócić.

Zacisnęła ręce na kamiennej balustradzie balkonu, spoglądając na ogród rozświetlony starannie rozstawionymi reflektorami. To miejsce było kością niezgody między jej matką a siostrą. Wyposażenie nie spełniało pięciogwiazdkowych standardów matki – nie było spa ani restauracji z gwiazdką Micheline – ale Kirsten nie poszła na kompromis, bo urzekły ją widoki. Kamienne mostki. Bujne ogrody. Górzysta sceneria.

Usłyszała, że ktoś otwiera drzwi.

– Co tutaj robisz, Nadine? Twoja siostra będzie zaraz rzucać bukiet.

Deenie nie spojrzała na matkę.

– Potrzebuję chwili dla siebie.

– Możesz skorzystać z niej później. To wieczór twojej siostry.

– Wiem, mamó.

Patrzyła na ogród, próbując chłonąć jego spokój. Zen. Pomyśl o zen.

– Ludzie zauważą, że cię nie ma.

– Naprawdę? – zapytała i natychmiast pożałowała tej złośliwości.

– Twoja siostra zauważy – warknęła matka. – Wszyscy wiemy, że próbujesz udawać, iż nie jesteś częścią tej rodziny, ale przynajmniej możesz złapać bukiet.

– Wiem, że jestem częścią tej rodziny. – Nie była w stanie przed tym uciec.

– Prawie dałabym się nabrać. Spędziłaś Boże Narodzenie z Bitty, a ona nawet nie pamięta, kim jesteś.

Te słowa były jak pchnięcie nożem. Deenie obróciła się, stając tyłem do kamiennej poręczy.

– Ale przynajmniej mnie lubi. Nigdy nie daje mi do zrozumienia, że nie jestem wystarczająco dobra. To ty powiedziałaś, że powinnam odmówić, gdy Kirsten zaprosiła mnie na wesele.

– Bo jesteś nieodpowiedzialna!

– Nie, nie jestem! W sprawie tego wesela zrobiłam *wszystko*, o co prosiłaś, a ty nadal nie przestajesz się czepiać. – Przez cały tydzień starała się, żeby wesele siostry było doskonałe. Ona jedna nie upiła się w autobusie i nie zrobiła z siebie kretyнки, a matka tak jej się teraz odwdzięcza? – Kiedy uznasz, że spełniam twoje oczekiwania? – zapytała. – Przecież wszystko zrobiłam, prawda? Odhaczyłam wszystkie punkty na twojej liście? Stabilna praca, stały związek. Czy nie tego chciałaś? Mam zostać idealną córką ze Stepford? Dać się komuś *okiełznać*? Kiedy uznasz, że już wystarczy?

– Kiedy złapiesz bukiet.

Deenie miała ochotę krzyknąć. Matka w ogóle jej nie słuchała. Nie *umiała* jej słuchać. A jedyna osoba, która zawsze jej słuchała, już nie wiedziała, kim ona jest. Nic dziwnego, że się pogubiła.

– Przepraszam, mamó, ale nie mogę tego zrobić.

Obróciła się na pięcie i zeszła do ogrodu po kamiennych schodach, ignorując ostry krzyk matki.

– Deenie!

Coś musiało się wydarzyć.

ROZDZIAŁ 32



Telefon zadzwonił wcześniej rano. Deenie odebrała po pierwszym sygnale, wytoczyła się z łóżka i szybko wyszła na mały balkon, żeby nie przeszkadzać Connorowi.

Wczoraj schowała się przed matką podczas rzucania bukietu i przegapiła pożegnanie z Kirsten i Toddem, gdy wyjeżdżali w podróż poślubną. Ale skoro dwieście innych osób rzucało płatki kwiatów, wątpiła, czy ktoś prócz matki zauważył jej nieobecność. Kiedy wróciła na salę, na parkiecie zostali tylko najwytrwalsi zawodnicy. Poszła więc do pokoju, gdzie czekał na nią Connor.

Nie pytał, gdzie była. Nie oskarżał, że od niego uciekła – co bez wątplenia zrobiła. Zapytał tylko, czy wszystko w porządku. Czowała się strasznie, gdy dziarsko zapewniała go, że czuje się świetnie, a potem oświadczyła, że zamierza wziąć kąpiel, i siedziała w łazience dopóty, dopóki nie miała pewności, że zasnął.

Słońce już wzeszło, ale powietrze było rześkie, wszędzie nadal błyszczała rosa, więc trzęsła się z zimna na małym balkonie, odbierając połączenie.

– Halo?

– Nadine Mitchell?

Zmarszczyła brwi, słysząc pełne brzmienie swojego imienia i nazwiska, bo tak najczęściej zwracali się do niej telemarketerzy.

– Kto mówi?

– Nazywam się Eileen Glenn. Dzwonię z Summerland.

Współczujący, łagodny głos kobiety sprawił, że w jej sercu rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Niestety mam złe wiadomości.

Bitty. Serce Deenie stanęło.

– Bardzo mi przykro, pani Mitchell – kontynuował głos po drugiej stronie. Spokojny i kojący; głos, który świadczył o tym, że ta osoba ma doświadczenie w przekazywaniu takich wiadomości i już wie, że Deenie domyśliła się prawdy. – To nie trwało długo.

Connor obudził się, początkowo zdezorientowany nieznanym otoczeniem, ale po chwili przypomniał sobie, gdzie jest. Do pokoju wpadały promienie słońca. Spał niespokojnie, nerwowo, przewracał się z boku na bok, ale w końcu musiał twardo zasnąć, bo przespał połowę poranka. Potarł dłonią twarz, półprzytomny z powodu nietypowo późnej pory.

– Deenie?

Nie odpowiedziała. Przesunął ręką po jej poduszce i na coś natrafił. Pognieciony kawałek papieru.

Usiadł i zamglonymi oczami odczytał słowa, które nie miały sensu.

„Przepraszam. Musiałam wyjść”.

Skrzywił się na widok kartki wyrwanej z hotelowego notesu. Nie była to wprawdzie karteczka samoprzylepna, ale prawie.

– O, nie! Nie tak szybko, skarbie! – zawołał.

Skopał kódrę i podszedł do popękanych drzwi łazienki. Otworzył je szeroko i zajrzał do środka – łazienka była pusta. Zniknęły nawet kosmetyki zaścieniające toaletkę.

Obrócił się i spojrzał na miejsce, w którym torba podróżna eksplodowała zawartością po całej

podłodze, bo Deenie była najmniej schludną osobą, jaką w życiu spotkał, ale ona również zniknęła. Podłoga była nieskazitelnie czysta.

– Nie – powiedział do siebie, gdy paranoja zaczęła wdzierać mu się do głowy.

Nie mogła tego zrobić. Nie w ten sposób jak Monica. Wiedziała, że go tym zrani, a przecież nie była okrutna.

Chwycił telefon i wybrał numer, ale odezwała się poczta głosowa. Szybko napisał SMS-a. „Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?”.

Ale nie było odpowiedzi.

– Cholera.

Nie zwracał sobie głowy prysznicem. Wciągnął na siebie czyste ciuchy, spakował rzeczy do torby i w ciągu dziesięciu minut był gotowy do drogi. Wczoraj przyjechali do Castle Hill dwoma samochodami, bo Deenie musiała być wcześniej, ale nie brał pod uwagę, że rano może odjechać bez niego.

Coś było nie tak. Musiało coś się stać.

Szarobłękitny garbus Deenie stał krzywo zaparkowany na podjeździe „Kosmatych Przyjaciół”. Connor zatrzymał się obok, blokując jej wyjazd, wyskoczył z samochodu i wpadł po schodach na ganek.

Prawie nigdy nie wchodził do domu. Deenie tak często bywała u niego, że nie było takiej potrzeby. Obejrzał kiedyś wybieg dla psów, który dziewczyny zbudowały na tyłach farmy. Przyjeżdżał po Deenie, ale prawie zawsze spotykali się na zewnątrz. Nie był w środku od czasu zaimprovizowanego przyjęcia po demolowaniu kuchni Bena. Tego samego wieczoru Deenie wyszła z bulwersującą propozycją, by udawali, że randkują. Wtedy wszystko się zaczęło.

Ally otworzyła drzwi, zanim do nich dopadł.

– Jest na górze – powiedziała ze smutkiem.

Connor pędził, przeskakując po dwa stopnie.

W szerokim korytarzu na pierwszym piętrze było sześć drzwi. Nie wiedział, który pokój należy do niej, ale wszystkie były otwarte, więc kierował się odgłosami ruchu.

– Deenie?

Nie odpowiedziała. Pchnął drzwi szerzej, przestąpił próg i wtedy ją zobaczył. Jej widok uderzył go w pierś niczym młot.

Miała zapuchnięte, czerwone oczy i kredowobiałą twarz. Na środku puchowej białej kołdry, wśród stosu kolorowych ubrań siedział maleńki piesek z kokardkami na uszach. Obok pieska leżał wielki fioletowy plecak, do którego dziewczyna brutalnie wpychała swoje ubrania.

Pakowała się.

Nie była gotowa na spotkanie z Connorem. Wiedziała, że powinna się z nim zobaczyć. Nie chciała uciekać i zostawiać go bez słowa wyjaśnienia. Zasługiwał na dużo więcej. Ale jeszcze nie była gotowa. Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Nie wymyśliła jeszcze, jak wytłumaczyć to, co niedługo nastąpi. Jak mu wyjaśnić, że tak będzie najlepiej. Dla nich obojga. Nie miała żadnej dobrej wymówki, żadnego motywu.

Miała tylko rozpacz.

– Deenie. Co się dzieje? Co się stało?

Jego głos dochodził z jakiejś odległej, mglistej otchłani. Utkwiła wzrok w skłębionych legginsach, które trzymała w rękach.

– Pakuję się – powiedziała ochryłym, niskim głosem. Skoncentruj się na zadaniu. Miała cel. Musiała go zrealizować.

Nie patrzyła na niego, ale wiedziała, że tam jest. Stał, taki wysoki, wypełniał sobą pokój i rozgrzewał go swoją troską.

– Coś z Bitty?

Deenie wzdrygnęła się, zaciskając dłonie na legginsach.

– Chodzi o pana Burke’a. Miał udar. Powiedzieli, że wszystko stało się bardzo szybko. Nie

cierpiał.

Była na osiedlu przez cały ranek. Zostawiła śpiącego Connora i natychmiast pojechała, żeby zabrać Jo-Jo i omówić różne decyzje z personelem. Cały czas powstrzymywała łzy, nawet wtedy, gdy pielęgniarki płakały, ścisnęły jej dłonie i mówiły, jak cudownym człowiekiem był pan Burke. Traktowały ją jak członka jego rodziny. Może właśnie tak było.

Potem poszła do Bitty. Nie zamierzała jej mówić o panu Burke'u, bo i tak go nie pamiętała. Nie pamiętała też Deenie. Leżała w łóżku, nieświadoma jej obecności, pogrążona we własnym świecie. Wtedy dziewczyna uświadomiła sobie, że ciocia już nie wróci. Fizycznie jeszcze tu była, ale psychicznie odeszła. Wyślizgnęła się jak jedwab spomiędzy palców, ta delikatna i cienka tkanina, z której dzięki cioci potrafiła tworzyć cuda.

Wszystko się skończyło i pozostał tylko płacz. Deenie od tygodni próbowała zaprzeczać faktom, ale rzeczywistość bardzo szybko wstrząsnęła posadami jej świata. Nie będzie już więcej dobrych dni. Nie będzie przeblasków świadomości. Dojrzała tę prawdę w oczach współczujących pielęgniarek.

Connor podszedł bliżej.

– Deenie, tak mi przy...

– Nie.

Minęła go i szybko podeszła do komody z bielizną. Będzie potrzebowała bielizny. Bielizna była bardzo ważna. O wiele ważniejsza niż jego pełen współczucia i zrozumienia głos, który miał ją złamać. Nie radzę sobie z tym.

Ta myśl powróciła do niej echem, dziwnie klarowna i daleka, jakby jakaś część oderwała się od niej i analizowała wszystko z zewnątrz – ale ta część była przynajmniej opanowana. Deenie podobało się to opanowanie.

– Dokąd się wybierasz?

Connor nie próbował osaczać jej swoim współczuciem. Tak było dobrze.

– Do Rzymu. Powiedział mi, że nie powinnam rezygnować z przygód.

Nie odłożysz w banku więcej życia. Co to właściwie znaczyło?

Zostawił jej Jo-Jo. I list. Schowany w szufladzie na wypadek, „gdy to się stanie”. Nie miał żadnej rodziny. Wszystko zostawił siostrzeńcowi Davida, kilku organizacjom charytatywnym i jej. Powiedział, że nie wolno jej wydać pieniędzy na nic praktycznego.

Odbędzie się odczytanie testamentu. Będzie sprzątanie jego mieszkania. Będzie trzeba pozalać wszystkie sprawy.

Ale najpierw...

– Udało mi się kupić bilet last minute, ale wylot jest już dzisiaj wieczorem. Muszę się pakować.

Wyjęła całe naręczcie bielizny. Jego milczenie brzmiało jak potępienie.

– Zamierzałam podjechać do ciebie w drodze na lotnisko. Nie chciałam wyjeżdżać bez słowa.

– Kiedy wracasz?

Potrząsnęła głową, upychając bieliznę w plecaku. Całkowicie skupiona na pakowaniu.

– Nie wiem.

Nie mogła na niego spojrzeć. Gdyby to zrobiła, wszystko poszłoby na marne. Wróciłyby wszystkie uczucia. Nie mogła na to pozwolić. Nie teraz. Musiała je od siebie odepchnąć. Musiała coś zrobić. Musiała uciec.

Ale jego głos jej na to nie pozwolił.

– Kupiłaś bilet w jedną stronę? A co z nami?

Gdy zamilkł, jego słowa odbijały się echem w pokoju. Była smutna i zła. Kochała pana Burke'a. Nie chciała, żeby tak wyszło.

Ale nie mogła pozwolić, żeby ją dotknął. Nie mogła pozwolić, by podszedł bliżej, więc uciekała do innej części pokoju, by zgarnąć jakąś część garderoby i wcisnąć do cholernego plecaka. Psinka obwąchiwała każdą nową rzecz.

Mógł ją zatrzymać. Bez problemu chwycić ją w ramiona, przytulić do piersi i otoczyć spokojem, ale to była Deenie. Nie był pewien, co by zrobiła, gdyby spróbował fizycznie zatrzymać ją w miejscu.

Mogłaby mu tego nigdy nie wybaczyć.

Pokręciła głową, odrzucając jego słowa.

– Już mnie nie potrzebujesz. Max jest wyszkolony. Zostałeś współnikiem. Wywiązałam się z umowy.

– Pieprzyć umowę – warknął Connor. – Mam ją gdzieś. Deenie, spójrz na mnie!

Podeszła cicho, zwróciła ku niemu twarz – spojrzenie jej oczu było odległe o miliony lat świetlnych. Historia się powtarzała. Deenie go nie chciała. Porzucała go.

Ale tym razem miał okazję się bronić i odpowiedzieć na zarzuty. Tym razem mógł zostać porzucony bezpośrednio, a nie zaocznie.

– Porozmawiaj ze mną – poprosił z naciskiem.

– A o czym tu rozmawiać? To nigdy nie mogło się udać. Oboje o tym wiemy. A ja zawsze czułam, że muszę się stąd wyrwać.

– To samospełniająca się przepowiednia. Nie musisz wyjeżdżać...

– Właśnie, że muszę! – krzyknęła, a jej słowa odbiły się echem od wysokiego sufitu. – Bo to nie ja. Zmieniłeś mnie w *siebie*. Jesteś z siebie *dumny*? *Poskromiłeś* mnie. Zrobiłeś ze mnie dorosłą.

– Nigdy nie chciałem cię zmieniać...

– To dlaczego poprosiłeś, żebym została?

– Bo cię kocham.

– Nie, kochasz tę osobę, którą ze mnie zrobiłeś. A ja się poddałam, ugięłam. Staralam się być tą osobą. Ale zostałam tu zbyt długo. Zaczęłam zapominać, kim jestem. Zaczęłam pragnąć domu, ogrodu i dzieci, przecież *nigdy* taka nie byłam. *Zmieniłam się* dla ciebie. Bo... – Zamilkła, potok słów uwiązł jej w gardle. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się, jej następne słowa były zimne jak lód. – To wszystko było na niby. Wpadliśmy we własną pułapkę. Nic z tego nie jest prawdą.

– Dla mnie to było prawdziwe. Nie udawałem zbyt długo. Nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek udawałem.

Wstrzymała oddech i Connor przez chwilę myślał, że już ją ma.

– Deenie. *Proszę*. – Zrobił krok do przodu, stalowe drzwi zatrzasnęły się za jego plecami.

– Nie. – Obróciła się na pięcie i zaczęła biegać po pokoju, pakując się z prędkością światła. – Jest jeszcze gorzej. – Najpierw w plecaku zniknęły kosmetyki. Potem długi szalik. Psiak siedzący na łóżku przypatrywał się wszystkiemu czarnymi błyszczącymi oczami. – Moja rodzina jest taka szczęśliwa, że się z tobą związałam. Widzą, że zmieniam się w ciebie. Zmieniłam fryzurę, ciuchy, zachowanie, aż w końcu stałam się tym, kim chcieli.

– Nigdy nie chciałem cię zmieniać. Kocham różowy kolor. Kocham brokat. Kocham *ciebie*.

– Przestań tak mówić! – Zawirowała i rzuciła w niego zrolowanymi skarpetkami. – Nie chcesz mnie! Chcesz kogoś, kto pasuje do twojego planu. I nie chcesz robić tych planów wspólnie ze mną. Chcesz tylko, żebym zaakceptowała twoje zamiary. A ja tego nie zrobię.

– Powiedziałeś, że zostaniesz.

– Nie powinieneś mnie o to prosić.

W pokoju rozległ się głośny dźwięk zamka błyskawicznego.

Panika uderzyła Connora prosto w piersi. Deenie wyjeżdżała. Naprawdę go opuszczała. Bronił się, próbował dowieść swojej niewinności, *blał* ją, żeby została, a ona nadal zamierzała wyjechać.

– Obiecałam sobie, że nigdy nie będę z kimś, przez kogo nie będę się czuła wystarczająco dobra. I przez kogo poczuję, że muszę się zmienić...

– *Nigdy* nie chciałem, żebyś się zmieniła! – Dlaczego go nie słucha?

– Nie mogę być taka, jak chcesz.

– Chcę *ciebie*.

– Nie, nie chcesz. Chcesz tylko, żebym została.

Zgarnęła plecak i piaska, a potem wyszła z pokoju. Nic, co Connor powiedział lub czuł, nie zdołało jej powstrzymać.

Stał samotnie w sypialni nadal tak pełnej Deenie – była w zwiewnych jak mgiełka różowych zasłonach, w maszynie do szycia zasłanej błyszczącymi tkaninami z brokatem, który nieustannie

pozostawiał ślad na wszystkim, czego dotykała, w porzuconych neonowych legginsach, które nie załapały się na podróż po Europie.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu.

– Niech to szlag! – Connor wybiegł z pokoju, pognał na dół, przebiegł przez salon i wypadł na ganek.

– Deenie!

Jej samochód nadal stał na miejscu. Za to furgonetka „Kosmatych Przyjaciół” wyjeżdżała właśnie na ulicę, na przednich siedzeniach zobaczył Deenie i Ally. Pobiegnął podjazdem, machając rękami. Wiedział, że wygląda jak wariat, ale jeśli Deenie się odwróci, jeśli zobaczy, że tak macha jak idiota, może zmieni zdanie.

Ale czy na pewno?

Zatrzymał się, gdy dotarł do ulicy, nie mógł złapać tchu, chociaż wcale nie biegł zbyt długo. Żwir chrzęścił mu pod stopami.

Nie gonił Moniki. Nie błagał, żeby została. Nie miał wprawdzie takiej szansy, ale to, co działo się teraz, było jeszcze gorsze: powiedział Deenie, że ją kocha, a mimo to musiał patrzeć, jak odjeżdża. A może zawsze zanosilo się na to, że będzie gorzej, bo chodziło o Deenie. Bo nigdy nie kochał Moniki tak, jak kochał Deenie.

Monica pasowała do jego życia. Dobrze się dogadywali. Ale gdy odeszła, bardziej opłakiwał stratę *planów* niż jej. Zawsze przedkładał przyszłość nad teraźniejszość. Cele nad odruchy. Robił plany i próbował dopasować do nich kobietę, co zresztą zarzuciła mu Deenie. A potem ona wywróciła do góry nogami jego uporządkowane życie. Nie grała według jego reguł. I bardzo mu się to podobało.

Kto by się z nim kłócił na każdym filmie i zarzucał mu, że jest sztywny, jakby kij połknął? Nie chciał kobiety, która odhaczałaby kolejne pozycje na liście, nie chciał żadnej z tych *odpowiednich* kobiet.

Pragnął Deenie o wiele mocniej niż swojej wizji przyszłości, za którą gonił od dwudziestu lat.

Ale jak miał jej to udowodnić? Jak mógł pokazać, że to on chce się zmienić dla niej. Że już się zmienił. Że największe znaczenie ma teraz dla niego nauka sztuki kompromisu, ponieważ w końcu znalazł kobietę, bez której nie może żyć.

Powróciło do niego wspomnienie ich wczorajszego tańca, prześladowały go słowa „ich piosenki”. Ona to siła nie do zatrzymania. On nieruchomy obiekt.

Ale ruszy się dla niej.

Pobiegnął z powrotem do samochodu.

ROZDZIAŁ 33



Deenie siedziała w fotelu pasażera furgonetki „Kosmatych Przyjaciół” z brzuchatym plecakiem i maleńką Jo-Jo skuloną na jej kolanach. Obok stał transporter dla zwierząt z miękkim, wyściełanym wnętrzem, w którym miała podróżować psina, ale dziewczyna potrzebowała uspokajającego dotyku jedwabistej kuleczki futra.

Dokonała dobrego wyboru. Była pewna w co najmniej siedemdziesięciu procentach, że podjęła właściwą decyzję. No, może w sześćdziesięciu. Ale ciągle słyszała w głowie echo słów Connora.

Obok siedziała Ally, skupiona na drodze, milcząca, bo bardzo się pilnowała, żeby nic nie powiedzieć – chociaż Deenie wyczuwała wszystkie słowa, których nie wypowiedziała. Niewidzialne opary osądu.

Powinna sama prowadzić. Albo wziąć Ubera. Ale jazda Uberem na lotnisko w Burlington kosztowałaby majątek, a nie chciała też zostawiać samochodu na tamtejszym parkingu na nieokreślony czas. Normalnie zdołałaby znaleźć dla niego jakieś odpowiednie miejsce. Spakowałaby wszystkie rzeczy i nie zostawiła w pokoju gościnnym maszyny do szycia i pozostałości po przyjęciach z królowną.

Normalnie nie uciekłyby z kraju w ciągu sześciu godzin. Nie. Nie uciekłyby. Podążyłaby za przygodą. Pan Burke powiedział jej, żeby dla niego nie rezygnowała z przygód. Ale to, co teraz robiła, nie wyglądało na przygodę. Nie czuła się wolna. Była nieszczęśliwa.

Zbyt długo pozostała w Pine Hollow. Chyba właśnie na tym polegał problem. I dlatego zaczęła fantazjować o domowym życiu z Connorem. Tak *naprawdę* wcale się w nim nie zakochała.

A więc dlaczego czuła, że ma złamane serce?

To przez pana Burke’a. Oczywiście, że była załamana. *Zrozpaczona*. I czuła, że w jakiś sposób go zawiodła. Jakby z jakiegoś powodu był nią rozczarowany. Wyciągnęła z plecaka list, który dla niej zostawił. Wyglądziła zagniecenia, które już zdążyły się pojawić na eleganckiej papeterii.

Nadine,

wiem, że gdy to czytasz, myślisz sobie, że wszystko zdarzyło się za szybko, ale nie oplakuj mnie zbyt długo. Jestem gotów znowu spotkać się z Davidem. Miałem dobre życie i więcej szczęścia, niż oczekiwałem. Dziękuję, że w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy przywróciłaś mnie do życia, że znowu widziałem przed sobą możliwości, chociaż zegar odmierzał czas.

Jak wiesz, nie mam dużej rodziny, więc zostawiam Ci małe co nieco. Obiecuj, że nie wydasz tych pieniędzy na nic praktycznego. Bylbym rozczarowany, gdybyś nie wykorzystala ich do tego, by czerpać z życia pełnymi garściami. Możesz odłożyć w banku więcej pieniędzy, ale nigdy nie odłożysz na koncie więcej życia – i nigdy nie pozwól, żeby Bitty przywłaszczyła sobie to powiedzenie. Ono należy do Davida.

Mam nadzieję, że przeżyjesz wiele przygód, Nadine, ale przede wszystkim wierzę, że nigdy nie pozwolisz, by strach przeszkodził Ci w dążeniu do szczęścia. Bądź odważna. Spełniaj marzenia. Bądź wyłącznie sobą i nie pozwól, żeby świat próbował Cię zmuszać, żebyś była taka jak wszyscy. Żebyś wpisywała się w te głupie banały.

Wspomnij mnie od czasu do czasu jako starego, wścibskiego człowieka, który mówił Ci, co robić, chociaż zawsze sama to wiedziałaś. I zaopiekuj się moją Jo-Jo.

Z miłością

James Alexander Burke

Deenie mocniej przytuliła Jo-Jo, po jej policzkach ciurkiem płynęły łzy.

– Deenie? – odezwała się łagodnie Ally. – Na pewno wiesz, co robisz?

Ally. Która tak bardzo się starała, żeby nie wywierać nacisku i nie namawiać jej do pozostania w Pine Hollow. Chociaż dawała jej do zrozumienia, że jest tu mile widziana. Że jest chciana. Że ma tu swoje miejsce, jeśli tylko je zaakceptuje.

Była też siostra, która chciała, żeby Deenie przyszła na jej ślub, zaprosiła ją, chociaż ona ciągle odpychała rodzinę, uciekała...

No i Connor...

Odsunęła myśl o nim i jeszcze raz skupiła się na liście pana Burke'a, wpatrując się w niego załzawionymi oczami.

Pan Burke chciał, by spełniała swoje marzenia. A więc dlaczego miała wrażenie, że właśnie przed jednym ucieka?

Obiecała sobie, że strach przed niedopasowaniem nie będzie rządził jej życiem, ale czy czasem nie pozwalała, by w tej chwili kontrolował ją inny rodzaj strachu?

Tak się bała, że nie jest wystarczająco dobra. Że nikt nie zaakceptuje jej taką, jaka jest. Że nie będzie kochana. Ale Kirsten ją kochała. Ally ją kochała.

I Connor...

Przy nim nigdy nie czuła, że nie jest wystarczająco dobra. Sprawiał, że czuła się jak promień słońca. No i chciał, żeby została, ale nie dlatego, żeby wymuszać na niej jakieś zachowania. Nigdy jej nie poprosił, aby udawała kogoś, kim nie była. To ona wpadła na taki pomysł: chciała udawać księżową albo doradcę finansowego. A on pragnął, żeby mu towarzyszyła jako organizatorka przyjęć z królewną i trenerka psów. Pragnął jej.

Kochał ją.

A ona tak mu wygarnęła i potem uciekła. Chociaż dobrze wiedziała – *wiedziała* – że to najgorsza rzecz, jaką może mu zrobić.

Serce Deenie zamarło, emocje ścisnęły ją za gardło.

– Musimy wracać.

Ally szarpnęła kierownicą, spłoszona tym głośnym oświadczeniem.

– Serio? – zapytała.

– Jestem zakochana w Connorze. Musimy wracać.

Ally uśmiechnęła się szeroko i zawróciła.

– Najwyższy czas.

ROZDZIAŁ 34



Miłości jej życia już nie było.

Samochód Connora był daleko od „Kosmatych Przyjaciół”, gdy dziewczyny w końcu dotarły z powrotem do schroniska. Najpierw pojechały do jego domu, ale zastały zamknięte drzwi i uruchomiony system alarmowy.

Deenie chciała z nim porozmawiać osobiście, ale skoro nie mogła go znaleźć, był z tym pewien problem. Próbowwała dzwonić na komórkę, ale włączała się poczta głosowa. Kiedy wróciły do „Kosmatych Przyjaciół”, by zaplanować kolejne kroki, Deenie ponownie zadzwoniła – znowu poczta głosowa.

– Myślisz, że jest u swojej mamy?

Obok kręciła się Jo-Jo, ujadając z przejęciem, zaniepokojona rozdygotaniem nowej pani.

– Sprawdzę, czy Ben coś wie – zaproponowała Ally, która była w pełni zaangażowana w pościg za Connorem. Zatrzymały się na żwirowym podjeździe przed „Kosmatymi Przyjaciółmi”, jak zwykle słysząc eksplozję szalonego szczekania dobiegającą ze stodoły.

Deenie wyskoczyła z furgonetki, pobiegła do boksów i po chwili była z powrotem.

– Max nadal tu jest! – krzyknęła do przyjaciółki, która trzymała telefon przy uchu i słuchała z szeroko otwartymi oczami. – Co? Co takiego? – Wskazała na aparat i powiedziała: – On jest w drodze do *Rzymu*.

Bez żadnych wątpliwości była to najbardziej lekkomyślna rzecz, jaką Connor Wyeth zrobił w całym swoim życiu. Przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa i skierował się do bramki. Miał przy sobie tylko niewielką torbę podróżną, szczątkowy optymizm i szeroko otwarte oczy, by wypatrywać Deenie.

Musiała być w tym samolocie. To jedyny lot z Burlington do Rzymu z międzylądowaniem na JFK. Miał tylko nadzieję, że będzie szczęśliwa, gdy go zobaczy. Miał też świadomość, że to może bardzo nieprzyjemnie obrócić się przeciwko niemu. A jeśli znienawidzi go za to, że ściga ją aż do Europy? A jeśli po prostu zwyczajnie chciała od niego uciec?

Zbliżając się do bramki, odsunął na bok panikę. Jeśli go nie zechce, wsiądzie w pierwszy samolot i wróci do domu. Mógł to nawet zrobić na JFK. Nie odprawił żadnych bagaży. Musiał spróbować.

Ufał, że gdy Deenie go zobaczy, uzna to za bardzo romantyczne. I nie pomyśli, że ją prześladowuje. Bo to mogło wyglądać na prześladowanie.

Nie było jej przy bramce.

Connor zmarszczył brwi, spoglądając na martwy wyświetlacz telefonu komórkowego. Zapomniał ładowarki. Dlatego zawsze robił listę rzeczy do spakowania i przygotowywał się na różne ewentualności. Żeby pięć minut przed wejściem na pokład nie szukać sklepu, w którym mógłby kupić ładowarkę.

W szaleńczym pośpiechu wrzucił rzeczy do torby podróżnej, niemal zapominając o paszporcie. Wybiegając z domu, przez telefon zarezerwował bilet last minute na lot do Rzymu – żadne ładowarki nie były mu w głowie.

Musi zdecydowanie porozmawiać z Deenie, żeby następnym razem, gdy będą planować międzynarodową podróż, uprzedziła go chociaż piętnaście minut wcześniej – jeśli będzie jakiś następny raz. Boże, miał nadzieję, że będzie.

Obsługa ogłosiła, że pasażerowie mogą wsiadać na pokład, więc Connor wzmógł czujność, obserwując ludzi kłębiących się przy bramce i wypatrując przebłysków różu. Ale Deenie nie było.

Złapała inny lot? Czy zdoła odnaleźć ją w Rzymie? Nie miał pojęcia, gdzie zamierza się

zatrzymać ani czy jej telefon będzie działał za granicą. Chyba będzie musiała się w jakiś sposób kontaktować z przyjaciółmi. Może Ally czegoś się dowie. Musiał tylko złapać Bena, żeby ten się z nią porozumiał i dowiedział od niej, gdzie przebywa jej przyjaciółka, żeby on mógł ją wytropić na obcym kontynencie...

Connor obserwował, jak pasażerowie zaczynają wchodzić do samolotu.

Chyba postradał zmysły. Co on w ogóle tutaj robi? Nie był sobą. On zawsze wszystko planował. I na pewno nie narażał na szwank swojej kariery, żeby praktycznie bez uprzedzenia polecieć do Rzymu.

Davis był zaskoczony – delikatnie mówiąc – kiedy Connor zadzwonił do niego z samochodu w drodze na lotnisko i poprosił o tydzień wolnego. Miał masę zaległego urlopu, bo od ponad dwóch lat nie wykorzystał ani jednego dnia. Z pracą nie będzie żadnych problemów – Davis wiedział, że Connor nigdy nie ma zaległości i z wyprzedzeniem wywiązuje się z terminów – ale w przypadku kogoś, kto ubiega się o stanowisko wspólnika, taki nagły wyjazd z kraju tuż przed ostateczną decyzją zarządu z pewnością nie był mile widziany.

Wiedział, że stawia na szali swój awans. Ale nie mógł nic poradzić na to, że mu nie zależało. Słowo „wspólnik” zawsze było dla niego synonimem sukcesu. Wspólnicy w kancelarii w Pine Hollow, w której pracowała jego matka, byli dla niego uosobieniem wielkiej kariery. Jego dziewięcioletni umysł podpowiedział mu wtedy, że jeśli w przyszłości udowodni, że jest wystarczająco bogaty, odnosi wystarczające sukcesy i jest wystarczająco *doskonały*, wówczas nic w jego życiu nie pójdzie źle. Nikt go nigdy nie opuści. I na pewnym poziomie nigdy nie stracił tej wiary.

Myślał, że gdy zostanie wspólnikiem, jego problemy rozwiążą się w cudowny sposób, ale oczywiście tak się nie stało. I zupełnie nie o to chodziło. Jego mama była szczęśliwa jako asystentka prawna. On mógł być szczęśliwy jako pracownik kancelarii. Albo wspólnik. Albo psi opiekun.

Dopóki Deenie nie odeszła.

Taki brak kontroli nad życiem był przerażający. Zwłaszcza uczucie, że całe jego szczęście spoczywa w rękach innej osoby.

A może nie. Może dramatyzuje. Może przeżyje utratę Deenie. Bolesny cios zadany przez kolejną kobietę, która zniknęła z jego życia – i kolejną cholerną karteczkę.

Ale wcale tego nie chciał.

Chciał Deenie.

Stanął w kolejce do wejścia na pokład samolotu.

Deenie zawsze była naiwna, jeśli chodzi o sceny z filmów, gdy bohater gna przez lotnisko, desperacko pragnąc dogonić miłość swego życia, nim ta wsiądzie do samolotu i odleci na zawsze.

Bo okazało się, że sprint przez lotnisko jest *niewiarygodnie* stresujący.

Była spóźniona.

Sama prowadziła furgonetkę. Częściowo dlatego, że i tak nie planowała zostawiać swojego samochodu na długoterminowym parkingu – chciała tylko złapać Connora i zabrać go z powrotem do Pine Hollow – ale przede wszystkim dlatego, że wiedziała, iż przez całą drogę będzie musiała wciskać gaz do deski, a nie chciała narażać Ally na mandat za przekroczenie prędkości tylko z tego powodu, że była zbyt głupia, by rozpoznać szczęście, gdy Connor stał przed nią i mówił, że ją kocha.

Nie wiedziała, jaką ma nad nią przewagę – były z Ally w połowie drogi do Burlington, gdy w końcu oprzytomniała – ale wiedziała, o której planowo startuje samolot, i zakładała, że Connor wybrał ten sam lot. Jeśli nie zdąży, on znajdzie się w Rzymie bez niej.

A więc jeśli nie pobiegnie, może się spóźnić.

Zaparkowała jak najbliżej wejścia i popędziła co sił w nogach. Wcześniej, gdy prowadziła samochód, jedną ręką wytrząsnęła z torby nadmiar kosmetyków, żeby szybko przejść przez kontrolę bezpieczeństwa. Była za bardzo spóźniona, żeby odprawiać bagaż. Zostawiła małą Jo-Jo z Ally i wymogła na niej obietnicę, że zajmie się psinką, dopóki ona nie wróci wraz z Connorem.

Gdy czekała w kolejce do skanera, jeszcze raz do niego zadzwoniła. Nadal nie odbierał.

Przeklęła pod nosem, rozłączyła się, włożyła komórkę do małego koszyka i przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa.

Gdy była już po drugiej stronie, odzyskała telefon i torbę i popędziła dalej.

Chyba będzie musiała się bardziej przyłożyć do treningu kardio.

Gdy na horyzoncie pojawiła się bramka, ciężko dyszała i z trudem łąpała oddech. Bramka była pusta, żadnych pasażerów. Rozległo się ostatnie wezwanie do wejścia na pokład. Stewardesa zaczęła zamykać drzwi.

– Proszę poczekać! – krzyknęła.

Zdobyła się na ostatni wysiłek i wpadła jak burza przez bramkę.

– Zdążyła pani w ostatniej chwili – powiedziała stewardesa z uśmiechem. – To pani szczęśliwy dzień.

– Mam nadzieję – odrzekła zasapana Deenie, przewiesiła torbę przez ramię i zajrzała do karty pokładowej.

Weszła do rękawa. Drzwi się za nią zamknęły, ale miała nadzieję, że otworzą je dla nich, żeby mogli wyjść, zanim samolot wystartuje. W przeciwnym razie czekała ich długa podróż z Nowego Jorku.

Biegła przez rękaw, jej stopy uderzały z głuchym łoskotem o podłogę, aż w końcu ujrzała otwarte drzwi samolotu.

Chwila prawdy.

A jeśli zmienił zdanie? Wsiadł do innego samolotu albo doszedł do wniosku, że nie jest warta, by za nią gonić? Jeśli zdał sobie sprawę, że nie jest warta tych wszystkich kłopotów?

Stała w przejściu między fotelami.

Samolot był prawie pusty. Nie było go w pierwszej klasie. Nie mogła sobie wyobrazić, że Connor mógł wybrać inną. Czyżby się pomyliła?

– Proszę pani? – odezwała się stewardesa. – Musi pani zająć miejsce.

– Oczywiście – szepnęła, czując pierwsze oznaki przygnębienia.

Był pewna, że znajdzie tu Connora. Kiedy Ben powiedział, że pojechał za nią, poczuła ogromny przypływ radości, wręcz euforię. Ale teraz ten upojny optymizm zaczął się ulatniać jak bąbelki szampana.

Posuwała się mozolnie – im dalej, tym bardziej traciła nadzieję.

Nie było go w samolocie. Dotarła prawie do ostatniego rzędu...

– Deenie?

Jej serce stanęło.

– *Connor*.

ROZDZIAŁ 35



Tak się spieszyła, żeby złapać Connora, że nie zaplanowała, co mu powie, gdy się spotkają. Siedział w przedostatnim rzędzie przy oknie, jego długie nogi były dziwacznie podkurczone. Odpiął pas i zaczął się podnosić.

W ich stronę ruszyła stewardesa, która przygotowywała coś w części kuchennej.

– Proszę pani, proszę zająć miejsce. Czy potrzebuje pani pomocy przy bagażu?

– Nie zostajemy tutaj – powiedziała ostro do kobiety, chociaż ani przez chwilę nie spuszczała wzroku z Connora. – Przyszłam po ciebie. Wróciłam, ale już cię nie było. Chcę zostać. Chcę być z tobą.

– Proszę pani... – Stewardesa podeszła bliżej.

– Deenie... – Connor zdążył wstać i teraz garbił się pod schowkiem na bagaż podręczny.

– Kocham cię.

Stewardesa się zawahała, przerzucając wzrok z Deenie na Connora i z powrotem – deklaracji miłości najwyraźniej nie było w podręczniku pokładowym.

Z przedniej części samolotu zmierzała ku nim kolejna stewardesa.

– Jedźmy do domu – błagała Deenie. – Bardzo cię przepraszam. Nie powinnam uciekać.

Emocje zapłonęły w oczach Connora, nadając im wyraz bursztynowej stanowczości.

– Nie – powiedział.

– Co? – Serce Deenie drgnęło. Czy to znaczy, że już jej nie chce? Mimo że przejechał taki kawałek?

A więc dlaczego był w samolocie?

Stał obok niej w przejściu między fotelami i wyprostował się na całą wysokość, jego oszłamiające dołeczki spoglądały na nią z góry.

– Chcę lecieć do Rzymu.

Zmarszczyła brwi, lekko zirytowana.

– Nie musimy – powiedziała z naciskiem. – Chcę zostać. Wygrałeś.

Dotarła do nich kolejna stewardesa.

– Jakiś problem? – zapytała.

– Wysiadamy – odrzekła Deenie.

– Nie, nie wysiadamy – zripostował Connor niemal jednym tchem. Wziął bagaż dziewczyny, włożył go do schowka, bezczelnie eksponując twarde mięśnie ramion. – Miałaś rację – mówił dalej. – Próbowałem cię dopasować do swojej przestrzeni, którą zbudowałem w życiu, ale ty nigdy nie będziesz do niej pasowała. I nie musisz. Nie chcę kobiety, która odhacza kolejne pozycje na liście. Chcę ciebie. I chcę do Rzymu. – Cofnął się na miejsce i pociągnął ją za sobą, a ona była zbyt wstrząśnięta, żeby się opierać. – Potrzebuję w życiu spontaniczności. Więcej przygód. I dużo więcej brokatu. Potrzebuję *ciebie*, Deenie. Chcę, żebyś się ze mną sprzeczała, wyciągała mnie ze strefy komfortu i rozjaśniała moje życie.

– Ja też cię potrzebuję – szepnęła, siadając w fotelu obok Connora. Nie mogła spuścić z niego wzroku; zapinał jej pas bezpieczeństwa, a jego oczy błyszczwały. – Żeby dzięki tobie stać mocniej na ziemi, co nie zawsze jest złą rzeczą. I żebyś mi przypominał, że nie warto wbrew sobie odrzucać dobrych rzeczy tylko dlatego, że ktoś inny myśli, iż powinnam ich pragnąć. Ale naprawdę nie musimy lecieć do Rzymu, żeby to udowodnić...

– A właśnie że musimy. Ty chciałaś dla mnie zostać, a ja chcę, żebyś wiedziała, że z tobą pojedę wszędzie. – Dołeczki w policzkach błysnęły uroczo. – Nigdy nie byłem we Włoszech.

– Nie! Naprawdę? – zapytała Deenie z błyszczącymi oczami.

Spojrzał na nią; te jego oczy – tak niesprawiedliwie zachwycające, obramowane gęstymi rzęsami.

– Pokażesz mi świat, Deenie Mitchell?

Silniki samolotu zaczęły mrużyć, a ona czuła, że topnieje jej serce.

– Niczego więcej nie pragnę.

A potem przypieczętowali to pocałunkiem. *Idealnym* pocałunkiem. I Deenie poczuła się... idealnie.

EPILOG



Connor nie miał najlepszych doświadczeń ze ślubami. Miał wrażenie, że przez nie kobiety uciekają z jego życia za granicę. Ale gdy patrzył, jak Deenie podskakuje na środku parkietu z Ally i obie wyśpiewują na cały głos balladę rockową z lat osiemdziesiątych, nie mógł wyobrazić sobie dla siebie lepszego miejsca.

Deenie nałożyła róż na włosy i dodała nawet błyszczące pasma czegoś, co nazywała „lametą do włosów” na specjalne okazje, bo spytał ją, czy może być jeszcze *bardziej* pokryta brokatem. Powinien wiedzieć, że potraktuje to jako wyzwanie.

Deenie nigdy nie rezygnowała z wyzwania. Ani z podróży.

Spędzili tydzień w Rzymie. Zwiedzali słynne place, sławili życie pana Burke’a, popijając limoncello w ogródkach kawiarnianych, zjadali się do oporu włoskimi potrawami i jeździli vespą po brukowanych uliczkach, tak jak kiedyś ciocia Bitty podczas swoich rzymskich wakacji. Connor nie miał czasu, żeby zrobić listę rzeczy, które chce zobaczyć, i nie miał prawie żadnych ubrań, ale i tak przecież nie przebierałby się co chwilę w czasie tej spontanicznej, niezorganizowanej podróży.

Rozmawiali o tym, dokąd pojedą następnym razem. On nalegał na Paryż, ale gdy widział błysk w oczach Deenie, kiedy opowiadała o Islandii, był pewien, że wcześniej dotrą na lodowce.

Czuł się dziwnie, nie pracując przez cały tydzień, ale Davis go zastąpił, więc wrócił odświeżony i wypoczęty prosto na stanowisko współnika. Już nie uważał, że musi odgrywać jakąś rolę, by na nie zasłużyć. W jakiś sposób stał się osobą, którą jeszcze tak niedawno udawał. Dzięki Deenie.

Piosenka się skończyła i dziewczyna przybiegła do ich stolika stojącego przy parkiecie do tańca, rzucając się bez tchu na jego kolana. Objął ją ramionami, naturalnie i zaborczo.

– Teraz uważaj – obwieściła, odstawiając szklankę z wodą. – Ally właśnie mi powiedziała, że za chwilę będzie rzucać bukiet. Chyba powinniśmy coś sobie wyjaśnić.

Do tej pory starannie unikali tematu małżeństwa. Connor odstawił swój plan pięcioletni na boczny tor, ale wykorzystał scenariusz Mitcha i zaczął nosić przy sobie pierścionek zaręczynowy, tak na wszelki wypadek. A teraz, gdy jego najlepsi przyjaciele się pobrali, a powietrze było przesycone miłością, wstąpiła w niego odwaga.

Przytulił się do Deenie, tak mocno, że jego oddech muskał jej ucho i różowe, błyszczące loki.

– Spróbuj złapać bukiet. To wyzwanie – szepnął. Kiedy się obróciła, by mu się przyjrzeć, był zachwycony błyskiem zainteresowania, który pojawił się w jej oczach. Pochwycił jej spojrzenie. – Serio. Zwalcz o niego. Wydrap im oczy. I nie bierz jeńców.

– Ależ ja *nigdy* nie robię takich scen – powiedziała i zatrzepotała niewinnie rzęsami.

Skrócił dystans, który ich dzielił, i przykrył wargami jej uśmiech, bo nie mógł się powstrzymać.

Kiedy się odsunął, nadal się uśmiechała.

– Masz brokat na policzku.

Przesunął ręką po skórze w miejscu, które wskazała, i zobaczył brokat na palcach.

– Naznaczyłaś mnie.

– Teraz jesteś mój.

Wtarł brokat w jej skórę, a potem wolno przesunął palcem po jej brodzie.

– Byłem twój od tamtej nocy w jacuzzi – zamruczał. – Gdy Maximus oblał cię wodą.

Oczy Deenie rozszerzyły się w udawanym szoku.

– A to zabawne! Właśnie wtedy też zaczęłam się w tobie zakochiwać. – Przynęła się bliżej i zniżyła głos do intymnego szeptu. – Cudowne to jacuzzi.

Parsknął śmiechem, ale zagłuszył go mistrz ceremonii, wzywając wszystkie panny, które chcą złapać bukiet.

Deenie spojrzała na parkiet, a potem na Connora.

– Jeśli złapię bukiet, będę musiała się zabrać do planowania ślubu. Ale ostrzegam cię, że to będzie się wiązało z Vegas i sobowtórem Eltona Johna. I nigdy się nie dowiesz, kiedy wybije godzina – powiedziała z radością. – Po prostu zaskoczę cię pewnego dnia. Nie będziesz miał nawet czasu, żeby włożyć smoking. Nagle znajdziemy się w drodze na lotnisko i bum! Ślub w japonkach.

Connora rozbawiła ta groźba. Nie sądził, że Deenie mówi poważnie, ale mógł sobie wyobrazić gorsze sposoby zawierania małżeństwa. Ucieczka i potajemny ślub to o wiele lepsze rozwiązanie niż wielkie przygotowania zakończone męczącym weselem. Życie z Deenie zawsze będzie przygodą.

I już nie mógł się tego doczekać.

– Umowa stoi.

Te słowa sprawiły, że zaświeciły jej się oczy.

– A więc jesteśmy umówieni.

Zrzuciła buty, zeskoczyła z jego kolan i pobiegła prosto w tłum kłębiący się na parkiecie. Obejrzała się przez ramię, wycelowała dwa palce w swoje oczy, a potem w jego. Obróciła się i skoncentrowała na bukiecie, kołysząc się na piętach jak łapacz mający złapać piłkę.

Ally pomachała bukietem, drocząc się z pannami, a potem obróciła się i rzuciła go przez ramię. Podekscytowane łapaczki wyskoczyły w powietrze, wyciągając wysoko ręce. Jakaś kobieta w granatowej sukience upadła na rudowłosą druhenę i cała grupa wylądowała na podłodze.

Tłum z zaskoczenia nie mógł złapać tchu.

Panna młoda śmiała się tak bardzo, że też by się przewróciła, gdyby nie podtrzymał jej pan młody.

Wtedy z wijącego się kłębowiska ciał wyskoczyła triumfalnie czyjaś ręka z bukietem.

I gdy w końcu wyłoniła się druhenka honorowa i krzyknęła co sił w płucach: „Vegas, kochanie!”, nikt się nie zdziwił. Deenie zawsze robiła wszystko po swojemu.

Connor nie mógł się już doczekać, co zrobi później. Jego własna księżniczka/trenerka psów/krawcowa/buntowniczkamiłość jego życia. Niektóre rzeczy są zbyt dobre, by można je zaplanować.

PODZIĘKOWANIA



Ogromnie dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Forever – praca z nimi to zawsze wielka przyjemność. Tym razem również okazali się nieocenieni w promowaniu mojej książki na całym świecie. Estelle, Joelle, Stacey, Sabrino, bardzo dziękuję. Specjalne podziękowania należą się mojej redaktorce, Leah, która sprawia, że trudne rozmowy stają się łatwe i dzięki której uzależniłam się od najlepszych reality show: jeśli zacznę ci podsuwać pomysły na powieści o miłości, sama będziesz sobie winna.

Jak zawsze bardzo dziękuję mojej agentce, Michelle, największej entuzjastce mojej pracy, oraz przyjaciółkom po piórze, które nieodmiennie podnoszą mnie na duchu i sprowadzają na ziemię, kiedy wpadam w spiralę burzy mózgów, zwłaszcza Kim Law, ekipie Hallmark Publishing i the Rubies. Specjalne podziękowania dla Leigh, Kali i dzieciaków, Jane i Mili – dzięki nim dowiedziałam się całej prawdy o magii brokatu i nauczyłam się na pamięć *wszystkich* tekstów z *Krainy lodu* i *Coco*.

Wyrazy miłości dla mojej *ohana*.

I wreszcie podziękowania dla wszystkich wspaniałych ludzi z *Wait, Wait... Don't Tell Me*, satyrycznego programu radiowego NPR, dzięki którym śmiałam się przez całą kwarantannę i wpadłam na pomysł przyjęć z królową z domeny publicznej.

POLECAMY



Lizzie Shane

Na Święta przytul psa

Czarujący romans w klimacie bożonarodzeniowym – historia Ally i Bena, których połączyły poszukiwania nowych domów dla psiaków ze schroniska zagrożonego likwidacją.

Ally Gilmore przyjeżdża z Nowego Jorku do Pine Hollow. To urocze miasteczko ma wszystko, czego Ally potrzebuje w ten świąteczny czas, nawet łagodnie prószący śnieg. Niestety jakiś Grinch postanowił wstrzymać finansowanie schroniska dla psów, które prowadzą jej dziadkowie. Ally nie może pozostać obojętna...

Ben West opiekuje się swoją dziesięcioletnią siostrzenicą Astrid, której rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Nadmiar obowiązków w radzie miasta i niekończące się problemy jego mieszkańców sprawiają, że nie ma czasu dla siebie. Mimo wszystko postanawia pomóc Ally.

Czy zdążą znaleźć domy dla wszystkich nietuzinkowych mieszkańców schroniska? Czy magia Świąt zmieni życie Ally i Bena na dłużej? Czy pomagając innym, można odnaleźć swoje szczęście?